

JAKUB CŹWIEK
KŁAPKA
KILL IT ALL



Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Książki Jakuba Ćwieka

Dedykacja

Część I. Wszyscy mają się dobrze

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Część II. Ups... Już nie

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Część III. Dokąd prowadzą wszystkie drogi

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Część IV. Grand finale

Rozdział 17

Rozdział 18

Autor

Karta redakcyjna

Okładka

JAKUB ǃWIEK
KŁAMCA
KILL'EM ALL

Zlecenia anielskiego cyngla:

- Kłamca 1 •
- Kłamca 2. Bóg marnotrawny •
- Kłamca 3. Ochłap sztandaru •
- Kłamca 4. Kill'em all •

fabryka słów

Lublin 2012

Książki Jakuba Ćwieka

wydane nakładem naszego wydawnictwa:

1. Kłamca 1
2. Kłamca 2. Bóg marnotrawny
3. Liżąc ostrze
4. Ciemność płonie
5. Kłamca 3. Ochłap sztandaru
6. Gotuj z papieżem
7. Kłamca 4. Kill'em all



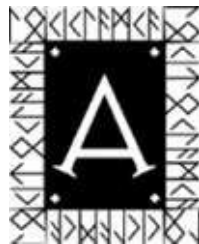
AGNIESZCE, TESS, ELVISOWI
I WSZYSTKIM.
KTÓRZY CZEKALI

Część I

Wszyscy mają się dobrze

Rozdział 1

Australia



anioł Harael wyglądał jak debil. Na własne życzenie zresztą, żadną miarą niechcący, wszak życzliwi towarzysze broni uświadomili go od razu, gdy tylko pokazał im tego dnia swoje nakrycie głowy. Poza tym ozdoba na jego hełmie nie należała do tych, które pojawiają się przypadkiem, jak ptasie odchody tworzące plamę o fantazyjnym kształcie, rdza czy zaschnięty, martwy robak. Nad czymś takim trzeba się było solidnie namęczyć. I wyglądało na to, że Harael był dumny ze swej pracy.

Zawsze się taki trafi – pomyślał centurion Kwiryniusz, sięgając po leżącą obok osełkę. *Tym właśnie kończą się długie przerwy w walce. I wpuszczanie na pole bitwy chórzystów.*

Westchnął i przejechał kamieniem wzdłuż ostrza.

Reszta stroju Haraela prezentowała się bez zarzutu. Białe napierśnik na złotej kolczudze, na nim rzymska trzynastka w wieńcu z piór. Wokół bioder szeroki, prosty pas, przy nim u lewego boku miecz, a u prawego – długi, prosty sztylet. Nagolenniki i karwasze proste, bez zdobień, ale szykowne w swej surowości, podobnie zresztą jak sandały...

I na co to wszystko – pomyślał Kwiryniusz – *po co nam ten cały szyk i majestat, skoro wystarczy taki drobiazg, by z miejsca odebrać Zastępom anielskim całą powagę? Jeden głupiec, potem przyśpiewka i już cały legion zyskuje złą sławę na milenia. Ci z Dziesiątego już chyba nigdy nie przestaną się z nas śmiać.*

Centurion odłożył osełkę, oparł miecz o połą namiotu i przywołał Haraela.

Wezwany podbiegł truchtem.

– Anioł Harael melduje się na rozkaz, centurionie! – ryknął wyprężony jak struna.

Prawie poważny, prawie zawodowo, ale te przeklęte ozdoby majtały mu się przed twarzą jak samochodowe wycieraczki podczas ulewy.

– Wiecie, jak z tym wyglądacie, Harael? – zapytał Kwiryniusz.

– Wiem, centurionie! – huknął skrzydlaty, wciąż wyprężony, ze wzrokiem wbitym w trzynastkę na pole namiotu.

– Jak?

– Jak debil, centurionie!

Kwiryniusz westchnął.

– Właśnie. Możesz mi powiedzieć, na co ci te przeklęte korki?

– Melduję posłusznie, centurionie, że anioł Jack powiedział, że to chroni przed muchami!

No tak, Jack. Kwiryniusz mógł się tego domyślić.

– Podobno tak się tutaj nosi! – dodał jeszcze Harael, wciąż krzycząc. – W ten sposób okazuję szacunek tradycji i obcym kulturom! Tak mówi Jack, centurionie! A on przecież jest stąd!

Stąd oznaczało oczywiście pustynną Australię, gdzie od kilku dni aniołowie i pomioty Lucyfera toczyli zawzięty bój na wyniszczenie. Idealne miejsce na wojnę, można by rzec – pod stopami piasek, nad głowami błękit nieba, a pomiędzy tylko falujące od żaru powietrze, czasem pojedynczy krzaczek czy kamień z wężem zwiniętym w pytajnik i niemal żadnych postronnych obserwatorów bądź potencjalnych ofiar cywilnych. Zdaniem Kwiryniusza, bardzo humanitarne miejsce na bitwę, pod warunkiem oczywiście, że wybiera się je, zanim cała reszta globu zdąży spłynąć krwią niewinnych. Apokalipsa jednak ma swoje prawa...

Powiał pustynny wiatr i centurion zmuszony był na chwilę zasłonić oczy przed piaskiem. Gdy je otworzył, Harael wciąż sterczał przed nim jak pałacowy gwardzista na służbie. Zawieszane na nitkach korki dyndały mu przed twarzą.

Kwiryniuszowi prawie zrobiło się go żal. Prawie. Wojna to nie miejsce na litość.

– Pamiętasz jeszcze, komu służysz, chórzysto? – zapytał. – Od kiedy to szanujemy obce tradycje, he?

Był rozkaz?

– Nie, centurionie, ale...

– Żadne ale!

Kwiryniusz dostrzegł kątem oka, że pogadanka zaczęła już gromadzić widownię. Aniołowie porzucali swe zajęcia i coraz bardziej otwarcie się jej przysłuchiwali. To oznaczało, że nadszedł czas, by zakończyć scenę przykładową karą za nieposzanowanie zbroi i, być może, karcerem za łamanie pierwszego przykazania. Tradycje, też coś!

Harael wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, więc Kwiryniusz dał mu tę możliwość.

– Pozwolę sobie zauważyć, centurionie – zaczął anioł – że jednak zdarzało nam się szanować tradycje. Zwłaszcza odkąd Wódz Zastępów powołał Kłamcę...

– Kłamcę? – Kwiryniusz poprawił pasek mocujący napierśnik. – Co chórzysta może wiedzieć o Kłamcy? Jakoś sobie nie przypominam, żeby Loki gustował w harfie. Przynajmniej na ile go znam...

Tak, to był właściwy moment, by zagrać tę kartę. Wszyscy wiedzieli, że centurion miał okazję poznać cyngla Niebios i że to właśnie współpraca z nim uczyniła go najpierw jednym z lepszych stróżów, a potem oficerem w Zastępach Pana. Cóż, nawet w Niebiosach liczy się nie tylko, co potrafisz, lecz także kogo znasz...

– Wiem, Haraelu – rzekł Kwiryniusz – że tam, skąd do nas przyszedłeś, przywołanie imienia Kłamcy może dać pewne korzyści. Tu jednak, w prawdziwym świecie, uznania w ten sposób nie znajdziesz. Loki to tylko użyteczne narzędzie w rękach Pana, którym w dodatku nie sposób się posługiwać bez brudzenia sobie rąk. Może już słyszałeś, jak kiedyś miałem...

Przerwał zaskoczony nagłą ciszą. Ustał szcęk treningowych mieczy, zgrzyt osełek, jazgot rozmów. Nawet ranni w namiotach patrzyli teraz z wyczekiwaniem na swego centuriona. Pomimo iż chyba wszyscy znali już tę historię, takiego audytorium i zarazem takiego posłuchu Kwiryniusz nie miał jeszcze nigdy.

Nie łudź się, że to twoja zasługa – pouczył się. To Kłamca. Zawsze Kłamca. To on ich tak fascynuje.

Nie do końca było mu to w smak, zdecydował się jednak podjąć opowieść. Wmawiał sobie, że chodziło o przestrożę płynącą z tej historii, ale tak naprawdę liczyła się cisza. Nawet pustynny wiatr umilkł, by go teraz wysłuchać. Kto wie, może słucha go nawet ten przeklęty Jack, którego niemal cała centuria wielbiła, jakby był cudownie objawionym czwartym archaniołem.

Odchrząknął jeszcze dla lepszego efektu, splunął pod nogi i zaczął opowiadać:

– Dawno temu, gdy jeszcze byłem stróżem, opiekowałem się pewną młodą dziennikarką...

Nie zdążył powiedzieć ani słowa więcej, bo nagle rozległ się dźwięk rogu, a potem kolejny i jeszcze jeden. Kilku skrzydlatych wzbilo się w powietrze.

– Nadlatują, centurionie! Całą chmarą!

Kwiryniusz poderwał się z miejsca, złapał za miecz. Dokończy później. Wojna miała swoje prawa.

Otworzył usta, by wydać rozkaz, i... połknął muchę.

Nagle Harael nie był już takim debilem.



Archanioł Michał siedział na brzegu billabongu, kryjąc się przed słońcem w rozłożystym cieniu drzewa *coolibah*. Wsparty o nie plecami i rozpostarty na trzech parach skrzydeł jak na kocu odpoczywał, przecierając głownię potężnego miecza ściereczką nasączoną świętymi olejami.

W płynnych, posuwistych ruchach nie było znać żołnierskiego drygu, wręcz przeciwnie – stanowiły one jedyny rodzaj pieszczoty, jaki Wódz Zastępów znał i rozumiał. Miecz był jego jedyną kochanką. Znaczący kochankiem... To znaczący...

Ach, na Trony i Zwierzchności!

– Bądź przeklęty, Loki! – mruknął pod nosem archanioł. – Bądź przeklęty za te swoje żarty i insynuacje! Będziesz się za nie smażył...

Michał umilkł, gdy zdał sobie sprawę z tego, co właściwie chciał powiedzieć. W Piekło? Jakim Piekło, skoro właśnie trwa Apokalipsa? Jeszcze kilka dni, miesięcy, może lat i wojna się zakończy, a Lucyferowi

nie pozostanie już ani jeden wierny sługa.

Anielskie Zastępy są w przewadze, doświadczenie wodzów jest nieporównywalne, a fortel z podburzeniem mitycznych najwyraźniej się nie udał. Nie przyniosło to demonom nic prócz zamieszania i przetrzebienia ludzi, którzy i tak są przecież niewygodni. W zasadzie Lucyfer oddał Michałowi przysługę. Uczynił go swoim dłużnikiem za Londyn, Moskwę, pewnie już Nowy Jork, Pary...

Nie!

Michał zacisnął zęby, a płomień wokół jego oka zapłonął czerwonym blaskiem.

Zapomnij o Paryżu!

Zapomnij o...

– Wodzu!

Archanioł uniósł głowę. Na widok szczupłego skrzydlatego w kapeluszu i z naszyjnikami złożonym z krokodylich zębów uśmiechnął się półgębkiem. Płomień na jego twarzy z miejsca przygasł.

– A, to ty, Jack – powiedział. – Jak tam idą przygotowania? Czy wszystko już gotowe?

Jack zdjął kapelusz i przycisnął go do piersi. Wyglądał teraz jak wytrawny rewolwerowiec na wykwinnych salonach. To znaczy głupio. I z kapeluszem.

– *Aye!* Wszystko przygotowane, jak kazałeś, sir. Kopuła gromu opadnie, gdy...

Archanioł przyłożył palec do ust.

– Żadnych nazw, Jack – rzekł, wracając do czyszczenia miecza. – Mam ci przypomnieć, jak kilka słów za dużo zmieniło kiedyś życie twojego podopiecznego?

Jack przejechał ręką po poznaczonej bliznami twarzy. Cieniutkich różowych kresek było na niej tyle, że spokojnie mogłyby uchodzić za zmarszczki, a on sam – za podstarzałego traperę, czy jak się tam na nich mówiło na tej przeklętej ziemi.

– Wodzu, mój podopieczny po pijanemu wyzywał Żydów w Hollywood – powiedział. – To powinno się kwalifikować jako samobójstwo.

Ręka archanioła zatrzymała się w pół ruchu.

– Czy mnie słuch myli, Jack, czy chcesz powiedzieć coś złego na temat Narodu Wybranego?

– Ależ skąd, sir. – Anioł przejechał palcem po krawędzi runda. – Nawet przeciwnie. Uważam, że są niebawem skuteczni i że bardzo by się tu przydali. W sensie w Australii.

– Wiem, gdzie jesteśmy, Jack. Zwykle pamiętam, na jakiej ziemi rozlewam krew armii Pana, a Trony mi świadkiem, że robiłem to już wszędzie w tym i innych światach. Jest jakiś powód, dla którego tu przyszedłeś, czy mam założyć, że to przerwa w robieniu durniów z chórzystów?

– Sir, te korki to świetna obrona przed muchami Belzebu...

– Po co tu przyszedłeś?!

Na widok płomienia buchającego z twarzy archanioła Jack cofnął się o krok.

Michała ucieszył ten widok. Strach i respekt, a dopiero potem miłość, zawsze tak mawiał. To powinni czuć twoi żołnierze, jeżeli chcesz być dobrym wodzem.

Kłamacza odpowiedział na to kiedyś: *Tak, też czytam kawałki z Sun-tzu w „Playboyu”*. A zaraz potem dodał, że woli jednak rozkładówkę.

Niech Cię, Loki! – pomyślał archanioł. *Gdziekolwiek jesteś, mam nadzieję, że już stamtąd nie wypełniesz. Bo, Trony i Zwierzchności mymi świadkami, skończysz jak wszyscy tobie podobni. Za Jenn...*

Nie myśl o niej! Nie myśl o Paryżu!

Archanioł wstał i wycelował sztychem miecza w Jacka. Po główni biegały już w górę i w dół pierwsze płomienie gniewu Pana.

I nagle zgasty, podobnie jak tatuaż na obliczu Michała. Archanioł opuścił broń, odwrócił się i owinął środkową parą skrzydeł.

– Jeżeli nie masz nic ważnego do przekazania – zwrócił się do Jacka już spokojnie – możesz odejść, a ja...

– Chciałem powiedzieć, że nadlatują, sir. W sile stu, więc najpewniej poselstwo. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć zawczasu...

Archanioł pokiwał głową.

– Tak, dziękuję. Dobrze zrobiłeś. Możesz odejść.

Anioł Jack posłusznie skinął głową i odleciał w stronę obozu.

Michał wsunął miecz do pochwy i pochylił się, by ciepłą wodą z billabongu zmyć z palców resztkę świętych olejów.

Poselstwo – pomyślał.

– Czyżbyś, Lucyferze, pofatygował się do mnie osobiście? – powiedział na głos. – Chcesz błagać o łaskę?

Kłamcy nie błagają o łaskę – stwierdził cichy głos w jego głowie. *Kłamcy kłamią i w ten sposób odnoszą swe plugawe zwycięstwa. Nie potrzebują do tego armii, broni i boskiej łaski. Pragną jedynie słuchaczy.*

Nagle Michał uzmysłowił sobie z całą pewnością, że zdrajca Loki żyje i gdziekolwiek teraz jest, radzi sobie świetnie.

Dolina

Bycie Oberonem miało swoje plusy. I chyba to właśnie było w tym wszystkim najgorsze. Gdyby cierpiał, dusił się w swej nowej roli, czuł na plecach śmierzący cebulą oddech śmierci, Kłamca z pewnością byłby ostrożniejszy. I bardziej stanowczy w działaniach.

Zamiast tego jednak, pod pozorem gromadzenia wiadomości, budowania siatki sojuszników i przygotowywania planów, Loki siedział i pierdział w stołek, czy też raczej w poduszki. Królowi pieprzonych elfów nikt nie podstawiłby zwykłego stołka.

Wychylił się i spojrzął na wysypaną piaskiem arenę otoczoną drewnianymi palami, gdzie właśnie trwał krwawy wieczorny megahit.

– No dalej! Przestańcie łaźić w kółko, nie mamy całego dnia! – krzyknął do gladiatorów. – Inni też chcą walczyć!

To nie do końca było prawdą, ale któż by zwracał uwagę na niuanse. Skoro Oberon twierdził, że jego poddani chcą się bawić w krąg śmierci, to taka właśnie była ich wola, niezależnie od tego, co naprawdę sądzili. Loki nazywał to demokracją ukierunkowaną.

Poza tym to podoba się tym wszystkim nadętym dupkom wkoło – myślał Kłamca, co rusz odrywając wzrok od prowizorycznej areny i przyglądając się elfim lordom i możnowładcom, ich strojom, twarzom, oraz – rzecz jasna – herbom. Te bowiem w szczególności warto było sobie odświeżyć.

Kiedyś, gdy jeszcze z pełnią praw mieszkał na dworze Odyna, Loki mógł z dumą mówić, że zna wszystkie liczące się szlacheckie rody każdego królestwa, które kiedykolwiek odwiedził. Uczył się ich historii, by wiedzieć, jak zdobyły przywileje i komu je zawdzięczają. Aby poznać kierujące nimi ambicje, czytał o zajmowanych stanowiskach, matrymonialnych planach wobec dzieci i pożyczkach udzielanych innym rodom. Pikantne plotki zbierał natomiast dla zabawy. I z przyzwyczajenia.

Tak, były czasy, że o dworze Oberona Kłamca również wiedział wszystko, ale to było naprawdę dawno temu. Dlatego teraz w wolnych od królowania chwilach Loki na nowo uczył się herbarza. Próbował zapamiętać, kto nosi zebkę, kto – węża na patyku, a kto – Angelinę Jolie z ciałem kurczaka. No dobra, wiedział, że to harpia, ale podobieństwo twarzy aż się prosiło o pozew.

Kłamca studiował pilnie. Wiązał w pamięci godło z nazwiskiem, nazwisko z historią, a gdy już wiedział to, co mógł wyczytać z tekstów, imię aktualnego dziedzica podpowiadał Lokiemu stojący zawsze tuż przy nim Kent, dowódca straży. Jego ród również był w księdze. Mieli niewymawialne nazwisko, a w herbie najbrzydszego lwa od czasów, gdy grafikom studia Dreamworks zaczęło się wydawać, że potrafią rysować zwierzęta.

To nieistotne, jaki ma herb – powtarzał sobie Kłamca. *Liczy się, że Oberonowi jest wierny jak pies. To może się kiedyś przydać.*

Tymczasem tocząca się na arenie walka zgodnie z królewskim rozkazem zyskała tempo. Walczący starli się raz i drugi, wyprowadzono kilka pchnięć, części uniknięto, kilka innych sparowano, a publiczność wyła, żądna krwawych rozstrzygnięć.

I pewnie zaraz je dostaniecie – pomyślał Loki, czując ogarniające go jednocześnie rozdrażnienie i wesołość. Może wtedy zamkniesz gębę, młody hrabio Mallintorne. Może, tłusty jak wieprz księżę Offerniliusie, oderwiesz się od udźca swego upolowanego dziś pobratymca, a twoja córeczka da odetchnąć karłowi pracującemu skrycie pod jej suknią.

Kłamca wodził wzrokiem od jednego lorda do drugiego, zastanawiając się, jak wiele wysiłku, kombinacji i kłamstw kosztowałoby go sprawienie, by to któryś z nich musiał znaleźć się na arenie i walczyć o życie. Ich historie z pewnością zawierały większe przewinienia niż... *No właśnie, za co skazani są ci dwaj na dole?* Loki nie potrafił sobie przypomnieć. Już miał zapytać o to Kenta, gdy nagle w dotąd wyrównanej walce nastąpił przełom.

Pierwszy spośród walczących, rozebrany do pasa olbrzym poznaczony miliardem blizn, wykorzystał potknięcie swego dużo mniejszego przeciwnika i kopnął go w brzuch z takim impetem, że tamten poleciał aż na drewniane pale, odbił się od nich i zaległ bez ruchu w głębokim błocie. Tłum ryknął.

Olbrzym wzniosł do góry obie ręce, całym ciałem chłonąc lordowski entuzjazm, po czym podszedł do nieprzytomnego i wzniosł miecz, by zadać ostateczny cios.

Ale jego oponent, drobny blondyn, którego wielkolud miał teraz u stóp, wcale nie stracił zmysłów. Chłopak wyczekał do ostatniej chwili, a gdy ostrze opadało ze świstem, błyskawicznie przeturlał się na bok, poderwał na równe nogi i ciałą dobytym zza pasa kozikiem w ramię wielkoluda, znacząc je cieniutką kreską. Potem, odsunawszy się, zaczął jak gdyby nigdy nic czyścić ubranie z błota. Jakby już było po walce.

I rzeczywiście. Miecz olbrzyma zarył o ziemię, a on sam zachwiał się, zadrżał i po krótkiej chwili opadł na kolana. Wyraz jego twarzy mógł być równie dobrze grymasem wściekłości, jak i pierwszym objawem paraliżu mięśni.

Blondyn zerknął obojętnie w jego stronę. Skończył doprowadzać ubiór do jakiego takiego porządku, schował nóż i przecesał obiema rękami nieco oklapnięte włosy. Dopiero wtedy przestał nad cielskiem olbrzyma i dziarskim krokiem podszedł niemal pod sam królewski tron.

– Panie – rzekł, kłaniając się Oberonowi w pas.

Kłamca uśmiechnął się półgębkiem.

– Trucizna? Nie przypominam sobie, bym na nią zezwolił.

– Nie zakazałeś, panie.

Blondyn raz jeszcze się skłonił, a każdy jego ruch mówił wyraźnie: jestem prometejskim skurwysynem, który nagnie każdą zasadę tylko dlatego, że można. I że to zabawne.

Cóż, Loki nie mógł powiedzieć, że ta postawa była mu szczególnie obca.

– Możesz mi przypomnieć – poprosił, nie kryjąc rozbawienia – cóż kupiło ci przywilej walki w tym kręgu, drogi... Jak ty się właściwie nazywasz?

– Mówią na mnie Żądelko, panie – odparł blondyn. – A uwagę twoją zawdzięczam swym, wybac brak skromności, niebываłym zdolnościom w zakresie sztuki miłości.

– Znaczą różnąś mi dwórki?

– Tak, panie.

Kłamca powiódł wzrokiem po zgromadzonym wokoło tłumie, skupiając się tym razem nie tylko na twarzach lordów i ich córek, lecz także na ich służbie, pomniejszej szlachcie i parobkach wciskających się wszędzie jak słoma. Czy wyglądali na usatysfakcjonowanych starciem? Podczas oglądania na ziemi kanałów sportowych zobaczył wyraźnie, że ludzie niekoniecznie są zadowoleni, gdy o zwycięstwie rozstrzyga oszustwo. Z drugiej jednak strony elfy to nie ludzie. Tutejsza widownia wyglądała na uradowaną, zwłaszcza od kiedy konający olbrzym dostał drgawek i zaczął toczyć z ust krwawą pianę.

Poza tym – pomyślał Loki – przecież to nie ostatnie starcie, jakie mam im dzisiaj do zaoferowania.

– Kupiłeś sobie moją łaskę, Żądelko. Dołącz zatem do mnie w łoży. Tylko najpierw oddaj kozik strażom, byś mnie przypadkiem nie zaciął.

Elf skłonił się w pas.

– Dziękuję za twą łaskawość, Oberonie. I z pewnością nie pozwoliłbym sobie na taki... hmm, przypadek.

– No już, już. Nie zasłaniaj.

Kłamca odgonił go gestem, po czym odwrócił się do dowódcy swej straży przybocznej stojącego tuż za jego plecami.

– Dobra, są jeszcze jacyś ochotnicy na dzisiaj?

Oczywiście byli i, jak przystało na ochotników, dawali z siebie wszystko. Podobnie zresztą jak elfki usługujące Kłamcy i walczące o to, którą z nich władca weźmie dziś do namiotu, by pokazać jej swoją kolekcję sztyletów. Czy coś tam...

Tak – pomyślał Loki, gdy obnażona kształtna pierś jednej z dziewczyn otarła się o jego policzek. Niestety, władza naprawdę ma sporo plusów.

Australia

Archanioł Michał nie miał w zwyczaju szanowania posłów, gdy wszystko szło na poważnie. Dlatego też wysłannicy Lucyfera miny mieli dość nietęgę. Zwłaszcza że otoczyli ich aniołowie ze wstawionego w wielu bitwach Trzynastego Legionu. Zwłaszcza że na ich widok zapłonęła głównia Pana Niebios.

Demony dobyły broni, zbijając się w ciasną gromadkę, gotowe walczyć do ostatka. Jedyńm, który trzymał fason, był rosły, poznaczony bliznami demon pustyni o twarzy ostrej, jakby ciosanej w kamieniu i rogu wychodzącym z podbródka niczym fantazyjna kozia bródka.

Michał rozpoznał go od razu – demon był jednym z tych, którzy od kiedy stanęli po stronie Piekieł, nie raz dali się Zastępom we znaki. I jednym spośród bardzo nielicznej garstki, której udało się przeżyć starcie z Michałem. Krótkie i przerwane przypadkiem, ale nadal się liczyło...

– Czego tu szukasz, Eublisie? – zapytał.

– Przybywam z poselstwem od twego brata Lu...

– Lucyfer nie jest moim bratem i gdzieś mam jego poselstwa – odparł Michał.

Zakręcił mieczem młynka, tworząc w powietrzu świetlisty krąg, i ruszył do przodu. Z każdym krokiem tatuaż na jego twarzy rozpałał się coraz większym blaskiem.

– Tego jednak wysłuchasz – odparł demon.

Wciąż próbował być niewzruszony, ale widok napierającego na niego Wodza Zastępów skutecznie mu to utrudniał, podobnie jak wciąż rysujący się w powietrzu krąg ognia. Oczywiście było, że gdy tylko jakakolwiek część ciała demona znajdzie się w zasięgu miecza Michała, natychmiast odcięta runie na piasek.

Mimo to demon sięgnął ostrożnie do torby i wyjął z niej lśniąca płaską płytkę o przekątnej może dziesięciu cali.

Kliknął w małe kółeczko u podstawy prostokąta i zamknąwszy oczy, wyciągnął płytkę przed siebie. Na ekranie pojawiła się szczenięca twarz księcia Piekieł.

– Cześć, braciszku – powiedział po-prostu Teddy. – Kopę lat, nie?

Michał zatrzymał się w pół kroku. Jego miecz zakręcił w powietrzu jeszcze jedno kółko, a potem przygasł.

– Nie jesteśmy braćmi, Lucyferze. Nie łączą mnie z tobą żadne wyjątkowe więzy, jakie nie łączyłyby mnie z którymkolwiek spośród moich wojowników. Wszyscy bowiem jesteśmy...

– Tak, wiem – roześmiał się tamten. – Tylko się przekomarzam.

Na dźwięk ostatniego słowa demony, ściśnięte teraz w niechlujny romb, zarechotały nerwowo. Anioły ukradkiem spoglądały na swojego wodza, licząc na jakąś reakcję, może decyzję, oznakę poirytowania.

Michał jednak tylko zmarszczył brwi i mocniej zacisnął palce na rękojeści. W jego przypadku trudno to było nazwać specjalnie gniewną reakcją.

Chwila przeciągała się nieznośnie. Nieco dalej przez pustynię przewalały się zeschnięte krzewy, falowało rozgrzane powietrze... Gdzieś w oddali zbłąkany bumerang wracał właśnie do ręki właściciela, spragnione paliwa resztki ludzkości urządziły pościg za cysterną z piaskiem. Słowem, Australia błyszczała w pełnej krasie. Tyle że po cichu, w krępującym milczeniu.

W końcu to tablet pierwszy przemówił chłopcim głosem Lucyfera:

– No dobra, powinniśmy pogadać o tej wojnie, nie sądzisz, braciszku?

Na te słowa Michał poderwał się gwałtownie ku niebu, zakręcił wokół własnej osi, jednocześnie rozpalając głownię miecza. I zanim ktokolwiek zdążył zareagować na to nagłe tornado zrodzone z piasku i ognia, Wódz Zastępów zdążył już opaść i zgrabnie złapać w lewą dłoń spadający tablet. Chwilę potem na ziemię z łoskotem upadły bezgłowe zwłoki Eublisa.

– Mówiłem ci, Lucyferze – wycedził Michał. – Nie jestem twoim bratem.

Chłopiec na ekranie tabletu westchnął tylko, udając smutek, choć w jego oczach żarzyły się iskierki rozbawienia.

– A szkoda, bo gdybyś był, nikt w szkole by mnie nie tknął – odparł. – Ale co tam, było, minęło. Podoba ci się mój nowy tablet? Świetnie leży w dłoni, prawda? Nie mów nikomu, ale to jedyny egzemplarz, iPad 3L+. Steve... Bo wiesz, rzecz jasna, że Steve jest u mnie? Oddał duszę już za Maca trójkę... Zabrał się do roboty, jak tylko się pojawił, i powiem ci, że przeszedł sam siebie. Ludzie, gdyby wciąż jeszcze żyli, dosłownie zabijaliby się o to чудо. – Parsknął śmiechem, ale zaraz przerwał, by zamachać sobie ręką przed ustami. – Dobra, głupi żart, nie powiedziałem tego. Trzeba mieć szacunek do ludzkiego życia, prawda? Już nic nie mówię.

Lucyfer udał, że sznurkuje sobie usta, potem – że zakłada na nie kłódkę, i wreszcie że wyrzuca do niej kluczyk.

I znowu nastała cisza. Kilku spośród demonów zaśmiało się nerwowo, ale tym razem brzmiało to raczej jak gwar przed spektaklem niż reakcja na zapalone światełko *aplauz*. Gdzieś tam w trzecim szeregu aniołów ktoś komuś nadepnął na nogę, ktoś kazał komuś zabierać się z tymi przeklętymi korkami. Tamten odrzekł, że mu wolno, bo szanuje w ten sposób lokalną... Zamiast dokończyć, sapnął, wyrzucając z siebie na raz całe powietrze.

A Michał stał. Sztych wygaszonego miecza oparł na ramieniu, zmrużył oczy – jedno z nich wyglądające jak żarzący się ognek zawieszony w czeluści – i czekał. Na reakcję, na słowo, na znak. Cokolwiek, co wyjaśni mu, po co właściwie Lucyfer przybył tu ze swoim poselstwem.

Bo że nie zrobił tego dla głupiego żartu, tego Michał był pewien. Lucyfer mógł sobie udawać chłopca, rzucać wszystkim w twarz, jak to dobrze zna ludzi, ich obyczaje, kulturę, zabawki i jak bardzo bawi go ta cała Apokalipsa. Owszem, robił to przekonująco, więc pewnie gdyby chciał, zwiódłby tą postawą prawie każdego.

Ale choć nie byli braćmi, Michał znał Lucyfera najlepiej ze wszystkich. Kto wie, może nawet lepiej, niż upadły anioł znał sam siebie. I skoro Lucyfer przebył taką drogę, nawet jako duch w maszynie, by się tu pokazać, to znaczy, że ma coś do powiedzenia. Albo do zrobienia.

Może – pomyślał nagle archanioł – *chodzi o...*

Nie było mu jednak dane dokończyć tej myśli, bo naraz doskoczył do niego anioł Jack i łapiąc go za ramię, krzyknął:

– To pułapka, wodzu! Spójrz tam, na pustynię.

Michał uniósł głowę i niemal w tym samym momencie z tabletu wystrzeliły dwie widmowe ręce. Obie uzbrojone w krótkie, cienkie ostrza wymierzone w szyję archanioła.



– Przejrzał cię – stwierdził Tom z wyraźną dezaprobatą w głosie.

Po-prostu Teddy dopił resztkę lemoniady, przełknął cienkie opłatki lodu, wypluł pestkę.

– Może tak – powiedział. – A może nie.

Toma zdenerwowała ta odpowiedź. Odkąd po-prostu Teddy pojawił się w okolicy, obiecywał cuda i akcje lepsze niż na PlayStation. Miały być wielkie bitwy, tryskająca krew i w ogóle koniec świata. Zamiast tego od paru dni siedzieli na werandzie i tylko gapili się to na horyzont, to znów w mały ekranik. Owszem, czasem w oddali coś się w powietrzu kotłowało albo przed domem pojawiał się jakiś paskudny, poobijany kolesz z błoniastymi skrzydłami, ale to było wszystko w temacie bitew. To i ten chrzaniony tablet – tam czasem mignęła jakaś walka, czasem pokazał się jakiś demon, ale zwykle po prostu Teddy przełączał się wtedy na jakąś sieciową grę i zbierał pomidory.

Ta dzisiejsza akcja, pułapka, miała być pierwszym prawdziwym sukcesem nowego kolegi Toma – w końcu nie każdy może nakopać archaniołowi. Tyle że... znowu nie wyszło. A teraz w dodatku Teddy nie potrafił tego przyznać. To chyba wkurzyło Toma najbardziej.

– Nie *może tak, może nie*, tylko przejrzał. Zobacz, co robi z twoimi... no tymi. O, patrz teraz!

Na niewielkim ekranie mignął demon, archanioł i jego miecz, wreszcie głowa demona upadła na tablet.

– Cholera! – mruknął po-prostu Teddy.

– No sam widzisz. On się teraz wkurzył i...

– Jestem pewien, że ten kretyn stłukł mi wyświetlacz. – Teddy dokończył myśl: – Wiesz, jak się paskudnie obsługuje urządzenie dotykowe, gdy włożą ci w palce te małe szklane drzazgi, to paskudne uczu... O, dziękuję bardzo, pani Kellen. Tak, lód też.

Mama Toma dygnęła i oddaliła się z połowicznie napełnionym dzbankiem. Usiadła na ganku, gdzie wróciła do szycia kołdry i krzywienia się w nienaturalnym uśmiechu.

Thomas, który również chętnie by się napił, ale głupio mu było poprosić, westchnął i wlepił wzrok w ekran tabletu, na którym Michał wykrzykiwał właśnie szereg komend do swoich podwładnych, kaząc im formować nowe szyki, odpierać ataki i przeć do przodu w imię Stwórcy.

– To naprawdę jest twój brat? Bo wcale nie wygląda.

Teddy przewrócił oczami.

– No i następny. Co, mam ci świadectwo urodzenia pokazać? A nie, w sumie nie mam. Cholera!

Tom podrapał się po nosie. Widział te wszystkie anioły i demony, wiedział też, że na świecie coś się w tej sprawie dzieje, ale wciąż go to przerastało. Podobnie jak tożsamość jego gościa. Zdecydował więc zmienić temat na taki, który – miał nadzieję – uda mu się ogarnąć.

– Jak to w ogóle możliwe, że ten anioł zauważył twoją armię? Przecież przebrałeś ich za powietrze!

– Nałożyłem iluzję, owszem – odparł po-prostu Teddy. – Ale nie dość dokładną, jak się okazuje.

To nie była właściwa odpowiedź dla młodego Kellena. Tom przeczytał w życiu dwie książki i raz, jako dzieciak, odwiedził kino w Melbourne. Nie za bardzo wiedział, co to jest iluzja. Ale ponieważ się starał, spróbował wyjaśnić to sobie po swojemu.

– Iluzja to takie coś, co zrobiłeś mamie i dziadkowi, żeby nie wiedzieli, że tam się napierdalają anioły?

– Thomas, język! – skarciła go matka.

Na jej ślicznej, zadbanej twarzy nie sposób jednak było dostrzec gniewu. Przeciwnie, uśmiechała się szeroko, a jej oczy nie tyle się szklily, co karmelizowały od nadmiaru radości w spojrzeniu. Wyglądała teraz zupełnie jak jedna z gospodyń domowych z tego amerykańskiego serialu, na który tak pomstował pastor Crowe.

Po-prostu Teddy upił kolejne dwa łyki, po czym odpowiedział:

– I tak, i nie. To trochę bardziej skomplikowane.

– Aha.

Taka odpowiedź zdecydowanie wystarczyła Tomowi. Miał to po ojcu. Stary Kellen, zanim spłonął w pożarze buszu, zwykł mawiać, że gdy ktoś używa słowa *skomplikowane*, to tak, jakby sięgał po broń. Nie robi tego bez powodu.

Niemal w tym samym momencie tuż obok po-prostu Teddy'ego zmaterializował się demon. Już tu wcześniej był, więc Tom znał go z imienia. Wtedy przedstawił się jako Mammon.

– O, jesteś – ucieszył się po-prostu Teddy. – Rozumiem, że wszystko idzie, jak powinno, i wszyscy walczą?

– Co do ostatniego oddziału, panie – odparł Mammon. – Tak jak sobie życzyłeś, są tam także książęta Piekieł i ich gwardie przyboczne. To prawdziwie ostateczny atak i, jeśli mogę dodać, wygląda na to, że bitwa powoli się kończy, lecz wcale nie na naszą korzyść.

Po-prostu Teddy pokręcił głową.

– Och, Mammonie, czy ty zawsze musisz być takim pesymistą? Przecież powiedziałem ci, że mam jeszcze niespodziankę, prawda? Prawda, Tommy?

Tom skrzywił się, gdy usłyszał swoje zdrobnione imię.

– On będzie naszym Dawidem, Mammonie. A zaraz dostanie w prezencie ogromny kamień do swej

procy. Tommy, bądź łaskaw i skocz po jeepa swojego taty. Tak, wiem, że umiesz go prowadzić... I nie, nie zwracaj uwagi na skrzynię, która leży na tyle. To właśnie ją zawieziesz do mojego brata. Z pozdrowieniami.

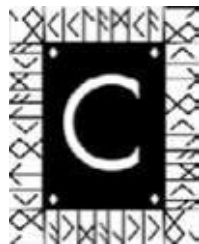
Tom zdał sobie sprawę, że rusza w stronę szopy. Wbrew sobie, wcale nie chciał tego robić, ale coś w głowie wyraźnie mu kazało. Coś, co brzmiało jak Teddy, tylko o wiele melodyjniej. I okropniej.

– Bak jest pełen, a na dojazd masz całkiem ładną chwilę – powiedział Teddy i dopił lemoniadę. – Możesz zabrać matkę i dziadka, żeby było ci różniej, ale nie zatrzymujcie się i nie zbaczajcie z drogi. A gdy znajdziecie się na miejscu... Cóż, wystarczy, że otworzysz skrzynię.

Gdy Tom odszedł na kilka kroków, Mammon zajął jego miejsce na leżaku. Wraz z po-prostu Teddym wlepili wzrok w tablet, na którego ekranie anioły i demony wirowały w bitewnym tańcu.

Rozdział 2

Dolina



zy Wasza Wysokość życzy sobie czegoś jeszcze? – zapytała.

Najpiękniejsza ze wszystkich, które Kłamca wziął do tej pory do namiotu, a przy tym bardziej od innych drapieżna, energiczna i pomysłowa. Aż dziw, że tak długo ostała się niezauważona.

– Mam parę pomysłów, piękna, ale musisz dać chwilę staremu królowi – odparł Loki. – Idź, poślę po ciebie, gdy będę gotowy.

Skinęła głową i przeciągnęła się, eksponując swe cudowne piersi w tak rozkoszny sposób, że Kłamca naprawdę musiał się powstrzymać, by nie przyciągnąć jej do siebie i nie zrobić z nią jeszcze raz tego wszystkiego, o czym marzą w swych ciemnych pokojach miłośnicy fantasy. I nie, wcale nie miał na myśli handlu wirtualnym uzbrojeniem.

Wiedział jednak, że przerwa jest dla niego konieczna, że musi odetchnąć, przez parę godzin pobyć sam ze sobą. Dlatego gdy tylko dziewczyna wyszła, wychylił się na chwilę z namiotu i powiadomił strażę, że nie życzy sobie, by ktokolwiek przeszkadzał mu aż do odwołania. Oczywiście postraszył areną, bo czymże byłby rozkaz bez solidnej groźby. Dawno temu, w innej rzeczywistości i czasie, Loki nauczył się tego od...
No, jak mu było, na zwiotczałą pałę martwego Odyna?

– No i właśnie dlatego potrzebujesz tej przerwy – powiedział na głos, stając nago przed lustrem. – Przystajesz pamiętać. Przystajesz być sobą...

Dotknął twarzy, przejechał koniuszkami palców po zarośniętym policzku aż do szyi i linii obojczyka. Potem wyprostował się i kilka razy odetchnął głęboko. Jeżeli miał zdążyć przed świtem, to była najwyższa pora, by zacząć.

Złapał więc za nos i... przesunął go na policzek. Potem, nie bez trudu, oderwał brodę wraz ze skórą i uformował kość szczęki, podbródek. Wtedy zabrał się do oczu.

To była najtrudniejsza część i za każdym razem, gdy Loki brał się do kształtowania oczodołów, dumiał, po co mu właściwie to wszystko. Po cholere to udawanie Oberona i włóczenie się z jego obwoźnym cyrkiem po całej Dolinie? Gdyby tu jeszcze wystarczała zwykła iluzja, jaką stosował po wielokroć na ziemi, wtedy nie byłoby najmniejszego problemu i kłopotu. Mógłby stać się przecież kimkolwiek – kobietą, jak wtedy, gdy sprzedawał na aukcji własny obraz, albo dzieckiem, gdy zwodził szeryfów w dalekim Teksasie. Był nawet roślą Heraklesem, kiedy musiał sprytem przeciwstawić się sile fizycznej. Ukrycie się za iluzją przypominało bowiem nałożenie ciasno przylegającego kostiumu. Bywało, że zawierał gorset albo ważył tonę, ale nadal był tylko przebraniem.

Ale przeklęte elfy nie dawały się nabrać na iluzję. Od razu widziały wszystkie szwy, niedoskonałości boskiego materiału. W przypadku gdy zwodziło się lud z Doliny, zmienność stanowiła jedyne rozwiązanie.

Loki odsunął ręce od twarzy i przyjrzał się efektowi. Nie był najlepszy. Podczas majstrowania przy oczach Kłamca zwykle układał usta, jakby właśnie mówił „o”, dzięki czemu napinały się mięśnie twarzy, przez co miał lepszy dostęp do rzęs i brwi. Zdarzało się, że taki wyraz twarzy zostawał mu jeszcze przez chwilę. Jak teraz.

Z lustra gapiała się więc na Lokiego wyjątkowo szpetna porno-lala.

Musisz się opanować – zbeształ się w duchu – *robiłeś to przecież już dziesiątki razy!*

Cóż z tego jednak, skoro każdy przypadek bolał tak samo mocno, a do tego im dłużej Loki był kimś innym, tym bardziej i mocniej przejmował jego cechy. Zupełnie tak, jakby zagubiona dusza ofiary Kłamcy fruwała gdzieś w pobliżu i nagle, dostrzegłszy przemienionego Lokiego, wołała: *O, tu jesteś, cholero! A ja cię wszędzie szukam!* A potem hyc do środka.

Od ostatniej zmiany Loki przez przeszło dwa tygodnie pozostawał Oberonem. A to kawał czasu,

zwłaszcza gdy z nowym wcieleniem łączy cię tyle podobieństw, jak na przykład zamiłowanie do kobiet. Albo do luksusu. Względnie boskie pochodzenie...

– Dobra, musisz się skupić – wyszeptał Loki, gdy już udało mu się opanować mięśnie ust. – Albo raczej pomyśleć o czymś innym.

Z komody w kącie namiotu pluszowy Kłamczuch patrzył na niego obojętnie. A może przeciwnie, z zaciekawieniem? Z jego obrzydliwie słodkiej pluszowej gęby trudno było cokolwiek odczytać. Zdarzały się takie chwile, gdy Loki szczerze nienawidził tej chrzanionej zabawki.

Sapnął kolejny raz, po czym zaczął sobie wyrywać włosy z głowy.

Myśl o czymś innym – nakazywał sobie. Na przykład ten cały Żądelko – sprytny, kłamiwy i przewrotny. Niebezpieczny? Z pewnością. Ale także rozczulający – Loki miał wrażenie, że widzi samego siebie z czasów, kiedy urządzał awantury na dworze Odyna. Może i postąpił dziś zbyt pochopnie, przyjmując obwiesia do swojej łoży, ale, cholera, facet miał zadatki. Kłamcy wystarczyłyby pewnie miesiąc, a do tego ze dwa sezony „Californication” i parę filmów z Willisem, by zrobić z młodego elfa całkiem spoko gościa. A gdyby jeszcze nauczyć go paru sztuczek...

– Stałby się naprawdę niebezpieczny – powiedział i podrapał się po nosie.

Potem przestawił tenże nos na właściwe miejsce.

Zajął mu jeszcze godzinę, zanim doprowadził się do porządku i na powrót stał się sobą. Tym samym, którego znali aniołowie, tym samym, którego znała jego ukochana Syg...

Pokręcił głową. Sygin nie żyje, a ta nowa...

– Jenny. Ma na imię Jenny – szepnął.

I być może za sprawą uroczej elfki, która gdzieś tam czekała na jego wezwanie – a może z innych przyczyn – zabrzało mu to nagle zupełnie obco.

A gdy na godzinę przed świtem Loki na powrót stał się Oberonem, imię podopiecznej archanioła Michała jako pierwsze wyleciało mu z pamięci.

Paryż

Paryż wyglądał jak Drezno oczyma młodego Vonneguta. Niebo poczerniałe od dymu, kikuty ruin to wyłaniające się, to znów niknące w kłębach mgły. Gdzieś tam migający błędny ognik niedogaszonego pożaru, czasem snująca się niemrawo ludzka sylwetka, zgarbiona, na ugiętych kolanach; troglodyta w strzępach dżinsów i nike'ach.

Wszędzie gruz i pył, biało, jakby nad miastem rozbił się samolot z Kolumbii, ale nie było nikogo, kto by się tym ucieszył, bo narkomani znad Sekwany wyparowali wraz z wodą. Podobnie zresztą jak kloszardzi, prostytutki, policjanci, azjatyccy turyści i ktokolwiek, kto był na ulicy, w chwili gdy deszcz siarki spadł na zabudowania i – przede wszystkim – do rzeki.

Ulice, te szerokie, główne i całkiem wąskie, odznaczone fragmentami budynków, przywodziły na myśl zasypane śniegiem pole średniowiecznej bitwy. Zniszczone pojazdy, resztki murów, a co kilka metrów znad pyłu wyłaniała się ręka bądź noga. Czasem był to oczywiście kikut marmurowy czy mosiężny, fragment pomnika strąconego z cokołu. Ale raczej rzadko...

W tym ogólnie przygnębiającym krajobrazie rodem z „Mad Maksa” czy mokrego snu algierskiego terrorysty jeden tylko element wyłamywał się z powszechnej szarości. Obraz. Dobrze wykonany, choć tandetny w swej wymowie tokański pejzażyk leżący na czymś, co w latach swej wątpliwej świetności było dachem kamienicy. Nadpalony na krawędziach, ze strzaskaną ramą, wciąż jednak pozostawał beczelnie zielony i obrzydliwie wręcz optymistyczny.

Kiczowate drzewko wyrastające na pogorzeli, świdrujący trel ptaka w spalonym lesie, żarcik rzucony w zacadzonym okopie – przeklęty obraz stał się nagle tym wszystkim naraz. Wspomnieniem tego, co jeszcze niedawno było, ale teraz odeszło nieodwołalnie; obietnicą, że jeszcze nie wszystko stracone, nadzieją w niegdysiejszym mieście miłości...

A raczej byłby, gdyby nie to, co aktualnie wyprawiały namalowane na nim wkurwione po sam werniks postacie.

Eros nie mógł sobie za nic przypomnieć, kto wymyślił to całe chowanie się w obrazie, ale daleki był od wdzięczności. Zakłęty w dwóch wymiarach, wściekły niemożebnie nagle zrozumiał, jak mogli się czuć bohaterowie „Avatara” oglądani na tanim kinie domowym albo monitorze komputera. Obiecał sobie solennie, że kiedy już stąd wyjdzie, nigdy nie obejrzy filmu innego niż w 3D. To znaczy o ile stąd wyjdzie. Na razie jednak nic tego nie zapowiadało.

Najgorsze w tym całym życiu w malowidle nie były wcale gacie z farby, źle namalowana fryzura czy też ból, gdy przy każdym kroku tarło się tyłkiem o płótno. Najtrudniejsza, najbardziej wymagająca była samotność wśród tłumu. Nijak nie można było z nikim normalnie porozmawiać, a jedyną formą komunikowania się z pozostałymi więźniami sztuki był alfabet Morse’a, gdy jedna płaska dłoń stukala o drugą. O ile oczywiście druga strona znała ten sposób porozumiewania, a z całego grona radziła sobie z nim jedynie madame Bixby. Czasem, gdy oboje mieli już wszystkiego dosyć, szli sobie na namalowany pagórek, pod namalowane drzewko, i stukali się dłońmi, klnąc na czym świat stoi. Czy też, aktualnie, leży.

No dobrze, Eros zawsze jeszcze mógł porozmawiać z Jenny, bo nie wiedzieć czemu uaktywnił jej się na obrazie talent telepatyczny, ale akurat ona była jedyną, z którą bóg miłości chwilowo nie chciał mieć nic wspólnego.

Ale jak uczy życie, nie zawsze mamy to, czego chcemy.

Erosie?

Bóg miłości zatrzymał się w pół kroku, stając w pozie, którą postronny obserwator określiłby pewnie mianem dynamicznej. W dwuwymiarowej rzeczywistości była tylko głupia i niewygodna.

Erosie – pomyślała ponownie Jenny i już było wiadomo, że nie odpuści. Chce pogadać.

Oby tylko nie znowu o Lokim czy Michale – pomyślał Eros i zaraz klepnął się w metaforyczne czoło. Przecież ona czyta w jego myślach!

Oczywiście, że czytam, durniu. Że też ciągle się na to łapiesz.

Roześmiała się, ale albo śmiech niespecjalnie nadawał się do odtwarzania wyłącznie w myślach, albo też Jenny zaczęła już popadać w obłęd, bo miast wesoło zabrzmiała histerycznie. Eros wołał już chyba, jak płakała albo...

Dlaczego wolisz, jak płaczę?

No żeż kurwa! Eros pokiwał głową, co musiało mu zastąpić gniewne nią potrząśnięcie. *Byłabyś łaskawa wyjść z mojej głowy?!*

Wtedy nie będziemy mogli rozmawiać. A ja chcę wiedzieć, czy już wymyśliłeś, jak możemy się wydostać z tego przeklętego obrazu. Doprawdy wolę już zombie, a poza tym Loki może nas szukać i wątpię, żeby poznał mnie taką płaską i wymalowaną.

No tak. Bóg miłości uniósł dłoń do czoła i musnął je końcówkami palców. To zdumiewające, jak irytująca może się stać kobieta, gdy zbyt długo przebywać z nią na zbyt małej przestrzeni. A już tym bardziej, gdy masz wrażenie, że zna wszystkie twoje myśli.

To nie jest wrażenie, Erosie. Ja naprawdę znam twoje myśli!

To przeczytaj sobie to – odmyślał jej bóg miłości, wyobrażając sobie przy tym najlepiej wyposażonego osła, jakiego widział w życiu. Zgodnie z przypuszczeniami zyskał chwilę obrażonego spokoju, więc znów ruszył przed siebie, w stronę malowanego wzgórza. Dostrzegł, że na malowanym drzewie siedzi malowany ptak i dusi się malowaną foliową torebką.

Tani symbolizm – prychnął. A potem doszedł do wniosku, że sam również jest teraz jedynie wciśniętym w pejzażyk motywem antycznym. Płaskim bohaterem drugiego planu w czyjejś historii.

I właśnie w chwili, gdy zastanawiał się, czy kiedykolwiek było inaczej, płaska ziemia nagle się zatrzęsała. A potem ni stąd, ni zowąd zwinęła w ciasny rulon.

Biegun północny

Przez przeszło dwa tygodnie trzymali go w pustym magazynie na zabawki. Na pierwszy rzut oka stanowiło to ogromne marnotrawstwo – jeden gruby bóg na cały magazyn wielkości hangaru – ale gdy się zastanowić, przestrzeń była akurat tym, czego na biegunie nie brakowało.

Poza tym karły, nawykłe przecież do ciasnych, skąpanych w mroku korytarzy, z pewnością traktowały długie przebywanie tutaj jako straszliwą torturę. Widać to było zwłaszcza po minach strażników przynoszących Bachusowi jedzenie. Niepewnie wodzili oczami po metalowych stropach, z lękiem patrzyli w stronę świetlików na dachu. Nigdy nie odzywali się nawet słowem, ale akurat lęk wyrażasz całym sobą – nawet wtedy, gdy jesteś karłowatą krzyżówką mięśni, stali i włosów.

Oczywiście Bachus, który nigdy nie miał problemu z otwartymi przestrzeniami, początkowo śmiał się w duchu zarówno z karłów, jak i z tego miejsca, mówiąc sobie, że mógł trafić gorzej, a tak wreszcie potrenuje jogging i trochę schudnie. Potem jednak zrozumiał. I przestało być fajnie.

Najgorsze było światło. Oślepiające jak śnieg w słoneczny dzień, nieważne, czy podnosisz, czy opuszczasz głowę. Ściany, podłoga, nawet opróżnione z zabawek regały, wszystko odbijało blask bijący od świetlików. Bez przerwy. Cały czas.

Następna w kolejce była ta wielka, ogromna przestrzeń, przez którą czuł się jak inteligent na Facebooku – samotny, opuszczony i mały.

Wreszcie trzecie miejsce na podium Bachusowej listy biegunowych nieprzyjemności zajmowały przeciągi, przed którymi nie chroniła nawet sterta startych, wyliniałych futer, które wyprosił dla niego Samedy w geście łaski. Swoją drogą, wyglądało na to, że skurwiel miał u kurdupli całkiem niezłe wtyki. Bachus w przypływie czarnego humoru uznał, że to z pewnością dlatego, że wszędzie i wszystkim pokazuje swego imponującego węża.

Potem sam uznał, że to strasznie słaby żart i mógł go wymyślić tylko na wpół zidiociały koleś, głupiejący od nadmiaru miejsca do biegania. I od przeciągów. I światła. Słowem, zrobiło mu się trochę wstyd.

Na szczęście wciąż jeszcze miał swoje zdolności, dzięki którym, gdy przychodziła pora snu, potrafił sobie wyczarować buteleczkę i zasypiać metodą *Charlie Sheen na detoksie* – żadnych dragów, żadnych dziwek. Tylko alkohol.

I tak przez cały dzień, bo przecież nie było tu nocy, a jedyny wyznacznik upływającego czasu stanowili strażnicy regularnie przynoszący jedzenie.

Bachus przyjął sobie, że robią to rano i wieczorem, i według tych wytycznych określał czas kreskami na ścianie. Trzy pionowe i jedna na ukos, przekreślająca pozostałe. Tak doszedł do owych dwóch tygodni.

A potem przyszli, by go przenieść.

Prowadzili go we czterech – dwóch z przodu, dwóch z tyłu – wszyscy uzbrojeni w topory z długim drzewcem, które trzymali jak halabardy. Najwyższy z nich ledwie sięgał Bachusowi do piersi i bóg wina zastanawiał się przez chwilę, jak w takiej sytuacji poradziłby sobie Guliwer. Bo łatwo było w sytuacjach skrajnych, z liliputami albo olbrzymami – jednego zdepczesz, drugiemu zwiejesz pod framugę – ale w takim przypadku...

Spróbuj tego, Jonathanie Swifcie! – zadrwił w myślach Bachus i wyszczerzył się jak szaleniec. Jednocześnie zwolnił, więc jeden ze strażników dźgnął go drzewcem pod żebro.

Podziałało. Bachus przyspieszył i trochę oprzytomniał. Zdał sobie sprawę, że przyszli po niego w samą porę, bo skoro już nie tylko rzucał suche żarty o czarnych penisach, lecz także wtrącał słabe, pozbawione jakiegokolwiek uzasadnienia literackie nawiązania, to znak, że działo się z nim coś naprawdę złego. Że był ledwie o krok od przejścia tej dziwnej granicy, kiedy człowiek wymyśla światy, bo nie umie żyć w tym, w którym utkwiał. Albo zapisuje strumień świadomości, bo... mniejsza o powód. Ważne jest to, że gdyby Bachus sam nie był bogiem, teraz z pewnością by jakiemuś podziękował, że wciąż jeszcze całkiem przytomnie myśli.

Tymczasem szli. Maszerowali wielkim dziedzińcem, który byłby z pewnością parkingiem, gdyby ta fabryka znajdowała się gdziekolwiek indziej poza biegunem północnym. Krzątały się po nim setki, jeśli nie tysiące karłów taszczących tam i z powrotem wielkie pudła lalek, misiów, hula-hoopów i pistoletów na strzałki. Ich miny sugerowały, że zamierzają zrobić z tymi rzeczami coś naprawdę paskudnego. *Albo z nich* – przemknęło Bachusowi przez głowę. Cóż, w tej kwestii zarośnięte karle mordy nie były specjalnie precyzyjne.

Nie wszyscy pracowali. Przy jednym z budynków, pod zadaszeniem, banda kudłatych karłów trenowała

sztuki walki, jako instruktora mając konsolę Xbox360 z Kinectem i nowe wydanie „Mortal Combat”. Niektórzy radzili sobie całkiem nieźle, ale z ich krzyków można było wywnioskować, że i tak nie dawali rady nowo wprowadzonej postaci – Wielkiemu Przedwiecznemu. Bachus, choć było to małosłowne, nie krył satysfakcji, że kurduple z czymś sobie nie radzą.

Podrapał się po zarośniętym policzku.

– Hej, daleko jeszcze? – zapytał strażnika po lewej.

Ten, rzecz jasna, nie odpowiedział.

Opuścili już dziedziniec, minęli wielką bramę i biurowiec Mikołaja, gdzie – Bachus był tego niemal pewien – w przeszklonej recepcji siedział ten przekłety Światowid w czerwonym stroju, aż wreszcie doszli do kolejnego wielkiego magazynu.

Bóg wina zadrżał.

– Żartujecie, tak? To samo, tylko w innym miejscu?! To już lepiej od razu mnie zabijcie!

Jeden ze strażników wznosił topór, więc Bachus równie odruchowo, co bezsensownie zasłonił się rękami.

– Ej, no co ty, stary?! Metafora taka!

Karzeł opuścił topór. Podszedł do wielkich, wzmocnionych drzwi magazynu i załomotał.

Po chwili rozległ się zgrzyt i w progu stanął, a jakże, kolejny kudłacz. Miał na sobie uniform magazyniera, co w żaden sposób nie odbierało mu powagi, bo... No cóż, był wielkim kawałem karlego skurwysyna. Wyższy od tych z eskorty – Bachus przerastał go ledwie o głowę – nie miał brody, tylko grube, gęste wąsiska zaplecione w dwa warkocze. Spojrzeniem mógłby wiercić dziury w ścianach, a ostre zęby ledwie mieściły się w niekształtnych ustach. Całości dopełniała czapka odwrócona daszkiem do tyłu. Właściciel przypiął do niej znaczek: *Jestem Alafi. W czym mogę pomóc?*

Bachus miał szczerą nadzieję, że w niczym. Nigdy. Zacisnął nogi, by opanować pęcherz, gdy rosły karzeł zmierzył go wzrokiem.

– Dać mu jedynekę? – wybełkotał Alafi.

I znowu bóg wina nie miał pojęcia, o co chodzi, ale nagle obudził się w nim awers do wszelkich na świecie jedynek. Cokolwiek bowiem proponował ten wielkolud, musiało być paskudne, obrzydliwe i ani chybi wiązać się z niewłaściwym wykorzystaniem mydła.

– Nie – odparł karzeł z eskorty. – Wrzuc go do kogoś, niech się integruje.

Alafi skinął głową, a potem zarzucił nią, wskazując Bachusowi, by ten szedł za nim. Nawet się nie obejrzał i nie sprawdził, czy ten rzeczywiście to zrobił. Cóż, niektórzy nie muszą.

Bóg wina wymamrotał coś pod nosem, ruszył jednak w ślad za wielkim karłem wprost w skryty w półmroku labirynt korytarzy. Już po chwili odetchnął z ulgą, bo wyglądało na to, że trafił do najzwyczajszego na świecie więzienia.

Po tygodniu w magazynie zabawek to była prawdziwa ulga.

– Górna prycza moja! – rozległo się gdzieś z kąta, gdy tylko za Bachusem zamknęła się krata celi.

Głos był wysoki, niemal piskliwy, ale wyraźnie z przepony, jakby mówiący chciał zabrznieć mocniej i pewniej, tylko mu nie wyszło.

Bachus wzruszył ramionami.

– Jasne. I tak nie zamierzałem się wspinać – odparł.

– Eee...

Ciemny kąt wyraźnie się zmieszał i potrzebował chwili, zanim uzupełnił wcześniejszą wypowiedź:

– Dolna też jest moja, gruba, e... cioto. Śpisz na podłodze!

Tym razem prawie się udało z tym niskim brzmieniem, ale to nadal nie był głos kogoś, kto ustala pod prysznicami kolejność skłónów. Bachus postanowił więc zaryzykować.

– Spierdalaj – powiedział.

Ciemny kąt aż sapnął. A potem wyleciał z niego faeria. Był drobnym, choć wyraźnie umięśnionym przedstawicielem swojego ludku. Widać było, że odkąd tu trafił, musiał sporo ćwiczyć. Ogolił też głowę, a na rękę rozmazywał mu się tatuaż z napisem: *Klaskaj, cipo!*

– Coś ty powiedział? – wypiszczął, unosząc się na swych małych skrzydełkach tak, że jego twarz

znajdowała się na wysokości twarzy Bachusa. – Coś powiedział, eee... – sprawdził na wyjętej z kieszeni ściągawce – kurwa?!

Bóg wina w milczeniu rozważył dostępne opcje. Mógł oczywiście rozsmarować małego wróżka na przeciwną ścianę, ale wtedy znowu będzie sam. Poza tym co będzie, jeśli Alafi uzna wówczas, że Bachus jednak się nie nadaje, by go tu trzymać, i odeśle go do przestrzennego magazynowego karceru? Nie, zdecydowanie lepszą opcją było zignorować skrzydlatego chłystka i nie dać się sprowokować.

Szybko się jednak okazało, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić, bo knypek ani myślał odpuszczać.

– Może ci się wydawać, że jak jesteś taki wielki, to zaraz wolno ci wszystko. Ale nie, mój pan... znaczny dziwko! To nie ja jestem zamknięty z tobą, to ty jesteś zamknięty ze mną.

– A to nie to samo? – zdziwił się Bachus.

Faeria się zmieszał. Ale tylko na chwilę.

– Stul ryj, dziwko! – ryknął.

Potem podrapał się po tatuażu, rozmazując go jeszcze bardziej. Teraz napis wyglądał raczej jak: *Mlaskaj cicho!*, co nie tylko rozbawiło Bachusa, lecz także uświadomiło mu, że zgłodniał.

– Podają tu jakieś obiady? – zapytał, a dostrzegłszy, że faeria znów zamierza na niego napiszczyć, machnął zrezygnowany ręką. – Tak, wiem, jestem twoją dziwką i ty tu rządysz, dobrze?

Skrzydlaty mikrus rozpromienił się od stóp po czubek łysej głowy.

– Serio? I powiesz to pozostałym, jak wyjdziemy na blok?

– Wypuszczają was z tych cel?

– Tak, codziennie rano i po obiadowej sjeście. Wszystkich z wyjątkiem... tego, którego imienia nie wolno teraz wymawiać.

Bachus nie musiał się długo zastanawiać, nim dotarło do niego, o kogo chodzi.

– Trzymają go w izolatce – mówił dalej faeria – a do jedzenia dają mu tylko suche pierniki i zimne mleko. Potwory...

Przy ostatnim słowie głos mu się załamał, a z oczu poleciały łzy. Starł je ręką, całkowicie zmazując swą więzienną dziurę i znacząc policzki czarnymi plamami tuszu. Bachusowi zrobiło się go żal, więc odruchowo powiedział:

– Nie martw się, na pewno już niedługo będzie lepiej.

A wtedy jak na hasło rozległ się dźwięk gwizdka na nową zmianę i wszystkie kraty otworzyły się z głośnym zgrzytem.

Wybrzeża Skandynawii

Eryk nie miał duszy wikinga. Właściwie jedynym, co łączyło go z wojowniczymi przodkami, było miejsce pochodzenia. No i, rzecz jasna, postura – idealna dla drwala, bramkarza przy jakiejś spelunce albo... gwiazdora kina. Tak po prawdzie Eryk marzył kiedyś o tej ścieżce kariery. Miał nawet plakat Dolpha Lundgrena nad łóżkiem, dopóki w szkole nie uświadomili mu, że to nieco gejowskie. To było, jeszcze zanim Sztokholm stał się północną stolicą tolerancji i równouprawnienia.

Tak czy owak, wbrew wyglądowi Eryk ani odrobinę nie był wojownikiem czy nawet samcem alfa. Przeciwnie – to on opiekował się porzuconymi dziewczynami kolegów, godzinami rozmawiał z nimi na czacie, wczytując się w ich problemy i radząc im, jak tylko najlepiej potrafił. Zabierał do kina i do knajpy, przywracał wiarę w mężczyzn, a potem biernie przyglądał się, jak wracały do swoich eks. Nie, nie czuł się specjalnie pokrzywdzony czy wykorzystywany. Był Szwedem, więc recykling traktował jak sport narodowy. Poza tym jego akurat nie interesowały przygodne miłości. On czekał na miłość swojego życia. I jeszcze parę godzin temu był przekonany, że ją znalazł.

Teraz jednak nie był już tego taki pewien.

– Możesz mi powiedzieć, piękna, po co ja właściwie kopię tę dziurę? – zapytał Eryk, przecierając spocone czoło.

Stał teraz po pas w wykopanym przez siebie dole, który z każdą chwilą coraz bardziej przypominał...

– Ej, zaraz! – Eryk zamrugał gwałtownie i uniósł saperkę. Wzrok skupił na dziewczynie siedzącej na

masce jego samochodu i przyglądającej się swoim piersiom. – Powiedz mi, proszę, że nie jesteś jakąś świruską rodem z Larssona, która będzie mnie tu chciała zabić i zakopać.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Zamiast tego odsłoniła pierś i uszczypnęła się w sutek.

– Moje były większe – mruknęła. – I jędrniejsze.

Eryk aż sapnął. A potem stał przez chwilę z tą swoją szczęką wielką jak – wywalona teraz – szuflada, saperką w ręce i w stanowczo za małych spodniach. Wreszcie podskoczył, usiadł na krawędzi dołu i założył nogę na nogę, ciasno ściskając krocze. Przypominał teraz trochę Hulka Hogana z „Pana Niani” w scenie, gdy wrestler udawał pensjonariuszkę i popijał wymagowaną herbatkę z filiżaneczki dla lalek.

Eryk co prawda nie łysiał, nie nosił głupich wąsów ani nigdy nie udawał, że łamie komuś kark, skacząc na niego z narożnego słupka ringu, ale podobieństwo i tak było uderzające. Chyba wszyscy wielcy faceci w tak absurdalnie zniewieściałej pozie wyglądałoby jak jednojajowi bliźniacy. Na szczęście dla nich większość, w tym Eryk, zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

Dziewczyna podniosła głowę. Najwyraźniej dopiero przerwanie pracy sprawiło, że Szwed na nowo wzbudził jej zainteresowanie. Poprawiła bluzkę, przeczesła włosy i uśmiechnęła się prześlicznie.

– Coś się stało, człowie... to znaczy Eryku?

– Muszę sobie zrobić chwilkę przerwy, Mary Ann.

Pokręciła głową.

– Żadnych przerw i mówiłam ci przecież, mam na imię Sygin.

Rzeczywiście, przypomniał sobie Eryk, coś wspomniła raz czy drugi, ale on cały czas myślał, że zakręciło jej się w głowie, gdy czytał jej tę dziwną poezję. I że to ta poezja właśnie wraz z ostrym skandynawskim powietrzem, do którego nie przywykła, dały w połączeniu owo nowe imię i dziwne zachowanie. Teraz wszystko wskazywało jednak na to, że zmiana nie była chwilowa.

– Kiedy się spotkaliśmy, piękna, przedstawiłaś mi się jako Mary Ann i teraz...

Dziewczyna zsunęła się z maski samochodu. Uwodzicielsko kręcąc biodrami, podeszła do Eryka i wsunęła mu ręce we włosy. Po chwili wygięła się zgrabnie i delikatnie ugryzła go w koniuszek ucha.

– Kobieta bywa zmienną, nie słyszałeś o tym? – szepnęła zmysłowo.

Eryk mocniej zacisnął nogi.

– No... tak – wymamrotał.

Następnie zsunął się do dołu i zgięty w pół zabrał do roboty. W końcu im szybciej się upora z tą nietypową zachcianką, tym szybciej...

Nie dokończył tej myśli, bo właśnie w tym momencie saperka zazgrzytała o coś stanowczo większego i bardziej płaskiego niż przeciętny kamień. Eryk przyjrzał się znalezisku i nagle poczuł, jak po plecach spływa mu kostka lodu.

– Mary A... to znaczy Sygin. Cholera, chyba trafiłem na trumnę!

Uniół głowę i spojrzał na wybrankę swojego serca, niebiańsko piękną, choć nieco szaloną istotę, która w przyszłości urodzi mu tysiące małych aryjskich bobasów. I choć sam nie wiedział, jakiej reakcji ma się po niej spodziewać, z całą pewnością nie było to radosne podekscytowanie.

Sygin już zdejmowała buty, by wskoczyć do dołu.

– Przesuń się – powiedziała. – A najlepiej w ogóle wyjdź stamtąd!

– Ale...

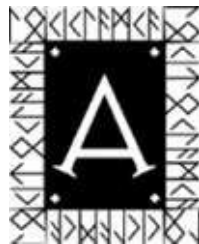
– Wyłaż!

I znowu, gdyby przy takiej posturze Eryk pochodził z jakiegokolwiek innego kraju na ziemi, nie pozwoliliby się tak traktować, nawet za cenę zaliczenia niezłej laski. Ponieważ jednak urodził się w Szwecji, kraju, gdzie to mężczyźni domagają się parytetów i równouprawnień, nie pozostało mu nic innego, jak tylko po raz kolejny wyleźć z dziury. Siadł więc sobie na krawędzi i z uwagą przyglądał się Sygin próbującej rozłupać saperką wieko znalezionej trumny.

I niech go przeklną anioły w niebiosach, ale ten widok naprawdę mocno go nakręcał.

Rozdział 3

Australia



Archanioł Michał przechadzał się pośród zwłok. Szedł, twardo stąpając po czerwonym od krwi piasku, przestępował przez ciała swoich żołnierzy i plugawych demonów Lucyfera.

Pozdrowiał tych, którzy dogorywając, ostatnim tchnieniem składali mu pokłon, i dobijał

tych, którzy zasłużyli na łaskę.

– Może kiedyś Metatron wyśpiewa was ponownie – mówił wtedy.

A potem wbijał miecz w samo serce i przekręcał ostrze.

Zwyciężył. Wiedział o tym bez cienia wątpliwości, tak jak wiedział doskonale, że nie było to chwalebne zwycięstwo stratega, lecz jedynie zasługa liczebnej przewagi. Bo podczas tej bitwy nie było śladu strategii, żadnego szyku. Nic, czym wódz mógłby się później szczycić. Tylko szczęk mieczy, ryk zwycięzców i jęki pokonanych. A potem cisza, jak teraz.

Michał zrobił kolejny krok i dostrzegł, że u jego stóp leży anioł Jack. Rozpruty od krocza po szyję, wybebeszony, ze skrzydłami sterczącymi w górę pod takim kątem, że przypominały napięte wiatrem żagle. Albo budynek opery w Sydney. Tuż obok spoczywał anioł Harael, który wciąż miał na głowie hełm z korkami. I wciąż wyglądał jak debil.

– Wodzu... już czas.

Archanioł odwrócił się na pięcie i spojrzał prosto w oczy centuriona Kwiryniusza.

– Co powiedziałeś? – zapytał.

– Że już czas, wodzu. Wszyscy czekają.

Michał skinął głową, rozłożył skrzydła i obaj unieśli się w powietrze.

Dopiero z góry można było tak naprawdę dostrzec ogrom pola bitwy. Kłębowisko ciał po horyzont, wzniesienia i wyżyny tam, gdzie demony gromadziły się wokół swoich wodzów, broniąc ich do ostatka. Wgłębienia, gdzie uderzały zachowane na tę okazję boskie gromy. Tam też piasek zmieszany z krwią i potraktowany piekielnym ogniem zamienił się w karmelową skorupę.

To koniec – pomyślał archanioł i zdał sobie sprawę, że nigdy się nie zastanawiał, jak ten moment będzie naprawdę wyglądał. Miał wrażenie, że cała ta Apokalipsa była jednak bardziej chaotyczna niż spektakularnie ostateczna, że – jak na koniec wszystkiego – wciąż jeszcze zostało zbyt wiele do zrobienia, posprzątania...

Poza tym wciąż jeszcze na wolności pozostawał główny winowajca. Ciekawe, gdzie teraz są jego gadzety i fortele? I jak się z nimi czuje...

Aniołowie obniżyli lot i wylądowali na szczycie wzniesienia. Tu zwłok było mniej, a może tylko tak się zdawało, bo przykrywały je strzępy anielskich namiotów barwy piasku?

Michał wolał się nad tym nie zastanawiać. Dużo lepiej działał na niego bowiem widok tych, którzy w równych, choć przetrzebionych szeregach starali się trzymać pion.

Wciąż było ich kilka tysięcy, ustawionych w równe kwadraty po stu, wyraźnie zmizerowanych, głodnych i poranionych, ale gdyby trzeba było, wciąż gotowych do walki w imię Pana. Przed Zastępami klęczeli związani żołnierze Lucyfera.

Powinien tu być Gabriel – przemknęło Michałowi przez głowę, gdy patrzył tak z góry na setki jeńców w równych, żalonych rządkach. *To w końcu on jest postąncem śmierci i egzekucje do niego winny należeć.* Ale zarówno Gabriel, jak i Rafael błędzili teraz gdzieś pośród ludzi i zajmowali się przyziemnościami. I o ile tego pierwszego można było jeszcze rozumieć – zbyt wiele czasu spędzonego z Kłamcą, zbyt wielu znajomych pośród śmiertelników – o tyle postawa archanioła od dróg i ścieżek zupełnie Michała zaskoczyła. Choć z drugiej strony ta walka była tylko i wyłącznie jego zadaniem. Wodza Zastępów. To on miał odnieść i odniósł ostateczne zwycięstwo.

– Ci tam, z przodu – Michał wskazał ręką na kilku spośród demonów wyraźnie wyróżniających się na tle szeregów jaskrawością strojów – to książęta, prawda?

– Tak, wodzu – odparł Kwiryniusz. – Oprócz Lucyfera i Mammona wszyscy, którzy jeszcze pozostali. Są tam Bafomet i Asmodeusz, Baal i oczywiście Moloch.

Rzeczywiście, tego ostatniego trudno było nie zauważyć.

– Jeden z nich chce z tobą negocjować, wodzu – dodał centurion. – Mówi, że z przyjemnością wyda ci Lucyfera w zamian za, jak to nazwał, drobny udział w zwycięstwie. Chodziło mu chyba o życie, jak się domyślam. Wolałby je zachować.

– Jakżeby inaczej – mruknął Michał i powoli ruszył w dół wzniesienia.

Nie zapytał, o którego z demonów chodzi, bo o ileż zabawniej będzie samemu to odkryć? Teraz gdy odniósł swe największe, a jednocześnie jedno z najmniej satysfakcjonujących zwycięstw, mógł sobie pozwolić na odrobinę rozrywki. Oczywiście, jeżeli ta również mogła przysłużyć się Panu. Czasy, kiedy z braku lepszych zajęć angażował się w eskapady Kłamcy, minęły już dawno i bezpowrotnie, z chwilą gdy rozpoczęła się Apokalipsa. Czy też może raczej z chwilą gdy Kłamca zaczął się spotykać z...

Nie! Nie wrócisz do tego tematu, na pewno nie teraz. Zrobiłeś, co należało, a jej dusza może się jeszcze odnajdzie w zawierusze. A jeśli nawet nie, jeśli ugrzęźnie gdzieś albo zostanie pozarta, wchłonięta czy cokolwiek, to, w imię Pana, są to wciąż straty wliczone!

Gdy doszedł do połowy drogi, aniołowie zaczęli wiwatować na jego cześć, więc wzniosł skrzydła chwały i rozpałił płomień na twarzy i głowni miecza.

Z wyglądem i pozą wielkiego zwycięzcy wkroczył między rzędy spętanych jeńców.

Żaden z książąt Piekieł nie wyglądał dobrze, ale Asmodeusz wyróżniał się nawet na ich tle. Umazany krwią i błotem, rozlany na piasku i w zasadzie bezkształtny, przypominał

stolec giganta, który przejadł się buraczkami. Podobnie też śmierdział. A mimo to z poważną miną i spojrzeniem pogrążonego w zadumie myśliciela sprawiał wrażenie, jakby udało mu się ukryć w zwałach tłuszczu jakiś okruch godności. Obnosił się z nim teraz jak wyjątkowo tłusta księżniczka z ziarnkiem grochu.

– Nie, Baalu. Nie będziemy nikogo prosić o litość. A już na pewno nie Michała.

Powinniśmy jednak pokazać, że nie przegraliśmy do końca.

– Ale przecież przegraliśmy! – nie zrozumiał Baal.

Nadłamaný róg opadał mu na czoło i nie dawał się odgonić dmuchnięciem, co oczywiście niezwykle demona denerwowało.

– Co tu kryć? – dodał. – Zaufaliśmy Lucyferowi, a ten nas wystawił wręcz modelowo.

– Gdy sunęliśmy tu jako wibrujące powietrze ze wschodu, nie narzekałeś specjalnie na ten plan – wtrącił się Bafomet.

Siedział trochę krzywo z powodu strzaskanego barku, brakowało mu też czubka głowy, ale spojrzenie wciąż miał przytomne.

– I kto wie – kontynuował – może mielibyśmy jakieś szanse, gdyby nie to, że co chwila trzeba było uzupełniać braki pod tarczą Asmodeusza, żeby ten w ogóle dotarł na pole bitwy. Swoją drogą, jak już przy tym jesteśmy, to Moloch też nie musiał z każdych napotkanych zwłok wyjadać grasicy. Nieważne, jakie filmy zobaczył u Lucyfera, to po prostu marnotrawstwo czasu i naszych sił. Następnym razem...

– Och, durniu – zaśmiał się Asmodeusz. – Nie będzie następnego razu. Michał zaraz spuści nam taki łomot, że napiszą o tym drugą Biblię.

– Chyba że poprosimy go jednak o litość – powtórzył swoją propozycję Baal. – Wtedy moglibyśmy jeszcze...

– Nie! – wszedł mu w słowo Asmodeusz. – Jesteście książętami Piekieł, do cholery!

Słowo *nadzieja* powinno być wam obce! Koniec gadania o litości Michała... I koniec obgryzania anielskich kości, Molochu! Mam wrażenie, że to trochę irytuje naszych strażników.

Zwalisty demon spojrział na pana zgnilizny spode łba, ale posłusznie odrzucił obgryzaną kość i zajął się rysowaniem znaków na piasku. Kilka z nich mogłoby zadziałać jak międzywymiarowy portal, gdyby anioły nie obrysowały wokół książąt silnej pułapki.

– Dobra, to szybka decyzja, bo Michał już tu idzie – powiedział Baal. – Czyli jednak nie prosimy o łaskę? Wkurzy się, że go wołaliśmy.

– I co? – zadrwił Asmodeusz. – Zabije cię?

Baal nie odpowiedział. Skupił wzrok na aniołach prężących się w pozycji *baczność*, na ich wzniesionych ku niebu mieczach i włóczniach, wreszcie na samym schodzącym w dół wzgórza Wodzu Zastępów.

To nie wstyd przegrać z takim wojownikiem – myślał. Tę istotę stworzono wyłącznie po to, by walczyła i odnosiła zwycięstwa. On nawet stąpał tak, jakby z każdym krokiem zgniatał pod stopą czaszki i kości pokonanych wrogów.

Chrzanić Asmodeusza i resztę – pomyślał Baal. *Ja się poddam. I będę błagał.*

Ale oczywiście nie zrobił tego, gdy Michał wreszcie przed nimi stanął i zapytał, kto chce błagać o jego łaskę. Baal był w końcu księciem, nawet jeżeli pomniejszym i pokonanym.

Bóg czasem wybacza, Piekło nigdy. A jeżeli istnieje życie po życiu po życiu? Wtedy jego przyszłość malować się będzie gorzej niż los policjanta pedofila w zakładzie karnym o zaostrożonym rygorze.

Michał ponowił pytanie. Pół jego twarzy płonęło jasnym, niemal białym ogniem, który doskonale maskował blizny i czynił oblicze anioła niemal ludzkim. Trzymany w dłoni miecz ledwie się żarzył.

Demony jednak nie dały się zwieść.

– Przecież i tak nie zamierzasz nam udzielić żadnej łaski, prawda, Michale? – zapytał

Bafomet. – Uznaj więc, że po prostu chcieliśmy cię tutaj zobaczyć.

– Chcesz powiedzieć, Bafomecie, że zmarnowaliście mój czas?

– Marnowaliśmy go całkiem skutecznie już od kilku dni, czyż nie? Naprawdę robi ci różnicę te kilka chwil?

Asmodeusz parsknął wysokim, świńskim śmiechem.

– No właśnie – dodał, chichocząc. – Czymże jest ta chwila wobec wieczności?

Archanioł już miał na to odpowiedzieć, gdy nagle usłyszał z oddali jakieś okrzyki.

Zobaczył też, że kilku spośród aniołów na rozkaz Kwiryniusza wzbiło się w powietrze i poleciało w kierunku północy.

– Zaraz wrócę – zapowiedział.

Ale nie wrócił.

Paryż

Sterta śmieci drgnęła, a po chwili spod kłębowiska szmat i stosu starych magazynów o modzie wychynęła wielka, łysa głowa Mando. Rozejrzała się po zrujnowanym paryskim poddaszu, omiotła spojrzeniem poprzewracane meble, wyrwę w ścianie i naderwany balkonik z ozdobną balustradą.

– Żyje? – zapytała.

Siedzący po przeciwnej stronie pomieszczenia Elvis uniósł wzrok znad czytanej właśnie książki i przyjrzał się głowie krytycznie.

– Wiesz, z tobą to nigdy nic nie wiadomo – stwierdził.

– Wał się – odparowała głowa.

Sterta śmieci poruszyła się znowu i tym razem spod szmat i gazet wyłoniły się skute kajdankami ręce. Potem złączone bransoletami nogi. Wreszcie cały Mando, brudny, odrapany, opasany czymś, co Apokalipsę temu było całkiem ładnym damskim szlafrokiem, a teraz służyło za jedwabny, niezbyt sterylny opatrunek owinięty ciasno wokół biodra.

Elvis zauważył, że spod przybrudzonej ozdobnej falbanki sączy się ropa.

– Znowu się babrze – powiedział.

– Tylko trochę. – Mando machnął spętanymi rękami. – Poza tym to akurat dobrze.

Znak, że się goi.

Akurat! – pomyślał Elvis. *Goi się! Pewnie dlatego, że spośród wszystkich zombie w całej pierdolonej Francji trafiłeś akurat na jedyne z odkażonymi zębami, co? Za życia był dentystą i teraz, ponieważ stare nawyki pozostają, szcztokuje i nitkuje zęby po każdym zżartym mózgu.*

Na głos powiedział jednak tylko:

– *If you say so.*

I wrócił do książki.

– Nie rozkujesz mnie, co? – westchnął Mando. – Chociaż nogi. Odlalbym się.

Elvis znowu na niego spojrzał. Jego słodka, niemal anielska twarzyczka zeszepecona teraz rzadkim, niepielegnowanym zarostem wykrzywiła się w paskudnym, drwiącym grymasie.

– Spoko, stary, do tego łóżka możesz nasikać. Możesz przy okazji wspominać dzieciństwo – oznajmił. – Nie zamierzam cię rozwiązywać, ani nawet się do ciebie zbliżać. Przyjdzie Mike, przyjdzie Taida, to z nimi sobie gadaj.

Mando nie wytrzymał. Poderwał się z miejsca na tyle, na ile pozwalały mu krótkie łańcuchy.

– Kurwa, Elvis, ja pierdołę! To była tylko figurka!! Cholerny, wytwarzany masowo w Chinach kawałek skurwiałego plastiku! Długo jeszcze tak zamierzasz?!

Elvis nawet nie podniósł wzroku. Ostentacyjnie przewrócił kartkę w książce.

– Oho, czyżbym widział pierwsze oznaki szału?

Mando natychmiast się uspokoił. Usiadł w kącie, w miejscu, gdzie przez ogromną dziurę w dachu łytał na niego księżyc w krwistej pełni, i podciągnął nogi pod brodę.

– Żadnego szału. Agresywność jeden.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Tylko szelest przewracanych stron, wiatr grający w powyginanych rynnach oraz gdzieś w oddali warkot umarłych i agonalne jęki tych, którzy właśnie wypadli z programu „Ocaleni. Edycja z paryskimi zombie”. Mando za każdym razem miał nadzieję, że krzyczącym nie jest Mike.

Bo z całej trójki tylko Mike był teraz dla niego szansą na przeżycie.

Nie stanowili paczki od zawsze. Przeciwnie, poznali się ledwie kilkanaście dni wcześniej, jeszcze w normalnej rzeczywistości. Do Europy po raz ostatni miał zawitać Stephen King, więc wśród fanów z Polski oczywiście zapal, gorączka i jadą dwa autobusy. Potem jeden, następnie busik i wreszcie stanęło na tym, że część ludzi doleci samolotem, jak się uda – pewnie nie, ale nadzieja to tania dziwka, którą może mieć każdy, zwłaszcza w dobie tanich lotów – a ci, którzy na samoloty patrzą krzywo albo chcą wykorzystać większy kawałek urlopu na zwiedzanie Francji, wpakują się w prywatne samochody.

Cztery.

Potem dwa.

Ostatecznie jeden, w dodatku niepełny.

Niewątpliwie, gdyby King wiedział, jakich ma w Polsce fanów, narobiłby w gacie ze szczęścia...

Samochodem jechali więc Michał „Mike Draven” Bębenek i Hubert „Mando”

Spadowski, kumple z jednego forum, obaj rośli i wielcy, ale w swej zwalistości zupełnie niegroźni, przyjemnie nerdowaci i po fanowsku obłąkani. Jeden długowłosey, drugi wręcz przeciwnie, jeden wiecznie uśmiechnięty, a drugi z miną: *Dżisus, kurwa, ja pierdołę, znowu coś! Zawsze coś!*

Do kompletu, niczym kreski między dwoma nazwiskami, brakowało im tylko długowłosego chudzielca, ten zdecydował się jednak na samolot. Że niby praca nie pozwala się wyrwać na dłużej. Cienias.

Został więc Facebook. Wydarzenie „Stephen King w Paryżu. Jedziemy”, choć zgromadziło setkę biorących udział i prawie tysiąc wahających się, nie wyłoniło ani jednego prawdziwego współpasażera, więc zdecydowali się na „Casting na wyjazd do Paryża”. Tak trafił do nich Maciek Wanicki. Elvis.

Gość był całkiem spoko. Na pierwszym spotkaniu promieniał radością, ciągle mówił coś o jakiejś trzyzetce – zasadzie zachowania zajebistości, jak tłumaczył – i w ogóle wyglądał jak pierdolony promyczek słoneczka, który zawsze znajdzie szczelinę w żaluzjach, by się wśliznąć i walnąć ci blaskiem pozytywnego myślenia prosto w zaspane oko. Gdy mówił, do znudzenia cytował „Firefly” – twierdził, iż ten serial ma cytaty na dosłownie każdą możliwą okazję – ale to była chyba jego jedyna poważna wada. Za paliwo chciał płacić z góry, a gdy wspomnieli o Stephenie Kingu, powiedział: – Spoko, coś tam czytałem.

Więc go wzięli. Zwłaszcza że innych chętnych brakowało.

I właściwie gdy wszystko już wskazywało na to, że pojedą w trójkę, w dniu wyjazdu na pierwszej stacji benzynowej uzupełnili zarówno paliwo, jak i skład drużyny.

Taida, jak przedstawiła się nowa członkini składu bez wchodzenia w detal, czy to imię, czy ksywa,

wybierała się w podróż egzystencjalną po Europie, by odnaleźć prawdziwą siebie.

– Skoro nie wiesz, gdzie jesteś prawdziwa ty, to równie dobrze mogłaś się zgubić gdzieś na tylnym siedzeniu naszego samochodu, nie? – stwierdził filozoficznie Elvis.

A potem dodał:

– Dorzucasz się do paliwa i w razie czego pytasz o drogę, bo facetom nie wypada, a nasz GPS gada po włosku. Pasi?

Pasowało.

Wtedy jeszcze żadne z nich nie podejrzewało, że przyjdzie im razem przeżyć Apokalipsę.

Rozległo się pukanie.

Trzy uderzenia. Przerwa. Trzy kolejne. Potem jedno. Tak jak to ustalili.

Elvis zdjął palce z kolby pistoletu.

– U nas w porządku. Gryzak ciągle żywy! – krzyknął w stronę drzwi. – I skutu.

Zazgrzytał zamek, potem zawiasy i w progu pojawiła się Taida.

Z warkoczem sięgającym pasa, lufą dragunowa sterczącą zza ramienia, kaburą z magnum u biodra i pasami amunicji krzyżującymi się na dorodnym biuście wyglądała, jakby urodziła się do swej obecnej roli. Albo jakby pewnego dnia opętały ją jednocześnie splecione w miłosnym uścisku duchy Lary Croft i Johna Rambo.

Gdy zobaczył ją teraz, wciąż żywą i wciąż niebezpieczną, Elvis po raz kolejny pomyślał, że dobrze mieć ją w drużynie. Nawet jeśli czasami bywa zołą wyłudającą dla siebie jedyny w kamienicy niezaszczany materac.

– I jak było? – zapytał. – Sądziś, że Paryż utrzyma status miasta miłości?

– Możliwe.

Dziewczyna odstawiła karabin i zdjęła z ramion małą wojskową kostkę.

– Ale tytuł kulinarnej stolicy raczej straci – dodała. – Wszyscy przerzucili się na surowe fast foody.

– Fast food – parsknął Mando ze swojego kąta. – To dobre, Taida. Naprawdę. A przy okazji, możesz mnie rozkuć? Chciałbym się odlać.

– A co jest nie tak z miejscem, w którym siedzisz? – zdziwiła się dziewczyna.

Elvis posłał skutemu rozbawione spojrzenie.

– To samo mu powiedziałem przed chwilą. Ale odkąd go ugryzły, zachowuje się zupełnie jak francuski piesek, który...

– Wystarczy! – wszedł mu w zdanie Mando. – Zrozumiałem, naprawdę. Elvis, przepraszam, że uszkodziłem twój kolekcjonerski model z serialu „Firefly”.

Zdecydowanie nie powinienem tłuc nim o głowę żadnego zombie i nic, zupełnie nic mnie nie usprawiedliwia! Taida, tobie to właściwie nie wiem, co zrobiłem, może przeżyłem, choć nie powinienem, może wystrzeliłem ulubiony nabój, nie mam pojęcia!

Ale przez wzgląd na to, że ugryzł mnie zombie i każdy dzień może być dla mnie ostatnim, czy moglibyście być choć odrobinę bardziej wyrozumiali?

Przerwał, a widząc, że się wahają, dołożył wisienką: – Potem, jak się przemienię, rzucicie monetą, kto rozwali mi łeb.

Sądząc po minach, chwyciło, ale nie doczekał się odpowiedzi, bo nagle od strony schodów rozległ się przeciągły, chrapliwy dźwięk, a potem głośnie, astmatyczne sapanie. Elvis sięgnął po spluwę, ale Taida pokręciła głową.

– To Mike. Dużo dzisiaj zebraliśmy.

I rzeczywiście, ledwie skończyła mówić, w progu pojawił się Mike. W obu rękach trzymał wielkie materiałowe torby z symbolem recyklingu, a na plecach miał wypchany po brzegi plecak ze stelażem. Sapał jak stary parowóz.

– Pie... pie... pie... pierdołę – wydusił w końcu z siebie, upuszczając torby. – Więcej nie idę.

Odchylił się do tyłu, chcąc wyłuskać się z ramion plecaka, ale stracił równowagę i poleciał na podłogę. Wyglądał teraz jak przewrócony brodaty zółw.

– Szlag!

– Powinieneś mu pomóc – powiedziała Taida do Elvisa. – Nataszczył ci w cholere książek i jeszcze jakąś niespodziankę znalazł.

Elvis westchnął, wstał i w milczeniu podszedł do Mike'a. Nie miał już siły kolejny raz tłumaczyć im wszystkim, że książki wcale nie są dla niego, tylko dla całej ludzkości, że Bradbury miał rację i trzeba ukryć słowa we własnych głowach i pamięci. I że nie da się tego zrobić porządnie, mając w bibliotece jedynie kilka książek Kinga, stary numer „Focusa”, pozbawioną okładki książkę pod tytułem „Dreszcz” i dwa zeszyty pasków z Garfieldem. Mówił to już, ale nie trafiło wcześniej, więc dlaczego miałoby teraz?

Zwłaszcza że nikt – ani umierający Mando, ani bojownicza Taida, ani tym bardziej zziębnięty Mike...

Przerwał ciche narzekanie i uważnie przyjrzał się jednemu z rulonów wystających z plecaka. Wiedziony przecuciem wyciągnął go i ostrożnie rozwinął. I aż mu dech zaparło!

– Czy wy...? Czy to...? Raaany! To najbardziej niesamowita rzecz, jaką... – przerwał, by wziąć oddech, uspokoić rozpędzone myśli, po czym zaczął jeszcze raz, spokojniej: – Ostatnie dni były trudne i widzieliśmy takie rzeczy, że no, że... – zawiesił się, ponieważ odkrywając, że choć w ciągu ostatnich dni przeczytał więcej książek niż w całym swoim wcześniejszym życiu, język literacki nadal nie jest jego najmocniejszą stroną. – ...no, że ja pierdołę – znalazł w końcu słowo klucz. – Ale nawet w tym nowym, chorym świecie nie wyobrażałem sobie, że będę kiedykolwiek trzymał w ręku oryginalną „Mona – kurwa – Lisę”! To przebija wszystko! Wszystko!

– Nawet „Firefly”? – zapytał Mando z przekąsem.

Ale Elvis go nie usłyszał. Zresztą nawet gdyby dotarło do niego to niedorzeczne pytanie, nie udzieliłby na nie odpowiedzi. „Mona Lisa” mogła sobie być najbardziej rozpoznawalnym dziełem sztuki na świecie... ale czy była kiedyś w kosmosie?

Mike, który ostatecznie musiał sobie ze wstawianiem poradzić sam, przykucnął teraz koło Elvisa i postukał palcem w płótno.

– Niezła, nie? Spodoba się Kingowi, jak go już znajdziemy.

– No raczej! – zgodziła się samozwańcza wędrowną biblioteka ludzkości. – A co to jest ten drugi rulon? Mike machnął ręką.

– Tamtym to się nie przejmuj, jakiś prowansalski widoczek, znalazłem na ulicy. Płótno dobre, to chciałem nim załatać dziurę w dachu nad Mando.

– Dzięki, Mike, stary druhu – odezwał się wywołany. – A skoro już tak o mnie dbasz, jakoś tak od godziny potrzebuję się odlać...

Dolina



oki nie znał i nie chciał poznać imienia pięknej dziewczyny, która towarzyszyła mu w nocy ostatniej przemiany. Pewnego razu jednak zażartował, że jest jego bajką na dobranoc, i zaczął nazywać ją właśnie tak – Bajka.

Od tamtej pory zjawiała się u niego właściwie co noc. Czasem co prawda musiała odczekać, aż jej pan i władca, jak to mówił, zachowa pozory z wybraną dwórką, ale ostatecznie i tak kończył w jej ramionach. W nich zasypiał i w nich się budził, gdy zrywała się o świcie, by wrócić do siebie, zanim obudzi się cały obóz.

I choć Kłamca nie chciał tego przyznać nawet przed samym sobą, choć nie szukał jej wzrokiem w ciągu dnia i nie zabierał ze sobą, gdy wizytował włości, wszystko wskazywało na to, że przywiązał się do Bajki i jej obecności.

Zwalał to wszystko na karb zbliżającego się rozstania. Kilka dni temu odwiedzili ostatnie wioski i według map i jego własnych obliczeń wkrótce orszak miał wrócić do stolicy.

Tam będzie musiał być ostrożny, więc skończą się słodkie słówka Bajki, jej zręczne wygibasy i techniki tak niezwykle, że nawet Lokiego potrafiły wprowadzić w zdumienie.

Zacznie się za to życie dworskie, to całe gadanie Szekspirem do obiadu i szukanie sposobu, jak dokonać na rozwrzeszczanym Antychryście spóźnionej aborcji.

Nic dziwnego, że mając na szali z jednej strony urodziwą dwórkę, a z drugiej przekłętę malca w zasranej pielusze zagłady, Loki robił, co mógł, by opóźnić chwilę powrotu. Pomysłów mu raczej nie brakowało.

Jednego dnia wstrzymał pochód, by ogłosić „Dzień fałszywej wiedźmy”, podczas którego przeprowadzał na wybranych dworzanach średniowieczne próby czystości słów, myśli i sumienia. Część tych praktyk znał jeszcze z dawnych dni, inne wymyślił

sam, za wzór biorąc konkurencje z programu „Fear factor” – zwłaszcza te z jedzeniem obrzydliwości. Zdumionym elfom tłumaczył, że nie zamierza wpuszczać do swego królestwa niegodziwców... A przynajmniej nie większych niż on sam.

Innym razem urządził garstce pomocników stajennych łukowy paintball. Ta wersja tym różniła się od kanonicznej, że zamiast kulek z barwnikiem stosowano strzały z grotem umaczanym w farbie. No i w tym przypadku nie obowiązywały również ochronne maski.

Im bliżej był dzień powrotu, tym większą kreatywnością wykazywał się Loki. Nic dziwnego, że w końcu zaczął obawiać się spisku. Na szczęście i na taką ewentualność był przygotowany.

Tak. Z tego jednego Kłamca mógł być naprawdę dumny. Trudno powiedzieć, by z jego nonszalanckim podejściem do... no, w zasadzie do wszystkiego nadawał się na prawdziwego władcę czegokolwiek czy kogokolwiek, ale do budowania szpiegowskich siatek był stworzony.

Wystarczyły dwa, trzy dni od chwili, gdy Loki po raz pierwszy wcielił się w elfiego króla, a już wielu spośród parobków dostało zaszczytu zostania jedynymi ludźmi, którym władca mógł zaufać. Każdy z osobna nastawiony przeciwko wszystkim pozostałym, ramię w ramię tylko z samotnym Oberonem. Każdy przekonany, że wraz z królem są jak te ostatnie bastiony honoru wobec okrutnej rzeczywistości pełnej spisków i zdrad.

Przyjaciele od dziś na zawsze...

Parobek to użyteczny szpieg, bo nikt nie chce go widzieć, nikt też nie podejrzewa złych intencji. Ale Kłamca nie ograniczył się tylko do plebsu. Skonstruował też według podobnego klucza ścieżkę wśród towarzyszących mu dziewcząt – każda miała być tą drugą, zaraz po królowej, a także wśród transportowanych więźniów – gwarantował im uniewinnienie za raporty z rozmów strażników.

Większość informacji docierała więc do Lokiego z różnych źródeł, weryfikując się wzajemnie, a on był

w stanie zawsze wyprzedzać o krok swych potencjalnych wrogów i napuszczać ich na siebie nawzajem, jednemu szlachcicowi odbierając ziemię, innemu bez powodu ją nadając.

Oczywiście Kłamca wiedział, że to, co sprawdzało się w terenie, niekoniecznie musiało działać w stolicy. Pamiętał jeszcze tamtejsze intrygi z dawnych dni, gdy był gościem w Dolinie. Przy nich jego prowizoryczna siatka była niczym worek na kartofle wobec kreacji od Diora.

I kto wie, być może właśnie to, a nie perspektywa utraty słodkiej Bajki, było głównym powodem, dla którego Kłamcy wcale się do stolicy nie spieszyło.

Oczywiście kiedyś trzeba było tam w końcu dotrzeć... ale równie dobrze mogło to mieć miejsce już po zaplanowanych nazajutrz rozgrywkach elfballu, prawda?

Loki poprawił się na poduszkach, dyskretnie sprawdzając ułożenie pistoletu Oberona za paskiem, i odrzącił dziewczęcą dłoń wkładającą mu do ust obrane winogrono.

Przed nimi, w oddali, zziębnięty i przerażony elf uciekał przed rozentuzjasmowanym tłumem. Właśnie udało mu się dobiec do lasu i skryć między drzewami. Kłamca ziewnął.

– Żądełko! – zawołał do siedzącego nieopodal wyzwolenca. – Dlaczego nie oglądasz gry?

Odpowiedź była dość oczywista, ale mimo to elf wyciągnął głowę spomiędzy nagich piersi jednej z dwórek.

– Zgubiłem się w zasadach, panie – odparł.

– W to akurat nie wątpię – zawołał Loki i roześmiał się donośnie, aż zatrzęsała się cała drewniana łoża. Tak, wzięcie blondyna pod swoje skrzydła, choć pochopne, było naprawdę dobrym pomysłem. Po pierwsze jego obecność na królewskich poduchach mówiła wszystkim: *Nic nie jest postanowione. Jednego dnia walczysz na śmierć i życie, drugiego szukasz szczęścia pośród gołych cyków królewskich dwórek.*

Po drugie... cholera, facet był zabawny.

– Dobra, Żądełko – powiedział Loki, po czym wykonał niedbały gest w stronę szlachty. – I wy wszyscy tutaj, bo większość również ma miny, jakby wam kto łajno z żarciem zamienił. Tłumaczę zasady elfballu ostatni raz.

Ułożył się wygodnie na poduszkach, po czym wskazał palcem na maleńki punkcik gdzieś na horyzoncie.

– Widzicie tamtego gościa? Tego, co tak się miota i szuka czegoś pod kamieniami.

Tam, przy samym lesie.

Moment zajęło, rzeczony gość krył się bowiem za krzakiem, wyraźnie ucząc się w pośpiechu, jak nie być widzianym, ale w końcu wszyscy pokiwali głowami.

– Cóż z nim, panie? – zapytał Żądełko.

Kłamca wzruszył ramionami.

– Nic, ma przesrane. Jak ktoś go trafi piłką, to przegrał.

Jedna z dziewczyn pogładziła Lokiego po piersi.

– A któż ma go trafić tą piłką, o potężny Oberonie?

– Ten, kto ją aktualnie ma. Nie wiem dokładnie, tylu ich tam jest.

Wskazał ręką na ów rozwścieczony tłum dworzan, któremu bliżej było do motłochu polującego na trolle niż jakiegokolwiek drużyny sportowej.

– W każdym razie – objaśniał dalej – jedynym ratunkiem dla naszego biegacza jest w tej chwili obiec trzy bazy i wrócić do nas.

– A czego on tam szuka? – zapytała ponownie dziewczyna.

– No jak to czego? Bazy, rzecz jasna. Nie powiedziałem, że są na widoku.

Żądełko chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym samym momencie elf, który szukał bazy, zgiął się wpół i runął na ziemię. Tłum natychmiast go otoczył i po krótkiej chwili powszechnej szamotaniny rozstąpił się, niosąc solidnie skatowanego nieszczęśnika przed oblicze króla.

Loki sięgnął do patery z owocami.

– Chciałeś coś powiedzieć, Żądełko?

Elf pokręcił głową.

– Już nie, panie – odparł. – Z początku byłem nieco sceptyczny, ale teraz myślę, że ta gra się przyjmie.

Nie rozumiem tylko, po co to odbijanie piłki pałąk na początku. Gdyby wyciąć ten fragment...

Nie udało mu się skończyć myśli, gdyż nagle zewsząd rozległ się głos trąb, a zaraz potem na wzgórzu pojawił się bogaty, tłumny orszak.

Loki bez trudu rozpoznał godło na największym spośród proporców. Głowa osła przyozdobiona kwieciami na jasnozielonym tle. Herb Tytanii, królowej elfów.

– O kurwa – mruknął pod nosem Kłamca.

Jak słusznie podejrzewał, skończyła się labia.

Powiedzieć, że królowa Tytania była piękną kobietą, to jak nazwać Clintę Eastwooda facetem, który grywał kowboja. Niby sama prawda, a jednak obraźliwe wręcz niedomówienie.

Loki oczywiście miał zachowany w głowie jej obraz, wspomnienia ze wspólnie spędzonych chwil, ale nawet one blakły w obliczu drapieżnego i dostojnego zarazem piękna królowej. Dlatego też, ledwie ujrzał ją w siodle, zaraz odgonił dwórki, usiadł

prosto i poprawił rozchełstany strój. A potem już tylko patrzył.

Tymczasem Tytania wraz ze swą najbliższą świtą dotarła już na teren obozu i teraz jechała stępą, wyprostowana w siodle, tak elegancka i dumna, że każdy na jej widok wzdychał z zachwytem. Nadawała słowo *dostojność* nowe znaczenie. Bardziej sexy.

Gdy dotarła pod samą łożę, zgrabnie zeskoczyła z końskiego grzbietu i kołysząc biodrami, podeszła pod barierkę. Tam stanęła, wysuwając do przodu prawą nogę, a prawą rękę opierając na biodrze. Poza robiła tym lepsze wrażenie, że strój jeździecki królowej – cały z brązowej skóry, od wysokich butów po mocno wydekoltowany kaftan – opinał ją ciasno jak druga skóra. Byli tacy, którzy twierdzili, że pośladki królowej nie wyglądałyby lepiej nawet nago. Ale oni akurat gównem wiedzieli.

Na chwilę na dziedzińcu zapanowała cisza, zakłócona jedynie okrzykami graczy w elfball niosących skatowanego zawodnika drużyny przeciwnej. W końcu jednak Tytania wydeła wargi i prychnęła z pogardą.

– Cóż to, panie mój i władco, Oberonie – zadrwiła – czyżbyś tak bardzo przywykł już do życia na wsi, że twój własny dwór wydaje ci się obrzydliwy? Czy tak bardzo upodobałeś sobie jeżdżenie na oklep na byle kobyle, że klacz z rodowodem jest ci już nazbyt wyszukaną?

To powiedziawszy, powiodła palcem po linii głębokiego dekoltu, jednocześnie przygryzając dolną wargę i mrużąc oczy. Loki mógł iść o zakład, że w tej chwili nie było ani jednego spośród dworzaków, który miałby jeszcze w mózgu choć kropelkę krwi. Mimo to Kłamca wiedział, że nie może ulec urokowi Tytanii, jej wyraźnie zarysowanym kościom policzkowym, pięknym niebieskim oczom, drobnemu noskowi i ustom tak cudownie pełnym, że...

Nie, dość!

Nie będzie go byle baba wodzić za nos. Nawet jeżeli jej piersi są tak jędrne i kształtne, a skóra delikatna, jakby...

No że kurwa mać!

– Tytanie, na osła kuśkę twej niegdysiejszej miłości, jestem twoim mężem! – zawołał

Kłamca, próbując nieudolnie wczuć się w konwencję. – Możesz przestać roztaczać nade mną te uroki?

Królowa wzruszyła ramionami i cofnęła dłoń od dekoltu. W jednej chwili znowu była sobą – cudownie piękną panią elfów o nienagannej figurze i burzy kręconych blond włosów opadających na ramiona.

Czyli – westchnął Loki – *właściwie nic się nie zmieniło*. Nadal czuł się ciasno we własnym odzieniu. I nadal nie opuszczało go niepokojące przecucie, że coś paskudnego tu nadchodzi. Jakaś trudność i komplikacja. Rozejrzał się w poszukiwaniu Bajki, ale na szczęście nie było jej nigdzie w pobliżu. Przynajmniej ta dziewczyna wiedziała, gdzie jest jej miejsce.

Tymczasem Tytania z pomocą gwardzisty, który ją podsadził, i Żądęłka, który posłużył jej ramieniem, wspięła się na podwyższenie i opadła na poduchy obok Kłamcy. Rzuciła wyniosłe spojrzenie jednej z rozneglizowanych dziewczyn.

– To mają być cycki, dziewczyno? – parsknęła. – Natrzyj je lodem, niech choć odrobinę sterczą. Ale wcześniej przynieś mi wina. Tylko na jednej nodze, bo... Co tam robią ci durnie i czemu niosą tego pobitego głupca na rękach?

Spojrzała na Lokiego.

– Panie mój i władco, znowu robisz bohaterów z byle plebsu? Ledwie taki pobije się z niedźwiedziem dla twojej uciechy, a już tytuł szlachecki i wstęp do pałacu. A oni potem sikają do donic na kwiaty!

Kłamca wzruszył ramionami, zmuszając się do zachowania obojętności. Nie było to łatwe. Miał żonę od minuty i już miał ochotę zmusić ją do połknięcia języka. Zamiast tego odpowiedział:

– Każdy do nich sika. Od zawsze. Ja sam to robię!

– O, właśnie. – Tytania wycelowała w niego palcem. – Nareszcie to przyznałeś. Musisz skończyć z tymi zwyczajami. Zwłaszcza teraz, kiedy jest już dziecko i...

– Wybacz, pani – wtrącił się Żądełko – ale to może cię zainteresować.

– Cóż takiego?

Żądełko wskazał na boisko do elfballu, gdzie wszyscy właśnie wrócili na swoje miejsca, a na domowej bazie ustawił się właśnie kolejny pałkarz.

– Tę część rozgrywki król Oberon nazwał na twoją cześć i pomyślałem, że nie będziesz chciała jej przegapić.

Był dobry, Loki musiał to elfowi przyznać. Nawet cholernie dobry! Oblicze Tytania złagodniało, na ustach pojawił się uśmiech. Wyćwiczonym gestem odrzuciła z twarzy zawadzający jej kosmyk włosów.

– Doprawdy? – stwierdziła z uśmiechem. – W takim razie chyba będę się musiała zainteresować, prawda?

Żądełko poderwał się z miejsca, podsunął do królewskiego siedziska i opadłszy na kolana, zaczął tłumaczyć królowej zasady gry.

– Widzisz, pani, elfball to gra pełna symboli – zaczął. – Ten, który w tej chwili trzyma piłkę, to ucieleśnienie twojej, pani, dobroci. Piłka to symbol łaskawości królowej, która za każdym razem, gdy się objawia, uderza w śidhe z potężną siłą. My, miłośnicy gry, nazywamy więc rzut miotacza *potęgą miłości*.

Rzucił ukradkowe spojrzenie Lokiemu, a ten tylko pokiwał głową z uznaniem i zakręcił

palcami młynka, jakby chciał powiedzieć: *Mów dalej*. Elf podjął więc przerwany wątek: – Jednakże elfball to nie jest opowieść o tych, którzy tę łaskę przyjmują. To historia ku przestrodze, o pani, i dlatego gracz stojący obok poduszki w kształcie zamkowych murów trzyma w rękach pałkę. On symbolizuje wszystkich tych, którzy łaskę twą, pani, odrzucają i wolą szukać własnej drogi...

– Jak król Oberon? – wtrąciła Tytania, choć w spojrzeniu, które posłała małżonkowi, kryło się bardziej rozbawienie niż gorzka złośliwość. – On na przykład odrzuca szczęście domowego ogniska i przedkłada nad nie namioty, tanie dziewczki i ten swój śmierdzący ochłap. Kogoś takiego masz na myśli, mój drogi?

Jasnowłosy elf przechylił głowę jak sroka.

– Nie jestem godzien oceniać kształtu serca króla mego, pani – odparł zawile, a więc najpewniej dyplomatycznie. – Ale mogę ci, o królowo, skończyć wykladać symbolikę gry, zwłaszcza że już niedaleko do jej końca.

Tytania się roześmiała. Śmiech również miała cudowny, melodyjny, a jednocześnie lekko schrypnięty. Nie było pewnie żadnego boga pośród stwórców, który uczyniwszy taki śmiech, nie rzekłby o nim, że jest dobry. Ba, genialny i cudownie podniecający!

– Ależ proszę, drogi Żądełko. Kończ i oszczędź wstydu swemu władcy.

Elf kolejny raz spojrzął na Oberona, ale ten przekonany najwyraźniej, że jego nowy sługa poradzi sobie świetnie, przestał już myśleć o toczonych rozmowach i tylko rozglądał

się za czymś uważnie. Albo za kimś... Była w tych ruchach jakaś gorączkowość, jakies zniecierpliwienie.

– Dukat za twoje myśli, królu – szepnęła Żądełko.

– Co proszę? – zainteresowała się Tytania. – Powtórz, bo nie dosłyszałam.

– Nic takiego, moja pani. – Elf potrząsnął głową. – Powiedziałem tylko, że szkoda mi tego nieszczęśnika, który w grze odbija pałką własnej pychy twą łaskawość. Bo oto odbita łaska staje się gniewem wzgardzonej królowej, a nieszczęśnik rusza na tułaczkę.

Musi sam odkryć drogę i zrozumieć swoje błędy na kilku symbolicznych etapach zwanych bazami. Dopiero gdy mu się to uda, będzie mógł wrócić na dwór.

Tytania aż się wyprostowała, a pełne piersi prawie wylały się z za skórzanego kaftana.

– Jak to wrócić?! Przecież wzgardził moją łaską!

Żądełko rozłożył ręce i wyszczerzył się prawdziwie rozbrajająco.

– Jeszcze nikomu się to nie udało, pani.

– Ale może się udać! – Królowa nie wyglądała na przekonaną.

– To sport, pani. I jak w każdym sporcie, gdy coś idzie nie po naszej myśli... mamy jeszcze sędziów.

To najwyraźniej spodobało się Tytanii, która zaklaskała niczym mała dziewczynka i obejrzała się na swojego królewskiego małżonka. Chciała mu podziękować, a być może pogratulować tak rezolutnego sługi.

Ale Oberona już nie było w loży.

Gdzie ona jest? – myślał Loki, idąc przez obóz. Nie mógł biec, bo królom – tym prawdziwym – bieganie nie przystoi, ale i tak robił ogromne, energiczne kroki, wzbijając wokół pył. Odgarniał poły namiotów, peszył pary figlujące na wozach, odtrącał

zaskoczonych parobków. W końcu kopnął osła.

I wtedy przystanął. A po chwili dogoniła go zdyszana refleksja, sapiąc: *Co ty właściwie robisz, głupcze? I co się z tobą dzieje?*

No właśnie. Zupełnie nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Od kilku tygodni powoli, acz konsekwentnie zmieniał się w cholernego władcę elfów, gościa tak tępego, że nawet rogi przyprowadzane mu przez Tytanię nosił na hełmie jako insygnia władzy i swej potęgi. Od elfiego jada i cycków dowcip i pomysłuńek stępiłały mu tak, że z opresji musiał go ratować wyszczekany elf.

A do tego wszystkiego on, Loki, mistrz kłamstwa, latał teraz po obozie za jakąś chrzanioną sikszą, przez co mógł w jednej chwili zawalić całą robotę! I jeszcze w nerwach kopnął biednego osła.

– Przepraszam – powiedział, klepiąc zwierzaka po łbie.

Poprawił kaftan, zabłocone buty wytarł o tyły nogawek, przeczesał zmierzwione włosy i brodę. *Musisz się za siebie wziąć* – pomyślał. *Teraz potrzebujesz tylko sprytnego planu, jak dostać się do dzieciaka, załatwić go i wydostać się z tej przeklętej Doliny.*

Planu, który będzie nie tylko genialny, lecz także skuteczny.

Gdzieś za jego plecami rozległ się słodki, perlisty śmiech Tytanii. Kłamca odwrócił się i dostrzegł, że królowa zesza już z loży i w towarzystwie Żądełka zmierza w stronę swojej straży przybocznej. Młody elf wyraźnie jej nadskakiwał, a ona przyjmowała jego wdzięczzenie się z łaskawością i... zainteresowaniem.

O! To może być to!

Loki pochylił się i urwał źdźbło trawy. Oskubane włożył między zęby i wyszczerzył się w uśmiechu. To jeszcze nie był plan, ledwie jego szkic, pretekst. Ale to i tak więcej, niż Kłamca miał od dawna.

I już miał, zadowolony z siebie, ruszyć w stronę królewskiego namiotu, gdy nagle dobiegł go schrypiała i drżący głos.

– Strzeż się, królu Oberonie! – wołał. – Strzeż się, powiadam!

Kłamca spojrział w lewo i dostrzegł, że pomiędzy namiotami w płataninie lin i sznurków tkwiła zgarbiona, stara kobieta, łypiąc na niego przekrwionym okiem. Drugie, przygniecione ciężarem ogromnej kurzajki, nie dawało się nawet otworzyć. W swym czarnym, męskim stroju wyglądała tak, jak mogłaby wyglądać ciocia Petera Parkera, gdyby spidermanowanie było u nich rodzinne.

Loki uśmiechnął się półgębkiem. Wiedźma. No jakżeby inaczej!

– Witaj, wieszczko! – powiedział wesoło. – Gdzie zgubiłaś młodsze siostry?

– Strzeż się, królu Ob... – zaczęła na nowo wiedźma, ale przerwała w trakcie i zamruła okiem. – Jak to młodsze? Jestem najmłodsza spośród trójcy, przeklęty, pyszałkowaty elfie.

Przez moment zapanowało niezręczne milczenie. Zaraz jednak wiedźma zaśmiała się skrzekliwie.

– Żart, krotocwilka taka – wychrypiała. – Średnia, jak przystało na matkę, niańczy bachory, a najmłodsza puszcza się dwa namioty dalej.

– Dziewica? – zdziwił się Kłamca.

Wiedźma machnęła ręką.

– E tam, zaraz dziewica. To metafora taka. Zresztą proszę, jeśli wolisz, mogę też powiedzieć, że korzystając ze swego przywileju, obcuje właśnie z jednorożcem. Albo kilkoma, żeby być konkretną.

– Szkoda, że nie wiedziałem – westchnął Loki. – Kiedyś była całkiem niezła.

– Kiedyś też trzymała mocz, przystojniaku – prychnęła wiedźma, dając swą złośliwością dowód, że kobieca natura nie przemija wraz z przyjściem menopauzy. – Ale wiesz, co mówią o wyjeżdżonych traktach, w końcu muszą się wypaczyć. Mniejsza z tym jednak.

Przyszłam tu bowiem, by ci powiedzieć, że...

Zasepiła się na chwilę. Potem ta chwila przeciągnęła się o kolejną... I jeszcze jedną.

– Strzeż się, Oberonie? – podpowiedział Kłamca.

– No właśnie, słodziutki. – Wiedźma pacnęła się w czoło.

Znowu zrobiła głupią minę i zawyla złowieszczco:

– Strzeeee sieeee, Oooobeeroo...

– Ale czego?

– ...nieeeee! – dokończyła wiedźma, nie dając się zbić z pantałyku.

Nie dała się śmierci, nie dała chrystianizacji, więc co jej będzie byle elfiątko...

– Strzeż się, albowiem twój jasnowłosy przyjaciel oddał serce twojej kobiecie i w najbliższym czasie ujeżdżać ją będzie jak dziki ogier szlachetną klacz, a potem zaproponuje jej coś nowego, a ona na to przystanie i wtedy on weźmie kajdany i brzoźowe witki, a ona go wyśmieje, bo to dla niej żadna nowość, i wtedy...

Trudno było udać oburzenie, gdy wszystko idzie po twojej myśli, ale Lokiego nie nazywano Kłamcą bez powodu.

– Wystarczy, wiedźmo! – zawołał. – Oszczędź mi swoich obleśnych, obrzydliwych szczegółów i powiedz, jak niby miałbym temu zaradzić.

Staruszka wzruszyła ramionami.

– A skąd niby mam wiedzieć?! Jestem wiedźmą, a nie poradnią małżeńską! Przynies jej kwiaty, powiedz komplement, cokolwiek. Jak sam nie wiesz, toś buc! Zresztą powiedziałam ci już wszystko, co miałam, więc teraz odwróć się łaskawie, bo chciałabym zniknąć, a nie mogę przez te sznurki, niech je zaraza!

– Idź zatem w spokoju.

Loki odwrócił się na pięcie, akurat w samą porę, by zobaczyć nadjeżdżających ku niemu Tytanię i Żądełko.

Królowa wyglądała na wielce zadowoloną i udobruchaną w swym gniewie, za to niedawno ocalony elf sprawiał wrażenie lekko speszonego całą sytuacją. Gdy podjechali i zatrzymali się koło Kłamcy, ten dostrzegł coś jeszcze w twarzy wyszczekanego elfa. Coś w jego nerwowym uśmiechu, w rozszerzonych źrenicach.

Strach. Loki wiedział, że to dobry znak.

– Oberonie – przemówiła królowa – upewniwszy się, że żyjesz, zostawiam cię teraz, licząc, iż zjawisz się wkrótce. Jeśli mi jednak pozwolisz, zabiorę ci tego oto sługę, bo raz, że jest prawdziwą skarbnicą cudnych, nieznanych mi opowieści, a dwa, że ma podobno wyjątkowy talent do dzieci. A skoro tobie się nie spieszy z powrotem...

Loki pokiwał głową. Jeżeli miał zacząć wdrażać swój plan, teraz był najważniejszy moment.

– Żądełko, oczywiście byłeś łaskaw sprecyzować królowej, czy ten talent dotyczy opieki, czy płodzenia, prawda?

Blondyn wyprostował się w siodle jak rażony prądem, a Tytania zamrugnęła zaskoczona nagłą zmianą postawy swego małżonka. To ona właśnie dała się udobruchać, była pewna swego... Nie spodziewała się ataku.

Loki uśmiechnął się w duchu. *Oglądałem sporo Jerry'ego Springera, więc wiem, co to jest nagły zwrot akcji, dziwko.*

I pewnie komu innemu wystarczyłaby ta chwilowa konsternacja – speszona mina Żądełka chcącego zapaść się pod ziemię, piękne usta Tytania zamykające się i otwierające, podczas gdy jej umysł szukał zgrabnej riposty – ale Kłamca nie zamierzał

na tym poprzestawać. Zwłaszcza że miał plan, który niezbędnym wymagał, by królowa była na niego wściekła. Jeszcze bardziej niż w tej chwili.

Odwrócił się więc i poklepał po zadzie stojącego obok osła.

– A nie chcesz przy okazji zabrać i jego, o pani mego serca? – zapytał. – Przez wzgląd na dawne...

– Ja ci nie wypominam twoich cycatych dziwek, Oberonie. – Tytania wyprostowała się w siodle, a jej oczy, nareszcie, zapłonęły właściwym odcieniem wściekłości. – Bądź więc łaskaw nie wyrzucać mi błędów przeszłości, do tego w obecności służby. I to jeszcze teraz, gdy jestem matką...

Loki wypluł źdźbło. Była prowokacja, teraz potrzeba jeszcze obojętności i wzgardy.

– Jedźcie już – polecił. – Tylko przygotujcie miasto na mój przyjazd. Ma lśnić.

Tytania tylko syknęła coś w odpowiedzi i spiąwszy konia, pognąła przed siebie. Żądełko wahał się przez chwilę i wyglądało na to, że – chrzanić tyłek królowej – woli zostać z Oberonem.

To jednak nie byłoby zgodne z nowym planem Kłamcy.

– Jedź za nią, Żądełko – polecił Loki. – Bądź moimi oczami i uszami. Czy czym tam jeszcze...

Na te słowa elf wyraźnie odetchnął.

– Tak, panie – powiedział. – Nie zawiodę cię, Oberonie.

– Wiem o tym – odparł Loki.

I rzeczywiście wiedział.

Biegun północny

Więzienie wyglądało jak żywcem wyjęte z planu amerykańskiego filmu. Wzdłuż ścian magazynu ciągnęły się rzędy cel, pośrodku stało kilka stolików, ławek i blatów z szachownicami. W centralnym punkcie pomieszczenia znajdowała się klatka z siatki, a w niej siłownia, kosz i kilka piłek. Dalej schody na wyższy poziom i antresola z barierką.

A nad wszystkim sufit pełen bzyczących jarzeniówek. Najprawdziwszy „Oz” w krainie wróżek. Albo „Prison break”.

Bez cienia wątpliwości faeria z rozmytą dziarą zyskał dzięki Bachusowi respekt na bloku. Nie było ważne, że bóg wina chodził, gdzie chciał, robił, co chciał, i ani myślał

trzymać swego pana za wywaloną na lewo kieszeń. Wystarczyło, żeby zgonił jakiegoś faerię z ławki, warknął na innego czy wepchnął się w kolejkę przy obiedzie, a już rozmyty zdobywał punkty lansu.

– To mój grubas – mówił wtedy. – Niegrzeczne wróżki zawsze dostają to, czego chcą.

A potem kazał do siebie mówić *Wielki Skurwielu*, na co pozostali zareagowali z aprobatą, a potem wymawiali z wyraźną atencją i przestachem. Oczywiście znowu z wyjątkiem Bachusa. Tego najwyraźniej nowa ksywa szefa śmieszyła niepomiernie.

I tak dzień po dniu toczyło się życie na bloku...

– Złaż z ławki! – warknął Bachus i podrapał się po opasłym brzuchu.

Od kilku dni powstrzymywał się od przywoływania wina, a to, jak zawsze, gdy był na głodzie, czyniło go nieco rozdrażnionym.

Tym razem jednak trafił na wróżka twardziela.

– A... a-ani myślę – wyjąkał wróżek, a potem spod tyłka wy dobył zaostrzony gwóźdź. – Zzzresztą ty-ty-tylko mnie tkniesz, a tak cię u-u-rządzą, że już ni-nigdy nie znajdziesz swojej szczęśliwej myśli.

Bachus się uśmiechnął, ale grymas spełził mu z twarzy, gdy się zorientował, że nagle na bloku zrobiło się absolutnie cicho. Jeszcze nigdy, nawet w nocy – a bóg wina był tu już przecież ze dwa tygodnie – nie było tu tak cicho. Nawet jarzeniówki przestały bzykać.

– I-i co? – wyjąkał wróżek, nie przestając machać. – Teraz już nie jesteś taki c-c-cwany, co? Wielkoludzie?

Bóg wina rozejrzał się wokoło i dostrzegł, że strach, który jeszcze niedawno malował się na jego widok w oczach faerii, teraz ustępował miejsca gniewowi. Te wszystkie małe, ściągnięte usta, brwi w kształcie litery V, zaciśnięte piąsteczki. Choć wróżki przypominały zabawki, bunt i łomot, które się zapowiadały, nie wyglądały, jakby miały być udawane.

Myśl, grubasku, myśl – szeptał sobie bóg wina. *Co w takiej sytuacji zrobiłby Eros?*

To akurat była głupia myśl, bo Eros urządziłby tu w minutę osiem małą orgietkę, ledwie podnosząc brew. A Bachus, nawet jakby się spiął, nie był w stanie spać ich wszystkich naraz. Paradoksalnie łatwiej obudzić miłość w sercu, niż w żyłach podbić promile. To wie każdy menel, który kiedykolwiek się

zakochał.

Cisza przemieniła się w nerwowy pomruk jak przed burzą, gwóźdź w trzęsącej się ręce faerii kreślił ósemki tak szybko, że prawie się rozmywał, a Bachus nie przestawał myśleć. Co tu zrobić, co tu zrobić, co tu zro...

W takim razie myśl jak Loki – odpowiedział mu głosik gdzieś we wnętrzu głowy.

Dostosuj się i zrozum, z kim walczysz. A potem kłam, oszukuj, manipuluj i...

– Nie wierzę... – powiedział Bachus, nagle się prostując.

Faeria z gwoździem aż opromieniał.

– Nie musisz mi wierzyć, zz-zła-złamasie. Zaraz w-wbiję ci to pod zęb...

Bachus postąpił krok do przodu.

– Nie wierzę – powtórzył. – A ty powinienesz raczej zapytać, w kogo nie wierzę... złamasie.

Faeria pobladł, ale gwoźdź nie opuścił.

– Błefujesz! – stwierdził, ale głos mu się załamał. Piszczął teraz jak sam Wielki Skurwiel w dniu pierwszego spotkania ze swą dziwką. – To tylko przesąd, a po-poza tym, skąd byś wiedział, że-że to akurat ja padnę trupem?

Bóg wina wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałbym, rzecz jasna. Ale dla mnie wszystkie jesteście takie same. Nie wierzę w was. Nie wierzę we wróżki.

Gdzieś pośród tłumu rozległ się nagle charkot, jakby ktoś się dławił, a zaraz potem jedna faeria padła na ziemię sinozielona na twarzy. Pozostałe odskoczyły od niej, jakby była zadżumiona.

Bachus z przyjemnością zauważył, że strach wrócił u faerii na swoje miejsce.

Wszystkie, nawet sam Wielki Skurwiel, wpatrywały się w niego z autentycznym, wytrzeszczonym przerażeniem. Gdyby chciał, mógłby teraz zostać panem ich życia i śmierci, gdyby chciał dalej ciągnąć swą rolę, mógł okazać litość i zaklaskać, wskrzeszając martwego. Gdyby tylko chciał...

Ale nie chciał, więc machnął ręką i ruszył w stronę swojej celi. Odprowadziły go złęknione spojrzenia wrózek.

W celi czekał na niego Samedi. W białym surducie, czarno-białych lakierkach i z czarną różą w butonierce wyglądał, no cóż... mniej nago. A także – choć wcześniej mogłoby się to wydać niemożliwe – jeszcze bardziej dostojnie. Był sam, bez swego przerażającego węża, za to z tym samym co zwykle oślepiającym straszliwym, szerokim uśmiechem.

Gdyby Bachus mógł wybierać, zdecydowałby się jednak na węża.

– Niezła sztuczka tam, na dole – pochwalił Murzyn. – Widać, że karcer i ten czas tutaj zrobiły swoje. Po tym przerażonym grubasie nie ma już śladu, prawda? Został tylko grubas.

Oczywiście w głowie Bachusa w jednej chwili zrodziło się z tysiąc ciętych ripost, ale natychmiast większość z nich umarła na widok barona. Pozostałe wykręciły się własną słabością i wróciły do przysadki.

– Co tutaj robisz?

To było jedyne, co bóg wina był teraz w stanie z siebie wykrzesać.

– Pomagam ci, abyś stał się pełnowartościową, wolną jednostką – roześmiał się Murzyn. – Chcę kupić ci wolność i wyznaczyć nowy cel w życiu. A przede wszystkim chcę, żebyś... – tu jego głos zszedł do szeptu – zabił Świętego Mikołaja.

Bachus podrapał się po głowie.

– Po co? – zapytał.

– Och, jest bardzo wiele drobnych powodów – odparł Samedi. – Ale tak naprawdę liczy się tylko jeden. Bo żyje.

I znowu ten uśmiech, od którego przechodziły ciarki. Bachus odwrócił wzrok, spojrzał za ramię, gdzie faerie bezskutecznie próbowały klaskaniem przywrócić do życia kolegę zabitego niewiarą.

– Nie mów mi – ciągnął dalej Murzyn – że nagle masz z tym jakiś problem. Zlecenie, jakich z Lokim przyjęliście na pęczki, a ty przecież i tak nie byłeś na liście najgrzeczniejszych, prawda? Jedna krótka akcja i raz-dwa wykreślimy cię również z listy „winni i skazani”. Wyjdiesz na wolność.

Wolność na biegunie oznaczała mróz i tysiące hektarów śniegu, więc Bachus skarcił się w myślach, że przez chwilę wydało się to dla niego kuszące.

– Masz go w karczerze – stwierdził. – Dlaczego sam tego nie zrobisz?

Samedi zaklaskał z uznaniem. Niemal w tej samej chwili z holu dobiegło ich nagłe krztuszenie się denata, okrzyki radości i ulgi, a potem w stronę celi popłynęły podziękowania dla *Bachusa, który wcale nie jest niczyją dziwką*. Bóg wina nie zwrócił

na nie specjalnej uwagi.

– No? Dlaczego ja? I po co go w ogóle zabijać? Przecież w ten sposób zrobicie z niego męczenni...

Przerwał. Zrobił dwa kroki i usiadł obok Murzyna.

– No tak – przyznał. – To całkiem sprytnie, o ile, rzecz jasna, nikt się nie dowie, że tu jesteś i to zleciłeś.

Murzyn przekrzywił głowę w znanym na całym świecie geście mówiącym: *Chyba nie zamierzasz, bożku, informować wróżek o moim niecnym planie, prawda?*

Bachus odpowiedział kolejnym wzruszeniem ramion. Zwykłym, wieloznacznym.

– I co potem? – zapytał.

– Och, to proste. Staniesz się liderem, doprowadzisz faerie do porządku, a my je wypuścimy, by się przydały w przygotowaniach do wielkiej bitwy.

– Jakiej znowu bitwy... – chciał wiedzieć Bachus, ale Samedi przyłożył palec do ust.

– Dowiesz się w swoim czasie – uciął. – Pora chyba, byś wrócił między swych motylih kolegów. Niezła sztuczka z tym *nie wierzę*, tak przy okazji.

Bóg wina z zawstyżeniem podrapał się po potylicy.

– Wynik ciągłych powtórek na Disney Channel. „Piotruś Pan” leciał tam na okrągło, jeszcze zanim... no wiesz. Takie tam... śmieszności.

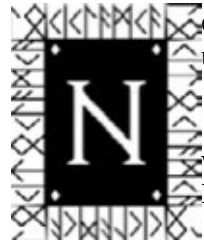
– Metody prowadzące nas do sukcesu nigdy nie są śmieszne – stwierdził

sentencjonalnie Samedi. – Idź i zrób, co masz zrobić.

Bachus chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ze spojrzenia czarnoskórego boga wywnioskował, że jednak nie warto.

Rozdział 5

Paryż



o chodź tu, głupie ptaszysko! – warknął zniecierpliwiony Mando do gołębia siedzącego na ułamanej, odgiętej rynnie. – Chcę tylko zobaczyć, co masz na tej pieprzonej łapie.

Zaraz cię puszczę!

Gołąb był jednak nieprzejednany. Posłał Mando wymowne spojrzenie znane dobrze wszystkim, którzy przechodzili kiedykolwiek koło Luwru, przez wenecki plac Świętego Marka czy choćby przez krakowski rynek.

Tylko gołębie potrafią patrzeć jednocześnie groźnie i z przestachem, jakby mówiły: *No spróbuj, spróbuj. Ale jeśli coś mi zrobisz, to po mnie przyjdą inni i tak cię obsrają, że będziesz mógł robić za gównianą rzeźbę nowoczesną!*

Ten konkretny gołąb nie ograniczył się zresztą do spojrzeń, tylko zacisnąwszy szpony na krawędzi rynny, posłał w dół porcję białego ładunku.

Mando zaklął.

– Stary, odpuść. Co ci tak zależy? – zapytał siedzący nieopodal Mike.

Od początku hecy z ptakiem trzymał na kolanach znaleziony dzień wcześniej prowansalski widoczek, który mocował taśmą na sporządzonym uprzednio prowizorycznym stelażu, by potem umieścić go nad głową Mando.

Przerwał, bo, jak łatwo się domyślić, widok kumpla sunącego na czworaka, podzwaniającego łańcuchami niczym duch Marlowa z „Opowieści wigilijnej” i nawołującego gołębia cichym *cip, cip* należał do tego rodzaju wydarzeń, przy których trudno się skupić na pracy. Ale, jak mówiło stare porzekadło, co za dużo...

– Idę o zakład, że ten liścik zawiera tylko jakieś ornitologiczne bzdury.

Mike spróbował jeszcze raz, wiedział jednak, że to bez sensu. Zbyt długo znał Mando, by łudzić się, że ktolub cokolwiek byłoby w stanie go powstrzymać. Był jak... *no, ten pociąg z Mrocznej wieży. Ten, co pragnął zagadek i...*

– Blaine Mono.

– Właśnie, Blaine Mono, dziek... Ej, chwila!

Ostatnie słowo wykrzyczał na tyle głośno i dobitnie, że spłoszył gołębia. Mando, który właśnie dojrzywał do zakończenia etapu negocjacji i sięgał po nadpaloną dechę, wyraźnie się wkurzył.

– Musisz się tak drzeć? – warknął.

– Najwyraźniej nie muszę, skoro umiesz czytać w myślach!

W tym właśnie momencie do mieszkania wszedł Elvis, ściskając w ręku rolkę papieru toaletowego. Słyszając słowa Mike’a, parsknął głośno, aż się osmarkał.

– Że niby kto? Mando?! On ostatnio nawet ze swoimi myślami nie radzi sobie najlepiej.

Musiało ci się coś...

Umilkł nagle, zmarszczył czoło, po czym z gęstymi brwiami ułożonymi w futrzane V

zamarł niczym posąg. Stał tak przez chwilę, totalnie zwieszony, aż ni stąd, ni zowąd ruszył w stronę Mike’a, po drodze kucając zgrabnie i łapiąc za nóż bowie zostawiony przez Taidę. Przerzucił go zgrabnie z ręki do ręki.

Mando, widząc, na co się zanosz, natychmiast poderwał się na nogi i rzucił do przodu, na ile tylko pozwoliły mu łańcuchy. Czyli niewiele. A już z całą pewnością nie dość, by uratować całkowicie zdezorientowanego Mike’a.

– Uważaj! – krzyknął.

Ale nie miało to już znaczenia. Elvis, którego oczy pokrywała teraz biała mgła, zupełnie taka, jaką jeszcze niedawno spodziewali się ujrzeć na oczach Mando, wznosił nóż i z zamachem, którego nie

powstydziliby się Norman Bates, wbił ostrze... w sam środek obrazu. Tam, gdzie kończył się mały, śliczny domek, a zaczynało wzgórze porośnięte winoroślą.

Wbił i przeciągnął, rozcinając płótno aż po prowizoryczną ramkę ze sklejki. Potem sapnął i odrzucił nóż na bok.

Nastała cisza. Mike i Mando wymienili serię zdumionych spojrzeń ponad głową mordercy pejzaży, a ten ostatni siedział tylko, gapiąc się w ścianę, jakby czekał, aż odtają mu oczy. Wreszcie Mike nie wytrzymał:

– Możesz mi powiedzieć, Elvis, bo nie rozumiem, po kiego chuja to zrobiłeś?!

Elvis nie odpowiedział, a Mike dostrzegł, że brwiowe V na jego czole powoli zmieniało się w poziomą kreskę, identyczną jak te na aparatach podtrzymujących życie. Tych, co robią *ping, ping*, a potem już tylko *piiippii* i wtedy lekarze mówią: *Straciliśmy go i Proszę zanotować czas zgonu*. Jak one się, u diabła, nazywały?! I co to ma właściwie teraz do rzeczy?!

– Elvis, wiesz – Mike za wszelką cenę starał się zachować spokój – to, co zrobiłeś, było trochę *creepy* i wolelibyśmy, żebyś powiedział, co takiego nie pasuje ci w pieprzonym widoczku z cholernej Prowansji, że nagle postanowiłeś rzucić się na niego z nożem.

Jeżeli nie, jak tylko wróci Taida, będziemy musieli poważnie porozmawiać o twoim nastawieniu i duchu drużyny. A właściwie o jego braku.

– O tak – Mando wyraźnie tryumfował. – I ponieważ jest niebezpieczny, należałoby go, uważam, zakuć w łańcuchy. Tak się składa, że mamy tu cały komplet. Chwilowo w użyciu, ale przecież...

– Usłyszałem głos – powiedział Elvis, wchodząc Mando w zdanie. – I on mi kazał.

Mando i Mike znowu wymienili spojrzenia nad jego głową. No tak, głos. Teraz już wszystko jest jasne, a łańcuchy ani chybi wkrótce zmienią właściciela.

Mike jednak, wyraźnie wczuwając się w rolę jedyne normalnego, którego nie ugryzły zombie ani nie opętały duchy, postanowił pociągnąć temat: – Jaki głos? I co ci powiedział?

Elvis już, już miał odpowiedzieć, gdy nagle z rozprutego obrazu wystrzeliła rozczapierzona ręka i chwyciła Mike'a za nogę. Ten pisnął jak dziewczynka i spróbował

się wyszarpnąć, ale uścisk ręki był wyjątkowo mocny. Chłopak wierzgnął więc piętą drugiej nogi i trafił akurat w brodę wyłaniającej się z obrazu głowy. Pomogło. Uścisk zelżał, a Mike zdołał się odczołgać od obrazu i wymacać upuszczony przez Elvisa nóż.

Złapał go w obie ręce i wyciągnął przed siebie, jakby prosił wroga: *No nabij się! Nie bądź świnia!* Ręce trzęsły mu się jak w febrze.

Postać z obrazu – atletyczny przystojniak trochę w typie młodego Pitta – wyłoniła się już tymczasem do pasa i rozmasowując obolałą szczękę, rozejrzała po pokoju.

– Nie radzę – powiedział do Mando, który właśnie zamierzał się na niego kawałkiem deski. – Mogę cię z łatwością namówić, żebyś nie bacząc na drzazgi, nawiązał z tą deską bardzo bliską relację.

A potem, spojrzawszy na Elvisa, powiedział:

– Dzięki za pomoc.

– Spoko loco – odparł Elvis, mrugając już normalnymi oczami, jakby się właśnie obudził.

– W sumie nie wiem, co zrobiłem i dlaczego zupełnie nie rusza mnie, że gadam z połową gościa, który wystaje ze starego obrazu, ale co tam.

– Trochę cię opętałem. Chyba – wyjaśnił przystojniak. – Ten obraz trochę przekreślił moje moce i zadziały właśnie tak.

Elvis kiwnął głową.

– Aa, moce! Jak moce, to luz.

Po czym stęknął, ziewnął i wstał, podpierając się lewą ręką. Zrobił parę spokojnych kroków w stronę drzwi, gdzie złapał za sztucer postawiony przy wejściu i błyskawicznie wymierzył do połowy przystojniaka.

– Trzeba było opętać mnie na nieco dłużej, fiucie! – stwierdził. – Teraz lepiej odpowiadaj, kim, u diabła, jesteś!

– No właśnie – warknął Mando, który ośmielony odwagą Elvisa znowu uniósł swoją deskę. Mike wciąż

drżał z nożem.

Przystojniak raz jeszcze przyjrzał się uważnie całej trójce, co wymagało od niego porządnego kręcenia szyją, po czym oparłszy dłonie na podłodze, podciągnął się i wyłonił z obrazu już w całości. Usiadł na podłodze i skrzyżował nogi.

– Nawet sobie nie wyobrażacie, jak to miło znowu mieć głębię – stwierdził. – A teraz krótko, zanim wleżą tu za mną pozostali. Nazywam się Elliot Ros i nie dalej jak kilka dni temu wraz z grupą mieszkańców jednej z paryskich kamienic weszliśmy do obrazu, żeby ukryć się przed demonami, umarłymi i aniołami, które zdecydowały się zniszczyć całe to miasto. Następnie... Dajcie znać, kiedy wyda się to wam zbyt dziwne.

– Na razie opisujesz typowy wtorek – stwierdził Elvis. – Mów dalej.

Przystojniak pokiwał głową.

– Okazało się, że ten obraz, do którego weszliśmy, to wcale nie są wrota do innego miejsca, tylko... no po prostu świat obrazu. Dwa wymiary, wszystko z farby i...

– Erosie! Czy byłbyś tak łaskaw i podał mi pieprzoną rękę? – rozległo się z głębi obrazu.

Ros rozłożył ręce.

– Przepraszam was na moment – powiedział. – Dziewczyna szefa.

Odwrócił się i sięgnął ręką w głąb leżącego na ziemi pejzażu, zupełnie tracąc zainteresowanie całą trójką. Elvis dostrzegł, że po chwili wyciąga już rękę splecioną z inną dłonią i... W tym momencie zauważył, że Mando odłożył deskę i podniósł coś innego – niewysoki czarny walec o szerokiej podstawie. Taśmę...

Nagle zrozumiał. Uśmiechnął się, pokiwał głową i przeniósł wzrok na Mike'a. Ten najwyraźniej zdołał już opanować przerażenie, bo odłożył na bok nóż i przybrał pozę, jakby chciał zrobić mostek. Wsparty na rękach, z nogami przed sobą, tyłkiem uniesionym. Wystarczyło tylko dać mu sygnał i...

– Teraz! – krzyknął Elvis.

Mike podniósł się wyżej i z całej siły wypalił kopa w wypięty tyłek Rosa. A ponieważ mężczyzna z obrazu wspierał się tylko na jednej ręce, natychmiast stracił równowagę i poleciał do przodu. Z powrotem do prowansalskiego pejzażu. A ledwie tam wpadł, Mando gotową już taśmą połączył rozcięte kawałki obrazu.

A potem w miejsce szczeliny przykleił jeszcze swój nadpalony kawałek deski. I akurat gdy kończył, do mieszkania weszła, dysząc ciężko, Taida.

– Normalnie nie uwierzysz w to, co ci zaraz opowiem – powiedział Elvis.

Ale oczywiście uwierzyła.

Biegun północny

Blisko południa, tuż przed obiadem, na główny blok wpuszczono Mikołaja.

Nie zapowiedziano tego wcześniej oficjalnie, bo niby kto i dlaczego miałby to zrobić, ale wśród faerii wieść rozeszła się już rano, więc wszystkie razem przygotowały świętemu gorące powitanie. Takie w stylu więziennym, rzecz jasna: z podpalaniem i puszczaniem z okien papierowych ręczników, z transparentami z prześcieradeł i rytmicznym skandowaniem imienia połączonym z tłuczeniem kubkami w poręcze i białe stołów.

Niektórzy, co śmielsi, podlecieli nawet do świętego, ledwie ten się zjawił, by klepnąć go w ramię czy muskularny biceps. Bo, co Bachus stwierdził z wyraźną niechęcią, Mikołaj w karczerze nieźle przypakował.

No, grubasku – pomyślał bóg wina, obserwując wszystko z wysokości pierwszego poziomu – będziesz się musiał nieźle postarać, by go załatwić.

Właśnie wtedy Mikołaj go zauważył. I tak późno, zważywszy na to, że Bachus wyglądał

jak spasiony Guliwer w krainie skrzydlatych liliputów, ale można to było złożyć na karb powszechnego zamieszania. Głupio byłoby zakładać, że święty był po prostu nieuważny. Takie myśli budzą nadzieję...

Mikołaj lekko skinął głową Bachusowi, a ten odpowiedział podobnym gestem. A potem święty poszedł dalej, odprowadzany wzrokiem boga wina aż pod samą celę.

– Będziesz miał teraz przejebane, wiesz? – pisnął nagle zza pleców Bachusa jego wrózkowaty współwięzień. – Wiesz, co ci robi Mikołaj?

– Zabroni siadać na kolanie?

Gruby bóg puścił barierkę i się odwrócił. Potrzebował planu, i to szybko. Bo nieważne, jak bardzo pokazywał na zewnątrz, że się nie boi, dobrze wiedział, co może mu zrobić święty. Gość, który potrafi dostarczyć kilka miliardów paczek w jedną noc, musi być niesamowicie szybki i sprawny. A jeżeli wziąć pod uwagę te całe mięśnie i... Cholera, tak swoją drogą, gdyby kobiety na całym świecie wiedziały, jak ten facet teraz wygląda, robiłyby wszystko, byleby ukarał je swoją różgą!

– Możesz się śmiać, gruby – Wielki Skurwiel najwyraźniej wypatrzył okazję, by się odkuć – ale Mikołaj radził sobie już nie z takimi. I jemu nie wystarczy powiedzieć, że w niego nie wierzysz, bo takich, co tak mówią, on wciąga na swoją najczarniejszą listę.

Bachus przewrócił oczami.

– Zamkniesz się wreszcie? – sapnął. – Próbuję pomyśleć.

Faeria jakby tylko na to czekał. Wzniósł się w powietrze i wleciał do celi, ustawiając się przed bogiem wina tak, by jego twarz znalazła się na wysokości twarzy grubasa.

Maleńkie ręce ozdobione odnowionymi *tatuażami* zaplótł na piersi.

– A takiego! Nie dam ci wymyślić, w jaki sposób zrobić krzywdę Mikołajowi! Wręcz przeciwnie, zamierzam mu pomóc, żeby wreszcie z tobą skończył. Sprawię, że nie prześpisz spokojnie już ani godziny, że w każdej chwili będziesz drżał o to swoje nędzne życie. W dzień będziesz w zasięgu Mikołaja, a w nocy w mo...

Bachus walnął na odlew, prosto w drobną główkę. Mały ludzik grzotnął o ścianę z głuchym dźwiękiem, po czym zamrugał i upadł na ziemię. Z ucha popłynęła mu krew.

Bachus przejechał ręką po twarzy. Cholera, to było tak bardzo nie w jego stylu, że...

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Ryzykowny i skomplikowany, zależny od wielu czynników i trochę w stylu koncepcji Lokiego, gdy Kłamcy się chciało albo gdy naprawdę się nudził. Ale jednocześnie spełniał naraz wszystkie warunki postawione mu przez Samediego. Poza tym nie wymagał od Bachusa bezpośredniej, fizycznej konfrontacji ze świętym.

Jeszcze przez chwilę stał tam i rozmyślał nad wszystkimi wariantami i tym, czego będzie potrzebował, by wszystko poszło jak trzeba. W końcu pochylił się i sięgnął do maleńkiego ciała.

Faeria właśnie dochodził do siebie. Raz po raz trzepotał już maleńkimi powiekami i z każdą chwilą oddychał coraz głębiej. Wyglądało na to, że nie było z nim tak źle, jak mogło to wyglądać, i lada chwila dojdzie do siebie.

Doszedłby, gdyby Bachusowi nie był jednak potrzebny martwy.

Jeszcze jedno uderzenie małą głową o posadzkę i cichy trzask pękającej czaszki załatwiły sprawę ostatecznie.

Bóg wina podniósł martwego faerię i wyszedł na blok. Kroki skierował wprost do celi Mikołaja.

Święty siedział na łóżku otoczony przez wróżki, a cела prezentowała się bardzo...

świętecznie. Nie wiadomo, skąd znalazły się tam wino, sery i owoce, talerz wędlin, gobeliny na ścianach i rozstawione tu i tam aromatyczne świece.

W ogóle to ciasne pomieszczenie, w swej budowie identyczne z wszystkimi pozostałymi celami na bloku, przypominało teraz plan najbardziej ambitnego filmu porno w dziejach.

No bo litości: orient, cела, karzełki obu płci, skrzydełka, muskularny osiłek? Brakowało jeszcze pończoch, bicza, osiołka i kamery, aby zaliczyć pakiet fantazji każdego fetyszysty na świecie.

Gdy Bachus wparował do tej jaskini potencjalnej rozpusty, Mikołaj kończył właśnie jedną ze swych zabawnych opowieści. Dwie wróżki zajmowały się w tym czasie rozczesywaniem jego długich włosów, kolejne piłowały kontrabandą jego paznokcie.

Inne tylko słuchały zapatrzona.

– ...i on mówi do mnie: *Jak ty jesteś Mikołajem, to ja...*

Święty nie dokończył, bo na jego kolanach wylądowało właśnie wróżkowe truchło.

Rozległ się pisk i wybuchło zamieszanie, gdy wszystkie wróżki naraz podjęły próbę wzbicia się w powietrze.

Sam Mikołaj, zgodnie z planem boga wina, wyglądał na mocno zdezorientowanego.

Teraz wystarczyło tylko dokręcić śrubę:

– Ty, święty! Co to, do cholery, było?! – Bachus wrzasnął najgłośniejszym jak tylko potrafił. – To po to wymieniamy spojrzenia, kiwamy sobie głowami jak dwa debile, żebyś potem wysyłał na mnie te kurduple? I co to jest *rozkaz sześć sześć sześć*? Co ja jestem, satanista?!

Potrzebował oddechu, bo takiej tyrady nie da się przecież ciągnąć w nieskończoność, nie wtedy, gdy cały aż chodzisz z nerwów, a do tego stoisz w progu pomieszczenia, w którym tlen już dawno zastąpiono miłością, uwielbieniem i wonią aromatyzowanych świec.

Zaciągnął się więc powietrzem, jakby chciał się nim naćpać, modląc się w duchu do nie wiadomo właściwie kogo o chaos trwający jeszcze na tyle długo, by nikt nie zdążył mu się wbić z żadnym słowem. Bo potrzebował przewagi głosu. Jeszcze przynajmniej przez chwilę.

– Od tygodnia planuję, co zrobimy razem, gdy wreszcie wyjdiesz. W jaki sposób się stąd wydostaniemy i zaprowadzimy cholerny porządek. Miałem cię za porządnego gościa, święty! A ty chcesz mnie zabić, ledwie wylazłeś?! No... kurwa!

Zamilkł. Podobnie jak cała reszta więziennego świata. Spanikowane faerie opadły na swoje miejsca i w milczeniu patrzyły to na boga, to znów na świętego, czekając rozwoju wypadków.

Ciekawe, ile teraz stoi za mną tych małych, uskrzydłych choler – pomyślał Bachus. I ile z nich trzyma w rękach ostre przedmioty, idealne, by wbić je pod jego otłuszczone żebra. Nie odwrócił się jednak, bo wiedział, że podobnie jak swego czasu Orfeusz, tak teraz on przegrałby wszystko. Może tobą rządzić strach, może wściekłość, ale rzadko kiedy tak naprawdę jedno i drugie. Gdyby się obejrzał, odkryłby karty.

Więc wytrwał. Także tę chwilę, gdy Mikołaj wstał i podszedł do niego tak, że prawie się dotknęli. Święty był wyższy, więc mógł spoglądać na Bachusa z góry, a to w połączeniu z uwielbieniem podfruwając dawało mu nieliczną przewagę. Mógł zrobić wszystko...

Wybrał wyciągnięcie ręki.

– Nie chciałem cię zabić, przyjacielu – powiedział głosem czarnym, ciepłym i chropowatym jak żar w niedawno wygasłym ognisku. – Jeżeli ktokolwiek tu chciał cię zabić, musiał to zrobić na rachunek własnego sumienia. Ja nie zabijam.

Powiedział to na tyle pewnie i stanowczo, a przy tym miło, że Bachus, choć miał w planach stawianie oporu przez dłuższą chwilę, musiał skapitulować. Uśmiechnął się więc i ucisnął wyciągniętą dłoń.

– Bachus – powiedział.

– Wiem, kim jesteś – odparł Mikołaj. – Dużo bardziej ciekawi mnie natomiast, co masz mi do powiedzenia... – przysunął się do ucha boga wina, jednocześnie ścisząc głos do szeptu – na temat planu odzyskania bieguna.

Bachus z trudem powstrzymał westchnienie ulgi. Udało się!

– Powiem ci wieczorem – odszepnął. – Teraz zrobiłem za dużo zamieszania.

Mikołaj odsunął się od boga wina i spojrzał mu w oczy. Stał tak przez chwilę, marszcząc czoło, jakby chciał przez tunele żrenic wjechać wprost do Bachusowego mózgu. W końcu skinął głową.

– Wieczorem zatem – zgodził się. – Przyjdę do ciebie.

– Jasne.

Odwracając się na pięcie, Bachus wiedział, że do tej pory będzie się musiał skontaktować z Samedim i załatwić od niego parę rzeczy. Był jednak spokojny – czarnuch dobrze wiedział, gdzie i kiedy powinien się zjawić, by coś ugrać.

I zwykle tam był.

Paryż

– No dobra, gotowi! – powiedziała Taida, mierząc do obrazka z karabinu.

Tuż obok niej stali Mike uzbrojony w strzelbę i Elvis z kuszą. Nie była to może najpraktyczniejsza broń, ale po pierwsze nowa – Taida znalazła ją dzisiaj – a po drugie kto nie marzył kiedyś, żeby strzelać z kuszy?! I to takiej z celownikiem laserowym.

– Możesz rozklejać, Mando – dodała jeszcze, jakby samo *gotowi* nie było dość jasne.

I najwyraźniej nie było.

– Naprawdę jesteście przekonani, że to dobry pomysł? – wołał się upewnić Mando. – Ten koleś, który wylazł, był jeszcze spoko, choć trochę wariat, ale jak tam za nim siedzi jakieś Cthulhu? Wiecie, cienka granica wymiarów, błona rzeczywistości... to wszystko może się zgadzać. Jeżeli z tego wylezie Przedwieczny, to będziecie sobie mogli postrzelać... do jego kubków smakowych.

Mike potrząsnął głową.

– Myślisz, że Przedwiecznego powstrzymałby kawałek taśmy klejącej? Gdyby to był jeden z nich, już dawno by wylazł i zrobił nam z dup paszcze szaleństwa.

– Poza tym – wtrącił się Elvis – co ty, Mando, chciałbyś żyć wiecznie?

– Spierdalaj, świrze, z tobą nie gadam!

– No już, już. – Elvis niby przypadkiem tak poruszył kuszą, że czerwona kropka celownika znalazła się na piersi skutego olbrzyma. – Tak, wiesz, jednym pociągnięciem, żeby nie bolało.

Mando sapnął nerwowo, ale złapał za taśmę i szarpnął. Materiał obrazu rozchylił się i w szczelinie natychmiast pojawiła się głowa Erosa.

– Chyba ostatnio źle zaczęliśmy naszą znajomość – powiedział bóg miłości po angielsku, szczerząc się przy tym jak wariat. – Ale cieszę się, że... OK, OK, nie musisz, piękna, tak machać na mnie tą lufą. Już wychodzę.

Wysunął ręce i podciągnął się zupełnie jak poprzednio. Następnie się odwrócił, by pomóc wyjść swojej towarzysze, która właśnie wystawiła rękę.

– Tylko żadnych gwałtownych ruchów – zaznaczyła Taida. – Ile was tam jest?

– Kilkoro, ale wychodzimy tylko my, we dwójkę – odparł Eros. – Reszta stwierdziła, że w tak niepewnych czasach jedynie sztuce można zaufać, i zostają w obrazie, dopóki się nie uspokoi. Mają tylko prośbę, byście zastąpili tę taśmę przezroczystą, bo ta wygląda wręcz paskudnie. No i żebyście zabezpieczyli obraz przed...

Zaparł się, szarpnął i przewrócił na plecy, wyciągając na siebie zgrabną brunetkę.

Ubranie dziewczyny było tu i ówdzie poprzecierane, więc łatwo można było dostrzec kawałki zgrabnego ciała.

To sprawiło, że przez krótką chwilę z całej czwórki rezydentów paryskiego studia jedynie Taida kierowała się rozsądkiem.

– Dobra, Mando, zaklej obraz, żeby nam nic w nocy nie wyszło. Wy dwoje pod ścianę i przygotujcie się do gadania. Elvis, byłbyś łaskaw nie jeździć tym laserem pani po cymbałach?

– No dooobra. – Elvis opuścił kuszę i ruszył w stronę aneksu kuchennego. – Kanapkę ktoś chce?

Chcieli wszyscy. Zapowiadała się wszak naprawdę długa noc pełna opowieści.

Eros miał w głowie kilka wersji historii, w zależności od tego, kto i o co go pytał. Loki przygotował go bardzo dobrze, zarówno jeśli chodziło o kłamstwo, jak i sianie dezinformacji. *Skoro i tak nie możesz powiedzieć o sobie prawdy* – mawiał zwykle Kłamacz – *a masz wielu słuchaczy, to dlaczego ograniczać się tylko do jednego kłamstwa?* Większość ludzi ma w głowie odpowiedź już w chwili zadawania pytania.

Wystarczy im ją tylko głośno powiedzieć.

Tym razem jednak sytuacja wyglądała inaczej. Stężenie niewiarygodności tak na ulicy na dole, jak i pewnie na całym świecie w połączeniu z okolicznościami, w których Eros razem z Jenny zjawili się w tym mieszkaniu, sprawiły, że po raz pierwszy od naprawdę dawna bóg miłości mógł spokojnie powiedzieć prawdę. O sobie, o swojej towarzysze, Lokim i aniołach. O misjach, a także o tym, że to, co się dzieje, nie tylko wygląda jak Apokalipsa, lecz także jest nią w istocie.

Więc mówił, przegryzając opowieści krakersami z pastą rybną, pijąc na zmianę to białe, to znów czerwone wino – Bachus, który już pewnie nie żył, przewracał się teraz w swym grobie – i wciągając kolejne palety serów. Tak, jako dzieło sztuki zdecydowanie zgłodniał.

Potem za sprawą Mike'a znikąd pojawiła się wódka, podobno polska, choć na francuskich etykietach i z gębą tysego amerykańskiego gwiazdora. A potem, wiele, wiele słów później, zapadła cisza.

Ostatnim, co Eros dostrzegł i zapamiętał, zanim runął na podłogę między dawno już śpiącymi Mando a Elvisem, były Taida i Jenny rozmawiające ściszymi głosami w kuchennym aneksie.

Babom to nie można ufać – to była ostatnia tego wieczoru myśl boga miłości.

Zważywszy na jego stan, bardzo trzeźwa.

Dolina

Minęła północ, a Bajki nie było.

Loki próbował sobie wmówić, że to dobrze, że przecież nie ma dzisiaj czasu, że misja, ale to nie miało znaczenia. Czuł się jak jeden z tych wirtualnych randkowiczów, który wreszcie zdecydował się na spotkanie w realu i teraz siedzi w kawiarni. Rozpoznawczy goździk w klapie, a w kieszeni „rozmówki damsko-męskie”. Jego randka dawno już przyszła i poszła, gdy zobaczyła, z kim miała się spotkać. A on siedzi...

Przed Kłamcą leżały plany zamku. Zdobył je dziś rano bez większego trudu i wzbudzania podejrzeń, mówiąc głośno, że planuje wprowadzić w swej siedzibie pewne zmiany, wygłuszyć pomieszczenia dla dziecka, dorobić kilka tajnych przejść. Teraz, korzystając z przyczajonej w jego głowie świadomości Oberona, wizualizował sobie kolejne pomieszczenia.

Zaczął od sypialni królewskiej – rozległej, w brązach i złocie, od posadzki po sufit obwieszanej czaszkami stworów upolowanych przez władcę elfów. Na środku znajdowało się łóżko z wielkim baldachimem, w głębi drzwi do wychodka zasłonięte gobelinem z wielkim jeleniem na rykowisku. Wyglądało to tak, jakby dla władcy elfów większym dyshonorem było sranie niż bezguscie. Jakby nikt na świecie jeszcze nie połączył ze sobą tych rzeczy.

Nieopodal łóżka stały jeszcze krzesło i sztalugi, których przeznaczenia można się było albo domyślić, albo wywnioskować z ozdób w sali jadalnej mniejszej. Dość powiedzieć, że nikt, komu przyszło jeść tam śniadanie, nigdy nie zamówił kiełbasy... ani jajek.

Następna na liście do zwizualizowania była sypialnia Antychrysta, ale tu Lokiemu zaraz włączył się alarm. Oberon mógł nie pamiętać dobrze, jak wyglądał ten pokój po remoncie, bo po pierwsze wyjechał przecież i dość długo przebywał ostatnio poza domem, więc obraz nie zdołał się utrwalić, a po drugie – Loki mógł się o to zakładać – wcześniej władca elfów też pewnie nieczęsto tam bywał. Tu więc Kłamca mógł się spodziewać niespodzianek. Trzeba się było na nie przygotować, zwłaszcza że akurat tam trzeba będzie reagować szybko. I prawie na oślep.

Loki westchnął i splótłszy dłonie za plecami, zaczął przechadzać się wzdłuż łóżka. To była właściwie ostatnia chwila na wymyślenie jakiegokolwiek innego planu, nie tak złożonego i opartego na tym, co zrobią inni, za to szybszego i pewniejszego. Problem w tym, że Kłamcy podobało się to całe szaleństwo, jakie miał zamiar wywołać, ten chaos i zamieszanie. Wreszcie przewrotność *grand finale*.

To była akcja z rodzaju tych, które zawiodły go na skałę, ale, cholera jasna! Czyż nie po to człowiek rodzi się bogiem?! No dobra, olbrzymem, mniejsza o detale...

Loki zatrzymał się przy stole, przełożył mapy i wyteżył umysł, by w pamięci, świadomości Oberona odnaleźć ścieżki tajnych przejść. Część tych tuneli Kłamca znał

sam z siebie, z kilku korzystał, ale oczywiście było, że władca, który sam projektował swój przeklęty zamek, zna i pamięta je wszystkie.

– No, Oberonie, przydad się – mruknął Kłamca. – Żywnienie urazy tylko dlatego, że byłem szybszy, sprytniejszy i to ja zabiłem ciebie, a nie odwrotnie, jest przecież takie małostko...

Przerwał i się uśmiechnął. Postukał palcem w mapę i poruszył językiem, jakby chciał obrócić w ustach nieistniejącą wykałaczkę. Brakowało mu tego nawyku jak cholera!

– Dzięki, Oberonie. Tego mi było trzeba – powiedział. – W ogóle, stary, doceniam, że w tak wielu sprawach idziesz mi ostatnio na rękę. Naprawdę dzięki.

Zwinął mapy i wsunął je pod łóżko. Potem raz jeszcze spojrzął na kartkę z zapisanymi przyzwyczajeniami i nawykami władcy elfów, które jutro okażą się przydatne. Skinął głową, jakby chciał potwierdzić sam sobie, że pamięta, i cisnął pergamin do piecyka.

– Teraz już tylko ty wiesz o moich planach – powiedział do Kłamczucha siedzącego na jednej z gablotek. – I jakby co, będę wiedział, kto mnie wyspał.

Pluszak nie za bardzo przejął się groźbą. Przeciwnie, błysk w jego plastikowym oku mógł świadczyć o rozbawieniu.

Loki ponownie westchnął i niechętnie podszedł do lustra. Wiedział jednak, że jeżeli wszystko, co

nastąpi jutro, ma się udać, będzie musiał być jak najbardziej sobą. Sobą Lokim, a nie starym, tłustym elfim rogakzem. Oczywiście bez obrazy...

Raz jeszcze zerknął w stronę wejścia, ale Bajki wciąż nie było. Może wystraszyła się Tytanii?

– Seks przed zawodami przynosi pecha – burknął Kłamca i złapawszy się za nos, przesunął go na policzek.

Wybrzeża Skandynawii

To wcale nie jest przerażające – przekonywał się w myślach Eryk. *Ani obrzydliwe. A już zupełnie nie ma nic złego w tym, że cię to podnieca.*

Bo podniecało, i to bardzo. Widok kobiety jego marzeń, Walkirii zesłanej przez Asów, by zrodziła mu tysiące małych, walecznych wikingów-gentlemanów, gdy tak wsadzała ręce w rozprutą trumnę, by ograbić leżące tam ciało z kosztowności, działał na niego jak jeszcze nic na świecie. Miał ochotę zejść tam do niej, zedrzeć z niej bluzkę i...

I nic. Bo bał się saperki. I tego, co dziewczyna ze snów – niegdysiejsza Mary Ann, teraz Sygin – miała w oczach. To spojrzenie, to żądanie bezwzględności, stanowiło w połączeniu ze wspomnianym już narzędziem groźbę realną jak bliskowschodni konflikt zbrojny. Eryk wolał więc nie ryzykować i podkręcać się z dystansu.

Tymczasem Sygin właśnie się wyprostowała i otrzepała trzymany w rękach naszyjnik.

Przez chwilę przyglądała mu się krytycznie, potem wytarła o bluzkę i spojrzała ponownie. Widać za drugim razem wszystko było już w porządku, bo założyła ozdobę na szyję i podniosła się z kolan. Z kieszeni wyciągnęła pierścionie zdjęte z trupa już wcześniej i po kolei ponakładała je na palce.

Ostatni raz spojrzała na zwłoki – z mumifikowane już, wyschnięte, z czerwiem w pustym oczodole i ustami ściągniętymi w dzióbek.

– Ech, te piersi – westchnęła, po czym schyliła się po saperkę i wyciągnęła rękę do Eryka, by pomógł jej wyjść z dołu.

Uczynił to ochoczo, ale – wbrew nadziei – nie doczekał się wdzięczności. Sygin dostrzegła bowiem wyrzucenie w jego spodniach i zamiast podziękować, zapytała: – To kluczyki od samochodu czy zawsze tak się cieszysz, jak twoja randka ograbia trupy?

Eryk wyszczerzył się jak idiota. Oczywiście z całego zdania usłyszał tylko *twoja randka*, bo to sugerowało, że nie wszystko było jeszcze stracone.

– Chodźmy już – powiedziała Sygin, wzdychając ciężko. – Nie mamy tu nic więcej do roboty.

Ruszyła w stronę samochodu, po drodze podnosząc z ziemi książkę, która ją tu przywołała. Przyjrzała jej się z ciekawością. Ze skórzanej okładki ewidentnie wystawało ludzkie ucho.

Eryk dogonił ją przy samym aucie i otworzył jej drzwi.

– Ja oczywiście nie chcę wnikać specjalnie, bo to twoja rzecz, piękna, ale skąd właściwie wiedziałaś, że tam jest ciało? I po co ci ta cała biżuteria, którą zabrałaś?

Sygin wsiadła do samochodu.

– Opowiem ci w drodze.

A potem, gdy już ruszyli drogą w dół wzniesienia, wyjaśniła: – Ciało, które tam znaleźliśmy, to moje ciało. Byłam boginią Asgardu i zginęłam, stając w obronie mojego męża, a on pochował mnie tu i zasadził to drzewo. Te ozdoby, które mam na sobie, to amulety i pamiątki, rzeczy, które miały mi towarzyszyć w wiecznej drodze. Nie chciałam ich tutaj zostawiać, skoro już wróciłam. Coś jeszcze chcesz wiedzieć?

Eryk chciał.

– W jakim obrzędzie brałaś ślub? – zapytał.

Sygin zaskoczona przechyliła głowę.

– Czemu o to pytasz?

Szwed wzruszył ramionami.

– Ot tak, bez powodu. Wiesz, ciekawi mnie, czy w przysiędze była fraza *póki śmierć nas nie rozłączy*, bo jeśli tak, to technicznie rzecz biorąc...

– Eryk, czy ty w ogóle słuchałeś? Powiedziałam ci, że byłam boginią!!

– Dla mnie, Sygin, wciąż jesteś – odparł Szwed dumny, że udało mu się tak ładnie poprowadzić tę

rozmowę.

Widział to kiedyś w jakimś filmie i zapamiętał raz na zawsze – nie przekonasz wariata, że jest szalony, tak jak nie wpoisz dziecku, które boi się potwora spod łóżka, że go tam nie ma. Z szaleńcami, jak z dziećmi właśnie, grasz na ich podwórku. A gdy piękna, ale ewidentnie trzepnięta jak kogel-mogel kobieta mówi ci, że jest boginią, ciągniesz jej grę, jeżeli chcesz, żeby ona pociągnęła... no, twoją.

– To dokąd teraz jedziemy? – Eryk zabębnił palcami w kierownicę. – Mogę cię zawieźć, dokąd tylko zechcesz.

Sygin przejechała paznokciem po ozdobnym naszyjniku.

– Hmm, pomyślmy – powiedziała. – Loki z pewnością udałby się gdzieś, gdzie jest mnóstwo pięknych kobiet, dobre jedzenie i masa głupców, których mógłby nabierać.

Gdzie jest najwięcej pięknych kobiet?

– Dla mnie piękna jesteś tylko... – zaczął Eryk, ale umilkł, bo znów znalazł się pod saperkowym spojrzeniem. – ...to znaczy... chyba... Paryż. Tak sędzę przynajmniej.

– No dobrze. Zatem zaczniemy od Paryża. Potem pomyślimy, co dalej – stwierdziła Sygin i odwróciła się do okna, z miejsca tracąc całe zainteresowanie.

Eryk zerkał na nią raz po raz jeszcze przez dłuższą chwilę, ale gdy spostrzegł, że rozmowy już raczej teraz nie ukreści, westchnął ciężko i włączył radio.

Niedługo potem wjechali na autostradę.

Rozdział 6

Dolina

Było południe, gdy Loki jadący konno na czele kolumny kolorowych wozów dotarł wreszcie do Królewskiej Doliny. Wtedy jego oczom ukazała się stolica elfów. Nie zmieniła się wiele od dnia, gdy Loki, jeszcze jako jeden z Asów, odwiedzał ją po raz ostatni, a mimo to Kłamcę zdumiał jej widok.

B niewątpliwie wciąż zachwycała architektonicznym rozmachem i stylistyczną różnorodnością, a także górowała rozmiarem nad wszystkimi mijanymi wioskami i miasteczkami Doliny wziętymi razem. Jednocześnie stanowiła teraz jakby miniaturkę siebie z dawnych lat, przypominała pamiątkowe modele budowy zamknięte w śniegowych kulach.

Być może była to konfrontacja napęczniałych wspomnień z suchą rzeczywistością, ale raczej chodziło o to, że jeśli ktoś – jak Loki – widział choć raz w życiu Nowy Jork, żadne inne miasto na świecie nigdy już nie wydało mu się dość duże, kulturowo zróżnicowane i niezwykle. No chyba że Tokio, gdy już wszyscy się tam wreszcie przeniosą.

Inna rzecz, że stolica elfów nie za bardzo mogła się rozrosnąć. Zbudowano ją na górkim szczycie wyrastającym w środku Doliny i otoczonym bezdenną przepaścią jak fosą. Miało to, rzecz jasna, swoje plusy – na przykład miasta nie otaczały warowne mury, dzięki czemu już z daleka można było dojrzeć jego piękną architekturę – ale raczej nie sprzyjało rozbudowie. Oczywiście można było jeszcze w dół, eksploatować skałę poniżej poziomu dna doliny, ale trudno było sobie wyobrazić tych, którzy chcieliby mieszkać w miejscu, do którego – dosłownie – słońce nie dochodzi.

Już dziś, jeżeli nie byłeś arystokratą, poruszanie się po mieście wymagało ciągłego wędrowania po schodach, drabinach czy wciągania się na górę w prymitywnych windach. Do najniższych, a więc najuboższych dzielnic, architekturą i kolorystyką do złudzenia przypominających brazylijskie fawele, rzadko kiedy zapuszczała się straż czy konserwatorzy zabezpieczeń. Co z kolei prowadziło do wielu wypadków z udziałem bezdennej przepaści. Nie trzeba było wiele – wystarczyło, że ktoś nie wziął ze sobą portfela na spacer albo okazał się zbyt pyskawy wobec niewłaściwej osoby, i już nieszczęście gotowe.

Mało kto jednak interesował się maluczkimi z dołu, gdyż już od pierwszej chwili w Dolinie całą uwagę zajmował szczyt i stojący na nim wspaniały zamek Oberona i Tytanii.

Nieważne, ile razy go widziałeś, widok strzelistych wież, dachów krytych złotem, wiszących ogrodów pełnych egzotycznego kwiecia czy kryształowych tarasów wychodzących wprost w chmury każdorazowo robił wrażenie. A Loki wiedział przecież, że to, co na zewnątrz, było ledwie namiastką tego, co znajdowało się w środku. I aż pożałował, że spędzi tam ledwie dwa, może trzy dni...

– Mówię ci, mały – poklepał przytroczoną do siodła przepastną sakwę, z której wystawała pluszowa główka misia – jak się raz walniesz w te puchowe poduchy, to nie będziesz chciał wyjeżdżać.

– Wasza Wysokość coś mówił? – zainteresował się jadący obok młody szlachcic.

Loki nie potrafił skojarzyć jego twarzy, umiejscowić jej w tłumie gapiów przy arenie, ale winna mogła być temu jego paradna zbroja, jedna z tych, w których nawet angielski książę Karol wyglądałby jak przystojny i waleczny mąż stanu.

Na co dzień ów szlachecki podrostek mógł być nieodróżnialny od swoich parobków, teraz jednak prezentował się nad wyraz... bogato. Wypolerowane naramienniki lśniły szkarłatem, hełm skrzył się drogimi kamieniami, a z samego środka napierśnika spośród fantastycznych zdobień wyglądał znudzony, zezowaty lew z lekko rozdziawionym pyskiem. W założeniu artysty miał pewnie ryczeć.

Kłamca przypomniał sobie, że już kiedyś widział ten herb. Taki sam mieli ci, którzy dekady temu nieomal zafundowali mu lot w przepaść. Na rozkaz Oberona oczywiście.

– Przypomnij mi, mój drogi – zapytał teraz Loki. – Jak brzmiało rodowe zawołanie twego domu? Lew zaziewa? Ziewnie? Bo nigdy nie pamiętam...

Młokos skrzywił się odrobinę i tylko na sekundę. Musiał przywyknąć do podobnych uwag od prawdziwego Oberona.

– Bardzo śmieszne, panie – odparł, cedząc słowa. – Czy to nie jest już aby pora, by wydać rozkaz zadęcia w trąby?

Loki chciał już odpowiedzieć, ale ktoś jadący po jego drugiej stronie wśliznął się swymi słowy tuż przed jego niewypowiedziane zdanie.

– To chyba najwyższa pora, panie mój i władco. Niech lud zdąży się przygotować na powrót wielkiego jelenia. Wszak wiesz, że zawsze wyglądają go z radością.

Kłamca odwrócił się w samą porę, by na pełnej blizny twarzy jednego ze swoich najbliższych strażników dostrzec drwiący uśmiech. Zmarszczył czoło, ale rzut oka na herb na zapince peleryny strażnika szybko rozwiął jego wątpliwości. Widniał tam miniaturowy ziewający lew, identyczny jak u chłopaka i taki sam jak u tych młodych watażków, którzy chcieli go dawno temu wrzucić w przepaść. Kto wie, być może strażnik był wtedy jednym z nich? Wiek by się zgadzał.

Loki skarcił się w myślach za nieuwagę. Przez tyle dni studiował pilnie wszystkie obecne przy Oberonie rody, ich marzenia, obawy i cele, a zapomniał, że choć jego strażnicy, gdy wstępowali w pałacową służbę, przyjmowali zbroję gwardii, to przecież nie wyrzekali się swego rodu. To bardzo poważne niedopatrzenie właśnie kosztowało go jednego potencjalnego sojusznika.

Mógł mieć tylko nadzieję, że takich przeoczeń nie było więcej. A dał się tak skontrolować byle elfowi tylko dlatego, że jego umysł nieustannie toczył walkę z wolą władcy Doliny.

Powiało od zawietrznej i Loki skrzywił się, marszcząc nos.

– Rany – powiedział na głos. – Ależ ten sztandar cuchnie...

Gdyby wspaniałość władców oceniać po paradach na ich cześć, Oberon nie miałby konkurencji w żadnym ze znanych światów. Gdy wjeżdżał na szeroki i długi most wiodący nad przepaścią, witali go dosłownie wszyscy mieszkańcy stolicy. Zewsząd powiewały chorągiewki, dzieci śpiewały pieśń na cześć wielkiego wodza – jak na spontaniczny śpiew, zaskakująco rytmicznie i melodyjnie – a kobiety prezentowały swe wdzięki. Trudno powiedzieć, czy z zamiarem uwiedzenia władcy, czy też ot tak, po prostu, bo to jedyna okazja, kiedy mogły się pokazać we wszystkich swych błyskotkach bez obawy, że ktoś je im ukradnie. Podczas podobnych uroczystości na każdego potencjalnego złodzieja przypadało bowiem dwóch strażników.

Oficjalnie pilnowali porządku. W praktyce spędzali tłumy z każdego zakątka miasta i jednocześnie dbali, by na rozlicznych transparentach nie pojawiały się nieodpowiednie hasła, jak na przykład: *Królu, jesteśmy głodni!* albo *Królewski sztandar to dziesięć obiadów dla naszych dzieci*. Już sama sugestia, że ktoś nie jest szczęśliwy, mieszkając w tak pięknej stolicy, u podnóża najpiękniejszego z zamków, trąciła obraźliwą dla władzy niewdzięcznością.

Dlatego jedyne napisy, które Loki ujrzał tego słonecznego dnia, odnosiły się do wspaniałości Oberona, jego hojności i rozlicznych, danych mu przez naturę przymiotów.

Kłamca uznał, że gdyby te ostatnie były prawdziwe, do pełnego wzwodu Oberon potrzebowałby transfuzji od połowy swych poddanych.

Tymczasem orszak królewski zbliżał się do połowy mostu. Zdaniem Kłamcy, który pocił

się przeraźliwie w swym wielkim, rogatym hełmie i co rusz wznosił niemal omdlałą rękę do pozdrowień, działało się to stanowczo zbyt wolno. Zwłaszcza że potem czekała go jeszcze podróż windą i dopiero wtedy krótka chwila wytchnienia w pałacu. Ta winda – elegancka, zewnętrzna, z kryształową kabiną – stanowiła wykonany przez karły prezent od Odyna. Dawno temu była z pewnością prawdziwym hitem, ale to było jeszcze w czasach przed wymyśleniem klimatyzacji. I zanim naukowcy zorientowali się, że kryształ działa jak soczewka.

Dasz radę – powtarzał sobie Kłamca. *Skoro ten rogaty głąb dawał, to ty dasz tym bardziej i dziś wieczorem będziesz się z tego...*

Przerwał i zamrugał kilka razy, by odpędzić wpadające mu do oczu kropelki potu.

Następnie mocniej wyteżył wzrok.

Czyżby właśnie pośród gawiedzi dojrzał Bajkę? Czy to ona uśmiechnęła się do niego i zaraz zniknęła

przesłonięta wielkim transparentem: *Król Oberon mógłby nawet jeża...*

znaczy gdyby chciał?

Nie myśl o niej, durniu – skarcił się.

Spiął konia i nie bacząc na straż, pognał w stronę miasta. Im szybciej dotrze do zamku, tym szybciej znów stanie się sobą. Oberon mógł nie wiedzieć, jak sobie poradzić z kołającą mu w myślach elfką, ale Loki, ten prawdziwy, który szykował się już do powrotu z wykałaczką w zębach i spluwą w ręce, wie na pewno.

– Strzeż się, Antychryście – mruknął Loki, w pełnym galopie przejeżdżając przez bramę. – Jeszcze tej nocy wracasz do papy.

Biegun północny

Do tego momentu trzymał się całkiem niezłe, ale ledwie przekroczył próg swojej celi, natychmiast zaczął dygotać. Kolana ugięły się pod nim, ale udało mu się jakoś utrzymać równowagę; rozczapierzona dłoń, którą wsparł się o ścianę, przypominała teraz wielkiego, łysego, poirytowanego pająka. Zachichotał nerwowo na to skojarzenie.

Musisz wziąć się w garść, grubasie, mogą na ciebie patrzeć – pomyślał. I chyba pomogło, bo przynajmniej udało mu się stanąć pewnie, choć w nieco zbyt szerokim rozkroku. Wyglądał teraz trochę jak kowboj, który za dużo czasu na raz spędził w siodle. Jego dłoń na ścianie wciąż przypominała pająka...

Co takiego było w tym Mikołaju, że myśl o konfrontacji napełniła go takim strachem?

Owszem, święty był w dobrej kondycji, ale, na litość, odkąd pracowali z Lokim, wraz z Erosem...

– No właśnie. Razem.

Ta myśl była tak głośna, tak wyraźna, że nie mogła pozostać tylko myślą, musiała zostać wypowiedziana. Do tej pory bóg wina zawsze trzymał się w cieniu, zawsze był

tylko tym śmiesznym, pociesznym grubasem, który chcąc nie chcąc łądował wszystkich w kłopoty. Wiecznie wstawiony, wiecznie rozpasany bożek, który pozbył się swego imienia tylko po to, by wkurzyć ojca. A teraz? Nagle przyszło mu nie tylko realizować coś w pojedynkę, ale i stworzyć własny plan. A że właśnie zrealizował pierwszy etap, było za późno, by mógł się wycofać. Pozostawał mu już tylko jeden kierunek, nieważne, dokąd prowadził. A gdy już skontaktuje się z baronem...

Pochylił się nad pryczą, chcąc usiąść, ale nagle zawisł z tyłkiem ledwie parę centymetrów nad łóżkiem. Pod jego nieobecność ktoś był w celi i zostawił wiadomość.

Notka krótka, zaledwie kilka słów usypanych solą na kocu, ale jakże treściwa.

Czegokolwiek potrzebujesz. Poduszka. S.

Bachus uśmiechnął się pod nosem. Strzepnął sól i zdjęwszy buty, położył się, zakładając ręce za głowę. Sięgnął pod poduszkę i wyjął spod niej maleńki notes i ołówki. Naprędce wynotował wszystko, co wydawało mu się niezbędne, potrzebne lub po prostu budujące dramatyzm. Był przekonany, że pod tym względem faerie nie różniły się za bardzo od ludzi – im również wystarczyło we właściwym momencie zagrać na emocjach, włączyć finalne sceny z „Bravehearta” czy śmierć Mufasy, by ze łzami w oczach zrobiły wszystko, cokolwiek im powiesz... To właśnie stąd brał się patriotyzm i inne podobne mu bzdury.

Gdy już Bachus skończył spisywać swoją listę, wrzucił notes pod łóżko i zamknął oczy.

Teraz wystarczyło tylko czekać, aż czarna, wężolubna, przerośnięta wróżka czaszuszka zrobi swoje.

Bóg wina był przekonany, że nie potrwa to długo.

Ktoś szarpnął go za ramię, wypowiedział jego imię. Bachus leniwie otworzył oko i zaraz, błyskawicznie rozbudzony, poderwał się i walnął głową o górną pryczę. Zaklął szpetnie.

Stojący przy łóżku Mikołaj pogroził mu palcem, choć na jego twarzy malowało się raczej rozbawienie niż gniew. Gdyby nie monopol wizerunkowy, jaki wprowadziła na całym świecie Coca-Cola, pewnie tak właśnie wyglądałby święty na pocztówkach. Mniej rubasznie, za to dużo, dużo przystojniej.

– Ładnie to tak mówić przy świętych? – zapytał.

Bachus rozmasował bolące miejsce.

– A ładnie to tak zwracać uwagę bogu? – odparował.

– Nie jesteś moim bogiem.

– A ty moim świętym.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Mikołaj ze zmarszczonym czołem, a Bachus ze zboląłą miną, wściekły, że zaspał i dał się podejść. W końcu to święty przełamał ciszę.

– No dobra, *touche* – przyznał i wyszczerzył się w uśmiechu. – Nie spotkaliśmy się tutaj przecież, żeby rozmawiać o teologii, prawda? Chciałeś mi przedstawić jakiś plan, tak?

Zatem jestem. I słucham.

Tylko że ja nie mam ci zbyt wiele do powiedzenia – zdał sobie sprawę Bachus. Czy też inaczej, nie mam ci do zaoferowania nic prócz mrzonek opartych na założeniu, że będę miał wszystko, co jest mi potrzebne. A na razie nie mam, bo zaspałem, a mój czarnoskóry kumpel, ten sam, który pomógł karłom wyciąć cię ze stanowiska, z pewnością jeszcze nie zdążył odebrać mojej mikołajkowej listy. Że już nie wspomnę o spełnieniu żądań. Nie ma co, gruby Bachus skrewił po raz kolejny. Nie nada...

I wtedy właśnie bóg wina dostrzegł na ścianie cień. Bardzo delikatny, ledwie szarawy na kremowej ścianie, ale jednak widoczny. I nienależący ani do niego, ani do Mikołaja.

Cień, zauważony, pomachał, a potem kucnął i rozciągnąwszy rękę po podłodze, wskazał na przestrzeń pod łóżkiem. Bachus uśmiechnął się mimowolnie. Najwyraźniej poczta voodoo działała szybciej, niż myślał.

– Mogę wiedzieć, na co czekamy? – zapytał Mikołaj. – Czyżbyś się rozmyślił?

– Ależ skąd. – Bóg wina pokręcił głową. – Czekam tylko, aż pozbędziesz się świty.

Wybacz, ale już z ufaniem tobie mam pewien problem, a w dodatku jedna z tych podfruwajek usiłowała mnie zabić, pamiętasz?

Święty odwrócił się i, rzeczywiście, za swoimi plecami dostrzegł kilkanaście faerii wychylających się zza rogu, siedzących na barierce czy też patrzących z poziomu wyżej za pomocą lusterka na patyku. Większość bez cienia wątpliwości słyszała słowa Bachusa, ale żaden wrózek nie wyglądał, jakby się gdziekolwiek wybierał. Jeden nawet, ten z barierki, widząc, że bóg wina akurat na niego patrzy, przyłożył do oczu palce środkowy i wskazujący, a potem tak przekręcił nadgarstek, by oba palce wskazywały na Bachusa. *Obserwuję cię* – mówił ten gest. *Zrób coś głupiego, no spraw mi tę przyjemność* – dodawała mina.

Na prośbę Mikołaja wszyscy się jednak rozpierzchli. Trochę z ociąganiem, zerkając za siebie i przestrzegając Mikołaja, by nie ufał grubasowi, ale poszli. Dopiero wtedy święty wrócił do celi, a Bachus uklęknął i sięgnął pod łóżko.

Chwila nerwowego macania podłogi eksplodowała mu w głowie tysiącem wątpliwości. A co, jeśli się pomylił, jeśli wcale nie widział cienia albo jeśli cień sugerował raczej, że trzeba będzie poczekać, a potem przeszedł przez podłogę, co Bachus opacznie zrozumiał? Wreszcie co, jeśli Samedy tak naprawdę chciał tylko napuścić swoich dwóch wrogów na siebie i doprowadzić do konfrontacji, po której nieważne, kto wygra, i tak będzie jednego wroga mniej...

Nagle poczuł coś pod palcami. Odetchnął z ulgą. Chwycił, przyciągnął, w końcu wsadził pod łóżko drugą rękę i wyciągnął szeroką skórzaną tubę.

Tuląc ją do siebie jak niemowlę, niezgrabnie podniósł się z kłęczek.

– Tu mamy wszystko, co będzie nam potrzebne – stwierdził.

W myślach zaś dodał: *Mam nadzieję.*

Mikołaj nie wyglądał na ucieszonego. Wręcz przeciwnie, na widok tuby cofnął się o krok i złapał za kratę, gotów własnoręcznie ją zasunąć, jeśli tylko Bachus zrobiłby choć pół

kroku w jego stronę. Bóg wina jednak, zamiast chodzić, otworzył pakunek i wysypał

zawartość na łóżko. W środku znajdowały się dwie zwinięte w rulon mapy, paczka plasteliny samoutwardzalnej, dziecięca puchowa kurtka, małe gogle i trochę jedzenia. Wreszcie pudełeczko, a w nim małe młoteczek i równie mały brzeszczot.

– Odkryłem to już zaraz na samym początku. Zdałem sobie sprawę, że w bojlerze na ciepłą wodę w łazience mieści się mniej wody, niżby mogło. Skorzystałem z tego, że wszyscy bali się brać ze mną prysznic, rozkręciłem cholerstwo i znalazłem to. Ale siedziałem cicho, nie wiedząc za bardzo, jak to wykorzystać. – Podniósł małe kurteczke. – Sam rozumiesz, nie za bardzo mój rozmiar.

Mikołaj skinął głową, nie odrywając wzroku od zawartości tuby.

– Z początku myślałem – kontynuował Bachus – że może jakiś frujek ma dojścia na zewnątrz, więc

wystarczy gnojka przydybać i się dogadać, ale żaden nie reagował na podpuchy. Doszedłem więc do wniosku, że muszę zadziałać inaczej. Ty wydawałeś się dobrym pomysłem, w końcu znasz tu wszystkich, a w dodatku...

Rozwinął pierwszą z map, tę większą, która, jak się okazało, przedstawiała całą Mikołajową bazę. Spośród wszystkich budynków tylko dwa były zaznaczone – magazyn i jakaś maleńka stróżówka przy murze. Bachus zaprosił Mikołaja gestem i postukał w kartkę.

– W dodatku możesz mi pomóc wykorzystać ten plan do czegoś więcej niż zwykłej ucieczki.

Święty zbliżył się, pochylił i przez chwilę studiował mapę, najwyraźniej porównując ją z obrazem w swojej głowie. Gdy uznał, że wszystko się zgadza, przeniósł wzrok na Bachusa.

– Co masz na myśli, mówiąc *czegoś więcej*?

Bóg wina rozpromienił się w uśmiechu. Szło mu tak dobrze, że nawet Kłamca musiałyby być z niego dumny. Rozgrywał świętoszka, jak tylko chciał.

– Te dupki, czarnuch i ten drugi, wystawili mnie i wpakowali do więzienia – powiedział. – Nie zamierzam pozwolić, żeby uszło im to płazem. A skoro tak bardzo zależało im na tym biegunie... zamierzam pomóc ci go odzyskać. Pod warunkiem, że oddasz mi potem Samediego i Światowida.

Wiedział już, że wygrał. Wiedział, gdy tylko spojrział w oczy świętego i zobaczył w nich pierwsze gwiazdki nadziei. Teraz wystarczyło go tylko spętać detalami i zapewnić, że jego plan jest naprawdę niezawodny. A potem... Potem zrobi się ciekawiej.

Mikołaj obiema rękami przecesał długie włosy i splótł ręce na potylicy. Przygryzł dolną wargę, zmrużył oczy, usta ściągnął w ciup. Wreszcie po dłuższej chwili skinął delikatnie głową.

– Dobrze, chcę poznać szczegóły.

Bachus z radością spełnił życzenie świętego.

Pieć

Ktoś mógłby się zastanawiać, po co w Piekle skaner siatkówki czy grube na dwa metry stalowe wrota z zawiasami wspomagany hydraulicznie. Było to jak najbardziej zasadne pytanie, zważywszy na to, że oba elementy zupełnie nie pasowały do i tak przecież luźnego pod względem form wystroju Pieć. Rzecz w tym jednak, że aby uzyskać na nie odpowiedź, trzeba by zapytać o to samego Lucyfera i liczyć na to, że będzie akurat w humorze, żeby odpowiedzieć.

Zdaniem Mammona, tego dnia okoliczności były jak najbardziej sprzyjające, ale choć zżerała go ciekawość, powstrzymał się od zadania pytania. Wytrzymał już tyle, że te parę chwil, zanim wrota wreszcie staną otworem i niespodzianka Lucyfera przestanie być tajemnicą, naprawdę nie stanowiło już różnicy.

Poza tym dużo bardziej nurtowała go inna sprawa.

– Panie – powiedział, rozkładając turystyczny stolik przed dwoma wędkarskimi krzeselkami, które Lucyfer kazał mu tu przytaszczyć – nie chciałbym podważać twoich decyzji, ale czy powierzenie losów świata w ręce dziecka, takiego prawdziwego, nie pod przykrywką jak ty, to na pewno dobry pomysł? Ten Tommy...

– Poradzi sobie świetnie – odparł Lucyfer. – Nie doceniasz Australijczyków za kółkiem, Mammonie. A to, niestety, bardzo wyraźny dowód na to, że nie oglądałeś „Mad Maksa”.

– Przejrzałeś mnie, panie – przyznał demon ze skrucą. – Ale pamiętam, że polecałeś go szczególnie i jest na mojej liście, gdy tylko to wszystko... się skończy. No, gotowe.

Usiedli, a Lucyfer wyjął z torby kolejny tablet. Wyglądało na to, że rozpakowywanie tych zabawek z folii sprawiało mu wielką radość.

– A wiesz, Mammonie – powiedział, uruchamiając urządzenie – że rozważałem kiedyś otworzenie specjalnego kręgu Pieć dla ludzi, którzy mówią: *Mam to na swojej liście*?

Nie, to nic osobistego, ty akurat rzeczywiście możesz liczyć, że będziesz miał całą wieczność. Ale oni? Skąd pyszne założenie, że mogą sobie teraz pozwolić na kolejne czytanie „Zmierchu” albo setną powtórkę „American pie”, bo na takiego „Ojca chrestnego” zawsze będą mieli czas kiedyś?!

Dotknął ekranu, by zrobić zbliżenie, po czym podał tablet Mammonowi.

– Ty trzymaj, ja robię się przy tym zbyt nerwowo. Nie lubię komedii sytuacyjnych.

Ujęcie było z góry, jak przystało na widok z satelity, ale Mammon nie miał większego kłopotu

z rozpoznaniem ani pojmanych żołnierzy piekielnej armii, ani skutych książąt.

Jak na dłoni widział też archanioła Michała, który jeszcze przed momentem rozmawiał z jeńcami, a teraz już frunął nad swym wojskiem w stronę pustynnego pagórka, zza którego właśnie wyjeżdżał...

– Jest i Tommy! Lecą do niego, zaraz go obsiądą. Michał już wylądował. Idzie...

Lucyfer wstał z krzeselka i podszedł do stalowych wrót. Przejechał palcem po nitach.

– Tam, z boku, masz podgląd z drugiej kamery, na samochodzie – powiedział. – Widzisz? To malutkie okienko... a tu jeszcze z sarkofagu, można by rzec, oko naszego martwego ewangelisty. Jak Michał wejdzie w jej zasięg, to włącz nagrywanie ze wszystkich trzech widoków.

– Dobrze, gotowe.

Mammon odłożył tablet na stolik, wyprostował się, odchrząknął. Miał wrażenie, czuł, że wyrażając swój brak zaufania wobec Lucyferowego powiernika sarkofagu, trochę jednak Władcy Piekieł podpadł, więc spróbował na szybko zatrzeć złe wrażenie.

– A swoją drogą, panie – powiedział, a jego głos brzmiał jak szelest studolarówek – wybaczone, że znowu przemówię tak otwarcie, ale pomijając mój brak zaufania do tego dziecka za kółkiem, nie mogę wyjść z podziwu nad twym planem. Za jednym zamachem wygrać bitwę i pozbyć się wszystkich książąt, którzy mogą zagrozić niepodzielności twojej władzy! To majstersztyk!

– To banał, Mammonie, zerznąłem go z „Bravehearta” – odparł Lucyfer. Wyciągnął z kieszeni ołówek i zaczął przekładać go między palcami. – W dodatku ma jedną straszliwą wadę, której, niestety, nie da się przeskoczyć.

Podszedł do demona i pochylił się nad nim.

– Zabijając swoich ludzi – wyszeptał – tracisz zaufanie tych, którzy przeżyli. Już zawsze będą przekonani, że gdy coś pójdzie nie tak, oni będą następnymi. Prawda?

Mammon zawahał się, zanim odpowiedział. Czy to był test? Czy Lucyfer chciał go sprawdzić?

– Skoro tak twierdzisz, panie – odpowiedział w końcu.

To wydało mu się najlepszą opcją.

I rzeczywiście, Lucyfer parsknął śmiechem.

– Za to właśnie cię cenię, Mammonie. Zawsze wiesz, co powinieneś powiedzieć. A przy okazji, znasz sztuczkę z ołówkiem?

Zanim Mammon zdążył odpowiedzieć, Lucyfer postawił przed nim ołówek na sztorc i wskazał na niego, a gdy demon pochylił się lekko, Lucyfer złapał go za głowę i z całej siły uderzył nią o blat.

Rozległ się nieprzyjemny dźwięk, gdy ołówek wszedł w oko, potem w mózg. Ciało demona wyprężyło się w nagłym kurczu, po czym w jednej chwili zwiotczało.

Lucyfer wytarł ręce o spodnie i westchnął.

– „Mrocznego rycerza” pewnie też miałeś na liście, prawda? – powiedział do zwłok. – Kto w dzisiejszych czasach nie wie, co to sztuczka z ołówkiem?!

Podszedł do panelu obok wrót i najpierw wpisał cyfrowy kod, a potem przyłożył twarz do skanera. Syknęła hydraulika i wrota zaczęły się powoli otwierać...

Australia

Michał przyglądał się chłopcu, a ten odwzajemniał się archaniołowi równie hardym i pewnym siebie spojrzeniem. Najwyraźniej nie bał się ani skrzydeł, ani ognistego tatuażu, blizn czy wielkiego, ognistego miecza.

Wódz Zastępów musiał przyznać, że taka postawa robiła na nim wrażenie, i tym bardziej czuł coś bliskiego żalowi z powodu konieczności uśmiercenia chłopca. Bo przecież oczywiste było, że szczeniak przybył od Lucyfera po to, by wciągnąć ich w pułapkę.

– Co wiesz? – zapytał.

Dzieciak splunął na piasek.

– Skrzynię – odparł.

– Od Lucyfera? – upewnił się archanioł.

– Nie, od Teddy’ego. Poprostu.

No tak – skrzywił się Michał. Te kłamliwe przydomki i fałszywe osobowości. Jakież to wszystko

obrzydliwe. Schował miecz i rozłożywszy skrzydła, wzbił się do lotu.

– Dzieciaka zabić, skrzynię zakopać tak głęboko, żeby nikt jej nie odnalazł – rozkazał już z powietrza.

I wtedy chłopiec za kierownicą najpierw się wzdrygnął, a potem roześmiał chrapliwie.

Dopiero po chwili dotarło do archanioła, że ów śmiech brzmi jak szumy na taśmie magnetycznej albo w radio. Dzieciak posłużył Lucyferowi jako wielki dyktafon. I teraz odtwarzał nagranie.

– Już drugi raz nie dałeś mi się podejść, braciszku. Jesteś jak ten Doc Holliday, który był tak szybki i dobry, że nawet śmierć bała się stanąć z nim do pojedynku. W końcu zabiła go suchotami.

Michał potrząsnął głową. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie musiał znosić gadanie tego Upadłego. Ile czasu jeszcze, zanim zetnie mu ten jego łeb i raz na zawsze zamknie sprawę tej planety, jej twórców i walki o rząd ich dusz? Kiedy uda mu się wreszcie dopełnić dzieła Pana?

– A wiesz, braciszku, że w historii Hollidaya jest morał? – mówił dalej Lucyfer głosem charczącym jak z taśmy. – Taki mianowicie, że choćbyś nie wiem jak się starał, ze śmiercią nie wygrasz. Ona zawsze jest ostatnia i czeka na każdego... A ciebie właśnie znała...

Michał zareagował błyskawicznie. Odwrócił się w powietrzu, jednocześnie dobywając miecza, wziął zamach i cisnął bronią w chłopca. Ostrze obróciło się kilka razy, kreśląc w powietrzu płonące koło, i nim którykolwiek z obecnych wokoło aniołów zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, wbiło się w chłopca, niemal przechodząc na wylot.

Tak, to była szybka reakcja, najszybsza możliwa. Niestety, i tak spóźniona, a co gorsza, niewymierzona właściwie. Ułamek sekundy potem rozległo się bowiem ciche kliknięcie i skrzynia umieszczona na pace się otworzyła. Tylko odrobinę, ledwie milimetr, ale to wystarczyło, by wydostał się z niej błękitno-szary obłok. W ten sposób święty Jan, czwarty spośród Jeźdźców, dołączył właśnie do Apokalipsy.

Z pewnością poetyckie byłoby stwierdzenie, że archanioł odszedł jako pierwszy, względnie ostatni spośród zgromadzonych wokół auta skrzydlatych, ale prawdziwe życie pisze się jednak prozą. Michał był czwarty.

Gdy spadał, zdążył jeszcze zawołać:

– Wybacz mi, P...

A potem zarył twarzą w piasek i zgasł.

Część II
Ups... Już nie

Dolina

Przy kryształowej windzie czekał już na niego Żądełko w otoczeniu pałacowej straży. Loki zsiadł z konia, zdjął hełm i oddał go służącemu.

– Proszę, proszę, Żądełko – zawołał wesoło, ściągnając rękawicę. – Jak ty paradnie wyglądasz.

– Panie. – Elf skłonił się nisko.

Uczył to jako jedyny, bo pałacowa straż wciąż stała wyprężona w pełnej gotowości i całkowitym bezruchu. Zupełnie inaczej, niż Kłamca zapamiętał to z ostatniego pobytu w Dolinie. Wtedy, Loki był tego pewien, Oberon był łasy na każdy salut czy pokłon, nieważne, czy od chłopca w polu, czy od boskiego gościa. Teraz najwyraźniej coś się zmieniło i warto, jeśli to możliwe, szybko dowiedzieć się, co takiego. I czy wymaga to modyfikacji planów.

Tymczasem jednak Kłamca miał do odegrania rolę. Nieważne bowiem, jak bardzo obojętna wydawała się widownia, można było iść o zakład, że wszystkiemu przyglądają się z uwagą. Nawet, a może zwłaszcza, swojemu władcy.

Dlatego też Loki podszedł do Żądełka i przyjrzał mu się uważnie.

– Koszula to chyba najlepszy jedwab, jaki mieliśmy na zamku – stwierdził. – Nie zdziwiłbym się, gdyby Tytania poświęciła na to coś mojego. I tak, jej zdaniem, nie korzystam z połowy swej garderoby. Musnął palcami skórzaną kurtkę i zagwizdał cichutko z zachwytem.

– O, i jednorożec! Nieźle!

Żądełko uśmiechnął się niepewnie. Skromnie, czy może raczej przepraszająco?

Nieważne, jego oczy i tak mówiły Kłamcy wszystko, czego wcześniej nie powiedział strój. A to znaczyło, że pierwsza cegielka planu jest już w murze.

– Królowa bardzo przeprasza, że nie zjechała do ciebie osobiście, panie – odezwał się Żądełko – ale dobiera właśnie nowe mamki dla dziecka. Wczorajsza przed karmieniem objadła się cytrusów i dziedzic miał potem przez całą noc kolki.

– Nic nie szkodzi – stwierdził Loki.

Wspiął się po trzech niskich schodkach, ale zanim wszedł do kryształowej kabiny, odwrócił się i rozkazał swojej osobistej straży, by poczekała.

– W tym draństwie jest i tak dość gorąco, nawet bez bandy dyszącej mi w kark – stwierdził. – Przyjedziecie z następnym kursem. Teraz tylko Żądełko.

Dowódca straży chciał zaprotestować, ale Loki nie dał mu dojść do słowa.

– Tak, wiem, że powinienem na niego uważać, ale przyjrzyj się tym portkom. Są tak ciasne, że żyły na fujarzy można mu policzyć, i na pewno nie chowa w nich noża. Swoją drogą, Żądełko, jak ty w ogóle możesz w tym chodzić?!

Nie czekając na odpowiedź, Loki wstąpił do windy i oparł się o ścianę. Złotowłose elf również wsiadł i zamknął kryształowe drzwi. Rozległ się czysty, wibrujący dźwięk, jakby ktoś uderzył w kamerton, i winda ruszyła.

– Musiała cię naprawdę polubić – stwierdził Kłamca ni stąd, ni zowąd. – Powiedz, ubierała cię jak wielką lalkę czy tylko się przyglądała, jak robiły to jej służki?

Żądełko zwiesił głowę, ale i tak widać było, że poczerwieniał. Nawet ściany kryształowej windy przybrały rubinową barwę.

– Panie, ja naprawdę... ja tylko chciałem... Wykonywałem twoje rozkazy, panie. I to wszystko...

Kłamca uderzył go mocno otwartą ręką w twarz. Ten cios z pewnością zabolął ich obu.

– Zmuszasz mnie, bym żałował, że darowałem ci życie i przygarnąłem – warknął. – Nie sądzisz, że mam już dosyć jęczących pizd wokoło? A może sądzisz, że nie wiem, po co Tytania zabrała cię wcześniej

do pałacu? Przecież kazałem ci z nią jechać. Wiedziałem, że jeszcze tej nocy będziesz ją rznął.

Żądełko potarł obity policzek, ale jednocześnie podniósł głowę i spojrzał Oberonowi prosto w oczy.

– Tak, panie – powiedział już dużo śmielej. – Wybacz chwilę słabości. Po prostu uznałem, że to wszystko, pałac, szaty, warte jest odrobiny pokory. Nawet jeśli spodnie rzeczywiście piją niemilosiernie. No i nie byłem pewien, czy wczoraj dobrze cię rozumiałem.

– No, tak już lepiej. – Loki przecesał ręką mokre od potu włosy. – Więc? Miałeś ją tej nocy?

– W nocy i z rana. I właściwie chwilę wcześniej, zanim tu do ciebie zjechałem, panie.

Królowa, jak by to powiedzieć, bardzo się za tobą stęskniła.

– Rozumiem. A czy powiedziała ci już, że chce, żebyś mnie zastąpił?

Na twarzy elfa pojawił się pełen zdumienia uśmiech.

– To żart, prawda, panie? – upewnił się. – Nie sądzę, żeby królowa kiedykolwiek...

– Jeśli jeszcze tego nie zrobiła, powie ci to pewnie tej nocy, podczas gdy ja, pijany jak świnia, będę się taplał we własnych wymiocinach. No nie dziw się, tak jest po każdej większej uczcie. Tyle że do tej pory jej kochankowie mogli się pochwalić tylko przyrodzeniem, ty pierwszy masz mózg.

– Dziękuję, panie.

– Więc tym razem może poprosić na poważnie – dokończył Loki. – Zwłaszcza po miłosnych zapasach, na które cię wyciągnie, ledwie dopiję trzeci kielich.

– To bardzo smutne, Oberonie – stwierdził nagle Żądełko. – Nie zasłużyłeś na takie traktowanie.

– Ej! – Kłamca pogroził mu palcem. – To Tytanii masz robić dobrze, nie mnie.

– Oczywiście, panie. – Elf uśmiechnął się rozbijając.

Znowu był tym samym cwaniaczkiem, którego Kłamca zaprosił do swojej łóż, a który potem tak swobodnie interpretował dla Tytanii zasady elfballu.

– Możesz na mnie liczyć, Oberonie – dodał.

– Wiem – odparł Loki.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Żądełko odwrócił się, by podziwiać wykoślawiony przez kryształowe ściany krajobraz Doliny, Kłamca natomiast raz jeszcze powtórzył

sobie cały swój plan. Winda szumiała cichutko, co jakiś czas wpadając w rezonans za sprawą spadających na nią drobnych kamyczków.

Wreszcie kabina zatrzymała się na masywnej platformie, poniżej której rozpościerał się widok na Ogród Tysiąca Róż. To właśnie stąd, jak sądzili niektórzy, brały swój początek wszystkie gatunki róż we wszystkich światach i wymiarach. Gdyby wnioskować na podstawie ilości kwiatów i ich przemieszania w rzeźbionych kamiennych klombach, owi niektórzy mogli mieć całkiem sporo racji. Przez środek parku, niczym szara autostrada przez urokliwy park narodowy, biegł szeroki, brukowany chodnik wiodący aż do zamku.

I to właśnie tam, przy samej bramie wejściowej, czekała teraz Tytania w otoczeniu dwórek i z dzieckiem na ręku.

– Jeszcze jedno, Żądełko – przypomniał sobie Kłamca. – Chciałbym, żebyś zaniósł tę listę mistrzowi dzisiejszej ceremonii. Życzę sobie, by tak właśnie usiedli dzisiejsi goście.

Podał elfowi pergamin, a ten natychmiast schował go za pazuchę.

– Oczywiście, panie.

Niemal w tym samym momencie winda zatrzymała się ostatecznie i otworzyły się kryształowe drzwi.

W tej samej chwili Antychryst na rękach Tytanii rozdziawił swą małą gębę i jak nie ryknie!

No to jesteś w domu, Oberonie – pomyślał Loki, zasłaniając uszy. I naprawdę, stary, ciesz się, że nie żyjesz!

– Oto twój ojciec! – zawołała Tytania, gdy Loki zbliżył się już na tyle, by usłyszeć coś więcej niż tylko wrzask dziecka. – Wrócił nareszcie!

Choć brzmiało to jak wyrzut, przekaz wiadomości był jednak raczej pozytywny, trudno więc było zrozumieć, dlaczego na dźwięk tych słów maluch zaniósł się jeszcze głośniejszym płaczem. Może to z czystej złośliwości, która wszak leżała w jego antychryściej naturze. Może winę wciąż ponosiła mamka z nieodpowiednią dietą. Była też szansa, że dzieciak, słysząc o tacie, zwyczajnie spodziewał się u rodzica

racic i rogów innych niż te na zbroi.

Cóż, młody – pomyślał Kłamca – im szybciej się nauczysz, że życie to pasmo rozczarowań, tym łatwiej będzie ci zrozumieć, dlaczego cię zabiję. Więc może ucz się szybko, żeby nie odchodzić z tego świata z posmakiem goryczy.

I być może to za sprawą tej myśli albo też sokoła, który zaczął nagle krążyć nad głową królowej, Antychryst nagle umilkł. Ba, zakwilił nawet niewinnie.

– Oho, chyba autorytet ojca jednak działa – powiedział Loki.

– Przynajmniej do czasu, gdy dorośnie i straci do ciebie szacunek, Oberonie – odparowała Tytania. – Mam nadzieję, że po tym wypadzie nie przyniosłeś do łożnicy żadnych paskudnych chorób.

– Nic, czego... – Kłamca przerwał.

Chciał powiedzieć: *czego nie dałby ci wcześniej Żądełko*, ale wówczas mógł narazić swój plan. A ci dwoje przecież tak pięknie wyglądali razem.

– ...czego nie dostałabyś ode mnie wcześniej po wielokroć. Obawiam się, że znowu zleje cię pot, będziesz omdlewała i jęczała na przemian.

Nie dał jej tego skomentować, tylko odebrał syna i wciąż nie odrywając wzroku od Tytanii, podał chłopca dwórcę. Już wolnymi rękami objął Tytanię. Chwyciwszy ją lewą ręką za pośladek, wpił się ustami w jej usta. Zesztywniała, ale po chwili jej opór zelżał i oddała pocałunek. A gdy się od niej odsunął, uśmiechnęła się lubieżnie. Musnęła dłonią jego krocze.

– Czyżby zdradziły cię własne żądze, panie? Rzeczywiście tęskniłeś?

Loki wzruszył ramionami.

– Albo to, albo twój obraz w mej pamięci tak bardzo upiękaczył twą... Ach, dość tych głupich pogaduszek!

Wziął królową na ręce. Z satysfakcją wychwycił ukradkowe spojrzenie, jakie posłała w tym momencie Żądełku. Tuląc ją do swej szerokiej piersi, przestąpił próg pałacu.

– Nie przeszkadzać nam aż do uczty! – zawołał, ruszając korytarzem w głąb. I mając nadzieję, że wciąż pamięta drogę do królewskiej sypialni.

Piekło

Śmierć Mammona była konieczna – myślał Lucyfer, krocząc podziemnym korytarzem – ale dlaczego, do jasnej cholery, nie zrobiłem tego już na miejscu?!

I nie chodziło tu wcale o to, że tunel przypominał szpitalny korytarz rodem z horroru – te wszystkie migające jarzeniówki, odgłos kroków odbijający się echem od ścian – bo przecież Władca Piekieł był ponad przyziemne lęki. Nie miała znaczenia też cisza.

Empetrójka Lucyfera zawierała dyskografię wszystkich członków nieoficjalnego Klubu 27.

Prawdziwa przyczyna rozważań Lucyfera tkwiła głębiej, w nim samym. W tym, że był próżny i lubił być doceniany. A teraz nie będzie miał już nikogo, z kim mógłby podzielić się swoim przebiegłym, złożonym planem. No chyba że z Bogiem, jak ten wróci... ale Lucyfer wątpił, by staruszek docenił dobry przekręt.

Och, oczywiście znajdą się tacy, którym będzie można opowiedzieć o wszystkim już później, gdy Apokalipsa się dopełni, ludzkość odrodzi i ziemia odżyje na nowo. Pewnie ktoś spisze wtedy Biblię Szatana, ale taką porządną, nie te popłuczyny LaVeya, które bardziej niż nieświętą księgę przypominają „Jedz, módl się, kochaj” dla fanów death metalu.

Ale nawet ta nowa księga to już nie będzie to. Zaraz znajdą się sceptycy, którzy zarzucą masę błędów i anachronizmów, jak choćby jarzeniówki w Piekło, czy wreszcie powiedzą, że to żaden plan, tylko seria przypadków! A jak było, gdy anioły odwaliły jeden ze swoich najlepszych numerów i stworzyły przejście przez Morze Czerwone?

Należał im się za to pełen szacunek, a nie pieprzenie, że to przecież zdarza się samo z siebie.

Lucyfer westchnął. Wyciągnął z kieszeni iPhone'a i uruchomił dyktafon z pełną świadomością, jak żalosne jest to, co właśnie robi. Przyłożył aparat do ust.

– Dziennik wojenny Lucyfera – wymruczał, zniżając głos. Pozostawanie w ciele nastolatka nie pomagało brzmieć jak Punisher. – Wędruję teraz podziemnym korytarzem, świadom, że za sobą zostawiam zgłiszczą anielskiej i piekielnej armii.

Pierwszy etap Apokalipsy można już uznać za zamknięty. Anioły, jeśli nawet jakieś żyją i krążą po ziemi, stanowią już tylko margines, podobnie zresztą jak demony piekielne.

Najliczniejszą grupę stanowią prócz ludzi istoty mityczne, które jednak trudno uznawać za zjednoczoną siłę. Rozpierzchnięte, zagubione, gdy tylko dostaną sztandar, pod którym będą się mogły zjednoczyć, zrobią to natychmiast.

Lucyfer przystanął na chwilę. Nie wiedzieć czemu w tym momencie pomyślał o Kłamcy i o tym, jak nordycki bożek zniknął nagle z jego radarów. *Czy możliwe, że jeszcze żyje i gdzieś tam, widząc, co się święci, tfu! dzieje, planuje właśnie...*

– Nie – odpowiedział sam sobie na głos, by zagłuszyć wątpliwości. – Każde bóstwo, które patroluje kłamstwu, ma swój początek we mnie, bo ja jestem ojcem kłamstwa.

Każda ich myśl, każdy czyn ze mnie bierze swój początek i przeze mnie przechodzi!

Umilkł, a potem zdał sobie sprawę, że całą tę wypowiedź właśnie nagrał. Westchnął po raz drugi i ruszył dalej, przed siebie.

– No... tak że tego – powiedział po chwili, szukając w głowie myśli, na której skończył swój dotychczasowy wywód.

W końcu sobie przypomniał.

– Pierwszy etap Apokalipsy zgodnie ze swoim założeniem wprowadził chaos i stworzył doskonały punkt wyjściowy dla ambitnego władcy z potężną, zdyscyplinowaną armią, dzięki której będzie mógł natychmiast zaprowadzić nowy ład i porządek. Pytanie jednak, skąd można wziąć taką armię? I kogóż można by określić mianem tak światła... no szlag by to jasny!

Lucyfer cisnął iPhone'em przed siebie i patrzył, jak urządzenie, niczym płaski kamień rzucony prosto tuż nad powierzchnią wody, odbija się od podłogi kilka razy, aż wreszcie zatrzymuje przy białych drzwiach w oddali, na końcu korytarza.

– Dość robienia z siebie idioty, Teddy – powiedział Władca Ciemności. – Nie trzeba się było spieszyć z tym ołówkiem.

Co prawda, to prawda. Mammon, nawet z jego wąską wiedzą, wiedziałby, czym jest Limbo. Stwierdziłby co prawda, że owo piekło dla nieochrzczonych to debilizm Kościoła na ziemi niemający nic wspólnego z rzeczywistością... ale przynajmniej skojarzyłyby nazwę.

Być może nawet nie zdziwiłby się tak bardzo, gdyby się dowiedział, że Lucyfer jednak wprowadził ów poroniony papieski pomysł w życie, czyniąc z niego swoją tajną broń na wypadek Apokalipsy.

I wreszcie – to już naprawdę bardzo mało prawdopodobne, ale jakże byłoby zabawnie – istniała szansa,

że Mammon dostrzegłby ironię tej sytuacji: jedynym prawdziwym osiągnięciem Kościoła katolickiego było poddanie pomysłowi Szatanowi, jak załatwić ten świat na cacy.

Pękający iPhone zgrzytnął pod stopą Władcy Piekieł. Lucyfer nawet na niego nie spojrział. Złapał za klamkę i przez chwilę wsłuchiwał się w ciche dźwięki dochodzące zza drzwi: wykrzykiwane komendy, rytmicznie wysapywane śpiewy. Uśmiechnął się.

– Biercie i patrzcie. Oto dzieło moje – powiedział i pociągnął za klamkę.

Drzwi zaskrzypiały cichutko.

Paryż

Gdy Mando powiedział: *Sprawdzam*, w puli było około czterech milionów euro w kolekcjonerskich znaczkach. Elvis znalazł je w jednej z rozrzuconych po mieście kasetek depozytowych i przyniósł do domu wraz z nową porcją tekstów do zapamiętania dla ludzkości. Wartość znaczków określili na podstawie specjalnego katalogu, który również znajdował się w pudełku.

– Dwie pary – powiedział Mike. – Asy na dziesiątki.

– Ledwie parka – mruknął Elvis.

Był zły, bo wyjątkowo mu nie szło, a w następnym rozdaniu mógł stracić też trzymaną na koniec serii z „Gwiezdných wojen”. Zwłaszcza że Mando, zdechłak pieprzony, miał na nie straszną chrapkę.

Eros przestawił coś w wachlarzu, poskubał się po nosie, znowu coś przestawił. W

końcu rozłożył na podłodze karetkę dam i uśmiechnął się z satysfakcją.

– No nie patrzcie tak – powiedział, gdy Mando cisnął już swoją trójką waletów. – Cóż ja poradzę, że piękne panie zwykle mi sprzyjają i nie chcą mojej zguby?

A także – dodał w myślach – cóż poradzę, że prawdziwego pokera uczył mnie największy chyba kanciarz na świecie, facet, który używa pluszowego misia, by zaglądać ci w karty?

Pochylił się, by zgarnąć pulę, lecz niemal w tym samym momencie zawołała go Jenny.

Cofnął ręce.

– Panowie wybaczą – powiedział, wstając. – Damy to także obowiązki.

Oczywiście panowie wybaczyli mu z miejsca. Nie zdążył jeszcze zrobić dwóch kroków, a hieny już rozkradły pulę i połowę z tego, co Eros trzymał przed sobą.

Nic dziwnego, że przeżyli Apokalipsę – pomyślał bóg miłości – skoro mają mentalność cholernych karaluchów!

– Mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego – powiedział, stając przed Jenny. – Bo jak nie uda mi się odzyskać mojej serii z Rembrandtem, troszkę się wkurzę.

Dziewczyna spojrziała na niego swymi dwukolorowymi oczyma, jakby chciała powiedzieć: *Wszystko, co mówię, jest ważne.*

– Kończą nam się napoje – powiedziała. – Pójdiesz po nie ze mną?

Eros westchnął, ale posłusznie chwycił za stojący przy ścianie karabin. Sprawdził zawartość magazynka, przeładował.

– Chodźmy!

Cokolwiek by o Paryżu powiedzieć, jak bardzo drwić z drożyzny, kloszardów i śmierdzącej Sekwany, trzeba by było czegoś więcej niż Apokalipsa, by odebrać miastu jego romantyzm. Kto wie, może nawet teraz, gdy zamiast kamienic tu i ówdzie sterczały jedynie pojedyncze ściany, a chodniki zasypane były stosami ciał jak za rewolucji, francuska stolica zrobiła kolejny krok w stronę dekadentckiego ideału? Miłość kielkująca pośród gruzów, wyrastająca na skruszonych ceglach i pnąca się w górę niczym łuk tryumfalny, by potem...

Huk wystrzału spłoszył myśli Erosa. Skojarzenia i rozmyślenia wzbiły się ku niebu niczym gołębie przed Luwrem, na moment pozostawiając głowę boga miłości pustą niczym portfel turysty. Potrzebował chwili, by otrząsnąć się z tego dziwnego, nieprzyjemnego wrażenia.

– Mówiłaś coś? – zapytał idącą obok Jenny.

– Strzeliłam.

– Aha.

Rozejrzał się i dostrzegł pomiędzy zwalonymi drzewami bladokórą, oślizłą postać o wyłupiastych oczach. Z roztrzaskanego czoła wydostawała się szarawa, galaretowata substancja.

Nieźle oko – pomyślał.

– Dzięki – odparła Jenny.

Eros aż przystanął.

– Że co? Chcesz mi powiedzieć, że tak ci już zostało?! Że od teraz już zawsze będziesz czytała moje myśli i... i w ogóle?

To ostatnie nie było przejawem elokwencji, ale bóg miłości czuł się usprawiedliwiony sytuacją. Ta misja, opieka nad dziewczyną szefa, już od początku nie pachniała fiołkami. Teraz czuć było od niej nerdem tydzień po premierze dodatku do „World of Warcraft”.

– Jakbym słyszała Lokiego – uśmiechnęła się Jenny, po czym uniosła broń.

Tym razem nie musiała strzelać, to tylko foliowa torebka zatańczyła na wietrze przed ceglany murem.

– Musiałem kiedyś od niego podłapać – mruknął Eros.

A w myślach dodał: *Jemu już pewnie i tak nie jest potrzebne.*

– Słyszałam to! – obruszyła się Jenny. – Bardzo słabo, bo poza obrazem to chyba gaśnie. Ale jednak!

– Wiem – westchnął Eros i spróbował sprawdzonej sztuczki z wyobrażeniem sobie osła jebaki.

W realu szło mu jednak mniej sprawnie niż na obrazie. Podobnie jak w kinie – trójwymiar najwyraźniej szkodził przekazowi. W końcu Eros dał sobie spokój.

– No dobra – powiedział. – Zdradzisz mi wreszcie, po co właściwie wyszliśmy? Bo przecież nie po napoje. Na schodach stała cała zgrzewka coli.

Jenny przystanąła i odgarnęła gruz z ocalałej ławki. Usiadła.

– Musimy się stąd wynieść – stwierdziła, kładąc sobie karabin na kolanach. – Poszukać przyjaciół. Może...

– Kłamcy? – prychnął Eros. – Wiesz dobrze, że gdyby chciał, już dawno znalazłby sposób, by nas odszukać.

– Miałam na myśli Bachusa. – Jenny odgarnęła z twarzy kosmyk włosów, jednocześnie znacząc twarz śladem sady z brudnego palca. – Pewnie grubasek jeszcze gdzieś tam jest, a we dwójkę radzicie sobie jednak lepiej. Możliwe też, że uda nam się znaleźć Michała i poprosić o...

Bóg miłości znowu nie mógł się powstrzymać.

– Michał?! Masz na myśli tego gościa ze skrzydłami i spaloną mordą, który rozkazał zniszczyć to miasto z nami w środku?! Ten Michał?!

– Nie krzycz tak! Kto wie co za cholerstwo zaraz tu ściągniesz!

Oboje się rozejrzeli, ale wokoło wciąż były tylko gruzy. Nawet torebka zakończyła już występy.

– Poza tym to nie jego wina – dodała Jenny. – Widocznie takie miał rozkazy.

Eros pokiwał głową. *Rozkazy, jakżeby inaczej. Lek na sumienie ludzkości stosowany od stuleci, działający także na anioły i inne istoty mityczne. Popijając roztworem z ideałów.*

– Znowu myślisz jak Loki – upomniała go. – Słowo daję, czekam już chwili, kiedy przestanę słyszeć te twoje myśli, bo chwilami są obrzydliwe.

– Tak, wiem. I wierz mi, że ja również czekam tej chwili. – Usiadł koło niej. – Masz już jakiś plan, gdzie chcesz się udać? I czy zamierzasz brać ze sobą tę bandę z góry?

– Mogą się przydać – stwierdziła. – Skoro przeżyli tyle czasu z bilansem jednego ugryzienia, to znaczy, że nie są aż tacy beznadziejni. A co do celu, na razie myślałam o lotnisku. Jest szansa, że czai się tam jakiś zbłąkany pilot, który byłby skłonny polecieć z nami do Nowego Jorku. Loki... zawsze mówił, że gdyby coś się stało, to powinnam tam właśnie wrócić. Może tam się spotkamy?

Eros milczał przez chwilę. Wykruszył z kawałków betonu wygięty pręt zbrojeniowy i ściskając go w obu dłoniach jak laskę, zaczął kreślić przed sobą znaki. Większość z nich stanowiły greckie litery, ale był też schematyczny rysunek samolotu, serduszko i logo zespołu Kiss. To ostatnie pewnie dlatego, że ich płyta leżała na honorowym miejscu w cudownie ocalałej witrynie sklepowej naprzeciw.

– Samolotem przez niebo pełne rozszalałych aniołów – powiedział w końcu. – Brzmi jak szalona, romantyczna przygoda, Jenny. Na pewno chcesz ją ze mną przeżyć?

Słowa, które w założeniu były drwiną, już wypowiedziane zdradziecko zmieniły front i zabrzmiały całkiem poważnie.

Jenny spojrzała na towarzysza z lekkim zdumieniem.

– Jesteśmy w tym razem i pewnie tak już będzie do końca, Erosie. Czy tego chcesz czy nie. Poza tym zawsze mogłam trafić gorzej.

– Naprawdę tak sądzisz?

Uśmiechnęła się.

– Och, ja to wiem. Bachus w naszej sytuacji już dawno padłby na zawał i dał się zjeść, anioły... sam wiesz, a Loki pomagałby mi, dopóki by nie spostrzegł, że ma szansę się zmyć. Troska o bliskich nie jest jego mocną stroną.

W pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale w porę się powstrzymał. Oboje znali Kłamcę dobrze i wiedzieli, jak przedstawia się lista jego priorytetów. I jak jest krótka.

– No właśnie. – Jenny położyła Erosowi rękę na ramieniu. – Sam widzisz, że nie jesteś wcale najgorszym kompanem. To jak, pomożesz mi przekonać ekipę?

– Jak to do Nowego Jorku?! – zdziwił się Mike. – Co jest w Nowym Jorku?!

– Statua Wolności – odparł Elvis, wzruszając ramionami. – Mnie raczej zastanawia co innego. Wyszłicie po napoje, tak? I nagle wracacie z czymś takim? W sensie: lotniskiem, szukaniem pilota i porywaniem samolotu. Bo dobrze to rozumiem?

– Tak – odparła Jenny, jednocześnie lustrując Taidę.

Wiedziała dobrze, że w tej drużynie to właśnie ona będzie miała decydujące zdanie.

Przede wszystkim dlatego, że od dłuższej chwili nie wypuszczała z ręki glocka.

– Kurde, miałem kiedyś takiego zioma – przypomniał sobie Elvis. – Idziemy razem ulicą do sklepu, czy gdzieś tam, i on nagle mówi: *Mam pomysł. A godzinę później siedzimy w pociągu do Sopotu.*

Musiał dostrzec coś w spojrzeniu siedzącego naprzeciw Erosa, bo zaraz dodał: – To w chuj daleko. I rozumiesz... Godzinę później. Masz to, nie?

Eros miał. Odłożył trzymany w ręku kubek z kawą i raz jeszcze wyjaśnił: – Chcemy tylko spróbować dostać się na lotnisko, sprawdzić opcje. Gdyby udało się znaleźć pilota, który zawiezie nas do Stanów, byłoby świetnie, bo tam mamy z Jenny przyjaciół, którzy mieli duże szanse, żeby przeżyć. Jeśli nie... cóż, zawsze możemy tu wrócić.

To brzmiało całkiem rozsądnie. W dodatku pomysł, żeby ot tak, bez wizy polecieć do Stanów, dodawał smaczku całej sytuacji. Nagle Obama i ekipa z Langley nie wydawali się już tacy mocni. Właściwie to pozostawał tylko jeden problem, który – ponieważ spał

– nie został poruszony w pierwszej kolejności. Teraz jednak wskazał na niego Mike.

– A Mando? – zapytał. – Po prostu go tak zostawimy?

Eros uniósł brew.

– A niby czemu mielibyśmy go zostawiać?

– No jak to?! – obruszył się Elvis. – Zombie go ugryzł.

– No i? – zdziwił się bóg miłości. – Miał na sobie mundur pilota Pan Am? Koszulkę z samolotem albo coś innego, co może wywołać traumę?

Elvis aż sapnął.

– No przecież jak cię ugryzie zombie, to się zamieniasz w zombie! Wszyscy to wiedzą!

Eros uśmiechnął się paskudnie. Czy też raczej zamierzał, bo z jego urodą nawet taki grymas wyglądał po prostu uroczo.

– Pozostaje nam więc tylko mieć nadzieję, że ów zombie, zanim się przemienił, nie oglądał tanich horrorów – stwierdził. – Myślę jednak, że na razie możemy rozkuć i zabrać pana śpiocha z nami. Wygląda na takiego, który może dużo dźwigać.

Spojrzał na Jenny, a jego wzrok mówił: *Gotowe.* To znaczyło, że teraz jej kolej na ostateczny cios. I Jenny wiedziała, jak go zadać.

– Wiesz, Taida, że jeśli my nie zdecydujemy, to oni tak mogą do usranej śmierci? Tu trzeba pewnej kobiecej decyzji. I ja uważam, że to dobry pomysł.

Zadziałało. Godzinę później cała szóstka, obładowana wszystkim, co tylko warte było zabrania, opuściła paryskie poddasze.

Rozdział 8

Dolina

Przesadził. Albo to, albo wziął właśnie udział w scenie rodem z filmu „Kiedy Harry poznał Sally” w wersji fantasy, ale raczej nie podejrzewał, że rozciągnięta teraz na łóżku jak kotka Tytania udawała. Nie miała wszak specjalnych powodów, by sprawiać przyjemność Oberonowi. Przeciwnie nawet – drobna uszczypliwość pod kątem osłabionej przez dziewczki męskości z pewnością byłaby jej bardziej na rękę.

A mimo to krzyczała, gdy nadszedł każdy z czterech orgazmów, a jej paznokcie zostawiły głębokie, krwawe ślady na jego plecach. Teraz też patrzyła na niego z mieszaniną zdumienia i... zadowolenia. Zdecydowanie nie jak żona, która gardzi swym małżonkiem.

Więc jednak przesadził. Cholera jasna!

Kłamca usiadł na łóżku i prawą dłonią rozmasował skroń. Odrzucił kołdrę i opuścił nogi na podłogę.

– To już? Tak szybko? – zapytała Tytania.

Choć jej słowa były niewątpliwie szpilą, zdradził ją głos, w którym brzmiał autentyczny zawód. Ona naprawdę liczyła na jeszcze.

I Loki wiedział, że mógłby jej to dać. Czuł się zupełnie, jakby do jego własnych sił doszła jeszcze cała jurność rogatego władcy elfów, jakby właśnie zaliczył najdziwniejszy trójkąt w całym swym, niekrótkim przecieź, życiu. Gdyby tylko chciał, mógłby przycisnąć ją do siebie, wpić się w usta, dłonią sunąć po idealnej linii biodra, potem sięgnąć do pośladka i...

Nie – zbeształ się w myślach. Już i tak jesteś o jeden jej orgazm za daleko. Albo i dwa.

Kto wie czy to zapomnienie nie kosztowało go już całego planu.

– Tytanio, pani moja, nie chcesz chyba, bym padł bez sił podczas dzisiejszej uczyty?

Odwrocił głowę i uśmiechnął się do królowej, jednocześnie po omacku szukając spodni.

Zamiast nich trafił na Kłamczucha, który leżał na brzuchu, z łapkami wysuniętymi do góry, zupełnie jakby jeszcze przed chwilą podtrzymywał na nich głowę.

Podglądałeś, pluszowy świntuchu! – pomyślał Kłamca i uśmiech na jego twarzy jeszcze się poszerzył. Na taki grymas Tytania mogła odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

– Ha, ha, mężu mój – zawołała wesoło. – Wolę, byś padł bez sił w czasie uczyty, niżbyś miał spać się w jej trakcie, jak to masz w zwyczaju. Tak czy owak, nie będę miała z ciebie pożytku później, więc teraz... Oczywiście zrozumieć, jeśli nie masz już siły...

Tę prawdziwą już szpilę Tytania uzupełniła pozą i złośliwym grymasem. Odgarnęła blond loki i jednocześnie wysunęła smukłą stopę w kierunku Kłamcy.

Podczas rycerskiego turnieju byłby to pewnie odpowiednik opuszczenia kopii w pełnym galopie – jeśli jeszcze nie ruszyłeś, było już za późno. Mogłeś tylko uciec z pola lub przyjąć cios na korpus.

Loki westchnął. W sumie i tak już przesadził, a do uczyty była jeszcze chwila. Nigdzie mu się więc nie spieszyło.

Złapał Tytanię za kostkę i szarpnął, przekręcając królową na brzuch. Wsunął język między jej wypięte pośladki, a nogą przewrócił stołek, na którym leżał Kłamczuch.

Dość się naogłądałeś, pluszaku – pomyślał. Teraz możesz już tylko słuchać.

Było czego.

Tym razem Kłamca naprawdę przesadził.

Leżeli oboje, ociekając potem i dysząc ciężko, gdy nagle ktoś załomotał do drzwi.

– Wejść – powiedzieli niemal równocześnie.

Zupełnie nie dbali o przykrycie nagich ciał. Cóż, żadne z nich nie miało powodu, by czegokolwiek się wstydzić.

Drzwi skrzypnęły cicho i w progu pojawił się Żądełko. Miał na sobie biały kaftan zdobiony złotem

i złotą szarfę. Wyglądał trochę jak renesansowa wersja księcia z Disneyowskiego „Kopciuszka”. Włosy barwy miodu i zboża zaczesał do góry, co nadawało mu chłopięcego rysu, podobnie jak zwyczajowo bezczelny uśmiech.

– Pani, panie, już czas – ogłosił, gapiąc się bezwstydnie na gołe cycki Tytanii. – Goście już się schodzą, a błażni zaczęli swe pokazy z takim entuzjazmem, że już za chwilę może nam ich zabraknąć.

Loki podniósł się na łokciu.

– To znaczy? – zapytał.

– Znasz, panie, numer z beczką i jeżami? Tak, ten obleśny... Już dwaj nie wyszli z beczki. A trzeci naciera się właśnie masłem.

– No tak, w takim razie rzeczywiście już czas.

Kłamca obejrzał się na Tytanię. I wystarczyło mu to jedno spojrzenie, by wiedzieć, że mimo maratonu, który urządzili sobie przed chwilą, plan pozostaje w mocy. To, jak patrzyła na Żądełko, jak oboje świntuszyli spojrzeniami, zupełnie nie zważając na jego, Oberona, obecność... No cóż, najwyraźniej prawdę mówiła zasłyszana gdzieś w obozie pijacka przysięwka, że *nawet razem zebrani króla konni i dworzanie zaspokoić królowej już nie będą w stanie*.

– Moja królowo, dużo czasu potrzebujesz? – zapytał Kłamca, wstając i sięgając po spodnie i kaftan.

Widząc zdziwienie na jej twarzy, dodał pospiesznie: – Na ubranie i inne przygotowania.

– Będę gotowa szybciej niż ty, mój panie. Zwłaszcza że twoje komnaty są przecież po drugiej stronie zamku i musisz...

Przerwała, widząc, że Loki nagi zmierza w stronę drzwi.

– Chyba nie zamierzasz tak iść przez zamek, Oberonie! – oburzyła się.

Kłamca wzruszył ramionami.

– No przecież nie będę teraz zbierał całej tej zbroi. A poza tym to mój zamek i zamierzam czuć się swobodnie. Prawda, Żądełko?

Elf zawahał się na moment, posłał ukradkowe spojrzenie królowej, ale w końcu przyznał rację Oberonowi. *Bardzo dobrze*.

– Zadbaj jeszcze, o pani – Loki przystanął już w progu – by nasz potomek nie darł się za bardzo podczas ucztowania, bo zamierzam się dobrze bawić na uczcie ku mojej czci.

Tytania nie odpowiedziała, ale jej spojrzenie niemal dosłownie wypaliło mu dziury w plecach. *Fantastycznie!*

– Żądełko, weź pluszaka z podłogi i chodź ze mną – polecił jeszcze i wyszedł z sypialni królowej elfów.

Trzymany w zawiniątku z ubrań pistolet Oberona wyglądał teraz trochę jak złotoskóre niemowlę. Zabawne, zważywszy na to, co było mu przeznaczone.

Nazaret

Gabriel nie odwrócił się, gdy usłyszał dźwięk szkła zgrzytającego pod butem. Wciąż siedział w kucki, łokcie oparte na kolanach, czarne włosy targane wiatrem, dłonie splecione jak do modlitwy. Oczywiście przyjął tylko taką pozę, bo przecież nie było do kogo się modlić. Wiedział o tym, wiedział dobrze jak mało kto teraz na tym szalonym, pogrążonym w chaosie świecie. Więc tylko sobie siedział. I patrzył.

Wszystko, czego nie zbudowano z piaskowca, trawil teraz ogień. Czarny dym unosił się znad zrujnowanych domów, a na pylistych niegdyś drogach tamy z ciał spiętrzały rzekę krwi. Gdzieś w oddali zawodził nieszczęśnik, któremu kaprysem okrutnego losu udało się ująć poździe i teraz patrzył, jak jego miasto idzie w ślady jego bliskich. W powietrzu czuć było zapach melonów i palonych włosów.

Znów rozległ się zgrzyt podeszwy o szkło, tym razem dużo bliżej, tuż-tuż, a po chwili ktoś położył dłoń na ramieniu Gabriela.

– Wiem, Rafaelu – powiedział czarnowłosy archanioł. – Wiem, że nie żyje. Że oni wszyscy nie żyją.

Westchnął, odgarnął włosy z twarzy, pokiwał głową.

– Nie jestem już jej posłańcem – dodał – ale Śmierć najwyraźniej wciąż chce, żebym był na bieżąco. Poczulem, gdy odszedł.

Drugi archanioł przykucnął obok w podobnej pozie. Gabriel zerknął na niego i dostrzegł, że jego twarz, ciemna jak razowy chleb, porośnięta jest zarostem w kolorze białego złota. Oczy Rafaela przybrały

turkusową barwę, a jego ręce po łokcie utyłane były we krwi. Jasnej, szkarłatnej... świeżej.

Gabriel nie musiał się odwracać, by wiedzieć, skąd krew pochodzi. Znowu odgarnął włosy z twarzy. I znowu westchnął.

– Zrobiłeś to – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Mnie nie starczyło odwagi. Chciałem, myślałem o tym i wciąż myślę, ale potem dociera do mnie, że... Kim wtedy będę, kim stałbym się, gdyby...? No właśnie, jak to jest, Rafaelu? Kim teraz jesteś?

Drugi z archaniołów wzruszył ramionami. Kąciki jego ust uniosły się lekko, ale zaraz opadły. Wskazał ręką przed siebie, w stronę zachodzącego słońca.

Gabriel nie miał pojęcia, co ten gest może oznaczać.

– A wiesz, że to tu? Dokładnie w tym miejscu? – zapytał, podnosząc się z klęczek.

Rozłożył ręce i skrzydła, przeciągnął się. – To znaczy nie tak wysoko, wiesz przecież.

Ale to właśnie tu zwiastowałem Marii. Tu po raz pierwszy przyszedłem zapowiedzieć życie, a nie śmierć. Pomyślałbyś, że potem postawię w tym miejscu pocztę? Kłamca powiedziała, że to aż trąci tanim symbolizmem.

Rafaël wciąż nie odzywał się ani słowem. Żeby patrzeć na słońce, musiał przysłonić czoło ręką, a i tak mrużył oczy, krzywił się. Mimo to nie przestawał.

– Myślisz, że Lucyferowi chodziło o to od początku? – zapytał po chwili Gabriel, skopując na dół grudkę gruzu. Ruszył powoli po krawędzi dachu otulony trzema parami skrzydeł. – Że chciał tylko chaosu i tego, byśmy wszyscy, my i Upadli, zniknęli? Byśmy zostawili ziemię ludziom i tym dziwnym tworem ich wyobraźni jak Loki? Bo inaczej nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Nie umiem przyjąć śmierci Michała inaczej, jak tylko tłumacząc sobie, że ktoś wreszcie wymyślił, jak odegnąć to, co stare, i stworzyć nowy początek, mimo że Boga już nie ma. Nawet jeżeli tym kimś miałby być Lucyfer.

I znowu cisza. Gabriela zaczynało to powoli drażnić. Kiedyś, choć nie rozmawiali głośno, komunikowali się z Rafaelem nieustannie. Teraz gdy... Teraz milczenie było prawdziwe.

– Powiesz mi chociaż, co z nimi zrobiłeś? – zapytał w końcu.

Rafaël pokazał ręką w dół, na ulicę. Obok wraku wojskowej terenówki leżała wielka czarna torba, a z niej wystawały okrwawione skrzydła.

Gabriel przez chwilę przyglądał im się jak zahipnotyzowany.

– Powinieneś był je spalić. Zostawione tak mogą być niebezpieczne. Chodź, zejdziemy tam i się tym zajmujemy. A potem... cóż. Powinniśmy sobie znaleźć jakieś miejsce.

Rafaël wyprostował się i wytarł skrwawione ręce o spodnie. A potem, możliwe, że po raz pierwszy, wyszczerzył się w szerokim, beztroskim uśmiechu kogoś, kto wie, że zaczyna wszystko od nowa, z czystą kartą.

Jakże Gabriel zazdrościł mu teraz tego uśmiechu.

Biegun północny

Jeżeli Bachus miał wcześniej jakiegokolwiek wątpliwości na temat świętości Mikołaja, teraz rozwiały się one niczym mgła. I nie chodziło tu wcale o to, że niegdysiejszy gospodarz bieguna miał naturalną skłonność do czynienia dobra. O nie, pracując z Lokim, czytając dla niego różne materiały, hagiografie i świadectwa, Bachus już dawno nauczył się, że świętość i dobro niekoniecznie idą w parze. Przeciwnie nawet – czasem sobie szkodzą.

Nie, świętość Mikołaja była czymś w rodzaju stylu, szkoły, tradycji. Jak technika wykuwania japońskich mieczy albo smażenia najlepszych hamburgerów w całym cholernym Teksasie. W końcu czyż nie zostało powiedziane, że świętymi będą ci żyjący na podobieństwo Jezusa?

Podczas tłumaczenia faeriom planu święty bardzo wyraźnie trzymał się Jezusowych wytycznych. Konspirował z grupką nie większą niż dwanaście osób, zawsze udawał, że je w trakcie, i zamiast mówić wprost, trząsał pełne metafor monologami.

Zwłaszcza to ostatnie było irytujące, bo zabierało mnóstwo czasu i właściwie niczemu nie służyło.

Bachus nie potrafił pojąć, po co komu tekst w stylu: *Wróg wie, że słabość nasza tkwi w podziałach między nami, albowiem podobnie jak z drzazgą w oku bliźniego, którą dostrzegamy, choć belka przywalila nam w oczodół* – no dobra, to dość luźne przytoczenie – *tak i zalet własnych i tych bliźniego naszego*

pospołu dostrzec nie możemy. Dostrzegając je, odnajdziemy siłę.

No komu? Komu i na co potrzebne takie pieprzenie, skoro można powiedzieć po prostu: *Chłopaki, na górze tej klatki są pręty, które dla was są za trudne do wygięcia, ale ja i Bachus świetnie damy radę. Tyle że nie dolecimy, więc ktoś nas musi podsadzić.*

Ale nie, święci mają swój styl i najwyraźniej wierzą, że im bardziej zawile będą mówić, tym tekst będzie głębszy. Jakby nikt, zupełnie nikt na świecie nie brał pod uwagę, że Jezus po prostu lubił bajki i ćwiczył też w tym kierunku, na wypadek gdyby ścieżka zawodowa „Syn Boży” jednak nie wypaliła.

Trzeba było jednak przyznać, że przemowy działały. Na oczach Bachusa kolejne grupy faerii opuszczały celę Mikołaja z tym samym żarem rewolucji w oczach, z tą samą sprężystością ruchów i hardo zadartymi podbródkami. Gotowe do wdrożenia planu wielkiej ucieczki.

– Cóż, będzie się działo – mruknął pod nosem Bachus, gdy kolejna, przedostatnia już grupa minęła go bez zwracania na niego uwagi. Potarł ręką po potylicy i powoli, bez pośpiechu, poczłapał w stronę swojej celi.

Nic nie zacznie się przed świtem, wiedział o tym doskonale. Miał więc czas, by wszystko sobie powtórzyć i nawet zdrzemnąć się chwilę.

Albo dwie.

Piłka. Taka zwyczajna, zielono-biała palantówka. Zgodnie z utartym wzorem brakowało mu czegoś, co mógłby odbijać teraz od ściany, leżąc na pryczy i powtarzając sobie szczegóły ucieczki. Odczuwał ten brak niemal jak fizyczną stratę, choć w rzeczywistości przecież nigdy nie miał ani piłki, ani zwyczaju, by tłuc czymś o ściany.

Wzdrygnął się i uderzył otwartą ręką w twarz. Następnym krokiem ani chybi będzie harmonijka ustna. A po niej już nie ma odwrotu.

Powtórzył cios w twarz, tym razem mocniej, po czym poprawił z drugiej strony.

– Skup się, grubasie. Musisz być przekonujący. Krok pierwszy, faerie robią zamieszanie na dole, a w tym czasie te najsilniejsze unoszą nas ku sklepieniu, żebyśmy mogli rozgiąć kraty i wspiać się na klatkę. Krok drugi, ja i Mikołaj wędrujemy po prętach aż do okna hali, które wybijamy. Łapiemy się za oblodzony kabel, chcąc przejść po nim w stronę magazynu z bronią. Krok trzeci...

Bachus się zawahał. Nie, na pewno pamiętał i to tylko chwilowa zaćma umysłu, ale mimo to palce zaczęły go nerwowo swędzieć, kącik ust zadrżał, a lewa powieka...

– A co tam! – Bóg wina sapnął i udał, że ciska piłką w stronę ściany i zaraz potem ją łapie.

Podziałało, więc powtórzył czynność, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że wygląda teraz jak debil bądź dziecko grające na konsoli z Kinectem. Ewentualnie jak połączenie ich obu.

– Krok trzeci, gdy Mikołaj już zwisa na linie, a faerie czekają grzecznie w wybitym oknie, podnoszę stężenie alkoholu we krwi Mikołaja do poziomu *chwiejny rusek* i czekam, aż zachwieje się i straci kontrolę. Następnie zrozpaczony po jego upadku i śmierci niechętnie przejmuję dowództwo i...

Nie dokończył, bo nagle zazgrzytały główne wrota i na blok wpadła uzbrojona po zęby banda karłów.

Ustawili się w szpaler, podwójny, tak by z każdej strony były dwa rzędy ustawione do siebie plecami, a następnie wzniesli ku niebu halabardy. Na ten znak w progu pojawili się Samedy i Światowid.

Ten pierwszy był ubrany, jak kiedyś, wyłącznie w cylinder, za to w rękę trzymał

ogromną tubę. Jego towarzysz miał na sobie wdzianko Mikołaja wzbogacone o kilka ulepszeń, jak czerwona wędkarska kamizelka albo brązowe pasy z amunicją. I paczka lucky strike'ów wciśnięta za pasek Mikołajowej czapy.

W pierwszej chwili Bachus wystraszył się, że chodzi o niego. *Kto wie – pomyślał nagle – co temu czarnuchowi chodzi po głowie? Czy nagle nie uznał aby, że ujawnienie spisku przysłuży mu się bardziej niż śmierć świętego?*

Zaraz jednak czarnoskóry bóg rozwiął jego wątpliwości.

– Wróg u bram – zawołał do swej tuby. – Oferujemy amnestię każdemu, kto wraz z nami stanie do walki.

Coś było w jego głosie. Coś, czego Bachus wcześniej tam nie słyszał, a co sprawiło, że bóg wina mocniej uchwycił się poręczy i przechylił, wytężając wzrok. Miał rację, na twarzy Samediego malował się

autentyczny, szczerzy niepokój. Jeszcze nie strach, ale chyba najbliższej tego uczucia, jak tylko czarnoskóry mógł się znaleźć.

Wrażenie Bachusa potwierdziły kolejne słowa, które dobiegły z tuby: – Święty Mikołaju, jesteś nam potrzebny!

Dolina

Loki przyjrzał się krytycznie Oberonowemu odbiciu i poprawił mankiet koszuli. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że w zwierciadle widzi Bestię, po tym jak Płomyk, pani Imbryk i reszta wyszykowali go na spotkanie z Bellą.

To już drugie skojarzenie z Disneyem tego dnia – skarcił się w myślach. Po powrocie zdecydowanie koniec z kablówką.

Spojrzał na nie swoje dłonie, dziwnie drobne, jak na kogoś tej postury, przyjrzał się pierścieniom i sygnetom. W końcu odwrócił głowę i popatrzył na stojącego w kącie Żądełko.

– Podaj kaftan – polecił. – Tylko nie ten herbowy. Wszyscy chyba jeszcze wiedzą, kim jestem.

Elf skinął głową i sięgnął do szafy.

– Nadal uważam, panie, że nie zaszkodziłby ci chociaż napierśnik – powiedział, podając Kłamcy stalowoczarną ni to kurtkę, ni to przedłużoną marynarkę. – Dwór to siedlisko intryg wszelakich i, jakkolwiek nie śmiałybym rzucać podejrzenia na któregokolwiek z twoich lordów...

– Och, ależ właśnie to robisz, Żądełko. – Loki się uśmiechnął. – Sączysz jad w moje uszy, bym pomyślał, że wszyscy są mi wrogami, a ty jeden przyjacielem. W ten sposób liczysz na to, że uczynię cię lordem i nadam ci ziemie. Czyż nie tak?

Żądełko wzruszył ramionami i znów pokazał równiuteńkie zęby. W tym momencie dużo bardziej przypominał Kłamcę niż jego własne lustrzane odbicie.

– Cóż mogę powiedzieć, panie? – stwierdził elf. – Gdybyś tak uczynił, z pewnością któregoś ze swoich najwyższych lordów mógłbyś nazwać przystojnym. Wybacz, ale gdy widziałem schodzących się gości...

– Wybaczam! – Loki wszedł mu ostro w zdanie, a jego ton mówił wyraźnie, że owo wybaczenie nie sięga już następnego słowa. – Gdzie królowa? Czy już gotowa?

– Gdy ją ostatni raz widziałem, panie, doglądała dziedzica – odparł Żądełko. Jeśli gniew Kłamcy zaniepokoił go czy speszył, nie dał tego po sobie poznać. – Mogę udać się do niej, jeśli zechcesz, i powiedzieć, że jej oczekujesz.

Kłamca nałożył kaftan, zapiał go i sięgnął po pas z wielką srebrną kłamrą w kształcie głowy jelenia. Ubrany obejrzał się z każdej strony i wygładził wszystkie fałdy, a dopiero wtedy wcisnął na głowę skromny diadem.

Wyglądał dobrze.

Jak na elfa.

Jak na Oberona.

Czyli ogólnie raczej chujowo.

– Tak, Żądełko, myślę, że powinieneś pójść po królową – powiedział wreszcie Kłamca.

– Najwyższa pora, by zaczynać.

Czy też raczej kończyć – dopowiedział w myślach, patrząc za wychodzącym sługą. I wtedy w głowie, nie wiedzieć czemu, zabrzmiał mu motyw przewodni z „Bambi”.

– Tym razem nie zginie mama, tylko mały jelonek – szepnął Loki do Kłamczucha uwieszzonego na ramie lustra.

A potem westchnął i dodał:

– Zdecydowanie za dużo kreskówek.

Uroda Tytanii porażała. Gdyby z takim wyglądem, w tej samej srebrzystej sukni bez pleców i z głębokim dekoltem, królowa zjawiła się w Kodak Theatre, nie miałoby znaczenia, która z aktorek dostała Oscara. Nawet gdyby była to sama Meryl Streep nagrodzona statuetką za rolę chińskiej gejszy, która wyzwolona zostaje luksusową call girl ze skłonnością do alkoholizmu i hazardu, a finalnie pomaga Matce Teresie w Kalkucie, i tak na nic by się to nie zdało. Tytania w swej sukni *bierz mnie, jeśli zdołasz mnie z tego wyłuskać* zgarnęłaby komplet okładek. I pierwsze strony na wszystkich plotkarskich serwisach.

Nawet Loki potrzebował chwili, zanim przemówił.

– Wyglądasz... zachwycająco – stwierdził.

I zupełnie jakby poza epoką – dodał w myśli.

Królowa spojrzała wymownie na krocze Kłamcy i uśmiechnęła się zalotnie.

– Widzę – odparła. – Niestety, goście czekają.

Loki westchnął i podał jej ramię.

– Praca, praca, praca.

Ruszyli pogrążonym w półmroku korytarzem, a z oddali dochodziły ich już dźwięki biesiady. Zgodnie z zaleceniem Lokiego jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem zabawy odszpuntowano kilka beczek, a ich zawartość podano na stoły. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

– Zanim zjawiłam się u ciebie, Oberonie, zajrzałam do sali biesiadnej – powiedziała Tytania, gdy mijali jedną z wielkich, śmierdzących moczem donic na kwiaty. Nad nią wisiał gobelin przedstawiający Oberona szykującego jeden ze swych sztandarów. – Część lordów zjawiła się osobiście, większość jednak to młokosy, wskazane byłoby więc, gdybyś...

– Wiem, co mam zrobić, królowo – wszedł jej w zdanie Kłamca.

Rzeczywiście wiedział. Teraz już tylko powtarzał w głowie szczegóły.

Miał nadzieję, że cała ta obozowa powtórka z elfich rodów, ich koligacji, ambicji i obaw nie pójdzie na marne. Że nic się tak naprawdę nie zmieniło i każdy aktor na dzisiejszej scenie odegra swoją rolę, jak powinien. Potem mogą sobie nawet przepaść w nicość, to i tak nie będzie już miało znaczenia.

Pogładził się po kroczu, poprawiając ułożenie umieszczonego tam pistoletu, i zerknął w jedno z wiszących tu i ówdzie zwierciadeł, by upewnić się, że Żądełko wciąż jest za nim i wciąż łapczywie przygląda się tyłkowi Tytanii.

Wszystko idzie, jak powinno – pomyślał Loki. I z tą myślą wkroczył do sali biesiadnej.

Dolina



ażdy, kto kiedykolwiek uczestniczył w dowolnej imprezie integracyjnej, wie, że ma ona swoje bardzo restrykcyjne zasady. Najważniejsza z nich dotyczy samej istoty owych imprez, które, jak powszechnie wiadomo, służą wyłącznie temu, by pracownicy mogli stworzyć podwaliny pod przyszłe biurowe romanse, a szef mógł podbudować swoje ego kosztem podwładnych. Gdy więc przełożony w swojej mowie powitalnej brał sobie kogoś na cel, należało albo znieść to z pokorą i zapisać, albo – jeśli szczęśliwie wskazał kogoś innego – śmiać się i szydzić do rozpuku.

Z biesiadami królewskimi było podobnie. A przynajmniej Loki uważał, że przy odrobinie wysiłku i wydatnej pomocy wina i miodu uda się osiągnąć podobny efekt – mnóstwa zawstydzonych, pijanych gości chcących zmasać z siebie znamiona drwiny i szyderstwa i z tego powodu spółkujących nieudolnie pod stołami.

Wystarczyła podstawowa wiedza o obecnych, odpowiedni, zrozumieli dla wszystkich język i trochę polotu. Na szczęście Kłamca miał cały komplet, szedł więc pewnie między stołami z olśniewająco piękną Tytanią u boku, prostu ku podwyższeniu, gdzie znajdował się jego tron. Dopiero stanąwszy przed nim, odwrócił się i spojrzał na wysoką salę, ozdobioną smukłymi kolumnami, delikatnymi błękitno-zielonymi freskami na gładkich ścianach i zwieńczoną przeszklonym dachem. Pod tym słodkim niebem stoły uginały się wręcz od pieczeni i wędlin, serów i owoców, a także gąsiorów z trunkami.

Wszystko to było na swój sposób piękne, lecz przyglądając się wnętrzu sali, Kłamca chcąc nie chcąc zauważył też swoich biesiadników. Zrozumiał w jednej chwili, skąd wśród elfów moda na podmienianie potomstwa na ludzkie dzieci.

Większość tych, którzy towarzyszyli Oberonowi w jego podróży przez Dolinę, stanowili przedstawiciele najznamienitszych rodów, nie było jednak wśród nich pierwszych lordów i spadkobierców herbu i włości. Ci, czy to młodzi, czy starzy, trzymali się stale blisko dworu, mieli w pałacu swoje altany i drżeli w obawie, że byle bękart może zagrozić ich ambicjom.

Parzyli się więc między sobą, wiązali ród z rodem, a każdy kolejny potworek zrodzony z bliskiego kuzynostwa czy nawet rodzeństwa przybierał na znaczeniu w herbarzach. Ci, którzy zgromadzili się tego wieczora na uczcie, stanowili – według ksiąg – absolutną elitę. Nic więc dziwnego, że aż trudno było na nich patrzeć.

Kłamca jednak zniósł dzielnie widok powykrzywianych groteskowo gąb, spojrzenia osadzonych zbyt blisko oczu, dźwięk alergicznych pociągnięć zdeformowanych nosów.

Wiedział też, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z tym, co zaplanował, dołoży własne piętorko do tej chwiejnej karcianej wieży.

Puścił rękę Tytanii i pozwolił jej usiąść, następnie odwrócił się tyłem do biesiadników, sięgnął za pazuchę i wyjąwszy kilka listów, przywołał do siebie Żądełko.

– Są podpisane, rozdasz je właściwym lordom, gdy tylko zacznę wszystkich obrażać – powiedział cicho.

Brwi elfa uniosły się w zdumieniu.

– Obrażać, panie?

Loki machnął ręką. Nie miał ani czasu, ani ochoty tłumaczyć słudze, czym jest prawdziwy nowojorski *stand-up*. Głośno powiedział więc tylko: – Takie tam, ku ucieście tłumy.

A potem odgonił Żądełko gestem i znów zwrócił się w stronę ław. Uniósł rękę w pozdrowieniu i przemówił:

– Witajcie! Rad jestem widzieć was tu wszystkich i cieszą mnie wasze dobre humory.

Ufam, że jest to powodowane na równi winem, co faktem, że mnie tu widzicie.

Ponownie. Między wami.

Przerwał, powiódł wzrokiem po sali, szukając zrozumienia. No cóż... wyglądali, jakby słuchali. Uznał, że to najwyższa pora, by wejść w buty korpo-szefa.

– Widzę wśród was wiele nowych twarzy, o ile to są twarze, widzę jednak również znanych mi i bliskich damy i lordów, pozwólcie więc, że kilkoro spośród was wyróżnię i powitam specjalnie. O, na przykład lorda Trifollanta.

Wskazał dłonią na mężczyznę, którego jedynie kaftan z wyszytą na nim sową odróżniał od wyszorowanego do czysta wieprza. Nawet nos miał ów elf zadarty jak prosiak, nawet uszy szpiczaste i po świńsku odstające.

– Lord Trifollant to wielce szlachetny mąż i wszyscy tu wiele mu zawdzięczamy.

Mieliśmy stęchłe zapasy jada, a on pomógł nam w ich zjedzeniu. Jest to waleczny żarłok, ma wielkie serce w żołądku.

Roześmiali się, a to znaczyło, że Loki dobrze użył starej mowy. Jednak powtórka ze starego Williama okazała się przydatna.

– To prawda – poszedł za ciosem – lord Trifollant jest wypchanym człowiekiem. Lecz gdy mowa o tym, czym jest wypchany, cóż, wszyscy jesteśmy śmiertelni.

Kolejna salwa śmiechu. Charkliwa i skrzecząca, ale – co najważniejsze – dużo głośniejsza niż pierwsza. Lord Trifollant również śmiał się nerwowo, a przy tym – co ucieszyło Kłamcę najbardziej – w ciągu tych ledwie paru chwil zdążył osuszyć dwa kufle.

Pora więc była na następny cel. Tym razem Loki wypatrzył starego Euvendore’a, siedzącego jak zwykle w kącie i wyglądającego jak stare, wysuszone drzewo, które za wszelką cenę chce wyglądać dobrze i zdrowo. Stąd świeża farba na cienutkich, siwych włosach, stąd gorset nieumiejętnie skryty pod kaftanem.

– Oo, jest i Euvendore – zawołał Kłamca, biorąc od sługi wypełniony po brzegi kielich.

Wzniósł go nad głowę w toaście. – Podczas naszego ostatniego spotkania cztery z jego pięciu klepek przestały mu służyć i teraz jedna musi rządzić całym człowiekiem. Nie było mnie długo, niechże mnie zatem kto oświeci. Któż jest teraz jego towarzyszem? Co miesiąc zawiera z kim innym braterstwo na śmierć i życie.

Kolejna salwa śmiechu zabrzmiała nieco histerycznie, ale była głośna, a kielichy znów poszły w górę, więc wciąż wszystko było w porządku. Loki dostrzegł też, że między stołami zaczął krążyć Żądełko. Dostarczane przez niego sfałszowane propozycje rodowych mariaży przyjmowane były z wyraźnym zainteresowaniem.

Zanim jednak Kłamca wskazał na kolejnego ze swych gości, poczuł, że ktoś łapie go za mankiet. Odwrócił się więc i spojrzał prosto w oczy Tytanii.

– Możesz mi powiedzieć, Oberonie, cóż ty takiego wyprawiasz? – wycedziła królowa. – I dlaczego postanowiłeś obrazić naszych gości?

Loki uśmiechnął się łobuzersko, opróżnił kielich, po czym cisnął nim o ziemię i otarł usta rękawem.

– Królowo moja, nie rzekłem nic, czego dobre wino nie jest w stanie z pamięci wymazać. Pozwól mi się dobrze bawić.

Nie czekając na odpowiedź, obrócił się na pięcie i wskazał kolejnego nieszczęśnika, smukłego mężczyznę o prezencji komornika bądź też właściciela zakładu pogrzebowego rodem z Dzikiego Zachodu.

– A oto i Starderly, towarzysz wielu mych przygód. Łatwiej nań zapaść niż na zarazę, a ten, który się nim zakazi, natychmiast wpada w szaleństwo... Nie klaszczcie tyle.

Jedzcie i pijcie, coby się nie zmarnowało. Jest tu tyle jada, że nawet Trifollant nie da mu rady.

Kolejna salwa śmiechu, syk Tytanii, kolejne koperty dostarczone przez Żądełko. Kolejny też kielich w rękę Lokiego, tym razem jednak, zgodnie z cichym zaleceniem, wypełniony sokiem z malin.

– Cóż to, moja droga Pani Wzgardo! Więc jeszcze żyjesz?

I tu już ryk pod sam przeszklony sufit. Ktoś padł na swój talerz, tłukąc pięścią w blat stołu, ktoś inny przewrócił się na stołku. Najwyraźniej, uderzając ostrzem swej drwiny w wyniosłą lady o platynowych włosach, Loki utrafił wyjątkowo.

– Dość już tego – szepnęła za jego plecami Tytania. – Usiądźże wreszcie i zakosztuj jada. Pijesz już

szósty kielich!

Zauważyła – ucieszył się Kłamca. Świetnie, bo on też zauważył Żądelko i to, że wypełniwszy swą misję, elf siedział teraz z boku i ukradkiem przyglądał się królowej. I uśmiechał się, zapewne w odpowiedzi na jej uśmiechy.

– Będzie już, gdy skończę – wybełkotał Loki i zatoczył się, ciskając o ziemię kolejnym kielichem. Zaraz też wziął do ręki następny. – O, zobaczcie tam, hrabina Mallintorne!

Cóż, mówiąc szczerze, myślę, że jest zbyt niska, żeby ją wysoko chwalić, zbyt śniada, żeby ją jasno chwalić, i za drobna, żeby ją wielce chwalić. Mogę tylko tak ją zalecić, że gdyby była inna, niż jest, byłaby brzydka, a że jest taka, jaka jest, a nie inna, nie lubię jej.

Posypały się ze stołu następne talerze, a w kolejnej salwie śmiechu nie było już cienia nerwowości czy sztuczności. Stężenie alkoholu w żyłach osiągnęło pułap, gdy wszystko staje się autentycznie śmieszne, puszczają też ostatnie z obyczajowych barier. Loki kątem oka dostrzegł, że pierwsze *listowe pary* już zezują za dogodnym miejscem, by w dzikim szale zjednoczyć dwa domy.

To znaczyło, że już najwyższa pora na *grand finale*. Kłamca obrócił się na pięcie.

– Żądelko, oddaj mi pluszaka. Tytanio! Czy nie czas na małżeński pocałunek?

Tytania podniosła się ze swego tronu i spojrzała na małżonka z wyższością. Góra, która zatopiła Titanica, nie była ani tak wyniosła, ani tak zimna jak królowa elfów w tym momencie.

– Plugawe słowa to plugawy wiatr, a plugawy wiatr to plugawe tchnienie, a plugawe tchnienie ma przykrą woń. Dlatego odejdę nieucałowana.

Ruszyła w dół schodów, a za nią podążył Żądelko, wcześniej jednak wręczając Lokiemu Kłamczucha.

– Odprowadzę królową, jeśli pozwolisz, panie – szepnął w królewskie ucho, jakby deklamował przygotowaną zawczasu rolę. – Zbyt wielu w pałacu pijusów, by mogła teraz chodzić sama.

Rzeczywiście, część spośród elfich szlachciców opuszczała właśnie salę biesiadną, bynajmniej nie po to, by udać się na spoczynek. Gdyby w pałacu była choć jedna cnotliwa dwórka, jej cześć byłaby w owej chwili zagrożona.

– Słusznie, Żądelko – stwierdził Kłamca. – Idź więc za nią i miej na nią baczenie. A jak ci braknie, znajdź sobie jakąś dwórkę i przerznij na wylot. Gdy cię już mianuję szlachcicem, będziesz mógł dymać tylko takie szkarady.

Zatoczył ręką, wskazując na zebranych, bawiących się tak bądź inaczej gości.

Żądelko wyszczerzył się po swojemu.

– Z ładną to każdy potrafi, mój panie – stwierdził. – A z brzydką tylko prawdziwy mężczyzna.

To powiedziawszy, pognał za królową. Loki natomiast usiadł na swoim tronie i spod przykniętych oczu przyglądał się wywołanemu chaosowi.

Poczuł się nagle jak za starych, naprawdę starych lat.

Biegun północny

Mimo zimna, strachu i nerwów, jakie nim targały, Bachus potrafił docenić ironię. Oto święty, którego jeszcze przed chwilą planował zabić, teraz wyznacza go na swojego zaufanego i razem wychodzą z więziennego bloku pod eskortą tych, przeciwko którym jeszcze chwilę temu spiskowali, a którzy w rzeczywistości byli zleceńodawcami zabójcy świętego. Fabuła na francuską komedię pomyłek. Gdyby Louis de Funès żył i trochę przytył, pewnie z przyjemnością zagrałby boga wina.

Tak naprawdę jednak, choć na pozór zabawna, cała ta zmiana planów była wielce niepokojąca. Bo cóż to za wróg mógłby zaniepokoić pewnego siebie Murzyna i skłonić go do rozmowy ze świętym? I cóż za wróg był jednocześnie przeciwnikiem istoty mitycznej i chrześcijańskiego świętego?

Na te pytania Bachus, trzaskający zębami i sunący krok w krok za Mikołajem po ośnieżonym dziedzińcu biegunowej fabryki, odpowiedzieć nie umiał. Liczył jednak, że wkrótce dowie się wszystkiego. I że niezbędne wyjaśnienia padną gdzieś, gdzie jest ciepło.

Cóż, co do tego ostatniego mocno się przeliczył.

Samedi i Światowid nie odzywali się ani słowem do nikogo, także do siebie nawzajem.

Szli ramię w ramię, równym krokiem, jakby go ćwiczyli. Światowid wydawał się potężniejszy, ale to wyłącznie przez grubą kurtkę z futrzanym kołnierzem, którą miał na sobie. Zresztą nawet mimo tej różnicy

w posturze to Murzyn wzbudzał większy respekt.

Tym większy, że choć Samedi siedł nago, chłód nie obkurczył mu przyrodzenia i nadal wyglądało ono imponująco.

W końcu, po dłuższej chwili, wszyscy czterej – Samedi, Światowid, Mikołaj i Bachus – dotarli pod sam mur. Stamtąd windą przeznaczoną dla straży wjechali na górę.

Ich oczom ukazał się lodowy krajobraz pełen szczytów, lodowych pagórków, wzniesień i... nagich ludzi.

W pierwszej chwili nawet trudno było ich zauważyć. Biło od nich ciepło, które przechodziło w zwiewną mgiełkę, przysłaniającą ich czasem do kolan, czasem nawet do piersi. Przybysze stali w równych rzędach mimo nierówności terenu, zupełnie jakby formowali swe szeregi dokładnie pod miejsce. Wysocy i niscy, kobiety i mężczyźni – wszyscy w jednakowym, trudnym do ustalenia wieku między dwudziestką piątką a czterdziestką. Wszyscy idealnie umięśnieni, idealnie obojętni, niewzruszeni.

Gdyby byli blond, wyglądaliby jak dzieci z „Wioski przeklętych” Wyndhama, które dorosły, zdobyły dyplomy na AWF-ie, po czym gremialnie powróciły do dawnych zabaw.

Tyle że tym razem nago.

– Trudno powiedzieć, ilu ich tu jest – odezwał się Samedi. – Ale jedno jest pewne, w każdej chwili może być ich więcej.

– Skąd ten pomysł? – zapytał Mikołaj.

A wtedy Światowid gwizdnął przeciągle i zamachał ręką.

Bachus obejrzał się i dostrzegł, że kilkadziesiąt metrów dalej, również na murze, znajduje się wielki trebusz obsadzony przez grupę karłów. Na znak Światowida rzuciły się do pracy i po chwili wielki okrągły głaz pomknął w stronę armii przybyszy.

Uderzył gdzieś w środek, powodując ogromne straty i rozbijając grubą pokrywę lodu w śnieżny pył. Ten nie zdążył jednak opaść, gdy nagle lód rozstał się, a spod niego wypełzły kolejne setki golasów. Stanęli na miejscu poległych, uzupełniając szeregi.

– To już szósty taki kamień – wyjaśnił Światowid. – I ciągle robią to samo, wyłazą spod ziemi, uzupełniają szeregi i czekają w bezruchu. Ale w końcu uderzą.

Bachus spojrział na Mikołaja i z pewnym rozbawieniem odkrył, że ten wcale nie słucha.

Święty był skłonny okazywać zainteresowanie jemu, a nawet Samediemu, ale najwyraźniej ani myślał zwracać uwagę na uzurpatora. Kolejna ważna lekcja na temat świętości – można być małostkowym, a i tak się załapiesz.

– A jeśli to iluzja? – zapytał bóg, ponownie skupiając się na armii pod murami. – Jeśli próbują wzbudzić w nas strach i wmówić nam, że jest ich nieskończona ilość, a w rzeczywistości każdy kamień uszczupla ich rezerwy?

Samedi w zamyśleniu poskubał się po nosie. Nie wydawał się przekonany.

– Nie wiem, ale nie będziemy chyba słać kamienia za kamieniem w nieskończoność, by to sprawdzić.

– Loki tak właśnie by zrobił, baronie – odparł Bachus. – Chciałeś oddać mu dowództwo, pamiętasz? Więc taki właśnie byłby jego rozkaz.

– Kłamcy tu nie ma – odparł Światowid.

– I tu się właśnie mylisz, mój drogi.

Cała czwórka obróciła się w stronę, z której doszedł głos. Zobaczyli młodego chłopaka, na oko szesnastoletniego, który siedział na murze, dyndając nogami. W ręku trzymał nadgryzione jabłko. Uśmiechał się.

– Wszyscy kłamią, Światowidzie – powiedział. – I dlatego wszyscy, nawet nie będąc Kreteńczykami, są kłamcami. Ja jednak jestem pierwszym pośród nich, przodkiem i mistrzem ich wszystkich, rodzicem.

Wstał, cisnął jabłkiem w kierunku nagiej armii i wyciągnął rękę w stronę czwórki.

– Tak, Światowidzie. Jestem też twoim ojcem.

A potem zadyszał kilka razy, jakby miał na sobie maskę gazową. Nikt jednak nie zrozumiał żartu.

– To twoja armia, Lucyferze? – zapytał Samedi. – Skąd ją wzięłeś?

Dzieciak wzruszył ramionami.

– Och, miałem od zawsze, ale nie wynosiłem na podwórko, żeby nie popsuć.
Niespodzianki, rzecz jasna.

– Tak. – Murzyn pokiwał głową. – Niespodzianka to ci się udała. Całkiem imponująca liczba. Bo już, niestety, nie jakoś jednostek. Wyglądają bardzo, bardzo zwyczajnie.
Lucyfer zachichotał.

– Bo są zwyczajni. Niemal identyczni, powtarzalni i zwyczajni. Byliby idealni dla ciebie, Mikołaju. – Skłonił się świętemu. – Nie sprawialiby tylu problemów.
Święty zacisnął zęby, ale nic nie powiedział. Lucyfera wcale to nie ubodło.

– To nie ja wymyśliłem to całe Limbo, ale bardzo mi się spodobał pomysł – wyjaśnił. – Istoty, które nie dostały życia na ziemi albo umarły zbyt młodo, aby być go świadomym, nie boją się niczego. Formowane od samego początku przez setki lat, szkolone i indoktrynowane, są jak dzieci z koreańskiej podstawówki. Tylko bardziej.

Nawet wiek można im nakazać, nawet wzrost czy kolor oczu. Ty mówisz i tak jest.
Bezwzględnie posłuszne i oddane.

– Do pierwszej porażki – zadrwił Światowid.

– Cóż, to możliwe. Dlatego ani myślę dać im przegrać. Zwłaszcza że ich zapas nie jest nieskończony. Kilka lat temu papież w swej nieomyślności określił się wreszcie z oficjalnym stanowiskiem na temat Limbo i przestały do mnie napływać dusze płodów wyskrobanych w trzy miesiące po studniówce. I wszystkie inne też.

Zakręcił pirueta, ale potknął się i upadł na jedno kolano. Zaśmiał się z własnej niezdarności.

– Wciąż jednak jest ich kilka miliardów, obecnie w różnych miejscach na ziemi, ale całkiem sporo w okolicy. Co powoli sprowadza nas do kluczowego pytania: oddacie mi bieguna czy mam wraz z całą moją listą niegrzecznych dzieci wziąć go sobie sam?

– Nigdy! – wyrwał się Mikołaj. – Nie ma mowy, żebyś ty, pomiot ciemności, przejmował...
Lucyfer doskoczył do niego i z całej siły wyrzucił mu pięścią w twarz. Święty zachwiał się, a wtedy Księżę Ciemności poprawił kolejnym ciosem w brzuch i kopnął kolanem w twarz. Święty padł bez ruchu, zalany krwią.

Bachus zawahał się, niepewny, co powinien teraz zrobić, po czyjej stronie się opowiedzieć. Obejrzał się na Światowida i Samediego, ale dostrzegł tylko pierwszego z nich, przestraszonego, zaskoczonego, z rozdziawioną gębą. Czarnoskórego nigdzie nie...

I nagle, wiedziony przecuciem, Bachus spojrział w dół. Bingo! Niewielka dziura, identyczna z tą, w którą wpadli w Hortonville, właśnie się domykała. Samedy uciekał.

Idę z tobą – pomyślał bóg wina i wciągnąwszy brzuch, rzucił się na dziurę. Zdążył niemal w ostatniej chwili. Domykająca się przestrzeń przycięła mu kilka włosów.

Droga do Damaszku

W autobusie brakowało foteli, więc ludzie wstawali do środka wszystko, na czym można było siedzieć – skrzynki, metalowe kosze, krzesła z połamanymi oparciami, a nawet sofę. Wszystko to przybite gwoździami do podłogi przypominało dworcowy salon kloszarda. Tyle że mobilny i z oknami.

W środku nie było tłoku, ale jak na obecne okoliczności, pasażerów i tak było sporo.

Surowe, ogorzałe twarze, czerstwe jak pozostawiony na słońcu chleb, oczy barwy błota lub spranego dżinsu, szmaty zamiast ubrań. U kobiet brud zamiast makijażu, co jednak i tak stanowiło postęp, zważywszy na to, że dopiero niedawno odrzuciły burki. W

świecie, w którym anioły w szale walki nie patrzą, czy zabijają świętych, czy niewiernych, marnowanie czasu na nakazy Świętej Księgi było niczym więcej jak tylko...

no właśnie, marnowaniem czasu. Podobnie musieli uważać siedzący w autobusie mężczyźni – uzbrojeni co do jednego w karabiny lśniące i eleganckie jak zabawki Hasbro. Żaden nie łapał za kamień i nie wznosił również świątobliwego jazgotu oburzenia towarzyszącego karaniu nieobyczajnych kobiet. Cóż, Apokalipsa zmienia spojrzenie. Wszędzie.

Autobus podskakiwał na wybojach, ze starego radia dochodziły stłumione dźwięki koncertowej wersji „Have you ever seen the rain?” Creedence Clearwater Revival.

Kierowca, brodacz w czapce z daszkiem przekręconej do tyłu, podśpiewywał sobie cicho i fałszywie; poza nim nikt nie odzywał się słowem. Wszędobylski żar falował w powietrzu, droga wiodła wciąż w przód i w przód...

Gabriel siedział w kącie na śmierdzącym materacu i gapił się przed siebie. Obok niego spał zwinięty w kłębek Rafael, zarośnięty i z twarzą spaloną słońcem, ale wyraźnie szczęśliwszy niż wtedy, gdy jeszcze miał skrzydła. Przynajmniej przez sen się uśmiechał.

Jakaś kobiecina poczęstowała archanioła śmierdzącą wodą. Ten podziękował uprzejmie, a w zamian za okazaną życzliwość uleczył ją z zaawansowanego raka macicy. Ot, drobne uprzejmości w obliczu końca świata. Michał pewnie by tego nie pochwalił. Nigdy nie rozumiał ludzi, Jenny była jedynym wyjątkiem. A teraz oboje nie żyli...

Tuż za zakrętem przed autobusem wyrosło nagle spore wzniesienie. Kierowca zredukował bieg, ale i tak silnik zawył, gdy wiekowy pojazd zaczął mozolnie piąć się w górę po spękany asfalcie. Niemal wszyscy pasażerowie skulili się w sobie, zupełnie jakby wierzyli, że jeśli będą zajmować mniejszą powierzchnię, autobus poradzi sobie lepiej. I, o dziwo, najwyraźniej zadziałało, bo nagle przyspieszyli i po chwili pojazd dotarł

na szczyt wzniesienia... gdzie czekała na niego kontrola wojskowa.

Ironia losu – pomyślał Gabriel. Na ziemiach, gdzie od zawsze toczono święte wojny, gdzie drony zrzucały bomby dla Chrystusa, a Allacha czciło się wybuchowymi kamizelkami i samochodami pułapkami, Apokalipsa nie jest w stanie zmienić reguł gry.

Co najwyżej nieco je zaostrza...

Archanioł potrząsnął głową. To nie była jego myśl, brzmiała za bardzo ludzko, zbyt...

Obejrzał się i dostrzegł, że Rafael już nie śpi. Wciąż jednak się uśmiechał.

– Ścieżki między nami nie do końca zostały zerwane, co, bracie? – wyszeptał Gabriel.

Rafael pokiwał głową. Usiadł i się przeciągnął.

Tymczasem do autobusu wkroczyło już dwóch zbrojnych. Mundury barwy piaskowej, na głowach hełmy obszyte materiałem, w rękach karabiny z lufami, co prawda wycelowanymi w ziemię, ale za to z palcami na spustach. Na ich widok niemal wszyscy mężczyźni karnie położyli broń na ziemi i złożyli ręce na głowie. Bez słowa rozkazu, polecenia – widać byli po tej samej stronie.

Jeden z żołnierzy, z oczkami wąskimi jak szparki i nosem jak grot kamiennej włóczni, ruszył wzdłuż siedzących i zaczął sprawdzać dokumenty.

Gabriel zaklął szpetnie słowami wyuczonymi swego czasu od Kłamcy. Wtedy wydawały się archaniołowi wulgarnością i grzechem. Teraz były po prostu na miejscu.

Co się stało? – pomyślał Rafael.

– Widzisz, co robią?

Sprawdzają dokumenty.

– My nie mamy dokumentów, bracie.

Żołnierz musiał zauważyć, że archanioł mówi sam do siebie, bo oddał dokumenty młodej dziewczynie z kurą na kolanach i ruszył w stronę materaca.

Zmierzył Gabriela wzrokiem, po czym wyciągnął rękę i powiedział po angielsku: – Dokumenty.

– Nie mam – odparł archanioł zgodnie z prawdą, po czym ku własnemu zdumieniu uzupełnił już kłamstwem: – Skradziono je nam.

– Jak się nazywasz? – zapytał żołnierz, wciąż po angielsku, choć wypowiedanie słów w tym języku wyraźnie sprawiało mu trudność i budziło jego niechęć.

– Mam na imię Jenn... – zaczął archanioł zupełnie bez zastanowienia. Na szczęście zorientował się w porę, przerwał i poprawił: – Jay. A mój przyjaciel ma na imię... Bob.

Nie mówi.

Drugi z żołnierzy skończył kontrolę i podszedł do kolegi, unosząc karabin tak, by wyglądało, jakby mierzył w brzuch Gabriela. Zapytał o coś po arabsku, usłyszał odpowiedź.

Archanioł, który mówił w językach, rozumiał ich doskonale.

– Nie sądzę, żeby ktoś jeszcze wysyłał tu szpiegów – powiedział, również po arabsku. – Nie teraz, kiedy świat się kończy i...

Żołnierz błyskawicznie obrócił karabin na pasku i uderzył archanioła od dołu kolbą w podbródek. Gabriel poleciał do tyłu, na ściankę autobusu. Gdy się uniósł i potrząsnął głową, dostrzegł, że dwa karabiny celują w niego już zupełnie otwarcie.

To znaczyło tylko jedno: skończyły się żarty. Gabriel poderwał się na równe nogi i właśnie rozprostowywał skrzydła, gdy nagle autobus wypełnił blask tak mocny, że aż wypalał oczy.

Gdy się rozproszył, wszyscy z wyjątkiem Gabriela i brodatego kierowcy trwali w bezruchu, jakby filmowej stop-klatce.

– Ma dla ciebie zadanie – powiedział kierowca do Gabriela. – Mówi, że już czas.

Archanioł chciał zapytać, jaki czas i jakie zadanie, ale wtedy właśnie usłyszał słowa.

Umilkł, a po chwili również zamknął oczy...

Gdy je otworzył ponownie, po żołnierzach nie było śladu, autobus znowu jechał, a kobiecina znów próbowała poczęstować go wodą. Ponownie odmówił i zerknął na siedzącego obok Rafaela.

– Wygląda na to, że troszkę się pospieszyłeś, bracie – powiedział Gabriel.

Rafaël uniósł brwi.

Dlaczego? – pomyślał.

– Wkrótce się dowiesz – odparł Gabriel. – Obejmij mnie teraz... i myśl o czymś przyjemnym.

Były archanioł wykonał polecenie, a wtedy obaj zniknęli w oślepiającym blasku.

Dolina

Już czas – pomyślał Kłamca. *Już lepiej nie będzie.*

Podniósł się powoli i umyślnie źle wsparł na poręczy, tak by grawitacja uwiarygodniła jego małe przedstawienie. Zachwiał się, upadł na czworaka i w tej pozycji zszedł po trzech stopniach na parkiet.

Mógł sobie to darować, bo i tak nikt na niego nie patrzył. Siedzący przy stołach lordowie coraz słabiej i niżej wznosili toasty za nowe sojusze finalizowane właśnie przez ich synów i córki pod tymi samymi dębowymi blatami. Damy, jak zwykle dalekie od prawdziwej polityki, raz za razem dochodziły ze służbą za kolumnami i w kątach. Straż natomiast przyglądała się chaosowi niewzruszenie niczym gwardziści pod pałacem Buckingham.

Mimo to Kłamca wiedział, że nie może się rozluźnić, odpuścić. Przedstawienie trwa, dopóki nie opadnie kurtyna, choćby cała publika spała. Bo co będzie, jeśli choć jeden widz na moment otworzy oko? Loki podnosił się więc z trudem, zataczał i znów upadał.

Mruczał, kłął i posapywał, a także niewybrednymi wyrazami, bekając w międzysłowie, dopingował co jurniejszych szlachciców w ich namiętnych wysiłkach.

W końcu udało mu się stanąć na środku sali. I stamtąd zawołał straż.

Natychmiast podbiegło do niego dwóch zbrojnych. Będąc już przy swym królu, odrzucili halabardy i chwycili go pod ręce, by nie upadł. Ten zwiesił się na nich całym ciężarem.

– Do domu proszszsz... – zalecił śpiewnie i dał się ponieść, szurając bezwładnymi nogami po podłodze.

W ten sposób dotarli do dwuskrzydłowych drzwi wiodących do sali, gdzie musieli przepuścić dwóch snujących się bez celu szlachciców dyskutujących o architekturze.

Jegomościę podziwiali akurat łuk nad drzwiami i przesunęli się, dopiero gdy jeden ze strażników ryknął, że niosą króla Oberona.

Gdy znaleźli się już na korytarzu, Kłamca powoli, ostrożnie podciągnął nogi, mocniej zwieszając się na ramionach swej straży. Byli drobni, dużo drobniejsi od Oberona, i nawet ten krótki pokonany do tej pory dystans przyprawił ich o przyspieszony oddech.

Potrzebna była jeszcze chwila, by solidnie się zasapali.

Tymczasem wszędzie wokoło krążyły pijane elfy. Za pierwszym mijanym zakrętem, w korytarzu wiodącym do ogrodów i windy, młoda szlachcianka zadzierała spódnicę, wypinając się dla ozdobnej zbroi. Nieco dalej garbaty, łysiejący grubas z herbem drzewa obleczonego w gwiazdy rzygał do donic i zalewał wymiociny winem z dzbana.

Był tym zresztą tak zajęty, że w ogóle nie dostrzegał kolegów, którzy rozebrawszy się do naga,

próbowali odtworzyć orgiastyczne pozy z wymalowanego na ścianie fresku.

Kiedy tańczysz taniec deszczu, licz się z tym, że wywołasz burzę – pomyślał

sentencjonalnie Loki i zaśmiał się pod nosem. Do tej pory wszystko szło idealnie zgodnie z planem.

Niosący go strażnicy już naprawdę ledwo zipali. To już nie były przyspieszone oddechy, ale głośne, miarowe posapywanie i postękiwanie przy każdym kroku. Potrzebowali odpoczynku, bo inaczej gotowi byli upuścić swego władcę. Szczęśliwie byli już niemal u celu.

Kłamca powoli opuścił nogi, wsparł się na nich i zatoczył w bok, niemal zwalając na niosącego go elfa. Ten oparł się ramieniem o ścianę, stęknął i powoli osunął, tak by jak najwygodniej i najostrożniej posadzić swojego władcę na podłodze. Gdy mu się udało, wygrzebał się spod Lokiego i wstał, dysząc ciężko.

Teraz trzeba działać szybko – pomyślał Loki – *nim obaj znowu nabiorą sił*. Podniósł się więc niezdarne na łokciu, odchylił głowę i powiedział: – Obrażęem dzisiaj paru lordów, ale wcale sze z tym źlee nie czujee. Bo to so zdrajcy y zawsze nymi byyli.

Łypnął okiem na strażników, a ci jak na zawołanie pokiwali głowami.

Grzeczne pieski – pomyślał. *Grzeczne i wierne*.

– Ale teraz oni – podjął wątek – oni mogą chciecz sze ze... zu... zemszczyć za zniewagę, prawda? Wieczie, o kim mowa, nie?

I znowu to kiwanie głowami, zupełnie mimowolne, posłuszne. Nie, nie byli psami. To były owce.

– No to skoro wieczie, to jazda mi po nich! Arae... Areo...sztowacz mi ich wszysstkich.

Bez wyjątku. Każdego, z którego dzisiaj drwiłem. Już!

Strażnicy spojrzeli po sobie, zastanawiając się pewnie, czy mogą ot tak zostawić pijanego króla na korytarzu. Owo już było jednak wystarczająco dobitne, a gdy Loki jeszcze je powtórzył, stracili wszelkie podstawy do wątpliwości.

– Tak jest, królu – wysapali niemal równocześnie i biegiem rzucili się z powrotem.

Kłamca patrzył za nimi, wiedząc, że nie będą długo tak pędzić i za zakrętem zwolnią.

Byli zbyt osłabieni, a zagrożenie zbyt małe, by trzeba się było spieszyć ponad miarę.

Zaraz więc pewnie przystaną i minie chwila, nim wrócą do sali balowej. A to dawało Lokiemu czas.

Zanim wstał, rozejrzał się na boki. Potem podniósł się sprawnie i przymknąwszy oczy, stworzył na miejscu, gdzie siedział jeszcze przed chwilą, iluzję pijanego Oberona.

Następnie przykrył ją jeszcze jedną, tym razem słabą i nieudolną, iluzją niewidzialności, tak by wyglądało, że oto król próbuje się maskować.

Każdy elf, nawet pijany, z łatwością rozpozna iluzję, ale już w przypadku dwóch nałożonych jedna na drugą zaburzona zdolność postrzegania mogła spowodować pomyłkę. Zresztą który lord nie odwróci wzroku na widok króla chcącego ukryć swą niemoc? Chyba tylko taki, któremu znudziły się jego tytuły i włości. A takich był w zamku Tytanii i Oberona stały deficyt.

Uznawszy swoje dzieło za satysfakcjonujące, Kłamca przeszedł kilka kroków i skręcił w boczny korytarz. Tam przywarł do pierwszych drzwi po lewej, cichutko nacisnął na klamkę i je otworzył.

Jego oczom ukazała się błękitna, bajkowa kołyska z baldachimem ustawiona na podwyższeniu niczym tron Oberona na sali balowej. Tu jednak biesiadnikami nie były zdeformowane elfy, lecz wszelkiej maści drewniane zabawki, pluszaki i śliczne porcelanowe lalki. Z zawieszonych na ścianach gobelinów uśmiechały się mityczne stworki, a z żyrandola zwisały szklane wróżki.

– Nieźle się urządziłeś, diabli pomociu – szepnął Kłamca, wślizgując się do pomieszczenia. – Aż trudno mi uwierzyć, że tylko przypadkiem akurat ciebie porwano.

Wsunął rękę do spodni i wyciągnął z nich Oberonowy pistolet, zdobioną złotem i klejnotami wierną replikę swojej ulubionej broni – IMI Jericho. Odbezpieczył i...

– Całkiem udane przedstawienie, Loki – usłyszał po lewej głos Tytanii. Niemal jednocześnie poczuł na gardle nóż, najpewniej Żądełka. – Obawiam się jednak, że mam nieco inny pomysł na finał.

Wyłoniła się z cienia i sięgnęła po pistolet. Zamiast tego jednak musnęła jego dłoń i się uśmiechnęła.

– Oczywiście wiesz, mój piękny, co zrobiłeś źle, prawda?

Wiedział. W innym świecie zespół – nomen omen – Queen śpiewał, że zbyt wiele miłości może się zabić.

– Przesadziłem, ot co. Dałem kobiecie, czego chce – powiedział głośno – a potem sam się zraniłem.

Tytania odchyliła głowę do tyłu i się zaśmiała. Pięknie, melodyjnie. Jak przystało na królową elfów, wszystko robiła we właściwym stylu.

– Owszem, Loki, przesadziłeś – potwierdziła. – Nie rozumiem tylko, co miałeś na myśli, mówiąc o zranieniu się?

– To! – mruknął Kłamca.

Przyłożył pistolet do własnego barku i strzelił. Kula przeszła przez niego i wryła się w pierś elfa. Usłyszał jęk – nie wiedział, Żądełka czy swój własny – a ostrze na jego gardle mocniej naparło mu na krtań, znacząc szyję szkarłatną kreską.

Loki bez trudu wywinął się ze słabnącego uchwytu elfa i oddał kolejny strzał, tym razem w stronę Tytanii.

Królowa zgięła się wpół, jakby ją ktoś uderzył młotem w brzuch, a zaraz potem na sukni wykwitł szkarłatny kwiat śmierci. W innym przypadku może i byłby to banał, ale, na litość, to była Królowa Pieprzonych Elfów i Loki ani myślał odmawiać jej śmierci odrobiny poezji.

Gdy już upadła, Kłamca dobił ją i Żądełko, po czym podszedł do kołyski.

Zajrzał do środka. Dziecko mrużyło oczy, jakby udawało, że śpi i nic a nic nie obchodzi go sprawy dorosłych. Było przy tym tak pocieszne w swej rezolutności, tak rozkoszne, że obudziłoby instynkt rodzicielski nawet w Michale. Ponadto, zapewne dla żartu, Żądełko włożył do kołyski Kłamczucha i teraz maluch tulił misia jedną ręką, jakby byli najlepszymi kumplami.

– Chciałbyś tu zostać, co? – Kłamca zwrócił się do misia. – Sorry. Idziesz ze mną. A królewicza...

Zamyślił się. Antychryst jako prawowity władca elfów, to brzmiało całkiem zabawnie, czyż nie? No i w razie potrzeby mogło Kłamcy kupić parę straconych punktów tam, na dole, a cholera wie z kim teraz opłacało się zawierać sojusze. Zwłaszcza gdy Michał

chodził taki wkurwiony.

Z drugiej jednak strony czy po to męczył się w tym ciele i marnował urlop w krainie elfów, by teraz odpuścić?

– Nie ma co – zdecydował w końcu. – Szekspir to Szekspir. Wszyscy giną, koniec.

Ostrożnie wyjął misia z objęć Antychrysta i wsadził go sobie za pasek. Potem wyciągnął jeszcze poduszkę. Przyłożył do niej lufę...

– Panie!

Na dźwięk znajomego kobiecego głosu Kłamca zamarł, a następnie obrócił się powoli.

W progu stała Bajka.

Rozdział 10

Dolina

Bajka stała w progu i patrzyła prosto w oczy Kłamcy. W tym czasie jej spojrzenie ani na moment nie uciekło w dół, nie zerknęła ukradkiem na ciała Tytanii i Żądłka, nie marszczyła też czoła na widok pistoletu, poduszki i krwawiącej rany. Mimo to Loki nie miał wątpliwości, że dziewczyna poskładała już sobie wszystko i ma własną teorię dotyczącą tego, co tutaj zaszło.

Czy był choć cień szansy, by w zaistniałej sytuacji przedstawić się w lepszym świetle? Stworzyć okoliczności łagodzące, które pozwoliłyby nie dokładać kolejnego klocka do krwawego domina, które rozsypało się w tym pokoju? Kłamca szczerze w to wątpił, ale mimo to postanowił spróbować. Najdyskretniej jak tylko potrafił ukrył broń za poduszką i wyszczerzył się w nieco głupawym, zdumionym uśmiechu.

– Bajka! – wyszeptał z udawaną ulgą. – Jak dobrze, że jesteś. To tutaj... – Wskazał brodą najpierw na ciała, a potem ruchem głowy na kołyskę. – Żądłko zastrzelił królową i dziedzica, a potem...

Dziewczyna postąpiła krok do przodu.

– Wiem, kim jesteś, panie – powiedziała pewnie. – Wiem, Loki. I uwierz, jestem po twojej stronie.

– Aha – odparł Kłamca.

Jeśli zaskoczyła go ta deklaracja, nie dał tego po sobie poznać, tylko wyciągnął pistolet zza poduszki i uśmiechnął się przepraszająco.

– Zaraz pogadamy – powiedział, wkładając poduszkę do kołyski. – Ale akurat jestem w trakcie...

Rozległy się dwa stłumione wystrzały.

– No dobra, a teraz powinniśmy stąd uciekać – stwierdził.

Wsadził pistolet za pasek, koło Kłamczucha, i przykładając dłoń do wciąż krwawiącej rany, w kilku susach doskoczył do Bajki. Złapał ją mocno pod rękę, a ona nie stawiała oporu.

– Ja cię poprowadzę, panie.

– Teraz już wystarczy Loki.

Pokręciła głową.

– Nie tutaj.

Razem pognali korytarzem, słysząc dobiegające z przeciwnego kierunku przekleństwa.

To strażnicy klęli, przeciskając się i przestępując nad pijaną szlachtą.

Poprowadziła go do starej biblioteki i stamtąd schodami w dół do niewielkiej sali treningowej, pełnej drewnianych mieczy, tarcz i manekinów do walki. Kiedyś tu również stały książki, ale teraz regały wokoło były albo puste, albo rozstawiono na nich hełmy, rękawice i szmaty pocięte na bandaż. Loki nie miał wątpliwości, że już niedługo ten sam los czekałby także wyższe piętro, bo Oberon nigdy nie był fanem literatury. A skoro udało mu się zrobić, zapewne wbrew Tytanii, pierwszy krok, pewnie nie zamierzałby na nim poprzestać.

Bajka przeszła przez salę, prześliznęła się zgrabnie pod linami prowizorycznego ringu i z gracją przeskakując nad plamą z dawna już zakrzepniętej krwi, podeszła do wąskiej komódki mieszczącej w sobie niegdyś – a może i wciąż, Kłamca nie był pewien – biblioteczny katalog. Wysunęła kilka szufladek, każdą na inną, pozornie pozbawioną znaczenia odległość, po czym pchnęła cały regał. Ze zgrzytem zapadł się w ścianę, odsłaniając tajne przejście.

– Musimy się pospieszyć, panie – szepnęła Bajka. – Szybko, za mną, jeśli chcesz żyć.

Loki chciał, nie miał co do tego żadnej wątpliwości. Rzecz w tym, że wcale nie potrzebował do tego Bajki. Wystarczyłoby, że walnąłby się w głowę i zaległ na podłodze, czekając, aż znajdą go straż. Rana i otwarte drzwi do tunelu tylko uwiarygodniłyby jego historię o spiskowcach dybiących na życie rodziny

królewskiej.

Wciąż jeszcze mógł, jak planował pierwotnie, stanąć na czele pościgu i przejechać przez Dolinę z pełną eskortą i w luksusie aż po same jej granice.

Z drugiej strony w zapale tej uroczej dwórki było coś rozczulającego. Aż chciał dać jej się uratować, a potem kilkakrotnie okazać wdzięczność. No i jeszcze ta sprawa z jego prawdziwą tożsamością. Ktoś, kto znał jego tajemnicę, nie mógł tak sobie biegać po świecie bez kontroli. Zbyt wiele od tego zależało.

Dlatego właśnie, gdy Bajka zniknęła w tunelu, Loki poszedł za nią. Jej cudnie kształtne pośladki, ciasno opięte skórzanymi spodniami do jazdy, nie miały tu nic do rzeczy. Nic a nic.

Niebo nad Europą

Zazdrość to paskudna cholera. Pod pewnymi względami łądząco podobna do nadziei, przypomina staruszkę, która wprasza się do przedziału i pyta, czy możesz jej pomóc z walizką. Gdy już raz ją wpuścisz, opowie ci o swoich dzieciach, podagrze, podagrze dzieci i głupocie polityków. Nie opuści cię do końca podróży i nie pozwoli na chwilę wytchnienia. A po wszystkim zostanie ci tylko smród po jajkach na twardo.

Eryk wiedział o tym, czytał nawet kiedyś taką broszurkę, ale czym innym była wiedza, a czym innym – uczucia. Na przykład przemożna chęć przywalenia chudemu wymoczkowi w szpanerskich ray-banach Aviatorach, który właśnie flirtował z jego psychopatką.

Powody, dla których rosły Szwed nie spełnił jeszcze swojej zachcianki, były trzy. Po pierwsze nie wypadło, po drugie Sygin mogłoby się to nie spodobać. Wreszcie po trzecie wymoczek jako jedyny potrafił latać odrzutowcami. Fakt nie bez znaczenia, jeśli wziąć pod uwagę, że właśnie znajdowali się na pokładzie jednego z nich, mknąc ku światowej stolicy mody i jadalnych kasztanów.

Na lotnisko dotarli ledwie trzy godziny temu, ale znalezienie na miejscu zarówno pilota, jak i samolotu nie stanowiło większego problemu. Dużo większym wyzwaniem było postawienie go na nogi i nakłonienie do lotu, ale na to piękna Sygin, królowa hien cementarnych, miała już swoje sposoby. Eryk wolał nawet nie myśleć jakie. Wystarczyło mu, że widział ją teraz. Zupełnie jak nie ona, rozparta na fotelu drugiego pilota, rozszczebiotana i chichocząca jak jakiś podłotek. Jej stopa w pończosze sunęła po udzie wymoczek to w jedną, to w drugą stronę. Tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Tam...

– Daleko jeszcze? – nie wytrzymał Eryk.

– Nie wiem – odparł wymoczek. – Powiem ci, jak miniemy jakiś drogowskaz.

Sygin zachichotała jak idiotka, a Eryk doszedł do wniosku, że wolał ją, jak rozgarniała palcami mogilną ziemię. Miał wrażenie, że jego fascynacja tą dziewczyną gaśnie z każdą chwilą i że dostrzega w niej coraz więcej wad. Zazdrość, ta przeklęta staruszka w jego sercu, ani myślała jednak ustąpić. Przeciwnie, właśnie szykowała się do kolejnej opowieści, już, już sięgała po zdjęcia wnuków...

– Zastanawiam się tylko, czy wiesz, dokąd lecisz.

– Do celu.

I znowu chichot. Tak sztuczny, tak plastikowo nienaturalny, że aż trudno było uwierzyć, iż szczerze ją to bawiło – zwłaszcza że spojrzenie, co Eryk dostrzegł już wcześniej, wciąż miała chłodne i obojętne – a mimo to skutecznie podnosił poziom żółci.

W pewnej chwili rozważał nawet zdzielenie wymoczek przez łeb i niech się dzieje wola Wszechświata, polecą aż po kres zbiorników, a później runą w otchłań niczym para romantycznych kochanków. Razem do ostatka, z dłońmi splecionymi niczym te krzewy na grobach Tristana i Izoldy.

Tak. Perspektywa była do tego stopnia kusząca, że wielki Szwed już nawet lekko uniośł rękę, zacisnął palce w pięść, nabrał tchu...

I wtedy wymoczek powiedział coś, co ani chybi uratowało mu życie.

– Sygin – wymówił jej imię nie, jak przystało na człowieka Północy, twardo, ale po amerykańsku, rozlaźle i od niechcienia – jeśli chcesz, nauczę cię pilotażu.

Eryk rozluźnił pięść i przyjrzał się dziewczynie. Dostrzegł, że ściąga usta w cienką kreskę, że marszczy czoło. Jej zimne, stalowe oczy mówiły wyraźnie, że jeśli się na to zgodzi, jeśli się zdecyduje – a pewnie to zrobi – to tylko po to, żeby pozbyć się wymoczek. Żeby nie musieć już więcej chichotać, podciągać

spódniczki coraz wyżej i wyżej, wreszcie by nie czuć na udzie i między nogami błędzącej łapy pilota.

I wtedy coś do niego dotarło. Zrozumiał, że pilot jest tu z nimi wyłącznie dla swych umiejętności, które były potrzebne, a które miał tylko on. Jego, Eryka, dziewczyna zabrała ze sobą, pomimo iż nie miał już do zaoferowania nic prócz siebie. A to znaczyło, że... naprawdę na niego leciała. Tylko krępowała się do tego przyznać!

– Mnie mógłbyś nauczyć – zawołał Eryk z większym, niż zamierzał, entuzjazmem. – Z przyjemnością zostanę twoim drugim pilotem!

Wymoczek już chciał odpowiedzieć, ale Sygin natychmiast się pochyliła i najpierw delikatnie ugryzła, następnie polizała go w ucho.

– O tak, Chris – szepnęła zmysłowo. Nie, więcej, jej głos był w tym momencie jak viagra w audiobooku. – Będę miała samolot z pełną załogą, ale wciąż tylko jednym prawdziwym pilotem. I poczuję się jak gwiazda.

To musi zadziałać – uznał Eryk, zwłaszcza że w trakcie wypowiedzi dziewczyny w kokpicie wyraźnie wyeksponował się kolejny drzątek. I rzeczywiście.

– Dobra, niech będzie – powiedział wymoczek, poprawiając się w fotelu. – Daj nam chwilę, piękna. Zrobię, co w mojej mocy.

Sygin jeszcze raz musnęła koniuszkiem języka ucho pilota i delikatnie, z kocią gracją zsunęła się z jego kolan.

– Pójdę chwilę odpocząć, a ty – zwróciła się do Eryka – daj mi już znać, jak się nauczysz, dobrze?

Szwed ochoczo pokiwał głową, a potem, poprawiwszy się w fotelu, z zapalem podjął się improwizowanego kursu.

Każdy zaprawiony w bojach pilot wie, że wcale nie trzeba znać funkcji wszystkich kontrollek świecących na kokpicie, by spokojnie latać. Nie ma co zaprzętać sobie głowy niepotrzebnymi informacjami, zwłaszcza kiedy gra idzie o najwyższą stawkę – życie własne i pasażerów, prawda?

Dlatego właśnie niektóre szkoły pilotażu zezwalają uczniom na pominięcie tych trzech czy czterech mniej ważnych przycisków kokpitu i lepsze skupienie się na pozostałym pierdylionie tych superważnych. Szczęśliwie dla Eryka Chris – pilot, wymoczek, amator cudzych seksownych hien cementarnych – był właśnie zwolennikiem tej liberalnej szkoły.

– To jeszcze raz, głąbie – powiedział Chris. – Powtórz, lecąc od lewej do prawej, co to są za kontrolki. Zaczynaj od tej karminowej.

Eryk spojrział na pulpit. Przez chwilę patrzył, mamrocząc coś bezgłośnie, po czym wyszczerzył się w uśmiechu.

– Nie ma takiej – ogłosił. – Niezłe, że zadajesz podchwytliwe pytania, dzięki temu...

Pilot spojrział na Szweda jak na idiotę i dotknął palcem ciemnoczerwonej kontrolki.

– Karmin – powiedział. – Ciemna, kurwa, czerwień. Czego nie ma, debilu?

Eryk zmarszczył czoło. Jak się jednak okazało, nie nad kolorami się teraz zastanawiał.

– Ej, zaraz. My lecimy na autopilocie?!

– Brawo, Sherlo...

Chris nie dokończył, bo nagle wielka pięść wylądowała mu na twarzy i pozbawiła go przytomności. Pilot osunął się na ziemię, a zadowolony z siebie Eryk podniósł się z fotela i przeszedł na tył samolotu.

Sygin siedziała tam na kanapie, sączyła drinka i kartkowała „Forbesa”.

– Już umiesz? – zapytała.

Usiadł koło niej, wziął na kolana jej nogi i zaczął masować stopy. Poddała się temu ochoczo, a nawet – czego się kompletnie nie spodziewał – obdarzyła go lekkim, delikatnym uśmiechem.

– Nauczyłem się, gdzie jest kontrolka paliwa, i wiem, że wystarczy nam go jeszcze na trzy godziny lotu. Do tej pory powinien się obudzić i sprowadzić nas na ziemię. Auu...

Zgiął się wpół, bo Sygin błyskawicznie podciągnęła nogi i uderzyła go piętą w jądra.

Niechcący, ale mocno. Eryk syknął i zwałił się na bok.

– Jak to obudzić?! – zawołała Sygin. – To kto teraz leci?

– Autopilot. Utrzyma wysokość i wszystkie parametry. Tylko wylądować nie potrafi, ale do tej pory ten

dupek już się obudzi.

Sygin przez chwilę przyglądała się nieufnie obolałemu Szwedowi, aż wreszcie dała za wygraną. Gdy tylko się wyprostował, wsunęła mu stopy na kolana, domagając się dalszego masażu.

– No dobrze, niech będzie. A powiesz mi chociaż, dlaczego to zrobiłeś?

Musiał się zastanowić nad odpowiedzią, bo wszystkie prawdziwe wydawały mu się za bardzo banalne i kiczowate. Bo cię dotykał? Bo jesteś moja, a on swymi łapami bezcześcił to, co jest między nami? Bo od kiedy usiadłaś mu na kolanach, czułem zazdrość i gniew, którym musiałem dać ujście?

W końcu jednak Eryk zdecydował się nie zagłębiać aż tak w tę kwestię.

– Nie znał się na kolorach – odparł, wzruszając ramionami.

I sam nie wiedział, co zdziwiło go bardziej. Głupota tej odpowiedzi czy fakt, że Sygin przyjęła taki powód z pełnym zrozumieniem.

Naprawdę – pomyślał Eryk – z tą dziewczyną jest coś nie tak.

Nowy Jork

– No, teraz, Hoffman! Zbiegnij po schodach! Świetnie... A teraz tabliczka... nie, nie ta! O właśnie! Dobra, cięcie!

Mężczyzna odsunął się od kamery i przetarł rękawem spocony oczodół. Obszedł statyw i położył prawą rękę na blacie wnętrzem dłoni do góry. Lewą wsadził do kieszeni i coś z niej wyjął. Żelki. Brudne, oblepione kurzem i nitkami.

– Brawo – powiedział mężczyzna, nie kryjąc zadowolenia. – Byliście świetni, chłopcy, i to będzie najlepsza nasza produkcja. A już ty, Hoffman... Tak grałby twój imiennik, gdyby nie skończył się na „Absolwencie”.

Westchnął i podrapał się nogą w łydkę ruchem, jakby chciał przeczyścić ubłocone buty.

Poruszył też delikatnie palcami prawej ręki.

– No już, zostawcie tabliczki. Czas na catering. Gdybyście mieli związki zawodowe, już miałbym pewnie przerąbane, bo i tak przeciągnęliśmy o kwadrans.

Na szczęście *chłopcy* nie należeli do związków. Szczury, te prawdziwe, rzadko takowe miewają. To jeszcze jedna z ich rozlicznych zalet prócz niebywalej inteligencji i faktu, że zrobią wszystko dla żelka Haribo.

Dosłownie wszystko. Mężczyzna dowiedział się o tym zupełnym przypadkiem od poznanego w areście zoofila, któremu aż się oczy zaświeciły, gdy zobaczył w dłoni współwięźnia brudnego gumisia.

– Nikt nie zrobi ci tak dobrze jak horda szczurów przekonana, że masz żelki – powiedział wtedy.

I miał rację. Jeszcze nikt – żadna gwiazda filmu, sceny czy estrady – nie zrobił

mężczyźnie tak dobrze. Szczury potrafiły bowiem bez trudu sprostać każdemu artystycznemu zadaniu, jakie przed nimi stawiał, każdej pozycji scenicznej, teatralnej i filmowej „Kamasutry”. *Chłopcy*, jak pieszczotliwie je nazywał, byli urodzonymi aktorami.

Pierwszy z nich, dorodna, utuczona sztuka imieniem Brando, obwąchał dokładnie palec, po czym wszedł na rękę i rozsiadł się wygodnie na środku dłoni. Gdy dostał żelka, wziął

go w obie łapki niczym wiewiórka i zabrał się do odgryzania miśkowi łebka.

Mężczyzna pogłaskał gryzonia wierzchem lewej dłoni i lekko go trącił, dając znać, że następni już czekają. Brando ruszył się powoli, z ociąganiem.

Następny był Nicholson. Nigdy nie było wiadomo, jak się będzie zachowywać, bo cholernik czasem, gdy się nawciągał dymu z opiumowego kadzidelka albo opił z wódczanej nakrętki, zaczynał rozrabiać. Jak wtedy, gdy szczury były jeszcze na tyle małe, że mieściły się w domku dla lalek. Jednego dnia rozwalił drzwi i zerkał przez szczelinę szalonym wzrokiem. To zresztą wtedy zyskał swoje imię.

Tym razem jednak szczur był grzeczny, jeśli nie liczyć maleńkiego bobka w proteście przeciwko kolejnemu w aktorskiej trupie – małemu, jasnemu szczurkowi imieniem Ledger. Nie wiedzieć czemu akurat ci dwaj nie lubili się straszliwie.

Potem był jeszcze drobny Hoffman, albinos Von Sydow, gwiazdorzący Pacino i nierozłączny duet czarnych szczurzych charakterów: De Niro i Pesci. Każdemu z nich mężczyzna dawał żelka, każdego głaskał po grzbiecie i przeganiał delikatnie. Do niektórych mówił parę słów, zazwyczaj krytycznych uwag,

albo udzielał scenicznych wskazówek. Zdarzały się też jednak komplementy.

Bo prawda była taka, że Theodore Richard Knox – przez pomyłkę podchwyconą i poniesioną w świat przez serwis imdb.com znany również jako Richard Theodore Knox – choć pracował z najlepszymi aktorami na świecie, nigdy jeszcze nie miał tak zgranej, oddanej i utalentowanej grupy jak ta. *Chłopcy* byli niezawodni.

Ktoś zapukał, akurat gdy mieli wracać do pracy.

Byli gotowi już od dłuższej chwili. Wszyscy artyści pochłonęli swe gumowate przekąski, a Knox przełknął ostatni kęs zrobionej naprędce czerstwej kanapki z szynką o barwie tęczy, popitej zimną, nieco już zatechłą herbatą. Dziwnie jednak nikt, ani reżyser, ani jego stadko, nie był w stanie się zebrać. Zupełnie jakby podświadomie przeczuwali, że coś się zaraz wydarzy. Coś, co i tak zepsuje ujęcie i nakaże im przerwać pracę. Coś jak to pukanie właśnie, które nastąpiło akurat w momencie, gdy już wszyscy przestali w nie wierzyć.

Knox sapnął.

– Czekać tu i żadnych kołowrotek czy sztang, nie chcę, żeby mi który zasłabł, a mamy trudne, wyczerpujące sceny.

Brando zastrzygł wąsem, zupełnie jakby chciał powiedzieć: *Spoko luz, pułkownik Kurtz czuwa*. To jak zwykle reżyserowi wystarczyło.

– No! – mruknął z zadowoleniem.

Powoli poczłapał w stronę drzwi. Niechętnie, bo nie podobały mu się te nowe porządki.

No ale cóż, wyjątkowe czasy, to i wyjątkowe środki. Przynajmniej „nowy szeryf”

pilnował, żeby Wielkie Jabłko specjalnie nie nadgniło. A nawet trochę je wyprowadził na prostą.

Gdyby jeszcze nie to jego paskudne pochodzenie – pomyślał Knox. *Gdyby nie obrzydliwy w swych podstawach światopogląd*.

Zerknął przez wizjer – nigdy, przenigdy nie użyłby słowa *judasz*, nie po tym, co ta przekłeta banda sabotażystów zrobiła z jego sztuką o Jezusie – i zobaczył dwóch mężczyzn. Byli podobnego wzrostu, obaj młodzi i ubrani na młodzieżowo. Ten bliżej drzwi miał czarną, bawełnianą czapkę naciągniętą na długie włosy i rozpiętą bluzę z kapturem. Drugi, brodac, ubrany był w ciemny płaszcz i bejzbolówkę odwróconą daszkiem do tyłu. Obaj byli śliczni jak z kalendarza „Chippendalesi dzieciom”. Obaj w jakiś sposób podobni do „nowego szeryfa”.

Knox położył rękę na zasuwie.

– Kim jesteście? – zapytał. – I z czyjego polecenia?

Jeżeli rzeczywiście przyszli od „szeryfa”, wiedział, że będzie musiał ich wpuścić, ale nie zamierzał skurwysynom niczego ułatwiać. Przez wizjer widział, że przybysze wymienili spojrzenia.

– Panie Knox – powiedział ten w bluzie – mamy dla pana pewne niecierpiące zwłoki informacje do przekazania.

– No to już, chłopcze. Nie krępuj się – odparł Knox. – I na wypadek gdybyś do telegramu zamierzał coś tańczyć, informuję, że uważnie ci się przyglądam przez tę małą dziurkę. Więc śmiało.

Goście znowu wymienili spojrzenia.

– Nie, nie możemy przeniknąć przez ścianę – powiedział ten w bluzie do towarzysza, choć tamten wcale o nic nie pytał. – Jak to daczego?! To byłoby niegrzeczne!

Jakby wam to przeszkadzało – pomyślał Knox, przypominając sobie jedną z pierwszych wizyt „szeryfa”. To było wtedy, gdy drań ogłosił się nowym burmistrzem i informował

wszystkich osobiście, że dla dobra Nowego Jorku przejmuje pełnię władzy. Wtedy skurwysyn nawet nie pomyślał o ostrzeganiu – zwyczajnie zmaterializował się na środku pokoju. I ci pewnie też tak zrobią, gdy przejdzie im ochota na uprzejmości...

– Nie, panie Knox – powiedział ten w bluzie – nie zrobimy tak, bo szanujemy pana wolną wolę. A to, z czym przychodzimy, to tylko propozycja.

– Skoro tak mnie szanujesz, wypierdalaj mi z głowy, mydłku! – warknął Knox.

Wiedział, że się naraża, nowa władza bardzo niechętnie tolerowała wulgaryzmy, ale w obecnej chwili miał to gdzieś. Obejrzał się na swoje szczury, które już czekały, by wziąć się do dalszej pracy.

– I po namyśle: nie. Nie jestem zainteresowany waszą propozycją – dodał stanowczo. – Jakakolwiek by była, zupełnie mnie nie obchodzi.

Jakby na potwierdzenie swych słów zdjął rękę z zasuwki i sięgnął po odpięty łańcuch.

Wsunął go w szczelinę i szarpnął, by się upewnić, że trzyma.

Knox obrócił się powoli, omiatając wzrokiem rzędy półek, na których stały puste jeszcze pudełka na płyty DVD. Na każdym z nich był już jednak tytuł. „Casablanca”, „Obywatel Kane”, „Tramwaj zwany pożądaniem”, „Maratończyk” – wszystkie uzupełnione o literki RV. *Rat Version*. Wersja ze szczurami. Tak, czekało go jeszcze wiele pracy...

I wtedy właśnie tuż przed nim zmaterializowali się wtuleni w siebie goście spod drzwi.

Knox przyparł plecami do drzwi.

– Mówi... mówiłeś, że nie będziesz tu przenikał – zwrócił się do tego w bluzie.

Ten uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Cóż, wygląda na to, że wreszcie nauczyłem się kłamać – odparł. A potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zapisaną po obu stronach kartkę. – A co do zadania... To tylko streszczenie, panie Knox, ale chcemy, nasz Pan chce, żeby wystawił pan na podstawie tego przedstawienie.

Knox mruknął coś pod nosem, ale wyciągnął rękę i wziął kartkę.

I już po dwóch zdaniach wiedział, że to nie będzie dobre.

Na pewno nie jak szczurza wersja „Śmierci komiwożera”.

Część III
Dokąd prowadzą wszystkie drogi

Rozdział 11

Dolina



rany wciąż sączyła się krew i Loki czuł, że powoli zbliża się do momentu, kiedy będzie musiał przystanąć i coś z tym zrobić. Na razie jednak, dysząc przez zaciśnięte zęby, szybkim krokiem podążał za zwiewną Bajką. Ta natomiast na przemian to pojawiała się, to znów przepadała gdzieś za rogiem tunelu, a wraz z nią zniknęła niebieska poświata z kryształowego lampionu i tunel pogrążał się w całkowitej ciemności.

Szli tak dobry kwadrans, po czym dotarli wreszcie do masywnych, przesuwanych na bok drzwi. Elfka zatrzymała się tuż przed nimi i ustąpiła Kłamcy miejsca.

– Wiem, że jesteś ranny – powiedziała, uśmiechając się zalotnie. – Ale ja trzymam lampę.

Loki odpowiedział uśmiechem.

– Wiesz, tak sobie teraz myślę, że wolałem cię, gdy...

– Byłam pokorna i usłużna?

– Nie, raczej naga – odparł Loki.

Zaparł się nogami o ziemię i z całej siły szarpnął za wrota. Rozsunęły się ze zgrzytem.

– Panie przodem – sapnął, na powrót przykładając dłoń do rany.

Nie musieli zasuwać wrót, wystarczyło, że Bajka wstawiła lampę do niewielkiego zagłębienia i osadziwszy ją na niskim cokole, przekreśliła. Zapisana runami instrukcja mówiła, by wykonać skręt w lewo, jeżeli chce się jechać do góry, i w prawo, gdy w dół.

Wyglądało na to, że jadą do góry. Tylko po co?

– Masz teraz chwilę, jeżeli chcesz dokonać przemiany i zasklepić ranę – powiedziała Bajka, uprzedzając jego pytanie. – Potem nie będzie już na to czasu.

Pokiwał głową. Wiedział, że choć będzie to proces bolesny i na pewno nie poprawi jego samopoczucia konającego w przydrożnych krzakach autostrady do depresji, to jednak powinien to zrobić, jeżeli chce odzyskać pełnię sił. Ciało Lokiego znał lepiej.

– Lustro masz za sobą, jeżeli potrzebujesz – odezwała się znowu Bajka.

– Tak, właśnie tego szukałem, dzięki.

Odwrócił się, nabrał powietrza i przesunął nos na policzek. Potem przemodelował czoło, kości policzkowe, oczodoły i podbródek. Odezwał się ponownie, gdy skończył też uszy.

– Skąd wiedziałaś, kim jestem, Bajko? – zapytał. – Jeżeli powiesz mi, że też już z tobą spałem i poznałaś mnie po moim stylu, jak nic zacznę wiązać supeły na tym pieprzonym kutasie.

Roześmiała się. Miała śmiech nieco podobny do Tytanii, ale jakże miłszy dla ucha.

Musnęła go po chwilowo zdeformowanej piersi i przejechała ręką aż do pasa, do główki tkwiącego za paskiem Kłamczucha.

– Nie spaliśmy ze sobą, Kłamco, ale poznaliśmy się już wcześniej. Tu, w Dolinie, w tym zamku. Oczywiście wtedy wyglądałam zupełnie inaczej.

– Byłaś dzieckiem i dojrzałaś?

Kłamca naprężył się i uderzył barkiem o ścianę. Na chwilę pociemniało mu przed oczami i zabrakło tchu.

– A może ktoś rzucił na ciebie czar i urosły ci cycki? Tylko proszę, nie mów, że jesteś jedną z tych przeklętych wiedźm, które...

Położyła mu palec na ustach.

– Nie jestem przeklętą wiedźmą, mój Quasimodo. Natomiast podobnie jak ty wędruję tu i tam. No, bardziej tam. I pomyślałam, jak uroczo byłoby się wreszcie spotkać, poczuć nawzajem, a wreszcie...

Winda zazgrzytała i stanęła. Bajka natychmiast wyciągnęła lampę i przyłożyła do okręgu wyglądającego zupełnie jak cokół we wnęce. Kłamca zdał sobie sprawę, że taki sam okrąg widział też na

dole, na wrotach, które musiał odsuwać siłą. Teraz gdy zobaczył, z jaką łatwością Bajka wpina lampę w drzwi i otwiera je jednym ruchem, wyszczerzył się w najszczęśliwym uśmiechu.

– Miło, że dbasz o moje ćwiczenia – powiedział.

– Potrzebuję cię silnego i zdrowego, mój panie – odparła. – Abyś mógł zaspokajać moje potrzeby. A teraz pospiesz się, proszę, nie mamy zbyt wiele czasu.

To powiedziawszy, wyszła z windy.

Miło było być sobą. Nawet gdy całe ciało bolało jak cholera, niedopasowane ubrania w jednych miejscach opinały, w innych łopotały swobodnie, a buty wydawały się przyciasne. Nadal jednak żył, udało się zasklepić krwawiącą ranę, a za paskiem wciąż miał plu... Nie, to akurat było głupie i niewarte wzmianki.

Loki odetchnął pełną pierśią i dziarsko wyszedł z windy... by zaraz z przestachem się do niej cofnąć. Znajdował się bowiem na szczycie jednej z dwóch najwyższych pałacowych wież, w dodatku z widokiem wprost na bezdenną przepaść.

Co gorsza, nigdzie nie było Bajki.

– Tu jestem – rozległ się nagle głos elfki, zupełnie jakby czytała w jego myślach.

Czyżby była jednym z tych przeklętych aniołów?

Kłamca odwrócił się i aż sapnął ze złości. Bajka wędrowała sobie w najlepsze po przestworzach, jakby unosiły ją niewidzialne skrzydła. *Jednak anioł, kurwa – pomyślał.*

Pierdolony, zakamuflowany, ale równie wkurwiający jak pozostałe anioł. To skrzydlate palanty od Michała będą miały teraz używanie. Jak nic będą drwić i... Ale zaraz!

Przecież anioły nie mają...

Z trudem oderwał wzrok od dziewczyny i przyjrzał się uważnie niebu, po którym stąpała.

W pierwszej chwili niczego nie zauważył, zaraz jednak blask księżycy wyłaniającego się zza chmur zdradził całą tajemnicę. Choć rozsądek wrzeszczał: *No chyba cię pojebało!*, Loki podszedł do krawędzi tarasu i stanąwszy dokładnie naprzeciw Bajki, wysunął nogę przed siebie. Poczul pod stopą coś twardego, jakby stąpał po szklanym moście. Zaraz przypomniał mu się Indiana Jones i ostatnia próba przed zdobyciem Graala.

– Tyle że ja nie zamierzam tędy iść – powiedział na głos. – Co to, to... Auu!

Ręka, którą zrobił wymach, również napotkała na opór, a to znaczyło, że szklany most miał też poręczę. Aż dziw, że wcześniej ich nie widział. A może wcale nie dziw? Może po prostu magia?

Ostrożnie położył ręce na niewidzialnych poręczach.

No dobra, stary – pomyślał. I tak nie masz już dokąd wracać. Przeszedłeś po tęczycy i choć zaliczyłeś głębę, to jednak żyjesz. Teraz wystarczy już tylko...

– Bajka, ale jak to przejdę, robimy sobie małą przerwę przed kolejnym etapem. I kiedy mówię *przerwę*, mam na myśli, że zaczynamy dyszeć z innych powodów niż rozrzedzony tlen na wysokości. Dobra?

Roześmiała się, odwróciła i ruszyła mostem dalej, zalotnie kręcąc biodrami. Loki podążył za nią.

Nie było to trudne, a gdy tylko udało się Kłamcy opanować odruch patrzenia w dół i przed siebie – no dobra, w ogóle patrzenia – poszło nawet sprawnie. Niemniej odetchnął z ulgą, gdy już stanął na tarasie drugiej wieży.

– W porządku, co teraz? – zapytał, rozglądając się za towarzyszką. – Kolejna winda?

– Nie, mój panie – dobiegł go głos zza rogu. – Chodź tutaj.

Ostrożnie, trzymając się ściany, Kłamca udał się za głosem. Minał narożnik i jego oczom ukazał się drewniany pomost, a na nim... rekonstrukcja lotni Leonarda da Vinci!

– Zdziwiony? – zapytała Bajka, widząc jego minę. – Cóż, nie tylko Szekspir podkradał

ludowi z Doliny pomysły i skarby. On jeden dał się na tym złapać. No chodź, na co czekasz?

Kłamca pokręcił głową. Wiedział, że nie powinien kusić losu, ale pytania: *Co jeszcze mnie dziś czeka?* i *Czy ta noc może być jeszcze gorsza?* same cisnęły mu się do głowy.

I już, już miał odmówić, gdy nagle gdzieś z dołu dobiegły go krzyki, a zaraz potem w niebo pomknęły pierwsze strzały. Loki ani myślał sprawdzać, ile piętrow przewagi mają i z której wieży strzela przeciwnik. Wiedział, że cokolwiek zaplanują zrobić z nim elfy, będzie to gorsze niż upadek z nawet najwyższej wieży.

Wybór był więc jasny. Dосkoczył do lotni. Podniósłszy ją, wsunął się pod drążek i przypiął

rzemieniami. Bajka wsunęła się pod niego, przywierając do niego piersiami i oplatając nogami wokół bioder. Gdy skoczą, on miał być ich oczami i sterem. To nie było pocieszające.

Kolejne strzały pomknęły w niebo, a krzyki dochodziły z coraz mniejszej odległości.

Loki zerknął jeszcze na Kłamczucha i zapytał:

– No, brachu, latałeś kiedyś z wiedźmą w świetle księżyca?

Po czym rozpędziwszy się na krótkim podeście, skoczył w przepaść.

Biegun północny

– Nuuuuda! – zawołał Lucyfer i zrezygnowany usiadł na murze.

Obok niego leżał pusty teraz worek Mikołaja i tysiące rozpakowanych podarunków.

Dziesiątki lalek, misiów, resoraków, kompletów Lego wartych więcej niż roczny dochód na rodzinę i konsol Sony przystrojonych w świąteczne bombki obrastało powoli białą warstwą śnieżnego puchu, a wiatr podrywał ku niebu postrzępione wstążki i porwane kawałki ozdobnego papieru.

– Nuda – powtórzył Lucyfer.

Przysunął do twarzy cyfrową lustrzaną Nikoną – tę samą, która miała trafić do grzecznego dziesięciolatka Billy’ego marzącego o World Press Photo – i nacisnął

wyzwalacz migawki. Aparat zaterkotał.

Teraz zrobił to od niechcenia, ale jeszcze chwilę temu marzyło mu się oddanie atmosfery tego miejsca. Bieguna, na którym Mikołaj nie miał już znaczenia.

Powiódł wzrokiem po zalegającej na placu płataninie ciał. Część z nich stanowiły zwłoki nagich żołnierzy Limbo, ale niewielu, choć karły broniły się naprawdę dzielnie i – dosłownie – do ostatka. W przeciwieństwie do faerii, na które wystarczył gromki okrzyk: *Nie wierzę we wróżki* dochodzący jednocześnie z milionów gardeł. No ale cóż, każdy ma swoje słabe strony, prawda? Jedni się jękają, inni nie wymawiają „r”, a kolejnych można zabić jednym wypowiedzianym na głos zdaniem...

– Nuda – po raz trzeci powtórzył Lucyfer.

Naprawdę nie spodziewał się, że zwycięstwo będzie aż tak rozczarowujące. No ale cóż, z armią Limbo to było trochę jak gra w „Cywilizację” na kodach. Masz myśliwce, gdy inni wciąż jeszcze myślą, jak obsadzić pola kukurydzą.

Władca Piekieł zamajtał nogami i przez chwilę przyglądał się, jak mróz bierze w posiadanie zwłoki, jak je konserwuje, odbarwia i utwardza. Gdyby jeszcze tylko malował

im swoje kwiaty na oczach, jakież to byłoby niezwykle, jakież... turpiczne.

– Tak sobie myślę, że mógłbym was chyba zostawić przy życiu – powiedział w końcu, zwracając się do siedzących nieopodal jeńców.

Obaj byli spętani i nie licząc czerwonych czapek z pomponami, nadzy jak armia Limbo.

W pewnym sensie byli też do siebie podobni, choć bardziej chodziło o wrażenie niż wygląd. A może była to kwestia czapek i bród?

– Pytanie tylko – kontynuował swą myśl Lucyfer – czy nowy świat będzie jeszcze potrzebował Mikołaja? Nieważne, świętego czy nie...

Tak, nowy świat... Uśmiechnął się do tej myśli i już, już miał to zabawnie skomentować, gdy nagle poczuł, czy też raczej zobaczył w głowie niezwykle obraz. Coś jakby most połyskujący w blasku księżyca... i wieżę... i...

– No proszę – powiedział, nie kryjąc zaskoczenia. – Czyżbyś jednak przeżył, Kłamco?

Imponujące. Szkoda tylko, że bez znaczenia.

Podniósł się, otrząsał spodnie i cisnął aparatem w stos ciał gdzieś na dole. Cóż niby miał z nimi zrobić? Podobnie jak z resztą tych nudnych prezentów. Bo tak naprawdę była tylko jedna rzecz, na której mu zależało. Świat. I właśnie go sobie prezentował.

Teraz wypadało już tylko przywdziać koronę w postaci jego stolicy i zabezpieczyć się, na wypadek gdyby ktoś wpadł na pomysł, jak ukraść mu tron.

– Już czas na Nowy Jork – powiedział na głos. – Następny przystanek, ostatni etap.

Tam przynajmniej nie będzie nudno.

Przekrzywił czapkę na głowie skostniałego z zimna Mikołaja.

– Trzymajcie się, chłopaki. Tylko tak, wicie, nie dosłownie, bo to by wywołało plotki.

Nikt się nie zaśmiał. Tylko wiatr gdzieś w oddali zawył cichutko.

Trudno było to sobie wyobrazić, zważywszy na ogrom Lucyferowej armii, ale nie minęła godzina, a tafla zamarniętego jeziora zupełnie opustoszała. Światowid przyglądał się obojętnie skrzęcej powierzchni i starał się nie trzaskać zębami. Jeżeli w tym, co mówiono o zamarnianiu, była choć odrobina prawdy, lada chwila powinno mu się zrobić ciepło. I sennie.

Mikołaj, do którego Światowid był przywiązany plecami, trzymał się zdecydowanie gorzej. Wcześniej, gdy sługusy Lucyfera masakrowały jego podwładnych, starał się jeszcze trzymać fason i starym zwyczajem świętych wznosił modły o pomoc. Teraz ewidentnie stracił wiarę i tylko zawodził cicho.

– Zawiodłem – brzmiało to jak dźwięki dochodzące z chińskich lalek, rzekomo imitujące dziecięcy płacz. – Zawiodłem, zawiodłem, zawiodłem...

Światowid westchnął. Właściwie powinna go bawić ta sytuacja i to, że w ostatecznym rozrachunku on, kopia, trzyma się jednak lepiej niż oryginał. W rzeczywistości jednak wcale nie było mu do śmiechu. Wręcz przeciwnie, czuł żal, który narastał z każdą chwilą. Aż w końcu pękł.

– Ssss-słuchaj no, śśś-święty! – Światowid z całych sił starał się mówić wyraźnie mimo szczękających zębów. – Wszysstko jest w pppppp-porządku. To był ttttylko ann...

anielsssski żart-ttt. Sam zobacz.

Zamknął oczy, by zobaczyć świat oczyma świętego, a potem delikatnie go przestawić.

Czuł się trochę jak postacie z tego dziwaczego świątecznego filmu na podstawie Burtona – podobnie jak tam, nakładał teraz na trupa szkaradę świąteczny obraz. Z tą różnicą, że – o ile mu się uda – efekt nie będzie nosił znamion makabry. Będzie...

– Ojej, jak tu pięknie! – usłyszał za plecami głos Mikołaja. Pogodny, radosny, jakby dziecięcy. – Wszyscy pracują, worki pęcznieją, a te ozdoby? Ho, ho...

Światowid uśmiechnął się smutno. Wiedział, że takie werbalizowanie myśli to znak, że Mikołajowi niewiele już zostało. Jego umysł opuszczał tonące ciało jak sznur.

– Okrutny to był żart, anioły, ale dobrze, że już się skończył – mówił dalej Mikołaj.

Ewidently promieniał i emanował szczęściem. Nawet jego plecy zrobiły się cieplejsze.

A może tak się tylko Światowidowi zdawało?

– Wszysstko jest dobrze, Mikołaju – wydukał niegdysiejszy bóg Słowian. – Możesz iść ss-spać, faerie dd-dopilnują wszysstttkiego.

– Tak – zgodził się Mikołaj. – Spać. To dobry pomysł. Prześpię się tylko chwilę. Tylko momencik...

– Dobranoc – szepnęła Światowid.

A potem oparł się wygodnie o plecy świętego i zapatrzył na postrzępiony, biały horyzont.

Patrzył tak, aż zamarzył mu oczy.

Paryż

Droga wiodła w przód i w przód. Po wąskich uliczkach między tłącymi się ruinami kamienic, po brukowanych deptakach wśród zdewastowanych kawiarnianych ogródków. Wreszcie przez osiedla dla algierskich emigrantów, których kondycji nawet Apokalipsa nie była w stanie pogorszyć.

Droga była męcząca, widoki depresyjne i często obrzydliwe, ale przez całą wędrówkę oddali raptem kilka strażów do pobliskich stworów i widzieli może ze trzy albo cztery stadka nieumarłych Francuzów. To sprawiło, że udało im się przebyć większość drogi albo w milczeniu, albo na luźnych rozmowach o niczym. Oczywiście do czasu. W końcu bowiem dotarli do podparyskiej obwodnicy zapchanej stojącymi samochodami. Tam, zgodnie z niepisaną tradycją obowiązującą we wszystkich ulicznych podmiejskich korkach, komuś musiały puścić nerwy.

– Nie chciałbym marudzić – zaczął Elvis, wspinając się na stare, kanciaste volvo.

Mando jednak natychmiast wszedł mu w słowo:

– To nie marudź! Naprawdę wszyscy świetnie się obejdziemy bez twojego ciąglego gładzenia.

Elvis pokręcił głową z wyraźną rezygnacją.

– I tak się właśnie kończą wszystkie równouprawnienia. Jednego dnia ściągasz łańcuchy, dajesz przywileje, a następnego cholerni wyzwolenicy włożą ci na głowę.

Musiał sobie zdać sprawę z tego, co mówi i jak to brzmi, bo nagle obejrzał się i spojrzał przepraszająco na Taidę.

– Nie miałem na myśli wojujących feministek z M16 na ramieniu, więc *no offense*, OK? Zresztą marudzę tak, bo wiecie... trochę mi ciężko!

Idący z przodu Eros wyprostował się na dachu starego passata, obejrzał i zmierzył Elvisa spojrzeniem.

– Może nie byłoby ci tak ciężko, gdybyś...

– Nie! – krzyknęli jednocześnie Mike i Mando.

Ale było już za późno.

– Gdybym co? – zapytał Elvis, zsuwając się po masce samochodu. Jego ton wyraźnie sugerował, że chłopak gotowy jest do wojny. – Gdybym nie brał tylu książek? To chciałeś powiedzieć? Otóż chciałem cię poinformować, koleżko, że te książki to nasze, ludzkości, dziedzictwo i ani myślę zostawiać ich na przegnicie. Bo dopóki tli się jeszcze...

Spomiędzy samochodów wystrzeliła nagle wielka, kostropata łapa o ogromnych szponach i chwyciła go za kostkę. Dołączyła do niej zaraz ruda głowa z gębą pełną ostrych, brudnych zębisk.

Elvis zdążył jedynie pisnąć, ale zanim stwór zdołał ugryźć, rozległ się ogłuszający terkot karabinu i ruda głowa rozprysła się jak zrzucony z wysokości przejrzały arbuz.

Pisnął ponownie i jak najszybciej cofnął nogę. Gdy podniósł głowę, zobaczył Jenny stojącą w rozkroku na dwóch samochodach. Wyglądała trochę jak strip-aniolek z taniego grindhouse'a.

– Zostaw ten przeklęty plecak albo my zostawimy ciebie – powiedziała, wciąż ściskając karabin.

Nie mierzyła dokładnie w niego, ale wystarczyło, żeby lufa lekko podbiła do góry...

Elvis posłusznie zrzucił plecak.

– No dobra – westchnął. – Znam na pamięć „Firefly”, „Gwiazdne wojny” i tę dziwną książkę... „Dreszcz”. Ludzkości będzie musiało wystarczyć takie dziedzictwo. No co się gapisz?! Ja przynajmniej nie dałem się ugryźć!

Mando, do którego było skierowane to zdanie, wzruszył ramionami. Odpowiedział mu za to zamykający pochód Mike:

– Dużo gadasz, Elvis. A wiesz, kto w filmach *gore* zawsze ginie pierwszy?

– Murzyn? – Elvis wzruszył ramionami.

I wtedy zobaczyli, a zaraz potem także usłyszeli pikujący ku ziemi samolot.

Niebo nad Paryżem

To, że tuż przed śmiercią całe życie przelatuje ci przed oczami, niekoniecznie jest takie złe. Gorzej, że nie da się we właściwej chwili wcisnąć pauzy. Prosty przykład, ot tak, pierwszy lepszy: lecisz samolotem z jednym tylko pilotem, który na dodatek podrywa twoją dziewczynę. Nokautujesz go, myśląc, że gdy się obudzi, przemyśli swoje postępowanie, a następnie, już po wylądowaniu, grzecznie przeprosi za swoją nachalność. Tymczasem on się nie budzi. A samolot właśnie zaczyna sygnalizować, że brak mu paliwa i leci na oparach.

Czy nie byłoby fajnie w takim momencie zatrzymać życiową retrospekcję na przykład na finałowych scenach „Krytycznej decyzji”? Albo chociaż „Czy leci z nami pilot?”...

Czegokolwiek, co choć w zarysie zasugerowałyby, jak się, do kurwy nędzy, ląduje awaryjnie?!

– No dobra, stary – szepnął do siebie Eryk. – Nie panikuj i weź się w garść. Przypomnij sobie, co ci mówił. I weź to na logikę, na logikę.

Dobrze było mówić, ale przecież wiedział, że na logikę to akurat nie ma prawa wylądować. Logika nakazywała wierzyć, że skoro prawdziwi, licencjonowani piloci potrzebują miesięcy, jeśli nie lat, by nauczyć się wznosić i lądować, to znaczy, że półgodzinny wykład, słuchany zresztą jednym uchem, raczej nie wystarczy. A tym właśnie dysponował obecnie Eryk. Dobrze chociaż, że Sygin spała. Przy odrobinie szczęścia nie poczuje bólu, tylko po prostu zaśnie głębiej.

– Nie! – Szwed uderzył się w twarz. – Nie wolno ci tak myśleć. Wylądujesz. Wylądujesz tym pieprzonym dziadostwem, a potem już na zawsze zostaniesz jej bohaterem.

Raz jeszcze zerknął w stronę wymoczka usadzonego teraz na fotelu drugiego pilota.

Wciąż nieprzytomny, wciąż beużyteczny.

Eryk przeniósł wzrok na konsolę.

– No dobra, próbujemy – powiedział, wyłamując palce. – Najpierw obniżamy lot.

Pchnął drążek. Zbyt gwałtownie. Samolot zapikował w dół, a umysł wielkiego Szweda nerwowo zabrał się do przygotowania szpul do prezentacji kolejnego odcinka „To właśnie twoje życie”.

Bo to przecież nie miało prawa się udać.

Paryż

Wszyscy, cała szóstka, patrzyli na samolot, jak ostrym, koszącym lotem pędzi na spotkanie z glebą. Ale najwyraźniej tylko pięcioro członków ekipy wiedziało, co to tak naprawdę oznacza.

– Widzisz, Erosie? – ucieszyła się Jenny. – Mówiłam ci! Są jeszcze piloci. I nawet w obliczu Apokalipsy najłatwiej ich znaleźć w okolicy lotniska.

Wskazała ręką w stronę całkiem już nieodległych budynków kontroli lotów. Wiodąca do nich dwupasmówka dla obsługi była całkowicie przejezdna, więc gdyby się sprężyli, mogliby tam być lada chwila.

O ile oczywiście uznaliby pośpiech za zasadny. Co w tym konkretnym przypadku nie miało miejsca.

– Nie chciałbym studzić entuzjazmu – powiedział Elvis – ale sądząc po tym, jak leci ten samolot, to raczej nie ma w nim pilota. No chyba że pochodzi z Pakistanu.

Jenny spojrzała na niego z pogardą.

– Bzdura! – odparła. – On po prostu ląduje odważnie.

– No, brawurowo, rzekłbym – dodał Mike. – Tak bez podwozia?

Rzeczywiście. Samolot, mimo iż wciąż zmierzał w stronę płyty lotniska, wcale nie wyglądał, jakby zamierzał lądować. Nie było mowy o wytracaniu prędkości, koła też wciąż miał schowane.

– Najgorsze jest to – zauważył Mando – że jak się rozbiją, to nie wystartujemy już niczym innym, bo zniszczą pas i...

– To jest najgorsze? – oburzył się Elvis. – A jeśli na pokładzie tego samolotu są jacyś ludzie?! Nieczuły zombie, sukinsynu, wiedziałem, że nie masz duszy!

Mando wzruszył ramionami.

– Może i tak, ale w ciągu ostatniego tygodnia widziałem zagładę połowy Europy i powiem ci, że garstka ludzi więcej naprawdę nie robi mi różnicy. A Nowy Jork fajnie by było zobaczyć.

– No, to fakt – zgodził się Elvis po namyśle. – Cofam tego zombie sukinsyna.

Tymczasem samolot był już prawie nad płytą lotniska, jeszcze chwila, jeszcze trochę i miał zaryć w asfalt, gdy nagle... poderwał się do góry.

– Oho – szepnęła Taida, uśmiechając się po raz pierwszy od bardzo dawna. – Chyba pilot się obudził.

Nie wiedziała, jak blisko była prawdy.

Bycie ateistą rodem z kraju wielokrotnie reformowanych protestantów nie przygotowuje specjalnie dobrze do ostatnich chwil. Ani się pomodlić, ani wykląć Boga, spowiadać się w powietrze też jakoś tak głupio, bo co człowiekowi po tym, że opowie, jakie popełnił

błędy kiedyś, skoro i tak wszystko, co zrobił, nie może się równać z tym, co nastąpi za chwilę.

Coś jednak trzeba było zrobić, więc Eryk trzymający kurczowo drążek sterów... zaczął

nucić pod nosem piosenki Abby. Wszystkie oprócz „Money, money, money”, bo jeżeli coś zapamiętał kiedyś z Biblii, to fragment o bogaczach, którzy będą mieli kłopot z wejściem do nieba. Głupio by było, gdyby Bóg – o ile istnieje – usłyszał, jak Eryk śpiewa właśnie o kasie, i uznał go za bogatego. Byłaby to rażąca niesprawiedliwość i tragiczna w skutkach pomyłka, której nie da się już naprawić.

Zaczął więc od „Dancing queen”, potem „Waterloo”, ale skojarzyło mu się z porażką, więc odpuścił i zamiast tego spróbował z „Gimme, gimme”, zmieniając jednak ostatni wers, tak by potencjalnie istniejący Bóg – w czterech osobach ubranych w stroje disco – nie zesłał mu przez przypadek mężczyzny, lecz spokojne lądowanie.

I to szybko, jeśli to możliwe, bo ziemia była coraz bliżej. Coraz bliżej. Coraz...

– Co tu się dzieje?! – wrzasnął nagle wymoczek. To było chyba najszybsze oprzytomnienie w historii. – Do góry, do góry, idioto!

Eryk przyciągnął drążek do siebie.

Kilka minut później samolot już prawidłowo wylądował na podparyskim lotnisku.

Wymoczek, który wykonał manewr, wypiął się z pasów i ledwie to zrobił, z całej siły wyrznął Eryka w twarz.

Ten nawet się nie zachwiał.

– Należało mi się – stwierdził z szerokim uśmiechem. – Ale tobie jednak bardziej.

Sięgnął do pasów, gdy nagle do kokpitu weszła nieco zaspana Sygin. Nawet opuchnięta od snu i z rozwichrzonymi włosami wyglądała przepięknie.

– O, wylądowaliśmy? – zapytała. – Wspaniale. Świetnie się spisaliście, chłop... Co to za ludzie?

Wskazała na zmierzającą ku nim grupkę uzbrojoną po zęby. Wyglądali trochę jak francuski ruch oporu, brakowało im tylko kaszkietów, prochowców i bagietek.

Chris przyjrzał im się uważnie.

– Miejmy nadzieję, że przyjaciele, bo paliwa nie wystarczy nam nawet na ponowne kołowanie.

Mando rozejrzał się dookoła.

– I gdzie znowu polazł Elvis? – zapytał. – Taki był twardy, a teraz...

– Poszedł po ten samochodzik ze schodkami – wyjaśnił Mike. – Powiedział, że tak czy inaczej się przyda, bo przecież do Stanów to na pewno polecimy czymś większym.

Poza tym on nie lubi westernów.

– A co to niby ma do rzeczy? – nie zrozumiał Mando.

– No jak to? Rozejrzyj się.

Rzeczywiście cała ta sytuacja wyglądała jak rodem z westernu. Odkryty teren w pełnym słońcu, z jednej strony oni uzbrojeni po zęby i stąpający powoli. Z drugiej... No dobra, samolot, ale chodziło przecież o symbol. W „Złocie dla zuchwałych” też był czołg, a wszyscy jakoś załapali.

– Myślisz, że mają broń? – zaciekał się Mando. – Głupio byłoby przeżyć to wszystko i paść od kuli wystraszonego pilota, nie sądzisz?

Mike nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle Eros uniósł rękę i powiedział: – Poczekajcie tutaj.

Schował broń i ruszył truchtem do przodu. Wolał, żeby nie było ich w zasięgu, gdy będzie roztaczał swój miłosny urok. O ile oczywiście jeszcze to potrafił.

Rozległo się pukanie.

– Ja otworzę – stwierdził Eryk.

Sygin zastąpiła mu drogę. Coś, pewnie to ciało stale domagające się głosu i pomagające jej zachowywać się w tym obcym jej przecież świecie, mówiło, że ona powinna to zrobić. Posłuchała.

– Poczekaj tutaj i w razie czego myśl, jak wyciągnąć mnie z opresji – powiedziała.

Odwróciła się i przeszła przez samolot.

– Kto tam? – zawołała, sięgając do dźwigni odblokowywania drzwi.

– Witam szanowną panią, nazywam się Elliot Ros i wraz z przyjaciółmi zastanawiamy się, czy nie mogłaby pani, ewentualnie pani i jej towarzysze...

Drzwi zgrzytnęły i stanęły otworem, a zaraz potem z samolotu automatycznie wysunęły się schodki. Nieznajomy natychmiast wskoczył na nie i nieomal wbiegł do środka.

Był przystojny, choć trochę wymuskany. Mimo wszystko jednak lepszy niż ci dwaj, których Sygin trzymała teraz w kabinie pilotów. W dodatku roztaczał wokół siebie coś jakby aurę... sympatii? Uprzejmości?

– Czy moglibyśmy co, panie Ros? – zapytała.

On jednak zamrugał kilka razy i przetarł oczy. Zachowywał się w tym momencie zupełnie tak, jakby zobaczył ducha.

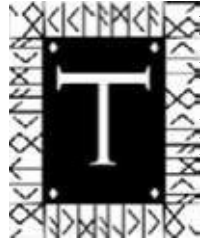
– Czy coś się stało, panie Ros? – zapytała miło i uprzejmie, co oczywiście znowu było zasługą instynktów Mary Ann.

– Kurwa mać! – krzyknął. – Ty?! Świat nie może być tak mały!

Ale był. A jak miało się wkrótce okazać, był nawet mniejszy.

Rozdział 12

Sześć stóp pod ziemią



Tym razem podziemne tunele wyglądały inaczej. Przede wszystkim były mniejsze, węższe i sprawiały wrażenie całkowitej prowizorki wykonanej w pośpiechu. Drewniane rzeźby, na których wspierał się strop, trzeszczały cicho. A może to był jęk? Czarna ziemia sypała się przez rozpiętą pod sklepieniem siatkę. Kamienie wystające ze ścian tak bardzo przypominały skamieniałe w przerażeniu twarze, że nie mogły być niczym innym.

Bachus przystanął i podrapał się po głowie.

– Samedi – zagaił – powiedz mi, czy ty się czegoś boisz?

Murzyn odwrócił się i posłał mu swój szeroki, pogodny uśmiech. Ta mina mówiła: *Na dzielnicy wszystko jest w porządku, ziom.* Ale dłonie miał zaciśnięte w pięści, a mięśnie napinały się, ilekroć gdzieś w pobliżu kapnęła większa kropla wody albo osunęła się zbyt duża grudka ziemi.

– Każdy się czegoś boi, Bachusie. Większość boi się mnie.

To była prawda, Bachus sam doświadczył tego wcześniej kilka razy. Miał jednak wrażenie, że te czasy już minęły. Obecnie zresztą najbliższemu mu było do obawy, że to, co ma nad głową, zaraz mu na nią spadnie.

– Wiesz, ten dzieciak tam, na górze, nie bał się ciebie specjalnie. – Nie powiedział

Lucyfer, by bardziej dopiec czarnoskóremu bogu. – Jego golasy też nie wyglądały na przerażone. Nie trzęsły się nawet z zimna.

Uśmiech na twarzy Samediego zamienił się w gniewny grymas.

– To była nasza jedyna szansa, wiesz? – warknął. – Dla takich jak ja, jak ty... bogów, którzy pojawili się znikąd i trwają karmieni wiarą. Ja... miałem sen, miałem wizję, jak wykorzystać zmiany na naszą korzyść. Myślałem, że jestem większy. Że wszyscy jesteście.

Coś musnęło nogę Bachusa, więc bóg wina odskoczył na bok z przestraszeniem. Wąz.

Grubas nie widział go tak dawno, że zdążył już o nim zapomnieć.

– Pytałeś, czy czegoś się boję, tak?

Samedi rozłożył ręce i pozwolił gadowi owinąć się wokół siebie. Wyglądał teraz jak poprawna politycznie laska Eskulapa.

– Nie boję się – kontynuował – bo to, czego się obawiałem, właśnie nadeszło. Teraz po prostu uciekam. Nie wiedząc nawet dokąd.

Tego trudno się było spodziewać po jak dotychczas pewnym sobie baronie, więc Bachus potrzebował chwili, by zapanować nad tłukącymi się po jego głowie myślami. W

końcu, lekceważąc syczenie węża, poklepał czarnoskórego boga w ramię.

– Gdy pracowałem z Kłamcą i musieliśmy się rozdzielić, zwykle spotykaliśmy się w takiej jednej knajpce w Nowym Jorku – powiedział. – Wiesz, cokolwiek by mówić o Lokim, zawsze wiedział, jak sobie poradzić. Wiem, że się nie lubicie, pewnie i tak nie zgodziłby się, żebyś ustawił go na czele tej swojej rewolty, ale założę się, że ma w zanadrzu kilka sztuczek, nawet na wypadek końca świata.

– O ile wciąż żyje.

Tym razem to Bachus wyszczerzył się w uśmiechu.

– Czarnuchu, proszę cię. Ja przeżyłem, a on miałby nie dać rady?!

Otarł ręką spocone czoło. Tu, pod ziemią, było tak cholernie, cholernie gorąco...

Dolina

Trzeba to było Lokiemu przyznać – naprawdę chciał się skupić na locie. Przede wszystkim starał się nie zamykać oczu, mimo że najpierw strach, a potem wiatr wyraźnie mu to utrudniały. Próbował też, pociągając na przemian za dwa dostępne sznurki, łapać powietrzne prądy. Wiedział, że tak trzeba – widział to w jednym programie na Discovery puszczanym koło trzeciej nad ranem dla tych, którzy nie mogą spać. Kłamca nie miał pojęcia, po co w ogóle puszczać coś takiego w telewizji.

Najwyraźniej ktoś w dyrekcji usłyszał kiedyś, że niektórzy chwalą sobie sny o lataniu, i podjął decyzję bez sprawdzenia tematu. Czasem tak bywa...

Tak czy owak, Loki bardzo się starał. Cóż jednak z tego, skoro Bajka miała inne plany?

Zwłaszcza że od momentu, gdy wyskoczyli z wieży, realizowała je bardzo konsekwentnie.

Zaczęła od całowania Kłamcy w szyję i ocierania się piersiami o jego tors, ale nim lotnia opuściła dolinę okalającą elfią stolicę, już mocowała się z jego paskiem.

– Wiesz co, piękna? – zawołał Loki, przekrzykując szum powietrza. – Stewardesy w moim świecie raczej by ci za to nie podziękowały.

– Nie wiem, kim są stewardesy – odparła Bajka, sięgając do jego spodni. – Ale nie sądzę, żebym im coś takiego robiła.

Ścisnęła lekko, a potem kilkakrotnie poruszyła ręką w górę i w dół. Czy też raczej, zważywszy na pozę, w przód i w tył.

– Poza tym co znaczy: *mój świat*, Loki? – zapytała i ugryzła go delikatnie w ucho. – To jest teraz twój świat. Tam już nie warto wracać.

Przez wzgląd na okoliczności Loki nie zaprzeczył, nie był jednak pod aż tak wielkim urokiem Bajki, by świadomie i dobrowolnie zrezygnować dla niej z komórki, kablówki i apartamentów z jacuzzi. Nawet jeśli, dosłownie, trzymała go teraz za jaja.

Choć trudno było zaprzeczyć, bardzo się starała umilić mu ten lot. Westchnął.

– Możesz uważać na misia?

– Tak go nazywasz? – zapytała zalotnie.

– Tak – odparł Kłamca. – Bo jest misiem. Pluszowym. I zaraz wypadnie.

– Aaa.

Bajka wyjęła pluszaka zza rozpiętego paska Kłamcy – rzeczywiście ledwo się już trzymał – i wsunęła go sobie między piersi. Loki uśmiechnął się, gdy to zobaczył.

– Szczęściar – powiedział.

– Też możesz.

– Nie zmieszczę się.

– Cały na pewno nie. – Raz jeszcze ugryzła go w ucho. – Uważaj na drzewa, niektóre są naprawdę wysokie.

I rzeczywiście, choć wciąż lecieli wysoko nad ziemią, niektóre drzewa sięgające aż po horyzont lasu były prawie na wyciągnięcie ręki. Kłamca musiał się nieźle naszarpać za sznurki, by o żadne z nich nie zaczepić, co zważywszy na działania Bajki, nie było szczególnie łatwe.

– Możesz na moment przestać? – zapytał. – Nie chciałbym, żeby mnie ta sztywność dopadła permanentnie.

Mina elfki była maską niewinności.

– Zupełnie nie wiem, o czym mówisz – odparła. – Ja tylko nie chcę, żebyś mnie opuścił.

Zwłaszcza teraz, gdy w tym, jak mówisz, twoim świecie, trwa Apoko..., Akopa... no jakżeż brzmi to trudne słowo?!

– Apokalipsa? – podpowiedział Kłamca. Szarpnął za lewą linkę. – Kto ci naopowiadał takich rzeczy?

I nagle przypomniał sobie spadające martwe ptaki. Czyżby to był znak? I czyżby ktoś na dole wymyślił, jak zacząć zabawę bez Antychrysta?

– Szlag – warknął Loki. – Nie można nawet wyjść na chwilę, żeby te pieprzone piórasy nie wszczęły rozróby. Michał się pewnie cieszy.

Bajka wzruszyła ramionami. Wyjęła dłoń ze spodni Kłamcy i rozłożyła ręce szeroko, wisząc teraz tylko na podtrzymujących ją rzemieniach.

– Z tego, co wiem, Michał nie żyje. Jak chyba wszyscy aniołowie. Lucyfer nieźle ich załatwił i teraz rozpoczął swój pochód zwycięzcy. Inaczej mówiąc, spóźniłeś się, Loki. I nie ma już powodu, żebyś tam wracał. Równie dobrze możesz zostać tutaj, ze mną.

Kłamca spojrział na dziewczynę z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy i zadał

pytanie, które powinien – teraz to wiedział – zadać już dawno. A przynajmniej od chwili, gdy powiedziała mu, że zna jego imię.

– Kim jesteś, Bajko?

Poruszyła się gwałtownie, owijając wokół niego rękami i nogami. Twarz przycisnęła do jego ucha i cichutko szepnęła:

– Jestem dziewczyną, której wpadłeś w oko. Która lubi wyjątkowych mężczyzn... i jest o nich zazdrosna. Bardzo.

Puściła go jedną ręką. Na moment, chwilę potrzebną, by dobyć noża z pokrowca zamocowanego na udzie. I zanim Loki zdążył zareagować, chlasnęła ostrzem po rzemieniach.

– Jesteśmy na miejscu, Loki – krzyknęła. – Tu wysiadamy.

To nie tak, że Kłamca się nie bał, ale trudno było brać na poważnie śmierć, gdy spadająca wraz z tobą dziewczyna na przemian albo się śmieje, albo wpycha ci język do gardła. Wbrew rozsądkowi więc, wbrew pędowi powietrza, który wywiewał z głowy myśli, Kłamca przyjął założenie, że to jeszcze nie moment, w którym przyjdzie mu odejść. W sensie: tak ostatecznie. Umrzeć. Odwalić kitę... i tak dalej.

Rzeczywiście, wylądowali dość miękko na niewielkim pagórku porośniętym puszystym mchem. Spleceni w ciasnym uścisku potoczyli się w dół zbocza, w stronę środka polany, gdzie stało ogromne drzewo, górujące nie tylko nad okoliczną przestrzenią, lecz najpewniej także nad całym lasem. I wszystkimi lasami w tym i innych światach. Nie dlatego, że było tak wielkie – chociaż było – i wcale nie dlatego, że wyglądało na starsze niż Słowo, które według innych było raczej wybuchem, zupełnie jakby nie istniało słowo BUM zdolne pogodzić wszystkich.

Nie, to drzewo przede wszystkim emanowało... nie, mało... ono... napierdalało majestatem. Było starszym, ale wciąż dziarskim dziadkiem Yggdrasila, stryjecznym wujkiem jabłoni z ogrodu Hesperyd. Wreszcie tym, które za badyła kochało się w rajskim drzewie dobra i zła. Temu dębowi zdecydowanie należał się respekt.

I pewnie gdyby nie okoliczności, Kłamca, który chwilę wcześniej zatrzymał się na jednym z twardych korzeni i teraz niezdarnie próbował wstać, byłby pierwszym, który schyliłby pokornie głowę. W obecnej sytuacji jednak jedyne, do czego był zdolny, to obfity rzyg. Mało która kultura uznaje to co prawda za przejaw szacunku, ale bez cienia wątpliwości Loki dał z siebie wszystko.

– O kurwa! – zaklął.

Przetarł usta rękawem, po czym spojrzał na Bajkę z prawdziwym uznaniem.

– Wiesz, często mówię laskom, że nie zapomnę ich do końca życia, ale ty właśnie wdarłaś się do wąskiego grona tych, którym nie kłamałem tym tekstem...

Usiadł na korzeniu i rozmasował obolały bok. Zaskakujące, ale choć spadł z takiej wysokości, jedynym bolącym miejscem było to, którym uderzył o wystający korzeń.

Resztę najwyraźniej zamortyzował mech.

– No dobra. – Kłamca splunął i przejechał językiem po dawno niemytych zębach. – To skoro leżysz tak zachęcająco, a w powietrzu nie do końca się udało, chyba głupio pytać, co teraz robimy, nie?

Skinęła głową i przeciągnęła się rozkosznie.

– Rzeczywiście głupio – odparła. – Ja czekam, a ty... – Zamachała mu przed nosem czymś, co odrobine przypominało drewnianą strzykawkę. – Ty zasypiasz, słodki.

Kłamca zmarszczył czoło. Próbował sobie przypomnieć moment, w którym go ukłuła, ale życiowy film, który mknął mu przed oczami w trakcie spadania, za bardzo przypominał „Mission: Impossible” w wersji porno, by chciał się wtedy skupiać na detalach. Poza tym czymże jest jedno maleńkie ukłucie? Strachem, żalem, wkurwioną ambicją? Igła strzykawki *made by* da Vinci to tylko jedna, wcale nie najbardziej realna z opcji.

Kłamca zdał sobie sprawę, że jego myśli błędzą już po dalekich orbitach. Spróbował uderzyć się w twarz, ale nie trafił. Za drugim razem nie miał już nawet siły, by podnieść rękę. Spróbował skupić rozmywające się spojrzenie na Bajce.

– Kim jesteś? – ponowił zadane już wcześniej pytanie.

– Nimue – odparła. – Mam na imię Nimue i chcę cię mieć, Loki, potomku olbrzymów, synu Asów.

Zanim udało mu się skojarzyć imię, Kłamca zapadł w ciemność.

Śnił o mieście. Potężnej, współczesnej metropolii, jednej z tych, które – prócz kilku znaków szczególnych – zwykle wyglądają tak samo: gęsto upchane osiedla kamienic i bloków poprzecinane szarymi bliznami ulic.

Stał wysoko, na szczycie wieżowca, a może po prostu unosił się w powietrzu i z dumą przyglądał swej armii zalewającej miasto.

Jego żołnierze nie mieli broni, nie mieli nawet odzienia, byli jednak niepowstrzymani niczym fala tsunami. Parli do przodu, nie bacząc na zjednoczone wysiłki ludzi i mitycznych. Niestraszne im były czołgi, niestraszne pazury harpii. Gdy tylko któryś z nagich wojowników padał, zaraz zastępował go kolejny. A równe szeregi ciągnęły się po horyzont.

Widział to wszystko w swoim śnie i wiedział, że ten widok powinien go cieszyć. Zamiast tego czuł jednak gniew i żal. Bo cóż komu po zwycięstwie, gdy nie ma Rzymu, gdzie będzie można tryumfalnie wjechać? Cóż po...

Poczuł bolesne uderzenie i nagle obraz zniknął. Zamiast tego pod obolałe powieki wdarł się ból, który natychmiast rozpanoszył się po całej głowie. A wraz z nim kilka wspomnień: śmierć Tytanii i Antychrysta, ucieczka z Bajką, a potem spadanie z nią w objęciach i rozmowa o Apokalipsie. Pamiętał, że dziewczyna uśpiła go, ale wcześniej wyjawiała mu swoje imię. Powiedziała, że nazywa się...

– Nimue – powiedział na głos. – Nazywała się Nimue.

I zaraz dostał czymś w łeb. Wrzasnął i potarł obolałe miejsce. Zmusił się też do otworzenia oczu, choć miał wrażenie, że ktoś mu je zakleił. Na szczęście wokoło panował delikatny, mglisty półmrok, który nie męczył o... Coś świsnęło i kolejny pocisk minął jego głowę o centymetr, może mniej.

– Ej! Możesz przestać?! – zawołał Kłamca, kompletnie nie wiedząc, do kogo właściwie kieruje te słowa.

Zorientował się już, że znajduje się w niewielkim kręgu otoczonym gęstym pierścieniem szaro-sinej mgły. I to właśnie stamtąd, zza widmowej zasłony, leciały kamienie.

Kolejny trafił Lokiego w nogę.

– Nie mam pojęcia, co ci zrobiłem, ale na pewno szczerze już tego żałuję. Mógłbyś dać mi spokój, kimkolwiek jesteś? Miałem naprawdę kurewsko szmatławy dzień. A nawet parę tygodni, jeśli się zastanowić. Kurewsko, mówię...

– Nie wolno tak mówić, to brzydko.

Kłamca obrócił się błyskawicznie w stronę, z której dobiegł głos, i z całej siły wyteżył wzrok. W palcach lewej ręki już obracał kamień, którym przed chwilą oberwał. W głowie już układał zwodniczą iluzję.

– I będę cię rzucał, rzucał i rzucał, aż ci dupę od kości odbiję, bo podrywasz mi moją dziewczynę – odezwał się znowu głos.

Kłamca zdał sobie sprawę, że brzmi piskliwie, kobieco albo... dziecięco? Tak, zdecydowanie, brzmiał, jakby należał do kilkuletniego dziecka.

Cóż – pomyślał. Jeśli się mylę, najwyżej zarobię kolejnym kamieniem. Warto spróbować.

Podniósł się więc i usiadł po turecku. Kamień położył sobie na udzie, tak na wszelki wypadek, a potem oparł dłonie na kolanach i uśmiechnął się do mgły.

– Nimue to twoja dziewczyna? – zapytał. – Jest bardzo ładna. I mądra.

– Aha – zgodził się głos. – I ma fajne cycki.

– Fakt. – Kłamca pokiwał głową.

I naraz przypomniał sobie o Kłamczuchu. Czy nadal tkwił między piersiami tej zdradzieckiej elfiej suki? Czy zatrzymała go sobie jako trofeum? Jeżeli tak, to Loki miał

cichą nadzieję, że pluszak odegra się na niej należycie.

– Kim jesteś? – zapytał dziecięcy głos z mgły. – I co ci się śniło przed chwilą? Bo tak zabawnie machałeś rękami.

Gejowski balet w wykręconej adaptacji „Szeregowca Ryana” – pomyślał Kłamca. Na głos jednak powiedział:

– Śniło mi się, że poznam nowego przyjaciela. Cieszyłem się, bo czasami moje sny się spełniają.

– To tak jak moje – zawołał wesoło dzieciak i wreszcie wyłonił się z mgły.

Zgodnie z przypuszczeniami Kłamcy mógł mieć nie więcej niż sześć lat, włosy postawione na niesforne gołę i ubranie zdecydowanie na niego za duże. Przydługa toga ciągnęła się za nim po ziemi.

– Jestem Merlin – powiedział dzieciak. – Czarodziej. I mogę być twoim przyjacielem, jak tylko nie będziesz obcinał więcej mojej dziewczyny.

Kłamca patrzył przez chwilę na dzieciaka, po czym nagle klepnął się otwartą ręką w czoło.

– No tak, Nimue, ukochana Merlina! – przypomniał sobie. – Teraz już wszystko jasne!

Podniósł się, uklęknął i przysiadł na piętach. Dopiero wtedy wyciągnął rękę.

– Loki – przedstawił się. – Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze parę sztuczek, to może uda się nam stąd wydostać.

Niestety, mały Merlin nie pamiętał.

Nowy Jork

Knox zastanawiał się bardzo intensywnie, gdzie w tym wszystkim tkwi haczyk. Bo że gdzieś był, cóż, tego był w zasadzie pewien. Dlaczego inaczej dostałby do ręki gotowy skrypt, a potem anielskie zapewnienie, że może z nim zrobić, co chce, nawet wyrzucić?

Zwykle ci, którzy chcieli, by dla nich pracował, nieważne, czy chodziło o film, przedstawienie, czy reklamę, mieli coś konkretnego do przekazania.

Chcieli wykorzystać jego niezwykle umiejętności wpływania na ludzi do ogłoszenia, że *tylko pieluszki Pampers zagwarantują twojemu dziecku stypendium sportowe, gdy dorośnie albo nieważne, jak jesteś brzydka, nawet Brad Pitt nie oprze się twoim rzęsom długim i czarnym jak nogi Naomi Campbell*. Owszem, pozwalali zmieniać drobiazgi, ale przekaz musiał pozostać. Tu nie. I to właśnie śmierdziało.

Jedyne weto, jakie usłyszał od siedzących w tej chwili na kanapie skrzydlatego posłańca i jego cichego kumpla, padło, gdy zapytał, czy może zastąpić ludzkich aktorów szczurami.

– Eksperymentowanie na zwierzętach to grzech – wyjaśnił posłaniec.

– A na ludziach to niby nie? – zdziwił się Knox.

– Nie – odparł anioł. – Wtedy to Dzieło Boże.

To właściwie zamknęło całą dyskusję. Posłańcy zalegli na kanapie, czekając zgodnie z rozkazami na pierwsze efekty, reżyser natomiast zabrał się intensywnie do pracy. I robił to sumiennie, choć świadomość obecności haczyka nie wpływała na niego dobrze.

Drażniła, rozpraszała...

W końcu, po blisko dwóch dniach ślęczenia niemal nieustannie nad pustą kartką, nie wytrzymał.

– Muszę się przejść, zebrać myśli – zawołał, stając w progu salonu.

I znowu, jeśli spodziewał się sprzeciwu, srodze się rozczarował, bo nieproszony gość numer dwa – ten milczący – zbył go jedynie wzniesionym w górę kciukiem. Gaduła nie zareagował wcale.

Kiedyś to było nie do pomyślenia. Środek dnia, żar lejący się z nieba i Central Park świecący pustkami. Żadnych szalonych miłośniczek diety, joggingu i seksu tantrycznego do muzyki Stinga. Żadnych policjantów na koniach, które wyglądają dostojnie, dopóki nie zrzucą klocka na środek ścieżki. Zero rozwrzeszczanych dzieciaków i studentów trzymających się za ręce, choć chłopcy woleliby pewnie położyć łapy na czym innym. Pusto. Po prostu pusto.

Knox widział w tym właściwie jedyną zaletę nowego ładu. Nareszcie park spełniał swoją rolę, pozwalał w spokoju, na łonie przyrody – no dobrze, nie na łonie, na stringach asfaltowej ścieżki, wciąż jednak dość blisko natury – wypasać myśli ściśnięte wcześniej w ciasnej zagrodzie własnej głowy. Do tej pory trudno było to zrobić, gdy co rusz ktoś zachęcał cię do lodów i każdy miał na myśli coś zupełnie innego. Doprawdy ciężko się wtedy skupić na pracy, chyba że szykujesz się do inscenizacji „Rent”... albo „Przygód pingwinka Pingu”.

Knox przystanął i wziął głęboki oddech. Zdał sobie sprawę, że nie zabrał ze sobą telefonu komórkowego, a to według nowego porządku było już poważne wykroczenie.

„Nowy szeryf” chciał dokładnie wiedzieć, gdzie jesteś, by móc cię lepiej chronić. To dlatego kazał każdemu nosić przy sobie nadajnik GPS, zmusił też wszystkich, którzy wcześniej tego nie zrobili, do

dołączenia do specjalnej grupy na Facebooku.

„Przetrwaliśmy Apokalipsę w najlepszym mieście na świecie” miała obecnie trzydzieści tysięcy lubiących i według „szeryfa” była największym wciąż aktywnym profilem na portalu. Co na to powiesz, Coca-Colo?!

No dobra, i co teraz zrobimy z tym telefonem, staruszk – odezwał się nagle głos w głowie Knoxa. Jego własny głos, ten sam, który często podpowiadał mu najlepsze sceniczne rozwiązania. *Co zrobisz z tym fantem? Wrócisz do domu po smycz czy siądziesz na tej ławce i nakarmisz ptaki okruchami?*

– Nie ma już ptaków – odpowiedział sam sobie. – Długo cię nie było, głosie, ale „szeryf” wyłapał je wszystkie i nakarmił nimi wygłodzonych nowojorczyków. Nazwał to cudem.

Podszedł do ławki i usiadł tuż obok starego, napęczniałego od wody egzemplarza „Buszującego w zbożu”. Westchnął, biorąc książkę do ręki.

– Nie wiem, głosie – szepnął w zamyśleniu – czy to nie jest aby zbieg okoliczności, ale całe życie świetnie sobie radziłem jako ateista, a teraz, gdy wiara sama do mnie przyszła, nie umiem się zupełnie odnaleźć. Powinno być chyba odwrotnie, nie?

Głos nie odpowiedział. Nigdy nie był specjalnie wygadany i pewnie już sobie poszedł.

Knox kiedyś powiedział, że próby do jego przedstawień trwają tak długo, bo natchnienie odwiedza go tylko raz na kilka dni. Zupełnie jakby pracowało jeszcze u kogoś na skrywaną połówkę etatu.

Czy ten ktoś, ten złodziej weny, również przeżył Apokalipsę? A może, kto wie, również jest w grupie „Przetrwaliśmy Apokalipsę w najlepszym mieście na świecie”? Ciekawe, czy wali lajka pod każdym wpisem „szeryfa” i podśpiewuje pod nosem, ocierając rękawem łzę wzruszenia, ilekroć ktoś wklei link do „New York, New York” albo tej piosenki z „Fisher Kinga”, tej o lubieniu Nowego Jorku latem...

Wziął zamach i cisnął książką w krzaki.

– Pierdole twoje telefony i facebooki, skrzydlaty pojebie! – krzyknął, podrywając się z ławki. – Ciebie też pierdole, że mi tak włączysz do życia z butami, skrzydłami i zamianą wierzę w *wiem*. Religia to kwestia wyboru, ty chuju!

– I wciąż go masz, Richardzie Theodorze Knoksie – rozległo się tuż za jego plecami.

Głos wysoki, niemal chłopięcy, a jednak przeżarty niczym gardło starego palacza.

Cynizmem, nie tytoniem, choć w brzmieniu nie robiło to specjalnej różnicy.

Reżyser obejrzał się przez ramię, doskonale wiedząc, kogo powinien się tam spodziewać. Chudego wymoczka w conversach z logo Batmana, różowej koszulce Aerosmith i z zielonymi włosami. Tak wyglądał teraz władca Nowego Jorku, „nowy szeryf”, wybawiciel, anioł stróż. Dla przyjaciół, których kiedyś podobno miał, Jefferson.

– Możesz dostosować się i żyć, Richardzie Theodorze – powiedział anioł, tym razem odpuszczając sobie nazwisko. – Albo wybrać swoją drogę, a wtedy...

Przerwał i uniósł głowę. Knox zrobił to samo, tuż nad ich głowami rozpostarł się bowiem ogromny cień, przypominał trochę ptaka, trochę lądujący samolot... ale zdecydowanie nie był ani jednym, ani drugim.

– Jest jeszcze trzecia opcja, Jeffersonie – zawołał z wysokości archanioł Gabriel głosem tubalnym i uroczystym jak przy zwiastowaniu. – Zostawisz tego oto człowieka większym od siebie, albowiem oni znają jego przeznaczenie.

Archanioł powoli opadł na ziemię i złożył skrzydła.

– Wiem, że to, co tu robisz, jest dobre, Jeffersonie – powiedział. – Wiem też, że aby osiągnąć ten cel, musisz być surowy. Michał z pewnością by to docenił, gdyby wciąż jeszcze był wśród nas...

– Tak, słyszałem, że odszedł.

– Z drugiej strony – Gabriel albo nie dosłyszał żalu w głosie Jeffersona, albo celowo go zlekceważył – mam wrażenie, że Kłamca, który darzył cię dotąd sympatią, nazwałby cię teraz... Pomóż mi, proszę, w doborze słów.

– Nazistowskim dupkiem? Saddamem Chujsejmem? – zaproponował Jefferson. – Może nawiązałby do Orwella, gdyby był w naprawdę dobrym humorze.

Gabriel uśmiechnął się lekko. Tak, to by nawet pasowało do Lokiego. Zwłaszcza ta przeróbka

nazwiska.

– Nie chcę, żebyś zmieniał swoje podejście, Jeffersonie – powiedział, kładąc rękę na ramieniu zielonowłosego – ale ważne, żebyś w tym wszystkim wciąż pamiętał, że jesteś tylko stróżem. I teraz więksi od ciebie mówią ci: odpuść.

To powiedziawszy, archanioł zadarł głowę i otworzył usta. W tym samym momencie jego głowa stanęła w płomieniach, a twarz przemieniła się w gołą czaszkę. Przemówił

głosem, od którego pociemniało niebo:

– JAM JEST OGIEŃ PANA. OD TERAZ AŻ PO DZIEŃ, W KTÓRYM PAN ZDEJMIE ZE MNIE TO BRZEMIE.

Na powrót rozłożył skrzydła i wzbił się w górę, a potem rozpląnął w powietrzu.

Jefferson i Knox patrzyli jeszcze przez chwilę w niebo.

– Chyba powinieneś już iść, Knox – stwierdził anioł.

– Chyba rzeczywiście, szeryfie – zgodził się reżyser.

Podali sobie ręce.

– I nie musisz już nosić komórki. W sensie nigdy.

– To dobrze, bo podobno powodują raka.

Jefferson wyszczerzył się w uśmiechu.

– Obstawiałbym, że to akurat najmniejszy z twoich obecnych problemów.

To powiedziawszy, on również zniknął.

I tylko Knox musiał drałować całą drogę na piechotę.

Rozdział 13

Dolina

o kilku godzinach krążenia po wysepce i brodzenia we mgle Kłamca miał dość. I wysepki, i mgły, i – to już po raz kolejny – przekłętej Doliny. Nade wszystko jednak miał dość małego Merlina!

Dzieciaka wszędzie było pełno, pytał o każdą sprzączkę w ubraniu Lokiego, prosił o wyjaśnienie każdego wulgarnego słowa, które Kłamca wypowiedział, a którego chłopiec nie znał, i oczywiście oburzał się, gdy się dowiadywał, że słowo jest brzydkie. Nade wszystko jednak domagał się, by jego nowy przyjaciel poszedł z nim i zobaczył nowy model, który Merlin sam poskładał. I to bez żadnego obrazka ze wzorem!

– Jest naprawdę fajowy, zobaczysz – zapewnił, drepzcząc krok w krok za Kłamcą. – Zrobiłem go z...

– Później mi powiesz – przerwał Loki, przystając i wyciągając przed siebie ręce. – Teraz szukam wyjścia.

– Stąd nie ma wyjścia – odparł rezolutnie malec. – A model stoi tam, po drugiej stronie.

Właśnie go skończyłem i czekałem, aż ktoś przyjdzie, żeby mu pokazać. Myślałem, że przyjdzie Nimue, bo jest moją dziewczyną i w ogóle, ale ona ostatnio nie przychodzi i myślę sobie, czy jej nie rzucić, chociaż ma fajne cycki. Jak myślisz?

– Mhmmm. Tak, pewnie – mruknął Loki, marszcząc czoło w zamyśleniu. – Powiedz, Merlinie, jak głęboko wchodziłeś w tę mgłę? To znaczy tak najdalej?

– Do końca. – Głos dzieciaka sugerował, że obrażają go tak głupie pytania. – Pójdiesz jeszcze kawałek i walniesz nosem o ścianę, bo przecież jesteśmy w drzewie.

Kłamca zaklął pod nosem, ale na tyle cicho, by mały nie usłyszał.

– No tak, przecież to oczywiste. Każde drzewo w lesie ma w sobie obłok mgły i gadatliwego gówniarza...

– Nie każde, tylko...

– Och, zamknij się! Po prostu się zamknij, słyszysz?!

Merlin usłyszał. Usłyszał wyraźnie. Wygiął buzię w podkówkę, zacisnął dziecięce piąstki i wrócił na wysepkę, by nazbierać kamieni.

Loki tymczasem raz jeszcze obszedł wyspę, zanim zdecydował, że jednak spróbuje dojść do końca mgły. I szybko przekonał się, że mały ma rację – była tam jakaś bariera, która nie dość, że twarda, na każdy wymierzony w nią cios odpowiadała tęym bólem.

Aż strach było pomyśleć, co by się stało, gdyby Kłamca użył noża czy siekiery. O ile by je oczywiście miał, co w obecnej chwili było rozważaniem czysto akademickim.

Licząc się więc z tym, że zaraz może oberwać kamieniem, a także z koniecznością zobaczenia Merlinowego modelu, Kłamca wrócił na wysepkę. W zasadzie było mu już wszystko jedno.

– Dobra, mały. Pokaż mi, gdzie masz to twoje чудо – powiedział, wylaniając się z mgły.

I zaraz przystanął, bo w miejscu chłopca siedział teraz dorosły mężczyzna pod trzydziestkę, z rozwichrzoną blond brodą i oczami jak lazur oceanu.

Kłamca schylił się po kamień, nie odrywając wzroku od nieznanego. Trafił na coś podłużnego, podniósł i kątem oka dostrzegł, że to kość. Długa, możliwe, że ludzka.

– Coś ty za jeden i co zrobiłeś z Merlinem? – zawołał Loki, podnosząc kość. Czuł się teraz jak te mały z początku „Odysei kosmicznej 2001”, ale miał to gdzieś. Teraz ważny był tylko los dzieciaka, bo wkrótce mógł go podzielić.

Nieznamy przyglądał się Lokiemu jeszcze przez chwilę, po czym uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko. Zęby miał poźółkłe, ale równe i w komplecie.

– Zanim ci na to odpowiem, Loki, pozwól, że w kilku słowach streszczę ci pewną historię. Będzie to

opowieść o kobiecie, którą znasz. Którą wszyscy znamy bądź
znaliśmy. – Wykonał gest ręką, jakby wskazywał na wyspę.

Kłamca na moment opuścił głowę i zrozumiał, skąd wzięła się kość. Wyspa była kurhanem. Masowym grobem dla setek, jeśli nie tysięcy ciał przykrytych tylko cienką warstwą otoczków.

– Każdy z nas poznał ją w innych okolicznościach, zawsze jednak była spełnieniem najskrytszych marzeń – kontynuował nieznajomy. – Czy to jako dzika branka, która daje się ujeżdżać, ale gdy trzeba, zna najśłodsze, najwspanialsze pieszczoty, by ukoić żal, czy jako muza dla poety... którego kość trzymasz właśnie w ręku. Tak czy owak, gdy już kogoś wybrała, a wybierała zawsze najlepszych, niezwykłych i wspaniałych mężów swojej epoki, robiła dla nich wszystko. Byleby tylko ich tu zwabić...

Loki mocniej chwycił puszczel i zbliżył się do nieznajomego. Tylko o parę kroków, ale dość blisko, by móc spojrzeć mu w oczy i wyczytać z nich ewentualne kłamstwo.

Dopiero wtedy, cedząc słowa, powtórzył swoje pytania: – Kim jesteś, facet? I gdzie jest Merlin?

Mężczyzna znowu się uśmiechnął. Tym razem z pobłażaniem.

– Kłamco, ja już przeżyłem tę rozmowę. Wiem, że i tak wysłuchasz mnie do końca, a potem zrobisz, co ci powiedziałem. Więc nie strasz i nie zmuszaj mnie, bym bełtał w tym i tak zmaconym kotle czasu.

– Nie wiem, o czym mówisz, stary – odparł Loki. – Kocioł czasu? Rozmowa, która już była?

– Pozwól mi więc dokończyć, a wszystkiego się dowiesz.

To powiedziawszy, mężczyzna wstał i ruszył w stronę krańca wyspy. Z tą swoją złotą brodą i ogorzałą skórą wyglądał trochę jak Hemingway ze zdjęcia na okładkach swych książek. Zatrzymał się przy ścianie mgły i nagle... zaczął pisać na niej palcem, zupełnie jakby to była tablica.

– Nimue to drzewna nimfa – powiedział, rysując we mgle drzewo z polany. – Byłaby zwyczajna, jakich wiele, gdyby nie to, że drzewo stoi na pograniczu światów, jest drzewem symbolem – raczej nie pierwszym, ale bliskim Źródła.

Odwrócił się do Kłamcy jak nauczyciel sprawdzający zaangażowanie klasy w temat lekcji.

– Na pewno już kiedyś się z tym spotkałeś – stwierdził. – W każdej religii były jabłka, w każdej było drzewo i w każdej był ktoś taki jak ty. Gdzieś tam w niezliczonej ilości wymiarów kryje się ten, który był pierwszy, ale to nie ma znaczenia, bo każda kopia jest niezwykła. Na przykład ten dąb, zapewne echo Yggdrasila, stoi, jak wspomniałem, na pograniczu światów i czasów. Może więc służyć jako wrota... albo jako więzienie. I Nimue używa go do obu tych celów. A przynajmniej używała... dopóki nie uwięziła mnie.

Tu mężczyzna przerwał, zmarszczył czoło i zadarł głowę.

– Poczujesz to? – zapytał, ale widząc niechęć na twarzy Kłamcy, machnął ręką. – Nieważne, zdawało mi się. Na czym to ja stanąłem?

– Kończyłeś pieprzyć i zabierałeś się do wyjaśniania, kim do cholery jesteś i gdzie jest ten wkurzający dzieciak – odpowiedział usłużnie Loki.

Nieznajomy roześmiał się, jakby to był najlepszy żart, jaki w życiu słyszał.

– No tak, Loki, rzeczywiście prawdą jest, co o tobie mówią. Kawalarz z ciebie. Ale ja jakby nie o tym... Aha!

Narysował wokół drzewa kilka spiral i poziomych kresek, na których umieścił domki, płotki i drzewka. Trudno było się domyślić, co konkretnie przedstawiają, ale Loki obstawiał, że na żadnym nie było Kansas.

– Dzięki drzewu Nimue mogła podróżować między wymiarami i epokami właściwie do woli, problem jednak w tym, że każda taka podróż osłabiała drzewo, które domagało się ofiar. Więc żeby wszystko mogło działać jak należy... O, tam leży Leonardo da Vinci, tam znany w Dolinie od najgorszej strony Szekspir, a Edgar Allan Poe... Jego już poznałeś.

– Poznałem? – zdziwił się Loki.

Mężczyzna wskazał brodą na puszczel w ręku Kłamcy.

– Mówiłem. Poeta.

– Aaa, no tak.

– Każdego z nich – mówił dalej mężczyzna – Nimue zwabiała do drzewa i zamykała tu, a oni, umierając, powoli oddawali mu swoje ostatnie myśli, cierpienie, wreszcie śmierć.

Drzewo stawało się silniejsze, a driada ruszała dalej. I tak było aż do czasu, gdy cofnąwszy się do

czasów Artura, uwiodła czarodzieja Merlina...

Kłamca odetchnął.

– No, nareszcie – westchnął.

Jak się jednak okazało, przedwcześnie.

– ...słusznie dostrzegłszy w nim niezwykły potencjał. – Mężczyzna z pietyzmem zabrał się do rysowania we mgle czarodzieja. – Nimue zaczęła roztaczać swe uroki i wdzięki, on jednak okazał się na nie odporny. Wreszcie postanowiła użyć... Auu!

Kość uderzyła centralnie w tył głowy. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Kłamcę z wyrzutem.

– Za co? – zapytał.

– Za love story – odparł Loki. – I ostrzegam, jeśli gotyk Poe nie wybił ci z głowy gadania o pierdołach, zaraz gdzieś tu znajdę miednicę Huna Attyli i zrobię ci ze łba upadek cesarstwa. Do sedna, złapała Merlina i co? Czemu zamienił się w dzieciaka?

– Bo żył odwrotnie. – Mężczyzna potarł obolałe miejsce. – Urodził się starcem i z każdym rokiem...

– Tak, wiem – wszedł mu w zdanie Kłamca. – Zasnąłem na „Benjaminie Buttonie”, więc mniej więcej łapię. Mówisz, że Merlin to miał?

– Ma – poprawił mężczyzna. – On żyje, a nawet więcej. Niezwykła właściwość drzewa, jego skłonność do bełtania czasu, sprawiła, że czarodziej, zamiast umrzeć jak wszyscy, zapętlił się i przeżywa... Nie, serio muszę spytać. Loki, czy nie czujesz tu aby świeżego powiewu?

– Co przeżywa Merlin, do kurwy nędzy?!

– Losowo wszystkie etapy swojego życia od młodości po starość, czasem ze zsynchronizowanym wyglądem i intelektem, czasem wręcz przeciwnie. Umrzeć jednak nie może i dlatego...

– I dlatego siedzisz tu cały czas, przeskakujesz jak kawałki playlisty w trybie losowym, a Nimue się wkurwia, bo drzewo nie jest już tylko jej i przywykło do ciebie. Dlatego potrzebowała mnie, żebym cię zabił, zajął twoje miejsce i przywrócił dawny porządek, tak?

– W zasadzie to chciała Oberona, ale skoro go zabiłeś...

Kłamca przejechał ręką po twarzy. Trochę tego dużo, jak na jeden dzień. Choć w sumie czas był teraz bardziej względny niż w notatkach z kajecika Einsteina.

– Czemu nie powiedziałeś od razu, że Merlin to ty? – zapytał w końcu.

Czarodziej wzruszył ramionami.

– A uwierzyłybyś?

No tak, to był argument. Kłamca już miał na niego odpowiedzieć, gdy nagle...

– Ty, rzeczywiście czuję jakiś powiew. Coś jakby stamtąd. – Wskazał ręką lekko na lewo. – Czemu to jest dziwne?

– Bo to zamknięty krąg i powietrze nie ma tu wstępu – zawołał podekscytowany Merlin.

Znowu zadarł głowę, poruszył nozdrzami i w pośpiechu pognął w mgłę. Zanim zniknął, zdążył jeszcze machnąć na Kłamcę ręką.

– Skoro obaj to czujemy, to może coś w tym być, nie sądzisz? Chodź!

Kłamca schylił się po kolejną piszczel i ruszył w ślad za czarodziejem.

Szli dłuższą chwilę, otoczeni z każdej strony gęstą jak wata mgłą. Buty zapadały się lekko, jakby brodzili po kostki w śniegu, sino-białe kłęby wdzierały im się do ust i nosa.

Loki szedł tak, by nie tracić czarodzieja z oczu. Było to trudne, bo jak na substancję o takim zagęszczeniu, mgła wyjątkowo szybko zlewała się z powrotem tuż za plecami Merlina. Zupełnie jakby chciała ich od siebie odciąć. I pewnie by się jej to udało, gdyby nie ten podmuch. Z każdą chwilą coraz mocniejszy.

– To musi być już niedaleko – stwierdził nagle Merlin. – Mgła się rozrzedza.

– Świetnie – odparł Kłamca, zaciskając mocniej ręce na piszczeli. – A przy okazji, dlaczego jesteś taki pewien, że po tym, co mi powiedziałeś, nie stanę jednak po stronie Nimue i nie zabiję cię, żeby ułatwić jej życie i zapracować sobie u niej na dług?

W odpowiedzi usłyszał śmiech: głośny, wysoki, niemal histeryczny. Z pewnością należący do Merlina. Przyspieszył, pochylając się do przodu i wtulając głowę w ramiona, z piszczelą wzniesioną wysoko.

Przymknął oczy i... wpadł na czarodzieja, który wciąż zanosił się śmiechem.

– Co się sta... – zaczął Kłamca, ale zanim skończył, już znał odpowiedź. I sam się roześmiał.

W pniu drzewa była szczelina; wrota pozostały niedomknięte, bo coś przeszkadzało im się zatrzasnąć.

Pluszowy miś z łatą na brzuchu. Kłamczuch.

Nowy Jork

Rafael siedział na kanapie owinięty kocem i z uwagą wpatrywał się w ekran telewizora.

Na podorędziu miał pudełko jednorazowych chusteczek, z których skwapliwie korzystał, ocierając łzę bądź wcale nie dyskretnie wycierając nos. W lewej ręce niegdysiejszy archanioł trzymał łyżkę brudną od lodów czekoladowych.

Film miał się już ku końcowi, a więc napięcie sięgało zenitu, choć gdyby ktoś wszedł

właśnie teraz i spojrzał na ekran, pewnie by tego nie zauważył. Ot, trzy szczury siedzą przy małym stoliczku. Dwa przebrane za kobiety – jeden w sukience, drugi w garsonce – trzeci w garniturze. Atmosfera raczej grobowa, choć z tła dochodzą wesołe dźwięki i popiskiwanie, jakby gdzieś obok trwała właśnie zabawa.

Wtem do stolika podchodzi czwarty szczur, ubrany w czarną koszulę z postawionym kołnierzem i skórzaną kurtkę. Obwąchuje obrus, staje na tylnych łapkach, patrzy, mrużąc paciorkowate oczka.

Ten w garniturze krzywi się na jego widok, nerwowo porusza wąsikiem, ale szczur w skórze nic sobie z tego nie robi. Łypie tylko na szczura w sukience i piszczy. Morse'em.

Wytrawne ucho Rafaela, niegdyś władającego językami, w mig wychwytuje z krótkich i długich pisków najpierw słowa, potem zdanie: *Nikt nie usadzi Baby w kącie!* A potem szczur w skórze i szczur w sukience ruszają w stronę sceny. Tam znów krótka przemowa, piski, słowa, zdania, wzruszenie i wreszcie to, na co czekał chyba każdy widz. Pierwsze dźwięki „Time of my life” ...

I w tym momencie na środku pokoju zmaterializował się płonący Gabriel. Oczywiście zasłonił ekran i doszczętnie zrujnował nastrój, a tym samym pokazał wyraźnie, że od czasów zwiastowania coś złego stało się z jego wyczuciem chwili. Rafael nie omieszkał mu tego pomyśleć.

– Tak, oczywiście – warknął Gabriel. Obejrzał się i prychnął z pogardą na widok tańczących szczurów. – Ty tu sobie jakieś durnoty oglądasz, a ja gorę! Pomógłbyś!

Rafael lekko przechylił głowę. Jak ptak albo zdziwione dziecko.

– Nikt mi tego nie zrobił, sam się podpaliłem – powiedział Gabriel. – Tym miastem rządzi teraz Jefferson i chciałem mu pokazać, że mimo śmierci Michała wciąż ktoś niesie ogień Pana. Wiesz, morale.

Podszedł do Rafaela, zerwał z niego koc i owinął nim sobie głowę, tłumiąc płomienie.

Gdy zaraz potem zerknął w lustro, wyglądał naprawdę źle, ale tylko przez chwilę, bo spalona skóra już się regenerowała, a włosy odrastały i nabierały połysku, o którym aktorki i modelki z reklam szamponów mogły tylko pomarzyć.

Rafael przyglądał się bratu z zaciekawieniem, a w jego umyśle rodziły się, jedno po drugim, kolejne pytania. To najbardziej natarchywe doczekało się wreszcie odpowiedzi.

– Kiedy chcesz się podpalić – wyjaśnił Gabriel – zrobisz to bez trudu. Nawet ludzie nie mieli z tym zwykle problemu. Kłopot w tym, żeby później wyjść z tego bez szwanku, czyż nie?

Rafael pokiwał głową. Zerknął też ukradkiem w stronę ekranu, gdzie właśnie trwał jego ulubiony moment – szczur w sukience unosił się nad głową tego w czarnej koszuli, rozczapierzając szeroko łapki.

Gabriel udał, że tego nie zauważa.

– Wiedziałem – mówił dalej – że Knox spotka podczas spaceru nowego gospodarza tego miasta. Wiedziałem też, że to anioł, a więc zrozumie, czym jest ogień Pana.

Zawczasu oblałem się więc parafiną, a potem wystarczył tylko dyskretny pstryk zapalniczką i już... Tak, wiem, że to oszustwo. Loki byłby ze mnie dumny, nie uważasz?

Rafael pokiwał głową i nawet się uśmiechnął. Zaraz jednak sięgnął po chusteczkę, wysmarkał nos i wrócił do swych szczurów.

Gabriel westchnął. Wciąż nie rozumiał, po co się tu znaleźli i dlaczego to ich zadanie ma być takie ważne. Przedstawienie? Reżyserowane przez człowieka?! Archanioła ciekawiło też coraz bardziej, kto wydał ten rozkaz. Na początku go to nie obchodziło, polecenie przyszło z samej góry, a takich nie wolno

mu było zakwestionować. Ale skoro Boga nie ma, kto tam teraz urzęduje? Kto czuwa przy Źródle? Na to pytanie Gabriel, choć bardzo chciał, nie umiał sobie odpowiedzieć.

Zazgrzytały drzwi i do mieszkania wszedł Knox. Czy też raczej wpadł, zataczając się jak pijany, dysząc ciężko i sapiąc. Reżyser padł na kolana, położył ręce na podłodze i tak siedział na czworaka, łapiąc oddech. W końcu udało mu się nad sobą zapanować, więc podniósł się, położył dłonie na udach i wycharczał: – Mam! Wymyśliłem! To znaczy wybrałem!

Gabriel nie musiał pytać, o co chodzi, wiedział dobrze, uśmiechnął się więc tylko i skinął głową.

– To dobrze, Knox – powiedział. – Nawet bardzo dobrze. Ilu potrzebujesz aktorów?

– Tylko...

Reżyser skrzywił się, złapał za pierś i skulił, by przeczekać kolkę. Dopiero wtedy rozwinął wypowiedź:

– Trochę statystów, bo z głównych to tylko was. I siebie. To nie będzie duże... ale z pasją.

Archanioł ponownie skinął głową, po czym odwrócił się do wpatzonego w ekran Rafaela.

– Widzisz? Jednak się udało. Teraz tylko się sprężyć i za trzy dni możemy wystawiać.

Ucichło dyszenie i w jednej chwili w mieszkaniu zrobiło się cicho jak w przestrzeni kosmicznej. Tej prawdziwej, nie z filmów George'a Lucasa.

– Powiedziałeś trzy dni? – wyszeptał w końcu Knox. Mówił tak, jakby samo powiedzenie tego głośno napełniało go lękiem. – Trzy dni? Na wszystko?

– Syn naszego Pana twierdził, że trójka to jego szczęśliwa liczba – odparł Gabriel. – Poza tym jesteś najlepszym reżyserem świata, a jako aktorów masz byłego i aktualnego archanioła. Co może pójść nie tak?

Knox wolał nie odpowiadać na to pytanie.

– No widzisz? – ucieszył się Gabriel. – A zatem bierzmy się do roboty, a jak będziemy gotowi, powiem Jeffersonowi, że ma nam udostępnić największą salę w tym mieście. I spędzić widzów.

Tak, to mogło być nawet zabawne. Nawet jeżeli to wszystko było bez sensu, a ktoś na górze – Trony, może Zwierzchności – zwyczajnie sobie zadrwił, i tak było to lepsze niż siedzenie beczynnienie. Lub umieranie gdzieś na pustyni, gdy...

– Dawaj te chusteczki, Rafaelu – poprosił archanioł, udając, że masuje nasadę nosa. – I bierzmy się szybko do roboty.

Wszystko, tylko nie myśleć.

I nie wspominać tych, co odeszli.

Paryż

Jeżdżenie wózkami ze schodkami było fajne, ale i tak Elvis nie przestawał pluć sobie w brodę, że zostawił grupę i przez to ominęła go cała akcja. Gdyby został, nie musiałby się teraz dopraszać o relację z tego, co wydarzyło się przy samolocie. Nie musiałby pytać, dlaczego jeszcze przed chwilą Eros leżał na ziemi we krwi, a wszyscy stali wokół

niego, mierząc do siebie z broni niczym w jednej z ulubionych scen Johna Woo. On jednak wybrał wozienie się po cholernym lotnisku i gapienie na samoloty. Jak ostatnia fujara.

To ostatnie określenie należało do Mando, który był zmęczony i obolały, ale najwyraźniej nie dość, by odpuścić sobie złośliwości, gdy nadarzyła się okazja. Komu bowiem jak komu, ale Elvisowi luzować nie zamierzał.

– Jak jesteś ostatnia fujara, to teraz się zastanawiaj – powiedział, gdy tylko Elvis zadał pytanie. – Mnie na ciebie szkoda słów.

– Trzeba było więcej czytać – odgryzł się tamten. – Nie musiałbyś ich tak oszczędzać.

A potem poszedł do Mike'a, który okazał się bardziej rozmowny.

– Widzisz tę pannę tam? – Wskazał ręką na blondynę rozmawiającą z Jenny. – To ona otworzyła drzwi i wpuściła Erosa do samolotu. Ten wskoczył do niej i już chciał poprosić o pomoc, gdy nagle wrzasnął: *Kurwa mać! Ty?!*

– ...świat nie może być tak mały!

Sygin zmarszczyła czoło i jeszcze raz przyjrzała się mężczyźnie. Wymuskany, trochę zniewieściały, lecz wyraźnie umięśniony. Gładka twarz ze śladowym zarostem, piękne, choć zmęczone oczy, dłonie wąskie, o długich palcach, bardziej do lutni niż topora, jak kiedyś mawiano. Ale z muzyką też go powiązać

nie umiała, choć miała pamięć do nadwornych grajków, nieważne, w którym ze światów i krain. Nie, zdecydowanie go nie znała, więc jego reakcja nie miała żadnego...

I nagle roześmiała się i klepnęła w czoło. Ciało. Powłoka, w której była, nie należała przecież do niej. A dziewczyna, której zabrała te nogi, cycki i całą resztę, była przecież znana. Jako modelka...

– Mary Ann – przedstawiła się, odnajdując imię w pamięci. – Tak się nazywam, panie Ros. Ale pana, bardzo mi przykro, zupełnie nie pamiętam, bo uderzyłam się w głowę i...

Rozejrzała się, jakby bała się postronnych świadków, po czym dodała szeptem: – ...i chyba straciłam pamięć.

Raz jeszcze uśmiechnęła się szeroko, wiedząc, że ta mina powinna zadziałać na każdego, a już zwłaszcza na mężczyznę. Ćwiczyła ją wszak w lusterku, gdy Eryk wioził

ją samochodem na lotnisko.

Ros jednak nie dał się zwieść ładnym ząbkom.

– Nie pamiętasz, tak?! – wrzasnął. – Nie pamiętasz ani mnie, ani Bartolomeu A. Chusa, którego uwiodłaś do swych nędznych celów?!

– Mówiąc *nędzne cele*, masz na myśli chędożenie? – zapytała wesoło, nic sobie nie robiąc z krzyków.

Czuła już na plecach oddech ogromnego Szweda gotowego w każdej chwili stanąć w jej obronie i to dodawało jej odwagi.

– Niektórzy mężczyźni, jak ty, wymuskani i zniewieściali, podobno nie potrafią tego wymówić i krążą słowami jak...

– Umie powiedzieć: chędożyć, do jasnej cholery! – Eros wściekł się jeszcze bardziej.

– Tak jak pieprzyć, rypać, dmuchać, dymać, rznąć, kochać, uprawiać seks i wiele innych. Jestem w końcu pieprzonym bogie...

Przerwał, wziął głęboki oddech i zszedł o schodek niżej. Kątem oka dostrzegł, że Jenny i Taida trzymały broń w pogotowiu. Mike i Mando też, choć stali dalej i z takiej odległości musieliby być świetnymi strzelcami, by służyć mu pomocą. Gdzieś w oddali, brzęcząc niczym osa w butelce, nieświadomy niczego Elvis robił kółka wózkami ze schodkami.

Totalna abstrakcja.

Eros ponownie spojrzął na Mary Ann i zapytał już spokojniej:

– Człowieka, na którym tak bardzo chciałaś się zemścić, też nie pamiętasz, Mary Ann?

Lokstara Val Hallena?

– Lok... – zaczęła, ale nagle dotarło do niej, że wcale nie musi pytać.

Świat ma swój porządek i ład, nawet jeśli gołym okiem go nie widać – tak mawiał Odyn w czasach, gdy miał jeszcze rozum, a nie tylko chuć i ambicje. Dziewczyna, której ciało zajęła, nie była jakąś tam przypadkową dziewczyną. Była powiązana z Lokim, jej mężem, który najwyraźniej wyrządził jej jakąś krzywdę. Tylko jaką?

Tym razem uśmiech przyszedł jej z większym trudem.

– Panie Ros, niezależnie od tego, co zrobił mi Lok... pan Val...

– Hallen.

– ...Val Hallen, nie żywię już do niego urazy. Jeżeli tylko zdradzi mi pan miejsce jego pobytu, mogę mu to sama...

– Aha! – Eros wycelował w nią palcem.

To był jego pierwszy poważny błąd. Drugi popełnił zaraz potem, gdy powiedział: – Jednak pamiętasz, zdroiro!

Następne, co zobaczył, to znikająca Mary Ann, którą ktoś wciągnął do wnętrza samolotu. Zaraz potem wyrósł tuż przed nim rosły blondyn. I nim bóg miłości zdążył

zareagować, dostał wielką piąchą w twarz i poleciał do tyłu. A wtedy...

– ...wszyscy unieśliśmy broń i w nich wycelowaliśmy – mówił dalej Mike. – To znaczy w tego wielkiego Szweda, który zeskoczył do Erosa. Ale potem na schodkach pojawiła się znowu blondyna, a zaraz za nią pilot, oboje z czymś, co wyglądało jak pistolety, i już celował niemal każdy do każdego.

– Uu, ostro. – Elvis pokiwał głową z uznaniem. – No i co dalej?

– Mówię ci, ja byłem pewien, że będziemy się strzelać – stwierdził Mike. – Już sobie myślałem: *I chuja tam, Mike, nie pojedziesz jednak do Seattle, nie zobaczysz grobu Brandona Lee i nie powiesz, że był zajebistym Krukiem. O ile oczywiście ten grób jeszcze jest, bo teraz...*

– Mike, dryfujesz.

– A, sorry. No więc stoimy i nagle Eros, leżąc na tym betonie, znowu odzywa się do blondyny. Masz to? Podnosi głowę i mówi...

– Dobra, źle zaczęliśmy, Mary Ann. Nie powinienem ani nazywać cię zdzirą, ani machać paluchami. Właściwie to wisi mi zupełnie, co jest między tobą a Val Hallenem, bo chciałem zapytać tylko, czy nie zabralibyście nas do...

Ale Sygin nie dała mu dokończyć. Prawą ręką przeczesła gęste włosy, po czym pokręciwszy głową, z rozbawieniem powiedziała:

– Lokstar Val Hallen. To takie do niego podobne. Takie typowe.

Powoli zaczęła schodzić po schodkach, a gdy minęła Eryka, delikatnie musnęła palcem jego umięśnione ramię. Drgnął. Dobrze. To znaczyło, że był jej niezależnie od tego, co teraz powie.

– Nie wiem, co takiego Lokstar Val Hallen zrobił pannie Mary Ann – kontynuowała, wciąż się uśmiechając. – Choć jeśli mogę się domyślać, miała też z tego chwili przyjemności i nie powinna narzekać ani tym bardziej szukać zemsty. Tacy jak on po prostu... są sobą, prawda, panie Ros?

Pochyliła się nad bogiem miłości i wyciągnęła dłoń, oferując mu pomoc. Przyjął ją z wahaniem i podniósł się ostrożnie. Otrzeptał spodnie, nie odrywając od niej oczu.

– Nie jesteś człowiekiem, prawda? – zapytał po chwili.

– Ty również nie – odparła. – Wyglądasz trochę na Alfa, ale wątpię, byś pochodził z Północy, raczej z...

– Grecja. Jestem Eros i pracowałem z Lokstar...

– Lokim – poprawiła go. – Nie bawmy się już w te głupoty, dobrze? Wszyscy na nas patrzą, a my i tak przeciągamy to w nieskończoność.

Eros rozejrzał się i dostrzegł, że rzeczywiście wszyscy, począwszy od wielkiego Szweda tuż obok, po stojących w oddali chłopaków, przyglądają im się z głupimi minami.

Wszyscy oprócz Jenny, która uniósłszy broń wyżej, zrobiła krok do przodu.

– Kim naprawdę jesteś? – zapytała ostrzej, niż zamierzała. – Skąd znasz Lokiego?!

– Nie znam go, moja droga, nikt go nie zna tak naprawdę. – Sygin rozłożyła ręce. – Ale coś o nim wiem, w końcu jestem jego żoną. A ty?

Choć z jej twarzy nie zniknął uśmiech, ostatnie dwa krótkie słowa wypowiedziane przez Sygin ociekały wręcz jadem. Były jednocześnie zarówno pytaniem i zachętą do wyznania, jak i zapowiedzią wszystkiego tego, co paskudnego zdarzy się, jeśli spełnią się podejrzenia zdradzonej żony. Bo niegdysiejsza bogini, zamknięta teraz w ciele modelki, była w stanie wiele wybaczyć swojemu mężczyźnie. A także martwym czy unieszkodliwionym już rywalkom. Gdy jednak któraś z nich mierzyła do niej z broni, gdy miała czelność zadawać jej pytania, jakby się zamieniły rolami i to ona miała prawo używać TONU i SŁÓW, wówczas cierpliwość Sygin się kończyła. I teraz w jej oczach świeciły się właśnie czerwone kontrolki, a śliczne piąstki zaciskały się, aż pobielaly knykcie. Brakowało już tylko ułamków sekund, gdy nagle...

– Wybacz, Loki – szepnął Eros, patrząc nie wiedzieć czemu w niebo. – Obiecałem więcej tego nie zrobić.

I skoczył...

– Mówię ci – ekscytował się Mike – wyglądał zupełnie jak bodyguard, który wbija się przed kulę. Dосkoczył do Jenny, przechylił ją jak na filmach i zaczęli się całować. Aż jej z tego wszystkiego wypadł karabin, wałnął o ziemię i wystrzelił. To właśnie słyszałeś.

– No i co? I co dalej? – chciał wiedzieć Elvis.

Ale to już był koniec historii i dobrze o tym wiedział. Już jadąc w tę stronę wózkiem ze schodkami, widział, jak Eros puszcza Jenny, a potem podają sobie ręce. Tacy mili dla siebie nie byli, odkąd ekipa wyciągnęła ich z obrazu. Więcej nawet, wtedy kłócili się non stop, obecnie wyglądali... no właśnie. Jak z obrazka.

– Teraz to już tylko gadają o jakimś wspólnym znajomku, a zaraz będą tankowali samolot – stwierdził

Mike. – Bo polecimy tym, z nimi. Podobno może nad Atlantykiem.

– Może, bo to gulfstream – wtrącił się Mando. – Takim latają gwiazdy filmowe i to najwyższa półka odrzutowców. Nie wiem tylko, czy się pomieścimy wszyscy, bo...

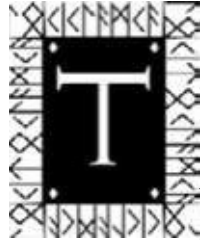
– Możesz zostać – wszedł mu w zdanie Elvis. – Ameryka i bez tego ma już pewnie dosyć zombie. A skoro zrobiło się spokojnie, idę zobaczyć, jak to cudo wygląda z bliska.

Nigdy nie widziałem prywatnego odrzutowca.

Poszedł, pogwizdując czołówkę z „Firefly”, już bez wielkiego żalu, bo – jak właśnie usłyszał – historia wcale nie była aż tak porywająca. A na pewno nie umywała się do kręcenia kółek schodowym wózkiem.

Rozdział 14

Nowy Jork



o wszystko wina moich starych – stwierdził Jake O’Brian, brodząc po kolana w szambie. – Zachciało im się pieprzyć w błocie i pierdolić o miłości i kwiatkach, zamiast szanować święte, katolickie tradycje naszych irlandzkich przodków, i teraz proszę, wszystko jak zawsze odbija się na dzieciach.

Doszedł do murku, odgonił siedzącego na nim szczura i usiadł, zupełnie nie bacząc na to, że przemoczy sobie tyłek. Ścieki i tak wlały się już do jego sięgających pachwiny gumowców, więc w zasadzie nie robiło mu to różnicy. Poprawił latarkę czołową i zdjawszy rękawiczki, sięgnął do przewieszanej przez ramię wodoodpornej torby.

– Dobra, Greg, czas na przerwę. Zjesz coś?

Z ciemności wyłonił się brodaty grubasek. W jednej ręce trzymał bejsbola, w drugiej – harpun. Na głowie natomiast miał skórzany kapelusz ozdobiony paskiem plastikowych zębów. Minę grubasek miał właśnie jak te zęby, w zamierzeniu drapiezną, komiczną w efekcie.

– Mówiłem ci już, że nie nazywam się Greg – warknął. – Jestem Grekiem. To miejsce pochodzenia, irlandzki idioto. Kolebka pieprzonej cywilizacji!

Odkleił od siebie kawałek przemoczonego papieru toaletowego, który właśnie nadpłynął z prądem.

– I kultury – dodał, po czym wgramolił się na murek obok Jake’a.

Ten podsunął mu pod nos burgera.

– Chcesz? – zapytał. – Śmieciowa praca, śmieciowe żarcie. Trochę zgniłe, ale cebula zabija przynajmniej trochę smrodu. No, zastępuje.

Greg pokręcił głową.

– Zapach wołowiny przyciąga aligatory tak samo jak ta twoja latarka – stwierdził, zaciskając palce na harpunie. – Boże, stary, nie wiem, jak ty w ogóle przeżyłeś do tej pory!

Jake westchnął. Dawno już zdał sobie sprawę, że kolejne tłumaczenie greckiemu koledze, że w nowojorskich kanałach nie ma żadnych aligatorów, miało mniej więcej tyle sensu, co rozmowa z prawicowcem na temat in vitro – nic nie wskórasz, za to na pewno okażesz się w czymś podobny do Hitlera. I zbierzesz w ryj.

Zresztą czy to nie było aby tak, że to właśnie brak wiary – czy też inaczej: inny model wychowawczy zbudowany na fundamentach New Age, czyli dragach, wolnym seksie i czytaniu Dylana Thomasa – zaprowadził go do tych kanałów? Gdyby nie drwił tak głośno z wiary, gdyby nie obnosił się swego czasu ze swym oddaniem prześmiewczemu Wielkiemu Potworowi Spaghetti, czy wtedy również dostałby do patrolowania akurat kanały? Szczerze wątpił.

– Mam jeszcze dwa kawałki jabłka, i to świeżego. Dostałem po odprawie.

– A, jabłko to chętnie – stwierdził Grek.

Wziął zbrązowiałą ćwiartkę, Jack włożył do ust drugą i przez chwilę żuli w milczeniu.

– Powiedz mi, Greg...

– Zach.

– Nieważne. – Jake machnął ręką. – Powiedz mi, zastanawiałeś się, po kiego mamy właściwie to wszystko patrolować? Kogo boi się Jefferson?

– Wiesz, aligatory...

– Nie mówię o kanałach, tylko w ogóle. Kim są ci, jak on to mówi, mityczni?

– A to nie wiem. – Pucułowaty Grek poskubał brodę. – Wiesz, skoro są anioły, to może chodzi o diabła i demony? Są tacy, co podobno mówią, że zaczęła się Apokalipsa, a to, że zgniło całe jedzenie, gwardia narodowa i zamknięcie całego Nowego Jorku to nie przez giełdę, kryzys i zemstę Buffeta, tylko przez Głód, jednego z Je...

Umilkł i zamarł, usłyszawszy głośny plusk. Najszybciej jak tylko mógł wyjął nogi ze ścieku, wstał i przywarł plecami do ściany. W rękę ścisnął harpun. Jake zdjął latarkę z czoła, by nie świecić koledze w oczy, po czym spojrzął na niego z rozbawieniem.

– Greg, co ty odwalasz właściwie? – zapytał. – Przecież tu ciągle coś pluszcze i...

Nie dokończył, a ułamek sekundy później stał obok Zacha w tej samej pozycji, ściskając oburącz kij bejsbolowy.

Ze ścieku kilka metrów dalej spoglądały na nich żółte, gadzie oczy.

– Dobra, jesteśmy u celu – stwierdził Samedi, unosząc do góry sękaty kostur. Bachus nie miał pojęcia, skąd Murzyn go wziął. – Co prawda moje tunele trochę się po tym wszystkim zmieniły, mówię o Apokalipsie, ale to miejsce poznam zawsze. Oto dokładnie nad naszymi głowami znajduje się siedziba główna Bocor & Wanga, w której spokojnie się odświeżymy i pomyślimy, co dalej zrobić.

To powiedziawszy, uderzył laską w sklepienie, robiąc w nim maleńką szczelinę. W odpowiedzi coś kapnęło mu na czoło.

– Oho – mruknął Bachus. – Komuś najwyraźniej załało piwnicę. Tak to jest, jak się nie...

W tym samym momencie sklepienie się zarwało, a na oba bóstwa chlusnęła prawdziwa rzeka ścieków pełna fekaliów, śmieci i... aligatorów. Na ich widok Bachus błyskawicznie doskoczył do Samediego i wpił się w niego tak mocno, że żadna siła nie byłaby ich w stanie rozerwać. A potem zamknął oczy, marząc, żeby – cokolwiek miało się stać – stało się już.

No chyba że miało to być ugryzienie pieprzonego aligatora.

– To... to, co myślę? – zapytał Jake.

Zach wzruszył ramionami, nie odrywając spojrzenia od gadzich oczu.

– To zależy – odparł. – Jeśli myślisz, że to żółw ninja, to raczej się mylisz. Nie widzę opaski.

– Bardzo śmieszne, Greg.

– Zach.

– Nieważne. I tak naprawdę wcale nie śmieszne, tak tylko powiedziałem. Co z nim zrobimy?

– Nie z nim, tylko z nimi, bo zobacz, tam jest następny. I pytanie brzmi raczej: co one zrobią z nami? To w końcu ich kanały, cholery są tu od zawsze!

Ostatnie słowo wyrzyczał, a echo poniosło je mrocznymi, obsranymi kanałami daleko, daleko, być może pod samą Grand Central Station, gdzie rezydował Jefferson. A zaraz potem rozległ się trzask, ściek zabulgotał i na powierzchni pojawił się nagle wir, niczym w wannie po wyciągnięciu korka.

Jake i Zach podali sobie ręce i niemal równocześnie zamknęli oczy.

Ulewa gówna nie ustawała, ale przynajmniej przestało walić gadami. Czasem tylko zaplątał się jeszcze jakiś szczur, poza nim jednak już tylko brązowa woda, nierozłożony papier, podpaski i martwe rybki.

Bachus wciąż wtulał się w Samediego stojącego prosto jak posąg. Choć ręce dawno mu już omdlały, nadal trzymał się blisko, bo wąż barona oplatał ich ciasno niczym kokon. Miło z jego strony, bo w sumie nie musiał.

Baron znaczy. Bo przecież to on kontrolował węża.

Mam nadzieję, że chociaż z tym odświeżeniem Samedi się nie pomylił – pomyślał

Bachus. Potrzebował w tej chwili prysznic tak samo mocno jak lampki dobrego wina. A kto wie, może gdy dotknie go strumień wody, Bachus zamieni go w Trapiche Malbec rocznik 2007? Czy to wystarczy, by z zapachowego bukietu wymazać nutkę *nowojorski ściek, rocznik bieżący*?

Okaże się – stwierdził w końcu. Wszystko się dopiero okaże, ale po tym, co stało się teraz, mogło być już tylko lepiej.

I rzeczywiście, niemal w tym samym momencie wodospad ścieku zaczął słabnąć.

Pośrodku kanału ziała teraz wielka okrągła dziura, do której wpływał wąski strumień ścieku. Resztę koryta wypełniały odchody i co większe odpady. Na przykład rower.

Roztrzaskana konsola. Ludzkie, nadjedzone zwłoki.

Jake spojrzął na to wszystko, a potem zerknął na resztkę niedojedzonego hamburgera, którą wciąż trzymał w lewej ręce. Wzruszył ramionami i ugryzł bułkę.

Tymczasem Zach, który nie widział już wokół żadnych aligatorów, wyraźnie nabrał

pewności siebie. Zszedł z murka, złapał za latarkę Jake'a i ruszył w stronę otworu.

– Sądzisz, że powinniśmy to zgłosić? – zapytał, zaglądając do dziury. – Wiesz, na wypadek gdyby to była jakaś autostrada do piekła albo coś.

Jake prychnął.

– Serio? Serio myślisz, że diabeł włączyłby do Nowego Jorku przez ten śmierdzący kanał?

– Andy Dufresne przeczłogał się przez największe gówno Shawshank, a wyszedł czysty jak łąza, pamiętasz? Niektórym to zwyczajnie nie szkodzi. Tak, wiesz, wizerunkowo.

Pochylił się nad dziurą i poświecił do środka.

– Hej, jest tam kto? Halo, panie diabeł czy ktoś... Jeżeli naprawdę pan tam jest, chciałbym tylko podziękować za aligatory i powiedzieć, że anioł Jefferson nieszczególnie za panem przepada i...

Z otworu wystrzeliła ręka.

Zach odskoczył z piskiem. Jake mocniej ścisnął bejsbola i zsunął się błyskawicznie koło kolegi. *Jak umierać, to razem* – pomyślał w przyływie nagłego, głupiego heroizmu. No cóż, Amerykanie tak właśnie mają.

Tymczasem obok jednej ręki pojawiła się druga, a zaraz potem z otworu wypełznął oblepiony odchodami Samedi. Na widok dwóch chłopaków wyszczerzył się i lekko skłonił.

Jake odpowiedział skinieniem, po czym pochylił się w stronę Zacha.

– Może być też inne wytłumaczenie – szepnął półgębkiem. – Diabeł jest czarnuchem.

Tymczasem z otworu wygrzebał się Bachus. Wyglądał jeszcze bardziej komicznie niż zwykle, bo ściek zaczesał mu włosy na włoskiego mafiosa. Zdecydowanie też nie przypominał diabła, właściwie w żadnym z jego wyobrażeń.

I to jego widok, gdy siedział na skraju dziury, dysząc ciężko, ośmielił Zacha do zadania pytania:

– Hej, sorry, że tak prosto z mostu, ale możecie nam powiedzieć, kim jesteście i skąd wyście tu właściwie wyleźli?!

Bachus z Samedim wymienili spojrzenia.

– Płyniemy z krain, gdzie śnieg i lód – powiedział w końcu baron. – Z kraju dni polarnych i ciepłych wód.

– Nie wiem, czy *płyniemy* byłoby tu najwłaściwszym słowem – zaoponował Bachus, ale Samedi posłał mu najbardziej pogardliwe ze swych spojrzeń.

– Nie będę zmieniał słów klasyka tylko po to, by dostosować je bardziej do naszej podróży, spaślaku! Poza tym właśnie spadł na mnie deszcz gówna, szczeniak gruby prawie jak ty mierzy do mnie harpunem, a na dodatek...

– O, przepraszam szanownego pana! – oburzył się bóg wina. – Przepraszam, że twój misternie skonstruowany plan rozpięrdoliła w drobny mak banda szatańskich golasów i że nie umiesz odnaleźć drogi we własnych kanałach. No ale powiedzmy sobie szczerze, czego spodziewać się po bóstwie, które jednocześnie patronuje miłości i śmierci? Mogli od razu dać ci pod opiekę syfilis i rzeżączkę, ty...

Dźwięk głośny jak wystrzał przerwał kłótnię i zwrócił uwagę obu bóstw na trzymającego bejsbola Jake'a. Rury, w które chłopak przed chwilą uderzył, wciąż wibrowały.

– Dobra, palanty. Powiecie nam, kim jesteście! I to teraz, natychmiast!

Samedi zlustrował go spojrzeniem, po czym znów się uśmiechnął, prezentując garnitur długich, idealnie równych i białych zębów. Tak uśmiechały się rekiny w animacjach Disneya.

– A jeśli jednak nie? – wycedził. – Co mi zrobisz, dziecko?

Chłopak nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie z mroku wystrzelił w jego stronę ogromny wąż. Chrupnęły kości, krzyk przeszedł w zdławiony jęk, a gdy dusiciel zwolnił

uścisk, zwiotczałe zwłoki runęły na ziemię.

Siedzący obok Zach spróbował zasłonić się harpunem, ale na niewiele się to zdało, bo w ułamku chwili wąż dopadł i jego, prześliznął się łbem po szyi chłopaka, jakby chciał

go w nią pocałować, i zawinąwszy się lekko, napiął mięśnie. Na moment. Tyle wystarczyło, bo – jak zwykł mawiać kiedyś dziadek Zacha – życie to zdradziecka dziwka i wystarczy chwila pod presją, by zwinęło manatki i opuściło cię już na zawsze.

Kilka sekund później stan osobowy tej części kanałów liczył sobie cztery tysiące szczurów, jednego węża, dwa bóstwa i trzy martwe ciała.

Czyli, pomijając mitycznych, kanałowy standard.

Drzewo Nimue

Loki wepchnął się przed Merlina, przykucnął i przez chwilę wpatrywał w misia, jakby nie do końca wierzył w taki korzystny zbieg okoliczności. Zwłaszcza po tym wszystkim, co go ostatnio spotkało, serii zdarzeń gładko przechodzących ze złych w katastrofalne, skłonny był raczej założyć, że to halucynacja, a nie prawdziwe szczęście.

Wszystko jednak wskazywało na fart, bo im bardziej się wpatrywał, tym bardziej miś tam był. Zgnieciony tak, że niemal przecięty na pół, a jednak skutecznie blokujący szczelinę przed domknięciem się i zespoleniem.

– Mały pluszowy skurwysyn – mruknął w końcu Kłamca. – Co ja bym bez ciebie zrobił, kudłata łazęgo?

Pluszak oczywiście nie odpowiedział, patrzył tylko z wyrzutem swych koralikowych oczu, jakby chciał zasugerować, że jeżeli zaraz go ktoś nie wyciągnie, to wkrótce wszyscy się przekonają, jak to jest radzić sobie bez misia.

Kłamca podniósł się, wyprostował i rozejrzał wokoło.

– To jak, Merlinie? – powiedział, choć nie dostrzegł czarodzieja nigdzie w pobliżu. – Chyba wypadłoby poszerzyć troszkę dziurkę i wynieść się stąd w przysłowiową cholere, zanim wróci nasza cizia, co? To jak, pomożesz... Auu!

Nadłamana piszczel trafiła Kłamcę w policzek, nacinając skórę. Centymetr wyżej i oberwałoby oko.

– Ona nie jest nasza, tylko moja, drałalu – rozległ się piskliwy, dziecięcy głos Merlina z mgły. – Przepróż, bo nie pokażę ci mojego modelu!

– Chyba przeżyję – mruknął Kłamca, wciskając palce w szczelinę.

Zaparł się nogami i szarpnął, poszerzając otwór.

– Najwyżej pójdę do terapeuty i opowiem mu, że wszystkie moje problemy biorą się stąd, że dziecko tkwiące w drzewie nie pokazało mi swojego modelu. Oni lubią takie newage'owe pierdolenie.

– Brzydkie słowo, brzydkie słowo! – wydarł się Merlin, a zaraz potem w stronę Kłamcy posypały się kości i kamienie. – Nie wolno ci tak mówić i nigdzie nie pójdziesz, bo niby jak przepłyniesz rzekę?

Rzekę? – pomyślał Kłamca. *Jaką znowu rzekę?! Skakanie po tęczy, latanie na lotni, brodzenie w mgłę gęstej jak pierze i teraz jeszcze rzeka?!* To wszystko wyglądało, jakby scenarzysta gry komputerowej, którą było życie Lokiego, dostał nieograniczony budżet i torebkę odpowiednich grzybków.

– No dobra, młody – Loki postanowił dać Merlinowi, czy może raczej sobie, jeszcze jedną szansę – przepraszam, że nazwałem Nimue naszą cholerną cizią. To twoja cholerna cizia, zadowolony? To teraz mów, co to za rzeka.

– Rzeka czasu, oczywiście – odpowiedziało dziecko we mgle. – Nimue mówiła, że do drzewa tylko wchodzi się łatwo, ale żeby wyjść, trzeba mieć mapę i łódkę.

Kłamca wsunął się w szczelinę, zaparł nogami o jedną krawędź, tyłkiem o drugą i naparł. Gdy udało mu się poszerzyć otwór tak, że mieścił się cały, swobodnie i frontem, schylił się po Kłamczucha i wsunął go za pasek.

– Dobra robota, mały – mruknął.

A potem spojrzął w prawo, gdzie rzeczywiście kilka metrów od progu ziemia równo przechodziła w brzeg rzeki. Przypominała Styks, który Loki kiedyś odwiedził, choć grecka rzeka śmierci nie wyświetlała na swych falach projekcji historycznych. Tu zaś co rusz pod grzywami bałwanów wznosiły się i opadały imperia, ludzie dorabiali się fortun, by zaraz z nimi runąć, a miłości rozkwitały i gasły. Dumne armie kroczące w równym szyku raz po raz szturmowały brzeg i rozbijały się o kamienie, a nieco dalej w księżycowym blasku na pomarszczonej tafli wody skrzyły się zmarnowane szanse i zapomniane idee.

Kłamca westchnął. *Zawsze coś – pomyślał. Zawsze coś.*

– Pewnie nie masz mapy, co, Merlinie? – zapytał bez większego przekonania.

– Nie – odparł chłopic.

- Ani łódki?
- Mam model.

Tak, można się było spodziewać, że temat wróci i będzie wracał raz po raz, póki Loki wreszcie go nie zobaczy. Równie dobrze mógł to zrobić teraz i potem mieć wreszcie święty spokój. Lada chwila wróci dorosły Merlin i wtedy wspólnie coś wymyślą, a małego lepiej nie drażnić, bo to i tak bez sensu.

- Niech ci będzie, młody – stwierdził w końcu Loki. – Pokaż ten model.

Więc Merlin pokazał.

– Nie pierdol! – jęknął Kłamca i zaraz machnął ręką. – Tak, wiem, brzydkie słowo. No ale, stary, bez jaj. To nazywasz modelem?!

– Podoba ci się? – spytał mały Merlin. – Sam go zrobiłem. No, prawie, bo ktoś mi pomógł, jak nie patrzyłem, ale takie to się nie liczy. I co, powiedz, powiedz. Jest w pytkę?

- Że co?

Mały Merlin przewrócił oczami. Spojrzenie mówiło: *Ech, wapniaki.*

- Pytam, czy jest fajny – wyjaśnił.

- Fajny – stwierdził Kłamca. – Na swój sposób.

Tak, to było dobre określenie: *na swój sposób*. Trudno było bowiem nazwać po prostu fajnym – czy nawet zwyczajnie w pytkę – miniaturową żaglówkę zbudowaną z jedyne go dostępnego w drzewie budulca.

– Dobrze, że niektórzy mieli długie włosy, bo nie miałbym czym wiązać tych kości – powiedział Merlin. – Nie znam też węzłów, więc wiązałem na supły. Ale się trzyma.

Żagiel też jest z włosów, ale to już nie ja robiłem, tylko właśnie ten ktoś, bo szycie to jest dla bab. Może Nimue? Bo wiesz, jest moja...

- Dziewczyną, tak, wiem – powiedział Loki. Musnął palcem łódź. – A pokrycie kadłuba?

To, co wygląda jak łuski? Paznokcie, prawda?

- Tak. – Merlin pokiwał głową. – Wygląda trochę jak ryba, nie?

Wyglądał jak pieprzone dopełnienie cholernej legendy. Co prawda nie był to drakkar, ale wszyscy wiedzą, że takie detale los traktuje raczej jako wskazówki niż zasady. A od jego wyroków nie sposób się odwołać.

– No dobra, młody – stwierdził po chwili Kłamca. – Spoko loko ta twoja zabawka, ale wątpię, żeby przetrwała wodowanie. Jakaś szansa na normalną łódkę?

Odpowiedź Merlina zagłuszył trzask dobiegający gdzieś z oddali. A zaraz potem następny i kolejny. Dźwięki, jakby ktoś oddawał suche strzały z rewolweru albo jak...

- Kości! Szczelina! – krzyknął Loki i rzucił się biegiem w stronę otworu.

Zanim poszedł zobaczyć model, zabezpieczył otwór kościanym stelażem, ale najwyraźniej drzewo zaczęło się wkurzać. I wyglądało na to, że przybrało na sile. A może to Nimue wróciła i dostrzegłszy otwarte wejście, zabrała się do naprawiania niedawnego błędu?

Gdy z takimi myślami pędził przez mgłę, nagle coś zatrzęszczało tuż za jego plecami i zaraz potem w chaosie zgrzytów i trzasków kościana łódź przetoczyła się tuż obok niego niczym koszmarne statek widmo.

– Wskakuj, jeśli chcesz uciec! – zawołał z pokładu nastoletni teraz Merlin. – Bo jak walnę w tę zapórę, to nic z niej nie zostanie!

Kłamca się zawahał. Przepowiednię stworzyły stare baby, które zresztą zaraz potem zabił. Czy naprawdę mogły mieć aż tak wielką moc? A jeśli tu zostanie...

- Chwytasz czy nie? – zniecierpliwił się Merlin.

Łódź, mimo iż Loki wyciągał nogi, coraz bardziej i szybciej się oddalała.

- Dawaj teraz, bo już dłużej nie mogę...

Kłamca podbiegł więc i wyciągnął rękę, a potem sprawnie wspiął się po burcie. Dopiero wtedy, już z pokładu, dostrzegł, że łódź sunie po kościanej ścieżce, wyraźnie przygotowanej pod wodowanie.

- Przygotowałeś się na to, co? – zapytał. – Ciągle liczyłeś, że kiedyś będziesz miał szansę tym wypłynąć, prawda?

- No tak – stwierdził nastoletni czarodziej, wzruszając ramionami. – W końcu ktoś po coś to

szkaradzieństwo zbudował.

– Ty sam – powiedział Loki. – Jako dziecko.

Merlin tylko się roześmiał.

– Mowy nie ma, staruszk. Jako dzieciak miałem taką chorobę morską, że wystarczyło potknięcie, żebym się zrzygał.

Łódź tymczasem nabrała ostatecznego rozpędu – Loki wcześniej nie zauważył, że do szczeliny wiódł niewielki spad – i gładko weszła w otwór, burząc przy tym resztkę kościanej zapory. Kości wpadły do wody, mącąc trwający na fali koncert Rolling Stones.

Wodna projekcja gładko przeszła więc w pogrzeb Jima Morrisona.

Tymczasem żagiel z włosów się nadał, a bom z połączonych kości udowych śmignął

Lokiemu tuż nad głową, tak że Kłamca musiał się uchylić, by nim nie oberwać. Od wschodu wiał wiatr zmian, jakże charakterystyczny nad rzeką czasu.

– To dokąd płyniemy? – zapytał Kłamca.

– Dokąd chcesz i kiedy chcesz, mnie to obojętne – odparł Merlin.

Siedział przy sterze; miał teraz na oko jakąś czterdziestkę i ciemną, ogorzałą od słońca skórę. Wyglądał trochę jak rybak Santiago, zanim się ostatecznie zestarzał.

– Właściwie to za dawnych lat byłem już wszędzie. I zawsze.

Loki wiedział, dokąd chce płynąć. Wiedział doskonale.

– Nowy Jork? – zapytał.

Merlin skinął głową.

– Czyli kurs na drugą gwiazdę na prawo i pro...

Kichnął, a gdy się otrząsnął, znów był pięciolatkiem. W dodatku z buzią zieloną jak wiosenna trawa.

– Chyba będę... – zdążył powiedzieć, po czym odwrócił się i zwymiotował za burtę.

Loki przewrócił oczami. Wolał jednak latanie z Nimue.

Pieć

Miło było palić.

Lucyfer nie robił tego, odkąd przybrał postać poprostu Teddy'ego. Gdyby w tym wcieleniu pokazał się publicznie z papierosem, wywołałby większe zamieszanie niż Justin Bieber w namiętym pocałunku z Robertem Pattinsonem. A przecież rola nastoletniego ulubieńca Ameryki nie polega na wywoływaniu skandali.

Miło było móc znów się tym nie przejmować i palić, nie bacząc na filtry, ostrzeżenia na pudełkach czy knajpiane zakazy. Jak w latach pięćdziesiątych – stoisz, siedzisz, jedziesz, biegasz, a przy tym nieustannie palisz i masz wszystko gdzieś. Proste jak wolna wola.

A skoro już mowa o rzeczach miłych, dobrze było też wrócić do Pieć. Choć na chwilę wstąpić do wyludnionego teraz pałacu, zerknąć na tablicę (dopisać co nieco), obejrzeć parę filmów, pobawić się mieczem świetlnym i przymierzyć wreszcie niki ze specjalnej kolekcji „Powrotu do przyszłości”.

A potem z puszką coli w ręku obserwować armię nagich wojowników Limbo maszerujących przez podziemia. Widok równych szeregów mężczyzn i kobiet tupiących miarowo i wzbijających pod niebo cegląstą mieszaną krwi, potu i piasku był tak imponujący, że nie umywały się do niego najlepsze sceny z „Władcy Pierścieni”. Nawet potężni, którzy od tygodni już niedogładani wrzeszczeli i jęczeli bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby, teraz umilkli i patrzyli z podziwem, jak wędruje armia nowego ładu.

Miło było to widzieć. Miło było wiedzieć, że to wszystko właśnie dzięki tobie.

Miło by też było móc się tym z kimś podzielić.

No właśnie. Lucyfer westchnął i cisnął niedopałkiem w otchłań, następnie odwrócił się i spojrzał na trzy postacie siedzące przy suto zastawionym stole. Długo się namęczył, zanim znalazł ich w Pieć.

– Czemu nie jecie? – zapytał Władca Pieć. – Panie Kubrick, skóra wisi na panu jak za duża sukienka. Proszę się częstować, tu naprawdę nie ma żadnego podstęp.

Brodacz, do którego skierowano te słowa, ostrożnie sięgnął przez stół i z kosza wyciągnął dojrzałą pomarańczę. Nie odrywając wzroku od Lucyfera, zaczął ją obierać. Z

daleka wyglądało to jednak, jakby ją nakręcał.

Gwiazda Zaranna uśmiechnął się pod nosem.

– Panie Capra, pan też, proszę, niech się częstuje – tym razem zwrócił się do wychudłego, pomarszczonego staruszka. – Należy się panu za „Pana Smitha jadącego do Waszyngtonu”, choć to raczej Niebo powinno pana częstować i karmić. Tylu nawróceń skorumpowanych polityków jak po tym filmie jeszcze nie miałem. I zupełnie nie wiem, jak to możliwe, że w końcu pan tu trafił.

– Wypchaj się ze swoim jedzeniem i pytaniami, synku – prychnął starzec. – Próbowałem powiedzieć przez ostatnie dwadzieścia lat, że to pomyłka. Ale do wszystkiego się można przyzwyczaić, więc teraz to mi już zwisa i z lekka powiewa. Nie będę z tobą gadał.

– Słusznie – zgodził się Lucyfer. – Ma pan pełne prawo, panie Capra, i... Ej, Antonioni.

Tobie jeść nie pozwoliłem, prawda?! Tak właściwie to dla ciebie nie mam tu odpowiedniej kary i nawet „Powiększenie” nie dałoby ci odkupienia, choć było niezłe.

Jesteś tu tylko dlatego, że chcę wreszcie wiedzieć, co się, do cholery, stało z Anną!

Trzeci chudzielec, któremu nawet Piekło nie było w stanie zmyć z twarzy grymasu bezczelności, wrzucił tylko ramionami.

– Nie wiem – odparł. – To nie jest ważne, a poza tym...

Przerwał, bo poczuł nagle, że brak mu oddechu. Natychmiast przyłożył obie ręce do gardła, chcąc rozluźnić nieistniejącą pętlę, na niewiele się to jednak zdało. Uścisk trwał i trwał aż do chwili, gdy włoski reżyser padł wreszcie zemdłony i wyrznął głową o talerz.

Wtedy też Lucyfer opuścił wyciągniętą przed siebie rękę.

– Zawsze mi się to marzyło – stwierdził. – Tak samo jak chciałem zdobyć wreszcie ten świat, wprowadzić nowy porządek i nowe zasady. Teraz nareszcie mam komplet.

Wziął z patery mandarynkę i podrzucił ją kilka razy.

– Widzicie, tu nie chodzi o władzę, tylko o to, że skoro mogę, to dlaczego nie? Pan, panie Kubrick, powinien mnie dobrze rozumieć.

Brodacz nie odpowiedział. Wciąż obracał w palcach obraną już pomarańczę i patrzył na Lucyfera przenikliwie.

Ten jednak nic sobie z tego nie robił. Miał czas i mnóstwo okazji, by przywyknąć do tego, jak patrzą na niego potępieni, i wzrok angielskiego wirtuoza kina nie wyróżniał się specjalnie na tym tle.

– Mam tylko jeden problem z tą całą Apokalipsą, panowie – powiedział Lucyfer po chwili, odkładając owoc. – Chodzi mi o *grand finale*, na który zwyczajnie nie mam pomysłu. Bo teraz to już taki rozwleczone tryumfalny marsz. Część mych wojsk zaraz zniszczy Rzym, inni dobijają konające Paryż i Londyn... Może robią to nawet w tej chwili.

Nie wiem i nawet mnie to nie obchodzi. Bo gdy już dotrę do Nowego Jorku i odnajdę kolekcję piór Lokiego, zniszczę ją, a wtedy...

Zamarł i zmarszczył czoło.

– A właściwie dlaczego zniszczę? – zapytał, nie wiadomo, czy samego siebie, czy siedzących za stołem reżyserów. – Jeżeli Loki żyje, a powracające wizje na to wskazują, to mogę... Jestem przecież aniołem, tak? Upadłym, bo upadłym, ale jednak...

Obaj goście najwyraźniej założyli, że to pytanie retoryczne, bo nie odpowiedzieli. A może po prostu czuli się tak jak niegdyś statyści w ich filmach? Choć w tle, to jednak niezbędni, by pierwszy plan mógł się spełnić czy – jak tutaj – wygadać?

– Skoro jestem aniołem, a Loki żyje – kontynuował swój wywód Lucyfer – to zamiast niszczyć pióra, mógłbym je od niego przyjąć, a wtedy stałyby się moimi i...

Odwrócił się do reżyserów i uśmiechnął szeroko.

– Dziękuję wam, panowie, byliście bardzo pomocni – powiedział. – Teraz trochę mi się spieszy, więc gdy już zjecie, bądźcie łaskawi odprowadzić się na miejsce kaźni. Ja muszę gnać na stare śmieci.

Ruszył w stronę wyjścia, a buty Nike z „Powrotu do przyszłości” mieniły się lampkami przy każdym jego kroku.

Rozdział 15

Nowy Jork



daleko jeszcze? – zapytał Bachus.

– Nie, to już za zakrętem.

Ale to nie był ten zakręt. Następny też nie. Nietrudno było się jednak pomylić, zważywszy na to, że wszystkie były niemal identyczne.

Bachus musiał to przyznać: przy całej swej prymitywności tunele Samediego miały swój niepowtarzalny styl. Te kamienie wyglądające jak twarze czy twarze jak kamienie, cienkie płataniny korzeni wyglądające jak krwiobieg, misternie zdobione stemple.

W porównaniu z owymi tunelami nowojorskie kanały, którymi teraz szli, były niczym amerykańska przeróbka brytyjskiego serialu – głośniejsze, efektowniejsze i kompletnie nijakie. Zamiast zdobionych stempli przeżyły się kamienne łuki, rolę twarzy pełniły pamiątkowe cegły – tak, ludzie bywają aż tak żądni chwały – i nieliczne malunki wykonane przez prawdziwych grafficiarzy desperatów, nałogowców, dla których malowanie w kanałach stanowiło ekwiwalent palenia niedopałków znalezionych na ulicy.

Po prawdzie kanały miały nad tunelami tylko jedną przewagę. Oznaczenia ulic. To dzięki nim Bachus wiedział teraz mniej więcej, gdzie są. I jak daleko zostało im jeszcze do celu.

– Mocno przestreliliś z tym wymierzaniem w siedzibę, nie uważasz? Kawał drogi jeszcze mamy.

Samedi nie odpowiedział.

– Nadal też nie wyjaśniłeś mi, dlaczego właściwie zabiłeś tych dwóch – drążył dalej Bachus. – Mogli nas przecież wprowadzić, przedstawić. Sam słyszałeś, że rządzi tu teraz Jefferson, który powinien mnie jeszcze pamiętać z dawnych czasów. Może on wie, gdzie jest Loki i...

– Nie potrzebuję już Lokiego – odparł Samedi. – A co do tych dwóch, zachowaliśmy równowagę w mieście. Zastąpimy ich.

– Jak?!

– Normalnie. – Samedi wzruszył ramionami. – Ty będziesz udawał tego małego, grubego, a ja wysokiego.

– Irlandczyka? – zadrwił Bachus.

– A czemu nie? Słyszałeś, jak dzieciak cytował ten film, ten o więzieniu? Skoro Morgan Freeman mógł zagrać gościa z wyspy, to ja tym bardziej. Jestem bogiem.

– Ta – westchnął Bachus. – To jednak nie to samo co nagroda Akademii.

– Mówiłeś coś? – zapytał Samedi.

On sam się nie odwrócił, ale siedzący mu na ramionach wąż spojrział na boga wina swymi gadzimi oczami. I wystawił rozwidlony język, jakby chciał powiedzieć: *No dalej, sprowokuj mnie, grubasku.*

Bachus nie zamierzał jednak nikogo prowokować.

– Pytałem tylko, czy to jeszcze daleko.

– Nie, już za zakrętem.

Tym razem to był naprawdę ten zakręt.

Był wieczór. I tym razem rozpoznali to nie po natężeniu neonów i świateł, lecz po ciemnoszarym półmroku panującym teraz na pustych ulicach, który skrajnie nie pasował

do Nowego Jorku. W pierwszej chwili Bachus był przekonany, że doszli kanałami do innego miasta.

Ale nie, Samedi utrafił idealnie – tuż przed nimi wznosił się budynek Bocor & Wanga, wielkiej spółki barona, która zatrudniała tłum korporacyjnych zombie. To właśnie stąd, z okna sali konferencyjnej, skakał kiedyś Loki. To właśnie tu Jefferson uratował mu kiedyś życie. Ten sam Jefferson, który – zdaniem dzieciaków z kanałów – rządził teraz tym miastem.

Bachus podrapał się po głowie.

– To jak, Samedi – zapytał – co teraz zrobimy? Wykapiemy się i pójdziemy do Jeffersona pogadać?

– Tak zrobimy – zgodził się czarnoskóry bóg. – A dokładniej: to ja będę mówił. Ty możesz stać z tyłu i... zanim się odezwiesz, pamiętaj, kim jestem i dokąd idziemy.

– Tak – mruknął Bachus. – Jesteś wielkim, czarnym Murzynem, a idziemy pod prysznic.

Już się nie odzywam. Przy Jeffersonie też nie muszę, jeżeli zapytasz go o Lokiego i Erosa. Reszta mało mnie obchodzi.

Podeszli do budynku. Fotokomórka nie działała i drzwi nie chciały się rozsunąć, ale Samedi zupełnie się tym nie przejął. Tupnął tylko, zapadł się pod ziemię i po chwili pojawił za szklanymi drzwiami. Bachus patrzył, jak podchodzi do stanowiska recepcji, sięga przez kontuar i wraca z kluczem.

– Włączyłem też awaryjny generator, więc za chwilę powinno się tu wszystko włączyć.

Jeżeli będziemy oszczędzać światło, wystarczy na trzy, może cztery godziny. W sam raz, żeby się wykapać, przebrać i zjechać windą na dół.

Bóg wina pokiwał głową.

– A w co przebrać? – zapytał. – Coś na mnie?

Samedi się wyszczerzył.

– To wyzwanie, ale moje czarnuchy zawsze miały coś na zmianę – stwierdził. – A było tu, uwierz, paru prawdziwych grubasów. To w końcu Ameryka, nie? Ciężko rzucić kamieniem, żeby nie odbił się od jakiegoś tłuściocha albo przeciwnie, nie połamał anorektyczki.

Tak – pomyślał Bachus. To także kraj, gdzie przylezie byle emigrant, rozpanoszy się i zacznie walić frazesami o innych Amerykanach. Typowe... Głośno jednak nie powiedział nic.

A w chwilę później hol pojaśniał od światła i zadzwoniły dzwonki wind.

Bogowie udali się na górę.

Paryż

Elvis nie miał wcześniej pojęcia, że tankowanie samolotu trwa tak długo. Spodziewał się, jasna sprawa, że to nie będzie jak z samochodem, szybkie siku i po temacie, ale i tak cała procedura wlokła się niemiłosiernie. Do tego jeszcze atmosfera na pokładzie robiła się nie do zniesienia i powoli przestawał sobie wyobrażać następne dwanaście godzin. Bo jeżeli ma być tak, że Jenny wciąż będzie się mizdrzyć do Erosa i robić sceny o każde jego spojrzenie na blondynę, blondyna wciąż będzie traktować o swoim byłym w każdym zdaniu, a wielki Szwed będzie się temu wszystkiemu przyglądał z kąta z miną, jakby miał ochotę kogoś zabić, to on, Elvis, pierdoli takie wczasy. Już lepiej by mu było zostać w Paryżu, unikać zombie i nawpieprzać się kasztanów z placu przechodzonych prostytutek.

Choć samolot w środku był fajny, to trzeba było przyznać. Fotele, kanapy, plazma z DVD – co z tego, że wśród płyt tylko serial „Millenium” po szwedzku – stoliki, barek i przekąski. Pełna kultura i, zwłaszcza po dniach i nocach spędzonych na paryskim poddaszu, aż się nie chciało wychodzić. Klimą przyjemnie chłodziła, miodowe światło było jak balsam dla zmęczonych oczu, teraz tylko...

Och, Erosie, słodki Erosie... Loki, Loki... Bla, bla, bla... Kurwa!

Elvis usiadł i sięgnął do pojemnika z gazetami. Strącił przy tym niechcący torebkę blondyny. Podnosząc ją, zauważył, że w środku leży książka oprawiona w skórę, z uchem na okładce. „Necronomicon” – księga umarłych, przywracająca do życia wszystko, co martwe, jeżeli przeczytać z niej określone wersy. Znał tę pozycję z filmu „Evil dead”, wyglądała identycznie. Elvis słyszał kiedyś, że wypuścili specjalną edycję dla fanów. Blondyna – jako posiadaczka takiego fanowskiego gadżetu – natychmiast zyskała w jego oczach.

Wyciągnął książkę, przekartkował, ale nie odważył się przeczytać ani słowa. Kiedyś nie wołał też *Candyman* przed lustrem ani nie powtarzał rymowanki Freddy’ego Kruegera.

Niektórych rzeczy się po prostu nie robi, by uszanować własne strachy. Bo gdy pozbędziesz się już tych spod łóżka i zostaną ci wyłącznie te ze skarbówki, to wyraźny znak, że dorosłeś. Nieodwracalnie.

Ale coś było w tych zdaniach, w tych zlepkach liter – same prowokowały, by je poskładać, by rzucić wyzwanie własnemu językowi i wymówić to, co niewymawialne.

Usta niemal same się otwierały i już, już...

– KLAATU BAR...

Do samolotu wpadł zdyszany Mando, trzymając się za ranny bok. Spod bandaży wyraźnie sączyła się krew. Zupełnie jednak na to nie zważał, bo przerażenie wygrywało w nim z bólem.

– Mu... musicie to zo... zobaczyć – wysapał. – Ziemia... ona...

Doskoczyli do iluminatorów.

– O, ja jebię! – zawołał Elvis.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą był jeden z pasów startowych, zionęła teraz wielka szczelina, która powiększała się bezdźwięcznie, oddzielając ich gulfstreama od budynków lotniska. A także, jak się okazało, od Mike'a i Taidy, którzy przed podróżą postanowili jeszcze obrobić strefę wolnocłową. Elvis mógł ich teraz zobaczyć, jak stoją obładowani markowymi torbami, Mike ze standem Batmana pod pachą, Taida w kwiecistej sukience tak bardzo niepasującej jej do karabinu i glanów, że aż uroczej. Stali i gapili się bezradnie przed siebie, a potem na boki, szukając krawędzi szczeliny.

– Musimy po nich iść – stwierdził Mando.

Dla Elvisa było jasne, że owo *musimy* skierowane jest do niego, bo przecież nie wysła rannego. Ale spoko loko, wcale nie zamierzał się wymigiwać, wszak kodeks fana „Firefly” mówi wyraźnie, jak należy postąpić w takiej sytuacji. *Jeśli nie możesz biec, to się czołgasz. A jeśli nie możesz nawet tego, znajdujesz kogoś, kto się tobą zajmie.* I teraz Elvis właśnie był kimś takim dla nich. Członków jego załogi dla...

Ze szczeliny wystrzelił nagle snop ognistoczerwonego światła, a potem, niczym robactwo spod kamienia, zaczęły wypełzać z niej nagie postacie. Dziesiątki, setki, tysiące. Wspinali się po głowach tych, którzy byli niżej, wciągali się na górę z jednej i drugiej strony krawędzi, gdy wyszli, pomagali następnym.

Rozległ się terkot karabinu. To Taida osłaniała Mike'a. Widać podjęli decyzję o wycofaniu się do budynku, z którego łatwiej będzie się bronić. Słusznie, bo nowe okoliczności z pewnością utrudniały wyciągnięcie ich z kłopotów i pewnie chwilę zajmie, zanim...

Do samolotu wpadł Chris. Odepchnął wciąż dyszącego Mando i zabrał się do zamykania włazu.

– Widzieliście to? – krzyczał przy tym. – Widzieliście, do licha? Rozstąpiła się ziemia i potępieni uciekają z Piekła.

– Tak – odparł Eros zupełnie niewzruszony. – To podobno jeden z objawów Apokalipsy.

Jenny na te słowa odchyliła głowę i zaśmiała się, jakby to był najprzedniejszy żart, jaki słyszała w życiu. A potem mocniej jeszcze wtuliła się w ramię Erosa i zaczęła szeptać mu do ucha, to znów lizać go po szyi. Bóg miłości odtrącił ją zniechęcony.

Chris tymczasem zamknął drzwi i wskoczył do kabiny pilota.

– Trzymajcie się mocno – powiedział. – Startujemy!

– Ej, zaraz! – oburzyli się równocześnie Elvis i Mando.

– Tam są nasi – powiedział Elvis. – Przecież ich nie zostawimy. Nie zostawia się swoich za linią wroga i takie tam. Nie możemy!

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Obejrzał się i spojrzał w stalowo-błękitne oczy Mary Ann zwanej też Sygin.

– Bohaterowie nigdy nie umierają – szepnęła. – Nie naprawdę.

– Wal się z takimi głupotami – krzyknął do niej Mando.

Ruszył w stronę kabiny pilota, ale wtedy tuż przed nim wyrósł Eryk i zastąpił mu drogę.

– Startujemy – powiedział. – Przykro mi, ale...

Nie dokończył, bo owo *ale* było tuż za iluminatorem. Równe, stale rosnące szeregi nagich, idealnie umięśnionych mężczyzn i kobiet, rosnąca szczelina, czerwono-pomarańczowy blask – to wszystko układało się w jedno słowo: beznadziejność. Nie było szans na uratowanie Taidy i Mike'a, a dodatkowo ich własne szanse na ratunek malały wyraźnie z każdą chwilą.

Mando westchnął głośno i zrezygnowany opadł na kanapę. Samolot zaczął już kołować.

– Trzymajcie się mocno, bo może nami trochę zarzucić – zawołał Chris. – Musimy też przelecieć przez to światło, a nie wiem...

Przerwał, nie wiedząc, jak skończyć to zdanie. Ujął mocniej ster, zwiększył ciąg silnika.

Samolot nabrał prędkości i po chwili wzbił się w powietrze. Elvisem zarzuciło, poleciał

do tyłu i uderzył o coś głową. Gdy znowu zerknął do iluminatora, właśnie wlecieli w czerwono-pomarańczowe światło nad rosnącą i poszerzającą się szczeliną. Z tej perspektywy otwór wyglądał jak zaropiała rana, z której wypełzają białe, mięsożerne czerwce. Robaki, które wiją się, skręcają i żrą, żrą, żrą.

– Ej! Co jest, kurwa? – krzyknął nagle Chris i były to ostatnie słowa, jakie ktokolwiek z nich wypowiedział, zanim samolot runął w dół.

Po chwili zniknął w Piekło.

Nowy Jork

Niebo nad Manhattanem miało barwę tego szpanerskiego, cienkiego notebooka firmy Apple. Nawet dziura w jednolitej strukturze stalowych chmur, przez którą przedzierały się białe promienie słońca, przybrała kształt nadgryzionego jabłka.

Kłamcę, rzecz jasna, ucieszył ten widok – dobrze było wiedzieć, że pewne rzeczy pozostały w mieście trendu i lansu takie same. Zwłaszcza że jak przekonał się chwilę później, zmianie uległo niemal wszystko inne.

Przede wszystkim, choć trudno było w to uwierzyć, miasto wyglądało na opustoszałe.

Wszechbarwny dywan samochodów stojących w korku trwał w całkowitym bezruchu, nie było słycać nerwowego warkotu silników, pojękiwania klaksonów, a na Wyspie Wolności nie tłoczyli się japońscy turyści. Nikt nie wahał się bez celu po przystani, po zatoce nie pływały wycieczkowe promy, ani nawet straż przybrzeżna na swej równie szybkiej, co głośniejszej motorówce.

To ostatnie akurat było Kłamcy na rękę, bo ciężko byłoby mu się wytłumaczyć z tego, że płynie w towarzystwie pięcioletniego dziecka na łódce zbudowanej z ludzkich zwłok.

Czuł bowiem, że wyjaśnienie, iż jest staroskandynawskim zwiastunem końca świata, a towarzyszy mu Merlin, najsłynniejszy mag w dziejach, który zaplątał się w strumieniu czasu, mogłoby nie zadziałać. Zaskakujące, jak często prawda brzmi idiotycznie.

– Cóż, w jednym przypadku ta dziwka mówiła prawdę – powiedział w końcu Kłamca. – Świat, jaki znam, rzeczywiście się skończył.

Merlin podniósł głowę i spojrzał na Lokiego znad kościanej burty umęczonym spojrzeniem steranego życiem starca.

– Nie mów tak o Nimue, bo to brzy...

Zabulgotał, a resztę zdania wylał z siebie do zatoki.

Loki westchnął i wziął kurs na brzeg.

Zacumowali bez trudu tuż obok niewielkiego jachtu z Miami.

– S-l-i-c-e-o-f-l-i-f-e – przeliterował mały Merlin. – Co to znaczy?

Kłamca wzruszył ramionami.

– To znaczy, że w Miami za mocno świeci słońce i niektórym wali na głowę – odparł. – Gdzie się podziała dobra tradycja nazywania jachtów imionami kobiet?

– Teraz tak nazywają tam huragany.

Kłamca obrócił się błyskawicznie i dostrzegł, że na końcu krótkiego pomostu stoi mężczyzna z karabinem w ręku. Broń trzymał prawidłowo, żaden tam przygodny dzieciak, który ukradł pukawkę, w dodatku postura i postawa świadczyły, że najpewniej był kiedyś żołnierzem albo policjantem z jednostek specjalnych. Przy pasie miał radio i latarkę, przy udzie długi myśliwski nóż, a na oczach lustrzanki.

Loki w myślach rozważył swoje możliwości i szanse. Nie było ich za wiele, więc nie zastanawiał się długo, tylko uśmiechnął się pojednawczo i podniósł ręce.

– Hej, spokojnie – powiedział, lekko przytykając oczy. – Nie chcemy przecież, żeby komuś stała się krzywda, prawda?

– Jeszcze nie wiem – odparł tamten. – Kim jesteś?

– To trudne pytanie, ale spróbuję wyjaśnić najlepiej jak potrafię.

To powiedziawszy, Kłamca wstał powoli i... skoczył do wody.

Trzeba przyznać facetowi z bronią, że był szybki. Natychmiast doskoczył do krawędzi pomostu i złożywszy się do strzału, posłał serię w wodę. Nie trafił, ale wciąż widział

Kłamcę wyraźnie, więc mógł spokojnie wycelować i drugą serię posłać już dokładniej.

Zrobił to pewnie, bez żadnego wahania czy skrupułów. Wszystko wskazywało na to, że rzeczywiście nie pierwszy raz strzela do człowieka.

Na powierzchni wody pojawiły się pęcherzyki powietrza. Zaraz potem wypłynęło podziurawione ciało

uciekiniera.

Strzelec przełączył na ogień pojedynczy i na wszelki wypadek oddał jeszcze jeden strzał, prosto w głowę Kłamcy. Dopiero wtedy zawiesił broń na ramieniu i uśmiechnął się smutno do Merlina.

– Przepraszam, mały, jeżeli to był twój tata czy ktoś bliski – powiedział – ale burmistrz Jefferson kazał nam zabijać podejrzanych obcych, a nie można się przecież kłócić z aniołem Boga, prawda?

– Nie był bliski – odparł Merlin, wzruszając ramionami. – Dobierał się do mojej dziewczyny.

– Że co?! – Mężczyzna spiął się w jednej chwili, górna warga uniosła się nieco, odsłaniając zęby, na karku wystąpiły żyły. – Och, teraz przepraszam cię tym bardziej, mały. Jakbym wiedział, że to jeden z tych popaprańców, to nie skończyłoby się tak szybko. Skurwiel.

Zasłonił usta, gdy zdał sobie sprawę, że mówi do pięciolatka.

– Przepraszam, mały – powiedział. – Mało tu ostatnio dzieci... Hej, zaraz, z czego właściwie zrobiona jest ta łódka?!

Postąpił krok do przodu, ale wtedy nagle nóż wysunął się z pochwy, uniósł do góry i gładko przejechał mu po gardle. Ułamek sekundy później Kłamca zmaterializował się za plecami strażnika, wciąż trzymając w dłoni skrwawiony nóż.

– Z cukru, słodkości i innych śliczności, dupku.

Usiadł na krawędzi mostu, czekając, aż z mężczyzny wypłynie resztkę życia. Dopiero wtedy zabrał mu karabin i czapkę, a po namyśle również wysokie buty. Ubrał je, wstał, przeszedł się parę metrów tam i z powrotem.

– A ty co tak siedzisz, młody? – zwrócił się do Merlina. – Zbieramy się, nie?

Mały czarodziej skinął głową i wgramolił się po drabince.

– Fajnie go zabiłeś – powiedział. – Też chciałbym kogoś zabić. Będę mógł, będę mógł?

Proszę...

Loki wzruszył ramionami.

– Jesteśmy w Ameryce, ojczyźnie bezstresowego wychowania – odparł. – Kimże jestem, żeby ci zabraniać?

Wsadził nóż za pasek, obok Kłamczucha, przewiesił karabin przez ramię i ruszył przed siebie. Merlin, który trochę się zagapił, potrzebował chwili, by go dogonić.

– Znałem kiedyś sztuczkę z krwią – powiedział. – Ale chyba jeszcze jej nie pamiętam...

– Raczej już?

– Nie, jeszcze. – Mały czarodziej pokręcił głową. – Czas jest głupi. Ale sztuczka była fajna. Mogłeś przyzwać straszliwe, paskudne demony, które by się ciebie słuchały, albo zobaczyć przyszłość i wszystko, co się wydarzy. Albo...

– Poczekaj tu chwilę.

Loki podszedł do pobliskiej budki z hamburgerami, obskurnej i paskudnej jak dworcowa toaleta. Ostrożnie wyminął poprzewracane stoliki i zatrzymał się przy ladzie. Sięgnął do przewróconego koszyczka, z którego wyjął kilka wykałaczek. Jedną z nich włożył do ust, przegryzł i wypluł. Włożył następną.

– No dobra, tego mi brakowało – powiedział. – To jak, idziemy?

– A dokąd? – zaciekawiał się Merlin.

– Słyszałeś, mój kumpel Jefferson jest tu nowym szefem. Warto byłoby go odwiedzić, tak na dobry początek. Ale wcześniej znajdziemy coś do ubrania, bo obaj wyglądamy jak z planu pieprzonego „Hobbita”.

Piekło

Wciąż lecieli. Wciąż się unosili, choć przyrzędy darły się jak potępione – i to nie metaforycznie – a pilot właściwie puścił drążek, bo samolot i tak poruszała się teraz sam z prędkością polskiego pociągu. I to musiało im wystarczyć.

Pod nimi rozciągało się Piekło. Jeziora ognia, sprasowane i związane drutem olbrzymie bloki potępionych, ścieżki wysypane pyłem z kości i smród wbijający się przez nos do mózgu jak zardzewiały, obsrany gwóźdź. Nade wszystko jednak setki, tysiące... Gdzie tam! Miliony nagich mężczyzn i kobiet maszerujących w różnych kierunkach niczym wojska ćwiczące na placu defilad przed międzynarodowym

dniem nudysty.

Co jakiś czas nad ich głowami otwierało się sklepienie i wtedy wspinali się jedni na drugich. Tworzyli żywe, wijące się, wygimnastykowane piramidy i tak wznosili się, aż udało im się chwycić krawędzi. Niektórzy spadali, wtedy inni wchodzili po nich i nikt się za nikim nie oglądał. Wyglądało to tak, jakby nowa armia piekielna strategii uczyła się od wujka Stalina.

– To zupełnie jak u Kinga w „Langolierach”, tylko, no, inne... – stwierdził sentencjonalnie Mando. – O, to chyba jakiś zamek, zobaczcie!

Raczej pałac, idioto – pomyślał Elvis, zerkając w iluminator. Nie powiedział tego jednak na głos. Nie chciało mu się przekrzykiwać przyrządów, a poza tym bolała go głowa.

Zresztą pałac, zamek, jakie to miało znaczenie?

– Lepiej być księciem w Piekło niż czarnuchem w Niebiosach – mruknął.

Zaraz potem poprawił czarnucha na sługę. Nie mógł być przecież niedokładny, skoro miał zostać w przyszłości biblioteką ludzkości, bradburowskim powiernikiem słowa.

Nagle rozległ się huk, łupnięcie i po chwili zapanowała cisza. W całym samolocie zgasły też światła, choć te akurat nie były nikomu potrzebne; z zewnątrz biła mocna czerwono-pomarańczowa łuna.

– Co, u diabła? – zapytał Eros.

– Dobrze powiedziane – zaśmiała się Jenny. – Bo przecież jesteśmy właśnie w Piekło i u diabła...

– Tak, tak, pani Oczywista. Rany, Piekło nie jest tak straszne jak zakochana kobieta. – Elvis zajrzał do kabiny pilota. – Chris, czy wszystko w porządku? Stało się coś? Chris?

– W porządku. Tylko wyłączyłem silniki, bo to cholerstwo i tak samo leci. Samo steruje, samo się napędza. Jakbyśmy złapali jakiś powietrzny prąd.

To powiedziawszy, pilot wyłonił się z kabiny i ruszył w stronę barku. Przechodząc koło Elvisa, mruknął jeszcze:

– Poza tym nie mogę przecież pozwolić, żeby ten szwedzki pacan dobierał się do mojej dziewczyny.

Samolot tymczasem leciał dalej. W pewnym momencie ledwie ominął kolejną pnącą się ku niebu piramidę golasów.

– Skąd oni się biorą?! – zapytał Elvis.

– Ilekroć ktoś wali konia, w Piekło przybywa jednego golasa – zażartował sobie Chris.

Nikogo to jednak nie rozbawiło, więc pilot spuścił głowę zgaszony, nie mając pojęcia, jak blisko był prawdy.

– Może to potępieni, którzy dostali drugą szansę? – zamyślił się Mando. – Służba Piekłu za skrócenie wyroku.

– Aha – zgodził się Elvis. – Taka parszywa dwunastka, tylko... no wiecie, liczniejsza. O jakieś iks miliardów.

To znowu na moment ucięło rozmowę i przez dłuższą chwilę wszyscy tylko gapili się przez iluminatory. Najpierw na rwącą rzekę rzadkich ekskrementów, z której niczym kamienie wystawały łyse głowy potępieńców, potem na stare, śmierdzące autobusy komunikacji miejskiej i zadymione, obsikane przystanki, na których niepalący potępieni musieli stać godzinami. Minęli kolejną ludzką piramidę, wszystko wskazywało na to, że ostatnią. Teraz przed nimi rozciągała się ogromna czerwona pustynia.

– Czy ktoś wie, dokąd właściwie lecimy? – zapytał Eryk. – Może jakieś przyrządy to pokazują, nie wiem...

– Tak, GPS – zaśmiały się Elvis. – O ile wgrałeś mapy i komentarz Ozzy’ego Osbournea.

– Koło wodospadu lawy skręć w drugi zjazd, *dude* – dołączył Mando, zatykając nos dla lepszego efektu. – Uwaga, zwolnij, możliwa tortura.

Elvis pokiwał głową z uznaniem.

– Niezły ten twój Ozzy, stary.

– Dzięki.

– I przepraszam, że chciałem, żebyś zdechł i przemienił się w obrzydliwe, obślinione, mózgożerne zombie, bo rozjechałeś mi figurkę. To była ważna figurka, ale...

– Ja też przepraszam, że...

– Czy moglibyśmy pogadać o czymś innym?!

Eros, który z trudem panował nad nieustającymi umizgami Jenny, naprawdę ani myślał przyglądać się jeszcze piekielno-lotniczej wersji „Przebacz mi”. Zwłaszcza że chłopaki wyraźnie się nakręcili.

W sukurs przyszła mu Sygin, która wyjąwszy z torebki Mary Ann pilnik do paznokci, dokładnie zmierzyła wzrokiem siedzącą naprzeciwko Jenny.

– A więc oddałaś się mojemu mężowi, tak? – zapytała spokojnie, rzeczowo, ściskając w ręku pilnik. Nie wyglądała, jakby chciała sobie zrobić manicure.

Trzeba przyznać Jenny, że wytrzymała i spojrzenie, i nagłe pojawienie się tematu.

Podniosła się lekko i ucałowała Erosa w policzek.

– Przepraszam, kochanie, że będziesz musiał tego słuchać, ale chyba powinnam jej coś wyjaśnić.

Bóg miłości skinął głową, oddychając z wyraźną ulgą. Chwila wytchnienia była dokładnie tym, czego w tym momencie potrzebował.

Tymczasem Jenny poprawiła się na siedzeniu, ułożyła bluzkę, przeczesała włosy.

Dopiero wtedy powiedziała:

– Tak, byliśmy razem. On myślał, że ty nie żyjesz, a ja... No cóż, ojca zastępował mi archanioł wojownik, więc to raczej też może mnie usprawiedliwiać. Zaczęło się od traumatycznego przeżycia, potem był seks i... Właściwie nie wiem...

Zawahała się. Bóg miłości wstrzymał oddech, choć udawał, że wpatruje się przez iluminator w maleńkich ludzi palących się żywcem w pustynnym słońcu.

– ...nie wiem, kiedy mi przeszło i zakochałam się w Erosie – dokończyła Jenny. – Ale teraz wiem, że to już na zawsze, i aż się sama sobie dziwię, czemu nie pomyślałam o tym wcześniej.

Sygin przez chwilę przyglądała się Jenny badawczo, mrużąc oczy, bawiąc się pilnikiem.

W końcu uśmiechnęła się szeroko.

– No tak, miał prawo myśleć, że nie żyję – stwierdziła. – W końcu sam mnie pewnie pochował, sądząc po tym, jak niedbale było złożone moje ciało. I właściwie nie wiem, jak to się stało, że jednak...

– „Necronomicon” – podpowiedział Elvis. – Tam leży i się właśnie zastanawiałem, skąd i po co?

Mando aż zamrugął.

– „Necronomicon”?! Prawdziwy?!

– A fakt, nie powiedziałem ci. – Elvis sięgnął między gazety i wyciągnął książkę z uchem na okładce. – Ktoś musiał przeczytać kawałek o przeniesieniu duszy, a wtedy Sygin wskoczyła do najbliższego ciała i...

Rozległo się głośnie jak wystrzał płasnięcie. Wszyscy obejrżeli się w stronę, z której dobiegł dźwięk, i zobaczyli Eryka ze śladem dłoni odbitym na czole.

– Myślałeś, że to romantyczna poezja, co? – Chris pokiwał głową ze zrozumieniem. – Też tak kiedyś miałem, a potem się okazało, że czytam dziewczynie fragmenty „Mein Kampf” Hitlera w oryginale. Ale tam mnie zmylił brak okładki.

– No właśnie – zaciekawił się Elvis. – Nie zwiodło cię ucho, stary?

Olbrzym nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo samolot zmienił kurs, skręcił nieco w lewo i zaczął się wznosić dziobem do góry.

– Oho, chyba pora wrócić za stery – zdecydował Chris.

A Elvis uznał, że jeżeli tak mają wyglądać podróże przez Piekło, jeżeli mają być tak spokojne, bezstresowe, pełne zrozumienia i oczyszczających atmosferę rozmów, to on już od zawsze chce latać tędy. O ile oczywiście nie będzie międzylądowań.

Nad samolotem tymczasem z wolna zaczęło się otwierać piekielne sklepienie...

Rozdział 16

Times Square

Merlin nie był zadowolony z pomysłu robienia zakupów, za to Loki wręcz przeciwnie.

Zwłaszcza że w opustoszałym centrum handlowym przy Times Square miał wszystko, czego chciał i potrzebował. Ciężki, czarny skórzany płaszcz pasował jak ulał, podobnie czarne bojówki i zupełnie nowe, jeszcze lśniące buty za kostkę. Potem jednak Kłamca zobaczył się w lustrze i stwierdził, że za bardzo przypomina bohatera nazi-remake'u „Matriksa”. Zmienił więc bojówki na jeansy, a buciory na conversy z rysunkami Jokera, do tego wziął koszulkę z logo AC/DC. Dołożył plecak, do którego wsunął misia i owinięty w szmatę nóż gościa z zatoki. Z rzeczy strażnika zostawił sobie tylko czapkę.

– No, powiedzmy – mruknął, wkładając do ust kolejną wykałaczkę.

Zdjął ze stojaka okulary lustrzanki i ruszył na poszukiwanie Merlina.

Przeszedł alejką koło kilku butików, minął jubilera – zawahał się, widząc bondowską omegę, ale sklep był zamknięty, a on przecież nie potrzebował alarmu – i już miał wyjść na odkryty plac z fontanną, gdy nagle usłyszał głos: – Hej, mały. Czyżbyś się zgubił?

Loki natychmiast przywarł do ściany, przymknął oczy i nałożył na siebie iluzję niewidzialności. Dopiero wtedy wychylił się zza rogu i spojrzał na otwartą przestrzeń.

Na ławeczce przy fontannie siedział mały Merlin i bawił się mieczem świetlnym. Zgodnie z zaleceniem Kłamcy przebrał się, ale najwyraźniej trafił tylko do sklepu z zabawkami, bo miał na sobie strój Kacpra – przyjaznego duszka. Wyglądał w nim, jakby rzeczywiście urodził się pięć lat temu. I tak też się zachowywał, nic sobie nie robiąc z dwóch uzbrojonych mężczyzn, którzy właśnie, opuściwszy lufy karabinów, podchodzili do niego małymi kroczkami. Jeden z nich, Murzyn, wysoki jak rasowy koszykarz, wyciągnął przed siebie rękę.

Kłamca ponownie przeanalizował swoje szanse i możliwości, ale tym razem nie było łodzi, która pograżałaby go, zanim zdążyłby powiedzieć choćby słowo. Poza tym ci dwaj, ubrani podobnie do faceta z przystani, zapewne też służyli Jeffersonowi. A to znaczyło, że mogli go do niego sprawnie i szybko zaprowadzić.

– No, mały duszku, powiedz, gdzie są twoi rodzice – zachęcił koszykarz. – Z kim tu przyszedłeś?

– Z Lokim – odparł malec i zamachał mieczem, który wydał z siebie odgłos molestowanej pszczoły. – Ale to nie jest mój rodzic. On tylko...

Nauczony wydarzeniami z portu Kłamca wiedział, że musi działać szybko. Zrzucił z siebie iluzję niczym szlafrok i krzyknął:

– No, tu jesteś, Merlinie!

A potem wybiegł zza rogu. Wiedział, że po okrzyku wycelują w jego stronę, ale już nie strzelą. Jako opiekunowi malucha dadzą mu przynajmniej szansę. I zamierzał tę szansę w pełni wykorzystać. Dobięwszy do czarodzieja, przytulił go z całej siły, po czym odsunął i spojrzał mu w oczy.

– Nigdy więcej mi tego nie rób, słyszysz? – powiedział drżącym głosem. – Nigdy! Tak się martwiłem.

– Ale cz... – chciał zapytać Merlin, ale Loki znowu docisnął go do piersi, tłumiąc jego słowa.

– Nie będziemy bezpieczni, dopóki nie znajdziemy dobrego anioła, pamiętasz? Tak powiedział ten dobry człowiek. Dopiero on da nam schronienie.

Kątem oka zerknął na koszykarza i jego kompana, drobnego, śniadego mężczyznę o włoskiej urodzie. Tak jak się spodziewał, wyglądali raczej na wzruszonych niż pełnych podejrzliwości. Choć karabiny wciąż trzymali w pogotowiu, palce wciąż na spustach...

– W tym mieście jest tylko jeden anioł – powiedział koszykarz. – To Jefferson i on tu teraz rządzi, odkąd...

Poruszył głową, jakby chciał powiedzieć: *wydarzyło się to wszystko*.

– Jeżeli to jego szukacie, zaprowadzimy was – dodał Włoch. – Przyjmie was, nawet jeśli nie jesteście

katolikami.

Loki miał wrażenie, że w ostatnim zdaniu usłyszał nutkę pretensji, ale nie zamierzał tego komentować. Teraz grał dobrego tatę i ta rola powinna mu zagwarantować spotkanie z aniołem.

Tylko i aż tyle. Podniósł się z klęczek, chwycił Merlina za rękę i ścisnął mocno, pokazując małemu czarodziejowi, co go czeka, jeśli się teraz nieproszony odezwie.

– Chętnie skorzystamy z waszej pomocy – powiedział do koszykarza i Włocha. – Bóg będzie wam wdzięczny za tę uprzejmość.

Nie skłamał. Nie sprecyzował wszak, który bóg.

Grand Central Station

Anioł Jefferson siedział na tronie zrobionym z krzesła i tysięcy kątowników oklejonych taśmą izolacyjną, przeklinając się w duchu za lenistwo i jakże ludzką skłonność do utrwalania prowizorki. Wszak czyż nie wmawiał sobie od bez mała dwóch tygodni, że wystara się wreszcie o jakiś porządny fotel z muzeum? Ale nie, ciągle wypadało coś ważniejszego, pilniejszego i stąd ciągle, gdy przychodził Dzień Sądu, Jefferson lądował

na klejonym tronie.

Z daleka cholerstwo wyglądało nawet dostojnie, zwłaszcza ta czerń i kątowniki sterzące w każdym kierunku niczym promienie słońca, ale z bliska? Istny koszmar. Nie dość, że krzesło było chybotliwe, a kątowniki ostre jak noże, to jeszcze taśma, gdzieniegdzie naciągnięta zbyt mocno, skrzypiała przy byle ruchu i marszczyła się nieładnie. Czasem też, oczywiście w najmniej oczekiwanym momencie, któryś z kątowników się obulzowywał i upadał z łoskotem na podłogę.

A echo *Grand Central Station* – tej świątyni kolei, katedry dworców świata – było bezlitośnie głośne i nie odpuszczało nikomu i niczemu. Nawet aniołom na stanowisku.

Za to też Jefferson mógł winić tylko siebie, w końcu sam obrał to właśnie miejsce na swoją siedzibę. Zachciało mu się wyniosłości, piaskowych ścian, przestronnej sali, do której wiodą schody jak z paryskiej opery, balkonów i złotych poręczy. Urzekło go turkusowe sklepienie, na którym Paul César Helleu namalował antyczny nieboskłon.

Słowem, dał się zwieść dostojności nowojorskiego dworca i na śmierć zapomniał o echu. I przeciągach. I o tym, że jeżeli chce – a chciał – wprowadzić na dworzec ludzi, powinien się liczyć z jazgotem, przepychankami i brakiem poszanowania uświęconej zasady kolejki.

Jak teraz.

– I dlatego właśnie, panie – zakończył swą tyradę adwokat żebraka numer dwa – pies powinien zostać z moim klientem, który jest jego prawowitym opiekunem i właścicielem.

I który kocha Puffa najmocniej na świecie.

Na chwilę zapadła cisza. Prawnik poprawił zaplamiony krawat i usiadł na wąskiej ławce koło klienta, a setki, jeśli nie tysiące ludzi zgromadzonych w holu dworca wstrzymały oddech w oczekiwaniu na wyrok.

Jefferson poruszył się na swym tronie, zwyczajowo już raniąc się w plecy jednym z kątowników. Kolejny raz skłął się w duchu, że nie przyniósł sobie muzealnego fotela, pozwolił echu zadrwić ze skrzypienia, po czym ostatni raz z uwagą przyjrzał się obu stronom sporu.

Na wprost podwyższenia siedzieli dwaj żebracy, ubrani zgodnie z dress codem obowiązującym wśród bezdomnych. Obaj mieli grube, zniszczone kurtki, pod nimi niedopasowaną marynarkę – jeden – bądź za duży sweter – drugi. Na nogach znoszone i zniszczone buty, na głowach czapki – pierwszy wełniana, drugi bejsbolówka odwrócona daszkiem do tyłu, a na dłoniach rękawiczki bez palców. Zarośnięci i brudni, byli niczym żywe symbole tego, do czego jest w stanie doprowadzić wolność i niezależność zakrapiana tanią whiskey.

Siedzący obok nich adwokaci byli ich przeciwieństwem. Choć wychudzeni – jak wszyscy, odkąd Stany dotknęła klęska głodu – wciąż prezentowali się niezłe w swych podniszczonych, ale szytych na miarę garniturach, z fryzurami *na ulizanego Kena* i uśmiechami za kilka tysięcy dolarów. Nikt właściwie nie wiedział, dlaczego podejmowali się spraw jak ta, bo nikt im za nie nie płacił, ale gdy brali się do pracy, dawali z siebie wszystko. Zupełnie jakby w ciągu tych kilku tygodni chcieli zatrzeć wszystkie złe opowieści o prawnikach, jakie powstawały od początku tego zawodu.

Ach, był jeszcze pies – mały kundel siedzący pośrodku, szczęśliwy posiadacz dwóch panów, z których każdy pragnął go na własność i tylko dla siebie. To właśnie tę sprawę miał teraz rozstrzygnąć Jefferson. I nie zamierzał z tym zwlekać.

– Przetnijcie psa wzdłuż na połowę i jedną z nich dajcie jednemu, a drugą drugiemu – zdecydował wreszcie.

Natychmiast zapanowały poruszenie i gwar, a obaj adwokaci podnieśli się z miejsc i zaczęli się przekrzykiwać. Ucichli, dopiero gdy Jefferson wstał z krzesła i rozłożywszy skrzydła, uniósł się kilka centymetrów nad ziemię. To zawsze robiło wrażenie.

Anioł wskazał na jednego z adwokatów.

– Ty mów! – polecił. – Reszta niech milczy.

Prawnik natychmiast poprawił krawat, odchrząknął i wyszczerzył zęby.

– Rad jestem, panie, że w swych osądach odwołujesz się do klasycznego biblijnego precedensu Matka kontra Matka – powiedział. – Obawiam się jednak, że w tym przypadku zarówno ja, jak i kolega mecenas dobrze wiemy, o co chodziło Salomonowi w owym fortelu, i zwyczajnie się na niego nie nabierzemy...

– A kto mówi o nabieraniu? – zdziwił się Jefferson. – Wyraziłem się przecież jasno.

Przeciąć i rozdzielić. Jeśli któryś nie chce, są w tym mieście inni głodni. Koniec sprawy.

Czy ktoś jeszcze...

Drzwi u szczytu schodów otworzyły się i do środka wpadło dwóch strażników wybrzeża.

Zaraz po nich, pod eskortą dwóch kolejnych wartowników, próg dworca przestąpili długowłosa mężczyzna i kilkuletni chłopiec. Jefferson natychmiast rozpoznał tego pierwszego.

– Loki! – zawołał uradowany. – Nareszcie coś ciekawego w tym parszywym dniu!

Rzecz jasna, odwiecznym prawem Wszechświata, nieźle sobie tymi słowami wykrakał.

Mieszkanie Knoksa

– Jednak potrzebuję więcej ludzi – stwierdził Knox.

Tak ni z tego, ni z owego przerwał tym samym całkiem udaną próbę sceny powtarzanej już tego dnia po wlekroć. Szczęściem Rafael, straciwszy wiele cech anielskich, cierpliwość akurat zachował. Temu tylko reżyser zawdzięczał fakt, że jeszcze żył. I mówił. I łąził po mieszkaniu z założonymi za plecy rękami i z okularami zsuniętymi na czubek nosa.

– Potrzebuję ludzi – wyjaśnił – bo inaczej wątek homoseksualny zupełnie mi się położy.

A nie wyobrażam sobie, że mam do dyspozycji anioły, mam Amerykę i nie będzie nic o gejach!

Gabriel przysiadł na krawędzi stołu nie do końca pewien, czy powinien się obrazić, czy jednak niekoniecznie. Z pozoru nie było nic złego w słowach Knoksa, ale kto raz przebywał w towarzystwie Kłamacy dłużej niż dzień, wiedział, że każde słowo czy zdanie może być sprośnością albo obrazą. Bądź jednym i drugim naraz. Postanowił się więc upewnić.

– A czemu niby tak ważne jest... – zaczął, ale Knox podniósł ze stołu kubek i nie patrząc, cisnął nim w kierunku archanioła.

– Myślę – powiedział i z powrotem splótł dłonie na poślaskach. – Jeden, żeby... tak...

Drugi zastąpi milczącą niedorajdę.

Jeżeli obraziło to Rafaela, nie dał tego po sobie poznać. Zdaniem Gabriela, uśmiechnięty eksarchanioł zmierzał w ten sposób prostą drogą do świętości. Dureń.

– Dwie dziewczyny, żeby... Tak, dobra... – kontynuował swoje wyliczenia Knox. – Potem jeszcze... nie, tu wystarczy trzy. I kilku statystów... Na pewno nie mogę szczurów?

– Nie – w tej jednej jedynej kwestii Gabriel był stanowczy. – To ilu potrzebujesz?

– Osiem, dziewięć osób – odparł reżyser. – I chcę to wystawić na Broadwayu, żeby ideał mógł sięgnąć bruku. Boże, jakie to będzie słabe...

Gabriel podniósł się, wyprostował.

– Tak, Rafaelu, zauważyłem, że użył na darmo imienia Pana – mruknął cicho. – Ale nie zwrócę mu uwagi, bo zaczniesz to powtarzać w kółko.

Rozłożył skrzydła, owinał się nimi, zamknął oczy...

...i otworzył je już na obrzeżach Central Parku. Wzniósł głowę ku niebu i westchnął: – Panie, jeżeli

rzeczywiście taka twoja wola i w obliczu końca świata oczekujesz teatralnego przedstawienia, bądź łaskaw choć odrobinę mi to ułatwić i...

Nagle spod ziemi wyskoczył samolot, przeleciał kawałek i walnął w budynek.

– O, właśnie, dziękuję.

Bóg nie odpowiedział.

Siedziba Bocor & Wanga

Najpierw spalili ubrania. Potem Bachus odczekał swoje i zajął łazienkę, gdzie spędził pod prysznicem blisko godzinę. Stałby pewnie i drugą, a nawet trzecią, tak wspaniale kojący i oczyszczający był strumień gorącej wody lecący mu na głowę, ale w końcu bóg wina uzmysłowił sobie, że zgłodniał. Skończył więc kąpiel, ubrał się w przygotowany szlafrok – trochę ciasnawy i za długi, ale lepszy niż stare ciuchy z kolekcji „Gówno miasta” – i wyszedł z łazienki.

Samedi krzątał się po kuchni swego apartamentu, wyczarowując fantastyczne zapachy.

Żołądek Bachusa oczywiście z miejsca zadecydował, że idą tam już, teraz, natychmiast, ale od czasu tej dziwki Mary Ann bóg wina nauczył się panować nad zmysłami. Zamiast więc udać się do kuchni, minął leżącego na podłodze węża i wyszedł na taras z widokiem na Central Park. Stanął przy balustradzie, objął się ramionami, chroniąc przed chłodem, i spojrzał w dół.

Do tej pory zawsze go zastanawiało, czemu ludzie pchają się do miasta tylko po to, żeby potem płacić trzy razy większe czynsze za domy z widokiem na naturę, czy to las, czy jezioro, może góra. Teraz jednak, patrząc na to wszystko z wysokości tarasu, rozumiał. To jak z odwiecznym pytaniem o to, czy liczy się rozmiar, czy technika. A jeśli nie musiałbyś wybierać?

I tak w oddali wieżowce, nowoczesność jak ta, którą masz za plecami, na co dzień praca wre pod stopami – no nie dosłownie, kilka pięter niżej – a przed tobą drzewa, ścieżki, latarnie jak z baśni, łąki, jeziora i...

Bachus aż się cofnął. Krok, dwa, wreszcie odwrócił się i zawołał w głąb mieszkania: – W parku są golasy!

– Witamy w Nowym Jorku! – odkrzyknął Samedi zupełnie nieprzejęty tą wiadomością. – Jak chcesz się im poprzyglądać, to gdzieś tu stoi teleskop.

Bóg wina przejechał ręką po twarzy.

– Nie, Samedi! TE golasy! – podkreślił. – Lucyferskie kutafony z bieguna.

– O szlag!

– Na razie nie jest ich dużo, ale mam wrażenie, że ciągle ich przybywa, wychodzą jakby spod ziemi i... o kurwa!

– Co?

Nagi baron pojawił się tuż przy Bachusie i sam spojrzał przez barierkę.

– O kurwa! – powtórzył za towarzyszem.

Trudno było o inną reakcję, gdyż spod ziemi wyleciał właśnie prywatny odrzutowiec, przeleciał kilkadziesiąt metrów tuż nad linią drzew i zarył dziobem w pobliski budynek. O

dziwo, nie wybuchł, tylko zawisnął wbity w przeszklony *open space*.

– Lucyfer chyba powinien zmienić pilota – stwierdził Bachus.

Baron natomiast zniknął w mieszkaniu i po chwili wrócił z teleskopem.

– Jakoś nie sądzę, żeby to był on – powiedział, rozstawiając trójnog. – Wiesz, jest aniołem, nie potrzebuje takich rzeczy, bo ma swoje sposoby podróżowania.

Spojrzał w wizjer, wyregulował obraz, znowu spojrzał. Bachus przyglądał mu się, drapiąc się po potylicy.

– Wiesz, może jednak nie potrafi, nie wszyscy Upadli to umieli, o ile pamiętam. W dodatku... Ej, co to za mina?

Samedi cofnął się o krok i gestem zaprosił Bachusa do teleskopu. Półśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Sam zobacz – powiedział. – Myślę, że się zdziwisz.

Bachus zmarszczył czoło.

– Znaczący ktoś? – zapytał. – Loki? W sumie to nawet byłoby w jego stylu, chociaż...

Zerknął w wizjer i umilkł w jednej chwili. A potem zawołał na cały głos: – Nie no, to są chyba jakieś jaja!!

Przez otwarty właz na dach samolotu gramoliła się właśnie Jenny, korzystając z pomocy Erosa... i Mary Ann. Nad tą trójką kołysał się na wietrze zawieszony w powietrzu Gabriel. Brakowało jeszcze tylko Lokiego, Jeffersona i Michała, by mogli stanowić pełną, zebraną razem rodzinę.

Bachusa oczywiście najbardziej zdenerwowała obecność Mary Ann.

– Idę tam, cholera! – warknął. – Już ja pokażę tej dziwce, że *nie* znaczy *nie*. Jestem w końcu cholernym...

Potknął się o węża i upadł. Wstał, poprawił szlafrok.

– ...cholernym bogiem – dokończył. – Masz dla mnie jakieś spodnie?

Baron wskazał brodą szafę, następnie zerknął jeszcze raz przez teleskop.

– Poczekaj, idę z tobą – stwierdził. – Muszę się tylko ubrać i pomalować.

Bachus wiedział, że Samediemu chodziło o jego wisioriki, cylinder i malunek szkieletu, ale te słowa z ust Murzyna z pytaniem jak drugi w tym pokoju dusiciel zabrzmiały tak komicznie, że nie mógł się nie roześmiać. Po prostu nie mógł.

Okolice Central Parku

– Nie no, ale, kurwa, serio. – Elvis wygrzebał się spod Eryka i Mando; potarł stłuczone ramię. – Co ta Ameryka ma z samolotami w budynkach? To już nie można normalnie lądować?

– Nie śmiałybym się z tego, gdybym był tobą – stwierdził Eros.

On również został przywalony przez współpasażerów, ale trafił zdecydowanie fortunniej, jak na boga miłości przystało.

– Nie w Nowym Jorku, nie w obliczu końca świata – dodał.

– A tam, pieprzenie. – Elvis sięgnął po „Necronomicon” i wsadził go z tyłu za pasek. Ot tak, na wszelki wypadek. – Chodźcie, wysiadamy, zanim to wszystko pierdolnie.

Pomógł wstać Mando, a potem razem podnieśli Eryka. Chrisa znaleźli martwego w roztrzaskanej kabine pilota. Z piersi wystawał mu zrolowany ekran do rzutnika.

– Liść na wietrze – mruknął Elvis i domknął drzwi kabiny.

Tymczasem Eros już się siłował z włazem głównym i po chwili męczarni udało mu się odblokować drzwi. Pchnął je, wychylił się i natychmiast cofnął. Niby to tylko pięć piętér, ale spadać z takiej wysokości nie zamierzał. Mimo to jakoś trzeba było wyjść, więc po krótkiej naradzie zdecydowali, że wejdą na samolot i po nim spróbują dostać się do budynku. Eros ruszył jako pierwszy. Wspiął się po drzwiach, a potem rozpląszczył na dachu. Następnie to samo zrobiła Sygin, wykazując się przy tym niezwykłą siłą i gracją.

Jako trzecia zaczęła się wspinać Jenny. Ledwie jednak udało jej się wejść na drzwi i złapać rękę Erosa, tuż nad nimi pojawił się Gabriel. Pojawił się, nabrał powietrza, by przemówić, ale zamarł z otwartymi ustami.

– Jenny? Eros? To naprawdę wy? – zapytał w końcu.

Z dołu pojawiła się głowa Mando.

– Ej, czy jest na tym popieprzonym świecie ktoś, kto nie zna waszej dwójki? – zapytał, ale nikt nie zwrócił na to pytanie najmniejszej uwagi.

Jenny i Eros wpatrywali się teraz w anioła, a anioł w nich; obie strony zastanawiały się, jak zacząć.

– Bardzo się cieszę, że udało się wam przeżyć – powiedział w końcu Gabriel. – I rzeczywiście to znak od Pana, że nad nami czuwa. Mimo wszystko.

Jenny odwróciła głowę i splunęła.

– Ostatnim razem jak sprawdzałam, kazał swojemu Wodzowi Zastępów zniszczyć miasto z nami w środku. Gdyby nie ty i mój kochany Eros...

– Kochany? – zdziwił się archanioł, ale bóg miłości pokręcił głową.

Nie pytaj – mówił ten gest. *Nie teraz*.

– Jenny, zniszczenie miasta było dla Michała trudną decyzją – wyjaśniał skrzydlaty – i do ostatnich swoich chwil żałował, że...

– Jak to do ostatnich chwil?! – Jenny szarpnęła się do tyłu, ciągnąc na siebie Erosa.

Ten przesunął się kawałek i z trudem udało mu się złapać równowagę.

– Jenny! Na fujarkę kosmatego Pana, uważaj! – krzyknął.

Gabriel podfrunął i chwycił Jenny w pasie, otulił najniższą parą swych skrzydeł i powoli sfrunął z nią ku ziemi. Po drodze przysunął usta do jej ucha i szeptał. Gdy wylądowali, dziewczyna miała oczy pełne łez, które ukradkiem próbowała otrzeć.

– W porządku? – spytał archanioł.

Skinęła głową.

– Idź, ściągaj pozostałych. Ja sobie tutaj... Ja...

– Posiedzisz z nami – powiedział bóg wina, wyłaniając się z mroku. – Teraz nie jest tu specjalnie bezpiecznie.

– Jakby kiedykolwiek było – odezwał się niski głos i zaraz potem spomiędzy drzew wyłonił się też Samedi. – Dla samotnych kobiet? Park? Nocą?

Jenny przyjrzała się grubasowi uważnie, po czym skoczyła do niego i wtuliła się z całej siły, zupełnie nie zwracając uwagi na stojącego obok barona. Potrzebowała tego.

Potrzebowała jak chyba nigdy od tamtego dnia, gdy Michał wybawił ją od Samaela.

Gabriel przyglądał się temu przez chwilę, po czym uniósł głowę i się uśmiechnął.

– I on też, Panie? – powiedział. – Nie zdziwię się, gdy sprowadzisz mi tu jeszcze Kłamcę.

– No właśnie... – Na słowa archanioła Jenny odsunęła twarz od szyi grubego boga. – Bachusie, jak pamiętam, był z tobą. Wiesz, gdzie on teraz jest? Bo sytuacja trochę się skomplikowała, na górze jest jego żona, ale w ciele dziewczyny, która go nienawidzi, a Eros próbował rzucić na mnie swój urok, żebym nie palnęła czegoś głupiego przed tą całą Sygin, ale nie wie, że Loki uodpornił mnie już dawno na wasze uroki, sztuczki i inne takie, więc teraz tylko udaję przed tamtą i...

Zrobiła pauzę, gdy zabrakło jej oddechu. Bachus wykorzystał ten moment.

– Mówiąc o lasce, która nienawidzi Lokiego, masz na myśli Mary Ann? – upewnił się.

Jenny pacnęła się w czoło.

– No tak, przecież ciebie też wykorzystała! – przypomniała sobie. – Nie, spokojnie, to już nie jest ona i zupełnie nie musisz się martwić ani tym bardziej jej zabijać czy coś.

Zaśmiała się, ale tylko ona. Pozostali najwyraźniej potraktowali temat całkowicie i śmiertelnie poważnie. Jakby rzeczywiście to właśnie wchodziło teraz w grę.

– Nie wolno wam nikogo zabijać – stwierdził w końcu Gabriel – dopóki nie pomożecie mi w przedstawieniu dla Knoksa. Wszyscy.

Po czym nie czekając dłużej, wzbił się pod niebo po następnych. Pozostała na ziemi trójka wymieniła spojrzenia.

– Przedstawienie? – zdziwił się Bachus.

– Dla Knoksa? – dodała równie zdziwiona Jenny. – Po tym jak go ostatnio załatwiliśmy?

Tylko Samedi wzruszył bez troski ramionami. Jego plan nie wypalił, więc równie dobrze mógł pójść ścieżką, którą los podstawił mu pod wymalowane oblicze.

– W sumie czemu nie? – powiedział. – Kiedyś na firmowej integrze grałem nawet Otella.

Myślicie, że Knox będzie to umiał wykorzystać?

Budynek GoodTV

Biurowiec GoodTV wyglądał jak zwykle po godzinach. Brakowało tylko kogoś w recepcji i sprzątaczy na żółtych wózkach wyglądających jak małe traktory. Ach, była jeszcze wybita szyba i roztrzaskany automat z przekąskami, ale to i tak niewielkie zniszczenia, zważywszy na panującą do niedawna w całym kraju klęskę głodu.

Lucyfer przyglądał się temu wszystkiemu z rozrzewnieniem i pewnego rodzaju tęsknotą.

Cokolwiek by mówić, lubił swoje życie jako poprostu Teddy. Lubiał tu przychodzić, rozmawiać z pracownikami i słuchać o ich problemach. Czasem nawet pomagać, bo bycie złym nie wyklucza przecież dobrych uczynków. Gdyby tak było, wówczas stałoby się jedynie lustrzanym odbiciem dobra, a przecież nie o to chodziło.

Zadzwoiła bramka kontrolna i Lucyfer odruchowo sięgnął do kieszeni, by wyjąć z niej telefon i klucze. Przypomnił sobie jednak, że jest tu sam i tym razem nikogo to nie obejdzie, choćby wszedł w skórzany płaszcz, okularach i obwieszony przeklętym arsenałem. Minął więc punkt kontrolny, zerknął za kontuar recepcji, by zobaczyć, czy wciąż jeszcze stoją tam jego rolki – stały – po czym skierował się do wind.

Wcisnął przycisk, a drzwi natychmiast się rozstały. Wszedł do kabiny, wstukał specjalny kod i dopiero wtedy wybrał piętro czterdzieste szóste. Zachwiał się odrobinę, gdy winda ruszyła do góry.

– No to zaraz się skończy – powiedział na głos, myśląc o swoich Limbownikach już panoszących się po mieście i szukających kryjówki Kłamcy. Znajdą ją, wiedział o tym doskonale. Nie mieli jednak oporów, nie czuli zmęczenia czy zniechęcenia, a miasto, choć duże, nie jest przecież nieskończenie wielkie. Właściwie to, co zamierzał, wcale nie było do niczego potrzebne i wcale, ale to wcale nie musiał tego robić.

– Ale chcę – mruknął do lustra z miną, która wyrażała jego pogardę dla samego siebie.

Że też uległ czemuś tak słabemu jak zwykła ludzka żądza sławy i docenienia. Przecież tyle razy podczas oglądania filmów drwił i kpiał ze złych, którzy musieli wygłosić monolog i tym samym opowiedzieć w szczegółach cały swój plan. A teraz proszę, jaki ten świat bywa przewrotny. Chęć podzielenia się owocami swojego geniuszu aż go paliła.

Dlatego właśnie tak bardzo liczył teraz na to, że Kłamca jednak przeżył, że będą mogli zamienić dwa słowa, a Loki, tak podobny, z jednego zrodzony mitu, zachwyci się pomysłem i sposobem wykonania. Bo przecież nikt nie mógł mieć wątpliwości, kto wygrał tę całą Apokalipsę. Ten sam, który ją wywołał.

Rozległ się dzwonek i drzwi stanęły otworem. Lucyfer wyszedł i skierował się w lewo, w stronę pokoju z napisem *Studio*.

Nie zastanawiał się już w tej chwili, czy Apokalipsa była w ogóle potrzebna. Przecież nawet gdyby nie ona, zdobyłby ten świat prędzej czy później. Już kontrolował ogromną część mediów, w tym gigantów Internetu, miał też wielki wpływ na ekonomię i gospodarkę całego świata dzięki pakietom kontrolnym niezliczonych firm i spółek.

Tak, gdyby chciał, mógłby to wszystko zdobyć bez zamieszania, aktywowania mitycznych, zabijania piekielnych książąt. Mógłby, ale to było jak z grą „Heroes of Might and Magic”. Nie po to kiesznicz gigantyczną armię, by z niej nie skorzystać. Nie po to zdobywasz wszystko, by się z tym ukrywać. Gdy jesteś niepokonany, ruszasz z pełną siłą i nawet nie przystajesz, gdy widzisz wroga.

Mógł zapytać samego siebie: *Lucyferze, po co ci ten chaos, zabijanie Michała i jego Zastępów, po co ci zdobywanie pustego świata? Dlaczego to zrobiłeś?*

Ale na to odpowiedź była tylko jedna.

– Bo mogłem – mruknął na głos.

Usiadł w fotelu przed kamerą, a wokół rozświeciły się lampy. Złapał za mikrofon i zastukał w niego dwa razy.

– No dobra – stwierdził. – Czas na rock and roll!

A potem pstryknął palcami.

Część IV
Grand finale

Rozdział 17

Grand Central Station



pierwszej chwili Loki pomyślał, że trafił na jakiś plan filmowy, w środek ogromnego flash mobu albo czegoś w tym duchu. Ci ludzie, w swych źle dobranych ciuchach, bez makijażu i kubków ze Starbucks, zupełnie nie przypominali bowiem nowojorczyków, których Kłamca widywał kiedyś na tej stacji. Nie wyglądali na pewnych siebie, nigdzie się nie spieszyli i w dodatku... byli chudzi. Wszyscy. Zupełnie jakby dokarmiane hamburgerami miejskie wieloryby, z których słynęły niegdyś wielkie miasta w Stanach, te wiecznie spocone tłuściochy zajmujące w samolotach i na ławkach dwa miejsca zamiast jednego, z dnia na dzień zupełnie wyginęły.

Nie było wielkich, głośnych, ale dobrych w głębi serca Murzynek, nie było facetów ze sklepów komiksowych w przykuszach koszulkach i z włosami tak tłustymi, że można by na nich wysmażyć setkę donutów. Nie było policjantów w mundurach wielkości namiotów, którzy jedliby potem te donuty w radiowozach, w cieniu parkowych drzew.

Tylko same niewyspane, niemodnie ubrane chudziny, brudne dzieci i oczywiście...prawnicy.

– O, proszę – mruknął Loki, przeżuując kolejną wykałaczkę. – Widzę, że projekt Obamy „Jabłko zamiast batona” przeszedł najśmielsze oczekiwania. Z drugiej strony w meczu kryzys kontra rząd totalne jeden zero. Nic dziwnego, że zwrócili się do anioła o pomoc.

Prowadzący go strażnicy nie odpowiedzieli na to słowem, tylko odsunęli się grzecznie, gdy nadlatujący w ich stronę Jefferson wylądował tuż przed Kłamcą.

– Fantastycznie cię widzieć, bracie – zawołał anioł. – I widzę, zmajstrowałeś sobie dzieciaka. Jak masz na imię, mały?

Merlin, nie wiedząc czemu nagle spłoszony, schował się za Kłamcę. Loki obejrzał się za nim i wzruszył ramionami.

– Musisz mu wybaczyć – powiedział. – Nie przywykł do widoku aniołów w entourage’u Sex Pistols. Co tu się stało?

– W sensie kiedy? – nie zrozumiał Jefferson.

– Wyjeżdżam, w kinach szaleją błyszczące wampiry, a Tiger Woods gra głupka przed żoną, że dla niego dziura to dziura, gra i zalicza. Wracam, a populacja Nowego Jorku mieści się na dworcu kolejowym. W dodatku jeszcze trochę i będą wyglądać jak polscy statyści z „Listy Schindlera”.

Jefferson przyglądał się Kłamcy przez chwilę, chcąc sprawdzić, czy ten aby na pewno nie żartuje. Kiedy przekonał się, że jednak nie, skinął głową.

– Chodźmy gdzieś w ustronne miejsce – powiedział, ruszając w dół schodów i zstępując między ludzi.

– Aż tak się stęskniłeś? – zapytał Kłamca.

Poprawił ramiączka plecaka i podążył w ślad za aniołem. Ludzie, których mijał, przyglądali mu się z czią, lękiem, ale i nadzieją. Ktoś padł przed nim na kolana, ktoś inny złapał go za rąbek koszulki i szepnął: *Uzdrow mnie*. Temu ostatniemu Loki pstryknął w oko przezutą wykałaczką.

Tymczasem Jefferson parł do przodu. Kładł ręce na niektóre głowy, komuś innemu szepnął słowo albo dwa, ale wszystko to bez zwalniania. Zatrzymał się dopiero przed uroczym, piegowatym sześciolatkiem ze złotymi włosami postawionymi na jeża i spojrzeniem rasowego zabójcy mrówek. Napis na koszulce malucha głosił: *Przytul mnie, moja mama chętnie dorobi na odszkodowaniu*.

Jefferson obejrzał się i wyciągnął rękę do towarzysza Kłamcy: – Pozwól tutaj. To jest... jak masz na imię, chłopcze?

– Jestem Artur, aniele Jefferson – przedstawił się maluch.

– No właśnie, pobawcie się z Arturem. Tam, w kącie, leżą jakieś klocki, zbudujcie coś czy jak... Może zamek?

Chłopcy przyjrzeni się sobie nieufnie, w końcu jednak Artur wyciągnął rękę, a Merlin ją uściskał. Razem ruszyli w stronę okrągłego plastikowego stolika ogrodowego, na którym leżała na wpół złożona Gwiazda Śmierci z klocków Lego. Kłamca przyglądał się temu wszystkiemu z pełnym rozbawieniem zdumieniem.

– Artur? Ten mały ma na imię Artur? Żartujesz sobie, prawda? – zapytał. – Podstawiłeś go?

– Nie, czemu? – zdziwił się Jefferson. – Teraz, kiedy mamy już trochę luzu, chodź do kącika pocałunków, tam nikt za nami nie pójdzie.

– Rany, naprawdę się stęskniłeś – westchnął Loki.

– I tak to w skrócie wygląda – zakończył swą opowieść Jefferson. – Ludzie w zdecydowanej większości opuścili Nowy Jork za jedzeniem, druga część, gdy zaczęli u nas polować mityczni. Wiesz, część z nich ukrywała się tu i tylko czekali okazji.

Uwierzysz na przykład, że Wielka Stopa mieszkała cały czas w Queens?

– Tak. – Siedzący naprzeciwko Kłamca uśmiechnął się i przepchnął językiem wykałaczkę z jednego kącika ust do drugiego. – Miałem takiego sąsiada. Jak kiedyś pijany zaległ na werandzie, to wszyscy myśleli, że wyprął niedźwiedzia sprzed kominka.

Ale mniejsza, co z resztą aniołów?

– Większość z nich, na czele z Michałem, nie żyje – odparł Jefferson. – Doszły mnie słuchy, że Lucyfer wystawił na nich czwarte go Jeźdźca i tym samym Śmierć rozlała się po Australii. Gabriel jest tutaj, kręci coś z Knoksem.

Loki zmarszczył czoło.

– Tym reżyserem, którego kiedyś...

– Tym samym – potwierdził Jefferson. – Aha, jest teraz Ogniem Pana.

– Knox?

– Gabriel.

– Aha. – Kłamca przejechał ręką po twarzy. – Coś jeszcze powinienem wiedzieć? Jak się ma...

Chciał powiedzieć *Paryż*, ale nie wiedzieć czemu ugryzł się w język.

– Ja się ma reszta świata? – dokończył. – Jakież wieści?

Jefferson pokręcił głową.

– Pojedyncze sygnały, że Lucyfer ma jakąś nową, wielką armię i że zdobył większość świata – stwierdził. – Wiesz, ludzie gadają, że teraz zmierza tutaj. Podobno część naszych patroli widziała tu dziwnych gołasów w dużych grupach, ale to równie dobrze mogą być zombie pozostałe po tym czarnym z Bocor & Wanga, jeśli pamiętasz.

Kłamca skinął głową. Samedy. Pamiętał drania dobrze i miał nadzieję, że czarnuch siedzi gdzieś w jakimś kącie i robi pod siebie. To by była naprawdę wielka i zabawna zmiana w postawie pana „Jestem taki zajebisty, bo wymyśliły mnie gołe pigmeje na zadupiu Afryki”. Sięgnął do kieszeni po kolejną wykałaczkę.

– O Bachusie pewnie nic nie... – zaczął, ale wtedy rozległ się pisk potwornego sprzężenia, a zaraz potem dobiegł ich głośny, wesoły głos.

Obaj, bóg i anioł, zerwali się i pognali do głównej hali dworca.

Na ekranach wszystkich zawieszonych nad kasami monitorów widać było teraz tę samą twarz – dzieciaka, nastolatka, jeszcze niedawno ulubieńca Ameryki, który każdemu, kogo spotkał, kazał się nazywać poprostu Teddym. Swojego chłopaka, który pozostał

sobą, choć z zer za cyferką na jego koncie można by spokojnie sklecić dwa znaczki olimpijskie.

– To Lucyfer – szepnęła Jefferson.

– No nie pierdol – odszepnęła Loki.

Dzieciak na ekranie poprawił właśnie trzymany w rękę mikrofon, rozsiadł się wygodniej i zawołał:

– Dziejeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee doobry, Nooowy Jooorku! Dawnośmy się nie widzieli i za to wielka sorka, ale ostatnio trochę ganiałem to tu, to tam. Wiecie, Apokalipsa, zdobywanie świata, takie tam. Swoją drogą, łapka w górę, kto myślał, że Księciem Ciemności jest Ozzy Osbourne?

Ku autentycznemu zdumieniu Kłamcy kilka rąk na hali uniosło się w górę.

– Dobra, kto myślał, że to Ronnie James Dio?

I znowu kilka rąk, choć mniej niż poprzednio.

– No i widzicie, jak czasem pozory mylą? Powiedziałbym, żebyście zapamiętali na przyszłość, ale jeszcze nie zdecydowałem, czy dam wam w ogóle jakąś przyszłość. W

tej chwili snują się po mieście moje golaski z Limbo i lada chwila dotrą do Grand Central, a wtedy kluczowe będzie dla was pytanie: czy jest tam gdzieś Loki? I czy będziecie skłonni mi go... wydać?

Zanim Kłamca zdążył zareagować, Jefferson już rozkładał skrzydła.

– Łap się mnie! – zawołał.

Gdy tylko Loki uwiesił się na jego szyi, Jefferson wzbił się w powietrze. W samą porę, bo kilka osób już ruszyło w ich kierunku, jakby zupełnie nie bali się anioła. Jakby jego obecność była im całkowicie obojętna.

Zgubna siła telewizji – pomyślał Kłamca, zanim dolecieli do szczytu schodów, gdzie wciąż stali koszykarz i Włoch, obaj uzbrojeni.

– Sorry, Italiano! – zawołał Loki i kopnął niższego z mężczyzn w twarz.

Dopiero wtedy puścił szyję anioła, opadł na posadzkę i złapał za karabin. Huk wystrzału poniósł się echem po hali, a koszykarz runął na ziemię, zwijając się z bólu i dociskając prawą dłoń do przestrzelonej ręki. Kłamca w tym czasie zdążył już wybiec z dworca i popędził wzdłuż ulicy, wciąż ściskając w ręce broń.

– Musimy dotrzeć do mojego magazynu! – zawołał do lecącego nad nim Jeffersona. – Musimy, zanim...

Nagle zauważył zaparkowany przy ulicy sportowy motor wyprofilowany i wygładzony tak, że niejedna modelka mogła mu zazdrościć figury. W dodatku w żaden wyraźny sposób niezabezpieczony, więc Loki obejrzał się, a gdy stwierdził, że nikt go nie goni, dosiadł maszyny.

– Wiesz, jak to odpalić? – zawołał do Jeffersona. – Ty miałeś dużo do czynienia ze złodziejami i innymi takimi na tej twojej dzielnicy, więc...

Anioł wylądował tuż obok i przyłożył jedną rękę do baku, a drugą do stacyjki. Po chwili silnik warknął i zaczął pracować.

– Nie ma za co – powiedział Jefferson, ładując się za plecy Lokiego. Trochę utrudniał

mu to plecak Kłamcy i wystający z niego pluszak, ale anioł nie narzekał. – A teraz gnaj, gdzie mamy gnać, bo chyba widziałem z góry te golasy, o których mówił Lucyfer.

Loki zdjął motor z nóżki, ustawił się prosto i ruszył, klucząc między pozostawionymi na ulicy samochodami. Jechał, a ze wszystkich telebimów w całym mieście śmiał się do niego i z niego prosto Lucyfer.

Mieszkanie Knoksa

Knox stał na środku pokoju i gryzł zausznik okularów. Jego wzrok prześlizgiwał się po Erosie, Bachusie i Jenny coraz szybciej i szybciej, jakby to wzbierająca wściekłość napędzała ruch gałek ocznych reżysera. W końcu nie wytrzymał.

– To jakiś żart, prawda?! Kpina! – wrzasnął. – Ze wszystkich ludzi na świecie, nieważne, ile ich tam zostało, ale nawet w tym pieprzonym Nowym Jorku jest ich teraz parę tysięcy, z nich wszystkich musiałeś przyprowadzić akurat trójkę, która doprowadziła do mojego upadku?!

Gabriel, który stał z założonymi rękami, wsparty o regał z książkami, pokręcił głową.

– Przyprowadziłem ci tych, którzy przyczynili się do twojego największego sukcesu – powiedział. – Mam też innych, ale czekają na zewnątrz, aż oswoisz się z sytuacją. Bo oni wystąpią w tym spektaklu, cała trójka. I dobrze o tym wiemy.

Knox odwrócił się gwałtownie i skrzywił, unosząc przy tym górną wargę. Wyglądał teraz trochę jak Dustin Hoffman ucharakteryzowany na wilkołaka.

– Wiemy? – wycedził. – Wiemy?!

Gabriel pozostał jednak niewzruszony.

– Tak, wiemy – powtórzył. – Cała trójka grzecznie ci przeprosi, ty im wybaczysz i wybierzemy się na Broadway, by tam spędzić czas do premiery. Rafael zostanie tu i zajmie się szczurami, prawda, Rafaelu?

Niegdysiejszy archanioł skinął głową i uśmiechnął się do wędrującego po jego dłoni Brando. A może to

był Nicholson?

– Masz wystawić to przedstawienie, bo tak sobie życzy Bóg czy inne Zwierzchności spoglądające na nas z góry – kontynuował swój wywód archanioł. – Tym razem jednak będzie dokładnie tak, jak sobie zaplanujesz. To ma być twoje przedstawienie, rozkazy w tym zakresie były jasne i klarowne.

Reżyser się zawahał. Usiadł na stołeczku i jeszcze raz przyjrzał się całej trójce, wyglądającej teraz jak zmieszani uczniowie na dywaniku u dyrektora. Pamiętał, że zanim namieszali, byli dobrzy. Praca z nimi szła sprawnie, bo szybko chwyтали, co mają robić, i nie upierali się, by dodawać coś od siebie. Byli jak szczury. No, prawie. Nikt nie był aż tak dobry.

– I gwarantujesz mi, że tym razem nic nie namieszają? – upewnił się Knox.

– Tak – odparł Gabriel.

– I że będą grać dokładnie tak, jak im wskażę i powiem?

– Tak.

– Złożone ręce się nie liczą – zastrzegł jeszcze reżyser. – Żeby mnie okłamać, musiałbyś skrzyżować palce, a tego nie robisz. Obietnica jest w mocy.

– Wiem – zgodził się Gabriel.

Knox włożył do ust zausznik okularów i przygryzł gumową końcówkę. Wahał się jeszcze przez chwilę, rozważając wszystkie możliwości. W końcu westchnął i machnął ręką.

– Dobra, nie ma czasu – stwierdził. – Dawaj tych pozostałych i idziemy ćwiczyć.

Gabriel raz jeszcze skinął głową, po czym podszedł do Rafała, położył mu rękę na ramieniu i ścisnął.

– Do zobaczenia wkrótce, bracie – powiedział.

Po czym zniknął, by zmaterializować się przed budynkiem, gdzie czekali Samedi, Sygin i reszta.

Gdzieś w Nowym Jorku

Dom, pod który podjechał Kłamca, mieścił się na odludziu. Samotny budynek otoczony był pustymi parcelami i szkieletami fabrycznych hal dawno już obranych z blachy.

Jefferson znał to miejsce, kojarzył je z gazet. Kiedyś mieściła się tu kwatera główna jakiejś bandy anarchistów dowodzonych przez szalonego schizofrenika, który kłócił się sam ze sobą – czasem nawet bił, okładając się pięściami po uszach – i wydawał

wszystkim sprzeczne rozkazy. Anioł nie pamiętał nazwy tej organizacji, ale kojarzył, że ich pierwsza zasada brzmiała...

– No co tak siedzisz? – zapytał Loki. – Kończ przytulanie, skoro i tak nic z tego nie będzie, i zapieprzaj do środka. Ja muszę jeszcze schować motor.

Jefferson posłusznie zsunął się z siedzenia i stanął obok.

– Czy jesteśmy tu po to, o czym myślę? – zapytał.

– A czy ja wyglądam, jakbym miał ochotę na pierdolone anielskie kalambury? – mruknął

Kłamca. – Właż do środka i poczekaj. Tylko się nie pośliznij. Ostatnio w kuchni było sporo tłuszczu i ługu, jakby ktoś robił mydło.

– Tutaj?!

– Też się zdziwiłem, ale widocznie nawet menele nie są już dzisiaj tacy jak kiedyś.

Kłamca zeskoczył z motoru i poprowadził go do obciążonego niebieską plandeką stosu pustaków. Przykrył pojazd i grzebiąc w kieszeni za wykałaczką, wrócił do Jeffersona.

– Spójrz na mnie teraz – powiedział do anioła. – Kim jestem?

Jefferson uniósł brwi.

– O co ci chodzi? – zapytał.

Kłamca podrapał się po brodzie, pociągnął nosem, splunął.

– To proste pytanie, Jeffersonie – odparł. – Wiesz, kim jestem?

– No... Kłamcą... – powiedział Jefferson wolno, w obawie, by nie powiedzieć czegoś złe.

Sam właściwie nie wiedział, czemu tak się tym teraz przejmuje. Teraz, gdy Lucyfer przejmował jego miasto, terroryzował jego ludzi.

– Lokim, kiedyś olbrzymem, który jednak...

– ...zdradził swoich i stanął po stronie aniołów – dokończył za niego Loki. – Czy to ci przeszkadza?

– Loki, na Trony i Zwierzchności! Co ci...

– Chcę wiedzieć, czy jesteśmy kumplami, Jeffersonie. Bo wszystko wskazuje na to, że będę ci musiał zaufać. Gdy przekroczymy ten próg, nie będę już sobą, tylko jebanym wcielonym Zaufaniem Kłamcy. A sam przyznasz, brzmi to trochę jak oksymoron!

Jefferson nie odpowiedział od razu. Zmrużył tylko oczy i przez chwilę uważnie wpatrywał się w Lokiego. W końcu skinął głową.

– Tak, Loki. Jesteśmy kumplami. I tak, zgadzam się, choć właściwie nie wiem czemu.

– Na co się zgadzasz?

Jefferson wstąpił na pierwszy schodek werandy.

– Już ty dobrze wiesz na co. I nieważne, co myślisz, to wcale nie jest dla mnie taki zaszczyt, jak ci się teraz wydaje.

Nie czekając, pokonał kolejne schodki i pchnąwszy wypaczone drzwi, wszedł do budynku.

Loki patrzył za nim przez chwilę, po czym uśmiechnął się półgębkiem.

– No co ty, stary – mruknął pod nosem. – Będzie zajebiście.

Tak jak ostrzegał Loki, podłoga w kuchni była śliska od tłuszczu. Pod stołem leżał na wpół opróżniony worek z oznaczeniem *odpady biologiczne*, a na blacie mosiężny tłuczek i mnóstwo ługu. Jefferson nie przyglądał się uważniej, bo wiedział, że to, po co tu przyszedł, na pewno nie mieściło się w połamanych kuchennych szafkach.

Przeszedł więc do kolejnych pomieszczeń: zrujnowanej łazienki z wanną brązową od rdzy i stosunkowo nową muszlą, w której pływała zużyta prezerwatywa, opuszczonej sypialni bez okien, za to z podziurawionym materacem, salonu z antycznymi meblami i oberwanym sufitem, wreszcie magazynku na szczotki pełnego broni. Nigdzie jednak nie było tego, czego szukał.

– Wszystko jest w piwnicy, w wodoszczelnych workach – odezwał się Loki zza jego pleców. – Możesz spokojnie przymierzyć, bo są twoje, Jeffersonie. Tylko nie ruszaj patery i jabłek.

To powiedziawszy, prześliznął się obok Jeffersona i wszedł do komórki. Zdjął plecak, wyjął z niego Kłamczucha i postawił go przed sobą. Następnie ściągnął z szafki kaburę na szelkach, jeden IMI Jericho i dwa zapasowe magazynki. Jeżeli wszystko się powiedzie, nie będzie potrzebował więcej. Jeżeli nie...

– Wtedy tyle będzie aż nadto – powiedział na głos, zakładając szelki.

Jefferson parsknął.

– Rozmawiasz z pluszowym misiem? – zapytał.

– A z kim? – Kłamca skinął głową. – Wiesz, co mówi się o tych, którzy rzekomo gadają z aniołami?

Przeładował broń, schował magazynki i wsadził misia za pasek.

– Że mają nie po kolei we łbie. Idziesz?

Zeszli na dół po chybottliwych, skrzypiących schodach z połamaną poręczą, a potem jeszcze parę metrów przez zalany wodą korytarz. Na jego końcu były drzwi zbite z desek, zamknięte starą, pordzewiałą kłódką. Kłamca odbił ją kantem dłoni i wpuścił

przed sobą anioła.

Oczom Jeffersona ukazała się przestronna piwnica z betonową podłogą i ścianami oraz mnóstwem rur, z których zwisały pordzewiałe łańcuchy. W takim miejscu stowarzyszenie anonimowych psycholi mogłoby urządzać spotkania, było nawet gdzie postawić termosy z kawą i ciasteczka. Wystarczyło zdjąć srebrną paterę z cudownie zielonymi jabłkami.

Połowę pomieszczenia zajmowały worki, w których poupychane były... poduszki. Na oko kilka setek, może nawet więcej. Jefferson czuł bijącą od nich moc. Siłę, którą w całości podarowano jemu. Tak wiele, tak...

– Dobra, stary, nie odlatuj – uspokoił go Loki. – Nie zaprosiłem cię tu na fantomowe erekcje. Wyruszamy, żeby zaczerpnąć ze Źródła. Albo odnaleźć waszego szefa.

Pytanie tylko, jak ty to wszystko pobierasz do kupy w jakimś sensownym...

Oślepiający błysk i zwałający z nóg podmuch nastąpiły jednocześnie, a gdy Loki znów mógł otworzyć oczy, dostrzegł, że Jefferson nie ma już jednej pary skrzydeł, lecz kilkanaście – jedne zachodziły na drugie, przenikały się wzajemnie, stawały eteryczne.

Ale były tam i utrzymywały anioła kilka centymetrów nad ziemią.

– I jak się czujesz? – zapytał Kłamca, podnosząc się z ziemi.

Jefferson uśmiechnął się i otworzył oczy. Z nich też biło teraz światło.

– Znam...

– Kung-fu?

– To też – pokiwał głową anioł. – Teraz jednak miałem na myśli drogę do Źródła.

Loki otrzepał przybrudzone spodnie, sprawdził, czy nadal ma przy sobie Kłamczucha i pistolet. Dopiero upewniwszy się, że jest gotów, podszedł do Jeffersona i wyciągnął rękę.

– A więc zabierz mnie tam – polecił.

Jefferson objął Lokiego, a potem nastąpił kolejny rozbłysk.

Gdy zgasł, w pokoju zostały tylko worki, poszewki po poduszkach i jabłka na srebrnej paterze.

Gershwin Theatre

Knox był zen. Był niczym oaza spokoju pośrodku pustyni pełnej napieprzających się beduinów, okiem rozszalałego cyklonu, wielkim facetem w masce hokejowej i z maczetą na obozie pełnym rozhisteryzowanych nastolatków. Musiał taki być, musiał

zachować spokój, bo przedstawienie, które właśnie realizował, zapowiadało się na prawdziwą katastrofę. I wiele w tym było jego winy.

Przed wszystkim założył, że ma do czynienia z aktorami, więc zlecił im typowe zadanie znalezienia wspólnych bolączek z ich bohaterami. *Szukajcie bólu w sobie* – powiedział

– *a potem przelećcie go na postacie, niech noszą jego znamiona w duszach*. No i się zaczęło. Usiedli na publice i każdy zaczął opowiadać o swoich bolączkach, dramatach, problemach życiowych, przy których szalejąca Apokalipsa była jedynie chwilowym zawirowaniem. Mówili wszyscy, wszyscy oczekiwali posłuchu, ale nikt nie chciał słuchać.

A potem Mando znalazł na zapleczu skrzynkę szampana.

– Wy nic nie wiecie o prawdziwym cierpieniu – bełkotał Mando, gdy wszyscy inni sęczyli w milczeniu musujące wino z wielkich butelek. – Tylko ja potrafię wczuć się w swojego bohatera. Tylko ja go rozumiem.

– W sensie, że mentalnie jesteś gejem i dajesz dupy po parkach? – upewnił się Eros. – Nie żebym miał coś przeciwko, pytam tylko...

– Nie, ale ugryzł mnie zombie, więc wiem, co to zakażenie, grecki palancie!

– Ej, tylko bez takich.

Eros podniósł się z fotela, zamachnął butelką i tylko nadzwyczajny refleks Eryka powstrzymał rozlew krwi i szampana.

– Nie kłóćmy się, mamy coś do zrobienia – powiedział Szwed pojednawczo. – Jeżeli dla Mando ugryzienie zombie jest jak zarażenie się AIDS, to chyba dobrze, prawda?

Odnalazł w sobie to, o czym mówił pan Knox...

– Jedyne, co mógłby w sobie odnaleźć, to nadkruszony ząb żywego trupa – mruknął siedzący w kącie Elvis.

Był zły, bo jemu dostała się mała znacząca rola Anioła Europy, w dodatku z improwizowanym kostiumem bez skrzydeł.

– A przy okazji – dodał – widział ktoś gdzieś czarnego? Bo jestem strasznie ciekaw, jak on niby będzie grał Anioła Australii!

Na to z kolei obruszył się Bachus. On jako jedyny z całego grona nie pił, chcąc zachować pełną trzeźwość umysłu przed próbą. Uważał, że skoro mają tak mało czasu do premiery, powinien się poświęcić. Wielce bolało go, że inni, zwłaszcza Eros migdalący się teraz z Jenny – która wcale nie była pod jego urokiem, ale nie przeszkadzało jej to całować go po szyi i głaskać po torsie – nie postępują podobnie.

– Nie wiem, co ma kolor skóry do tego, jak ktoś gra. Widziałeś kiedyś Denzela Washingtona? Czarny jak węgiel, a mógłby być greckim bogiem.

– Ha, ha, chciałbyś, co? – zadrwił Eros, wyraźnie już wstawiony. – Mógłbyś wtedy...

Nie dokończył, gdyż nagle spadła na niego wielka czarna pięść.

– Nie chciałeś kończyć tego zdania, przyjacielu – powiedział Samedi, po czym sam zarobił od Jenny butelką w brzuch.

Mniej więcej wtedy rozpętała się regularna wojna, a Knox zaczął być zen. I trwał tak aż do pojawienia się Gabriela.

Archanioł pojawił się na środku sceny, przeciągnął i rozprostował skrzydła.

– Byłem właśnie w Grand Central i zapowiedziałem nasz spektakl, a także poleciłem, by jutro w samo południe pojawili się wszyscy mieszkańcy miasta i... Co tu się dzieje?

– Szukają na skali cierpienia punktów wspólnych ze swoimi bohaterami – odparł Knox, po czym sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej zwinięty w rulon skrypt. – Jak skończą, zrób na nich jedną z tych twoich sztuczek, niech się szybko nauczą tekstu, bo za godzinę zaczynamy próby. Aha, grasz Anioła Ameryki, a także Emily i bezdomną. Wczuj się i odpowiedz na pytanie, czy straciłeś ostatnio kogoś bliskiego.

– Tak, brata – odparł Gabriel bez chwili namysłu.

– Świetnie. – Knox uśmiechnął się smutno. – Więc albo to wykorzystaj, albo wyładuj się i rzuć w kogoś szampanem, jak wolisz. Ja idę szykować dekoracje.

U Źródła

– Trochę tu, kurwa, mgliście – mruknął Kłamca, gdy Jefferson poinformował go, że są na miejscu. – I nigdzie nie widzę tego twojego Źródła ani Boga. Wszędzie tylko... O, tam jest jakiś budynek. Czeka, czy tam ktoś siedzi? Hej, stary!

Zanim Jefferson zdążył odpowiedzieć, Kłamca gwałtownie wskazał przez siebie stronę, wymachując rękami. Zachowywał się jak amerykański turysta w... no w zasadzie wszędzie. Amerykańscy turyści w każdym miejscu zachowują się tak samo, jakby myśleli, że jedyne, czego potrzeba autochtonom, to uśmiech i rozmemłany angielski.

– Hej, hej! – wołał Kłamca. – Czy ty nie jesteś aby Bogiem? Albo jakimś tam... Jeff! Jak oni się, u diabła, nazywali?! Trony? Zwierzchności? Kurwa, nie pamiętam.

Wykrzykując na całe gardło, Loki cały czas parł do przodu, coraz bardziej zmniejszając dystans do siedzącej na kamieniu postaci. Aż w końcu udało mu się zwrócić jej uwagę.

W tym samym momencie wyteżający wzrok Jefferson zorientował się, z kim właściwie mają do czynienia.

– Loki, stój! – krzyknął, ale było już za późno.

Postawny anioł w ciemnej skórzanej kurtce pełnej zamków i ozdób podniósł się z kamienia i sięgnął po leżący na ziemi miecz. Zmrużył pozbawione źrenic oczy i czubkami palców musnął przerzucony przez ramię gruby, kruczoczarny warkocz. A potem uniósł miecz i zaczął kręcić nim młynka.

– KTO ŚMIE ZAKŁÓCAĆ SPOKÓJ ABADDONA, NISZCZYCIELA ŚWIATÓW? – zapytał głosem tak niskim i tubalnym, że lew Mufasa piszczał przy nim jak kociak. To był jeden z tych głosów, które do mózgu docierają przez stopy, wcześniej wprowadzając w drżenie każdy organ. – I JAK UDAŁO SIĘ WAM DOTRZEĆ TAK WYSOKO?

PRZECIEŻ TEN POZIOM TO ZDECYDOWANIE NIE WASZA LIG...

Huk trzech następujących po sobie wystrzałów zagłuszył resztę zdania. Potężny anioł zgiął się wpół jak uderzony młotem, chwilę jeszcze kołysał na drżących kolanach, a potem padł na ziemię, wprost w rosnącą kałużę krwi.

Loki schował broń i przestąpił nad zwłokami.

– Nienawidzę, gdy to robią – stwierdził. – Macha ci takim kindżałem, jakby w życiu „Indyana Jonesa” nie oglądał, a potem się, kurwa, dziwi...

Obejrzał się i dostrzegł, że Jefferson stoi z otwartymi ustami i miną wyrażającą bezkresne zdziwienie.

– Idziesz? – zapytał.

Anioł potrząsnął głową.

– Zabił Freya – szepnął, po czym powtórzył głośniejszym głosem: – Zabiłeś Fre... Loki, czy ty wiesz, kto to w ogóle był?!

Kłamca wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam. Nie znam się na mandze. Idziesz czy nie?
– Nie – odezwał się nagle głos z mgły.
Loki natychmiast wycelował w jego kierunku pistolet, ale nikogo tam nie było.
– Kim jesteś? – zapytał. – I co ważniejsze, gdzie?
– Teraz na pewno ci nie powiem, skoro tak strzelasz bez ostrzeżenia – odparł głos, wyraźnie rozbawiony. – Ale jestem tym, z którym chciałeś rozmawiać.
– Bogiem? Znaczy tym Bogiem?
Loki obejrzał się na Jeffersona, ale ten dosłownie zamarł w bezruchu. Tylko jego nadwyżkowe, eteryczne skrzydła poruszały się delikatnie, jakby na wietrze.
– Najbliżej, jak tylko możesz do niego dotrzeć – odparł głos. – Moje imię brzmi Metatron. Jestem Głosem Boga. Tego Boga.
Mgła rozrzedziła się w jednej chwili i Loki zorientował się, że stoi w przestronnej bibliotece, jednej z tych, o których marzą wszystkie uniwersytety – z dywanem na podłodze, rzeźbionymi poręczami schodów i regałami tak wysokimi, że zdawały się nie mieć końca.
– Te rzeczywiście nie mają końca – odezwał się znowu głos, tym razem tuż za plecami Kłamcy.
Loki obejrzał się i wtedy go dostrzegł. Wysoki mężczyzna o zniszczonej, pociągłej twarzy, włosy zaczesane na bok, ale też trochę rozwichrzone, marynarka, pod nią bluza z kapturem, jeansy. Wyglądał jak...
– Alan Rickman? – zdziwił się Loki.
Tamten potrząsnął głową i roześmiał się wesoło.
– Już ci powiedziałem, kim jestem – odparł. – Teraz dodaj sobie do tego jeszcze fana „Dogmy”. Bóg zresztą też uwielbia ten film. Tam gdzieś stoi nawet wersja rozszerzona z alternatywnego wszechświata, gdzie ludzie nie są takimi hipokrytami.
Wskazał ręką w stronę jednego z regałów, gdzie stały rządkiem płyty DVD z filmami na literę D.
– Co to za miejsce? – zapytał Kłamca.
Metatron wskazał mu stojące w pobliżu krzesło, sam usiadł na drugim i założył nogę na nogę.
– Mój drogi, to wszystko wokoło jest Bóg. Tyle tylko, że bez Boga, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.
– Nie. – Loki pokręcił głową. – Z religijnych pierdół wchodziły mi do głowy tylko te związane z seksem, a i to nie zawsze właściwie. Bełkot w stylu: *Jest, który jest, ale nie jest* jakoś nigdy do mnie nie docierał.
Głos Boga odchylił głowę do tyłu i z miejsca stał się Rubasznym Śmiechem Boga, potem Jego Chichotem, wreszcie tylko cichym Posapywaniem.
– Naprawdę jesteś świetny – stwierdził w końcu. – *Bełkot: Jestem, który jestem*, a to dobre.
Otarł łzę z policzka i wziął głęboki oddech, zanim podjął przerwany wątek.
– Gdy Bóg chce do kogoś przemówić, zwykle nie fatyguje do tego mnie, tylko używa tych zbiorów. Są tu wszystkie książki ze wszystkich światów. Wszystkie opowieści, a więc i wszystkie możliwe kombinacje zdań, jakich można użyć. Bóg kryje się w tych zdaniach, w wypowiedziach filmowych postaci, w głupich rockowych balladach. I zwykle, gdy chcesz z nim rozmawiać, musisz się uzbroić w cierpliwość.
– Chcesz mi powiedzieć – upewnił się Kłamca – że mam fart, bo gadam z tobą? Jeśli tak, dziękuję ci, Pop Boże. Tylko nie odpowiadaj mi teraz kawałkiem z „Ojca chrzestnego”, dobra?
Metatron znowu się roześmiał.
– Bóg już nigdy nie odpowie, bo nie zamierza wracać – wyjaśnił. – Ani teraz, ani w przyszłości. W żadnej z przyszłości. Uważa, że należy zostawić wreszcie ziemię ludziom.
– No to w porę się spostrzegł. – Kłamca sięgnął do kieszeni po ostatnią już wykałaczkę.
Wsunął ją do ust. – Trochę tam teraz pustawo. Jeżeli miałbym rzucić jakąś liczbą, powiedziałbym, że świadkowie Jehowy ze swoimi sto ileś tysiącami niewiele się pomylili.
Metatron wstał, poprawił marynarkę i ruszył wzdłuż regałów. Zatrzymał się przy jednym z nich, musnął palcami grzbiet opasłego woluminu, po czym zaczął zrzucać książki z półki. Koran, Biblia, Tybetańska Księga Umarłych – spadały jedna na drugą z głośnym łoskotem, który niósł się echem po nieskończenie wielkiej bibliotece.

– To od początku miało wyglądać inaczej – powiedział. – Bóg nie chciał dawać ludziom wiary, nie chciał mówić o sobie. *Poradz sobie – mówił – wystarczy dać im swobodę, wolną wolę i czasem podrzucić jakieś narzędzie czy ideę. Jak ogień chociażby, koło...*

– Seks oralny – dorzucił Kłamacz. – Tak, łapię. Kontynuuj.

– Rzecz w tym, że jak przysłało na pełnego trosk rodzica, Bóg nie potrafił się nie wtrącać i nawet wtedy, gdy odchodził, zostawił aniołom specjalne polecenia, które...

Znasz je zresztą dobrze, Loki. To dzięki nim przeżyłeś, okazałeś się przydatny Michałowi. Tak czy owak, Bóg zostawił wytyczne aniołom, anioły zaczęły mówić ludziom o Bogu, a ci, jako istoty o wąskich umysłach, ale przecież z częstką boskości w duszy, zaczęli tworzyć echa Boga. Jego mniej udane kopie.

Głos Boga przerwał na chwilę, przykucnął i przyjrzał się zrzucenym na ziemię księżkom.

Następnie wstał, przestąpił nad nimi i wrócił na swoje miejsce.

– Wybacz teatralność tego gestu – powiedział, wskazując na książkowy stosik. – Czasem nie mogę się powstrzymać.

– Spokojnie – Loki machnął ręką – też tak czasem mam. Co z tymi kopiami?

– Są jak plotka – wyjaśnił Metatron, znowu zakładając nogę na nogę. – Ty mówisz komuś o rajskiej jabłoni, on wyobraża ją sobie inaczej, ale wierzy ci, więc wierzy w tę swoją jabłoń, myśląc, że jest twoja. I tak z jego wiary i z boskiej części tworzy się druga jabłoń. Potem trzecia, czwarta, aż wreszcie każda religia ma własną. Podobnie jest z bogami i boginiami. Prorokami i... oszustami, jak ty. Śniłeś kiedyś sny Lucyfera?

Loki przypomniał sobie te wszystkie niezrozumiałe wizje, których doświadczył ostatnimi czasy. Tablice z imionami demonów, maszerujące wojska golasów i wszystkie inne, których teraz nie potrafił odszukać w pamięci, ale był pewien, że miały miejsce.

– Tak, to znaczy tak mi się wydaje – odparł.

Metatron pokiwał głową.

– No właśnie. Jesteś jego echem, to dlatego. Choć ty akurat jesteś czymś więcej i dlatego się tu znalazłeś.

Dostrzegłszy zdziwienie na twarzy Lokiego, Metatron znowu się roześmiał.

– No chyba nie myślałeś, że sam dałeś radę dotrzeć tak daleko?

Biblioteka Boga

Byc może była to zasługa głosu i prezencji Alana Rickmana – choć pewnie większe znaczenie miała jednak trwająca eony praktyka jako Głos Boga – ale Metatrona słuchało się z prawdziwą przyjemnością. Gdy więc ten zadeklarował się, że w kilku słowach wyjaśni Lokiemu, o co tak naprawdę chodzi w boskim planie, Kłamca natychmiast rozsiadł się w fotelu.

Metatron wbił głowę w miękki zagłówek, splótł ręce na brzuchu i zaczął opowieść: – Wyobraź sobie wioskę pełną pracowitych ludzi – powiedział. – Takich, którzy choć pochodzą z dalekiej Północy, zbierają tylko to, co zasieją, kują więcej lemiesz i podków niż mieczy, a wypływają wyłącznie, by łowić ryby. Kto jak kto, ale ty wiesz dobrze, Loki, że takich wiosek było kiedyś wiele. Wszystkie one składały ofiary bogom, oddawały część swych upraw jarlom i ich drużynom i cieszyły się życiem, choć było trudne.

Kłamca pokiwał głową.

– Tak, mam to. Wczesny „Thorgal”. Co to ma ze mną wspólnego?

– Pochodzisz z jednej z takich wiosek, Loki – wyjaśnił Metatron. – Twoja matka była córką kowala zgwałconą gdzieś na ścieżce i porzuconą na pewną śmierć. Ona jednak przeżyła, a ojciec przyjął ją pod swój dach, by wraz z nią przyglądać się puchnącej w niej hańbie. Mieszkańcy wioski chcieli cię najpierw spędzić, potem zabić, z chwilą gdy przyjdiesz na świat. Coś jednak miałeś w sobie, jakaś siła, nieznaną, bo na pewno nie był to ani Bóg, ani jego aniołowie, czuwała nad tobą. Pozwolono ci żyć, a nawet, gdy podrosłeś, uczyć się na kowala. Tyle że ty nie byłeś zwykłym dzieckiem, bo... Co cię tak bawi, Kłamco?

Loki potrzebował chwili, zanim uspokoił się na tyle, żeby odpowiedzieć.

– Naprawdę? Naprawdę musisz pytać? Przecież to, co mówisz, to całkowite i totalne bzdury. Ja nie jestem i nigdy nie byłem...

– Człowiekiem? – Metatron uśmiechnął się krzywo. – Ależ byłeś, Kłamco. W dodatku, wybaczone, proszę, słownictwo, prawdziwym małym dupkiem. Co oczywiście do pewnego stopnia i momentu było nawet na swój sposób urocze i zabawne. Gdy każdemu w wiosce robiłeś psikusy, a swoich niezwykłych talentów kowalskich używałeś, by konstruować kolejne pułapki i żarty, a także sztuczki. Byłeś człowiekiem, ale ponad wszystko wyprzedzałeś swoje czasy. Gdy miałeś gest i wolną chwilę, próbowałeś stworzyć maszynę latającą, niegasnącą lampę, a nawet wodociąg. Przede wszystkim jednak drwiłeś i kpiłeś z tych, którzy patrzyli na ciebie krzywo. Czyli wszystkich prócz matki i dziadka. Aż pewnego dnia w wiosce zjawił się wędrowny mędrzec, a z nim prześliczna dziewczyna.

– W której się oczywiście zakochałem, ona zraniła moje serce, a ja zapragnąłem pokazać jej, jak mogę być potężny. I tak zostałem bogiem. – Kłamca zmienił zdanie.

Jednak szkoda mu było czasu na te bzdury. – Metatronie, rozumiem, że siedzisz tu już trochę długo i miesza ci się we łbie „Eryk wiking” z „Sagą o ludziach lodu”, ale ja naprawdę przyszedłem tu po pomoc w związku z pierdolnikiem, który toczy się na ziemi, i...

– Zabiłeś ją – Głos Boga niewzruszony tyradą mówił dalej swoje. – Zafascynowany słowami starca zrobiłeś dziewczynie to, co kiedyś zrobiono twojej matce, a potem spaliłeś całą wioskę i uleciałeś w swej latającej maszynie, unosząc starca ze sobą. Ci, którzy uszli z życiem, mówili, że leciałeś na skrzydlatym wężu o płonącym ogonie.

Mówili też, że śmiałeś się potępieńczo, a starzec śmiał się wraz z tobą.

Loki westchnął.

– No dobra, bo, widzę, nie skończymy tego inaczej – powiedział. – Kim był ten starzec?

– Nie mam pojęcia. Świrem, jakich pełno jest, było i będzie – odparł Metatron. – Pewnej nocy dźgnął cię nożem, bo chciał z ciebie wykroić twojego ducha. Uciekłeś, ale on śmiał

się tak głośno, że uwierzyłeś, iż naprawdę czegoś cię pozbawił. A skoro uwierzyłeś, to tak się właśnie stało. Twoja brudna, splamiona krwią niewinnych dusza została wraz ze starcem, ty pognałeś swoją drogą. A innymi ścieżkami, traktami i drogami szła twoja legenda. Ludzie mówili o tobie, o oszustwach i trikach, ale i o tym, że gdy zwrócić się do ciebie o pomoc, pomożesz. Że chętnie stajesz do pojedynków w obronie słabszych, ot tak, dla zabawy i by ośmieszyć tych wielkich. A z każdą taką opowieścią, z każdą niezwykłą historią na twój temat ty stawiałeś się silniejszy, szybszy, bardziej niezwykły.

Aż pewnego dnia obudziłeś się, wierząc, że od zawsze byłeś olbrzymem zrodzonym z płomienia. I w pewnym sensie tak było. Bo prawda nie ma znaczenia wobec wiary.

Wiara działa wstecz i zmienia przeszłość. Dopasowuje ją do siebie. Tak stałeś się Lokim, kalką pierwszego oszusta, Lucyfera. I byłeś nim aż do dnia, gdy Bóg podsunął ci pod nos twoją zagubioną duszę.

Loki poderwał głowę opartą na łokciu.

– Że co mi podsunął? – zdziwił się.

Metatron wskazał brodą na misia za jego paskiem.

– Twoją zagubioną duszę, Kłamco. Brakujący kawałek ciebie i ostateczne potwierdzenie, że jesteś, czy raczej byłeś, człowiekiem. Prawdziwą duszę w przeciwieństwie do tych podpisanych krwią świstków, które zabierałeś od ludzi na wszelki wypadek.

Loki przyłożył dłonie do twarzy i przez chwilę masował końcówkami palców oczodoły. W końcu cofnął ręce, oparł się wygodnie i podjął spokojnym tonem: – Pozwól, że podsumuję. Urodziłem się jako człowiek, ale byłem cwany chujem, więc jak przyjeźli kapłani i zaczęli mówić, że jest taki jeden oszust i kłamca, to powiedzieli: *Tak, znam, to bękart córki kowala, ma fryzurę, jakby mu się na łbie paliło ognisko.* A że po drodze jakiś stary zbok chciał mnie dźgnąć i uznałem, że wyciął mi ducha, czy też duszę, to stałem się podatny na boskość. I przez to właśnie stałem się kalką gościa, który wygląda jak Justin Bieber i podbija świat przy użyciu bandy golasów?

– Mniej więcej – potwierdził Metatron.

– Aha. – Loki pokiwał głową. – To jeszcze tylko jedno pytanie. Jest jakaś szansa, że zamiast z Głosem Boga pogadam z Jego... bo ja wiem? Jebaną piątą klepką?!

– To znaczy, że mi nie wierzysz, tak? – upewnił się jeszcze gospodarz.

– No jak na to wpadłeś, Sherlocku?! To przecież...

– W takim razie weź do ręki misia i popatrz mu w oczy.

– Ale...

– Tylko przez chwilę – Metatron nie dał mu dokończyć. – A potem przejdziemy do następnego tematu.

Loki pokręcił głową, ale wyjął pluszaka zza paska i spojrzał mu w oczy. I wtedy go uderzyło. Wszystkie te historie i obrazy, o których przed chwilą słyszał, teraz wracały do niego jak odzyskane wspomnienia. Matka patrząca na niego, blask ognia i cienie tańczące na jej twarzy, dziadek kowal, wielki i kudłaty jak skała porośnięta mchem.

Mieszkańcy wioski patrzący na niego jak na ścierwo, potem starzec i ta dziewczyna, piękna i skromna, z oczami wiecznie wpatrzonymi w ziemię. Milczała, nawet gdy się w nią wbijał, dysząc, raz za razem, westchnęła tylko, gdy przebił jej serce dziadkowym nożem...

Potem były setki, tysiące obrazów, których nie mógł pamiętać, bo dusza rejestrowała je sama, unosząc się poza ciałem czy przechodząc z przedmiotu do przedmiotu. Wreszcie pojawiły się te wizje, w których widział z zewnątrz już siebie samego. Podczas Wigilii ze Światowidem i rodziną Dorków i później – Kłamczuch był wszak niemyym świadkiem tak wielu jego misji, tak wielu wydarzeń...

Aż wreszcie wspomnienia dotarły do chwili obecnej, a Loki poczuł, że kręci mu się w głowie. Coś załaskotało go pod nosem, a gdy się podrapał, na palcu została krew.

Bezwładnie osunął się plecami na oparcie i zapadł w fotelu.

– Teraz mi wierzysz? – zapytał Metatron.

Choć stał tuż nad Lokim, jego głos brzmiał, jakby dobiegał z bardzo, bardzo daleka.

– Wierzę – wyszeptał Kłamca.

– To dobrze, bo powoli czas, byś wypełnił swoje zadanie. Bóg chce bowiem, żebyś wypełnił dla niego misję jako jeden z jego proroków. Spraw, by ludzie... przestali wierzyć.

– Ale jak? Dlaczego?

Kłamca nie miał siły, by rozwinąć ten temat. Wszystko go bolało. Czuł się słaby, łeb mu pękał, a oczy same się zamykały. Chciał spać. Gdyby to było możliwe, nawet na wieki.

– Mówiłem ci już. – Metatron przykucnęła i pogłaskała Lokiego po twarzy. – To nie jest wolność, gdy dyszysz komuś w kark. To nie wychowanie, gdy chcesz, by twoje dziecko było jak ty. Ludzie poradzą sobie lepiej bez Boga, bez aniołów i bożków z własnej wyobraźni. Albo nie, ale zrobią to po swojemu, od początku do końca. I ty zapewnisz im ten właśnie nowy start.

Metatron wstał, odszedł na kilka kroków, a gdy ponownie się odwrócił, biblioteka zaczęła wypełniać się mgłą. Gdzieś tam, pośród kłębów, mignęła Lokiemu sylwetka Jeffersona i ciało Abaddona w kałuży krwi. A potem mgła znowu zaczęła rzednąć, ukazując wnętrze betonowej piwnicy.

– I nie, nie pytaj mnie, jak... – mówił dalej Metatron. – Wierzę, że zostałeś wybrany nie bez powodu. Masz zresztą wszystko, czego potrzebujesz, by tego dokonać. Pamiętasz opowieść o tym, jak Abraham targował się z Michałem w sprawie Sodomy i Gomory?

Bóg dał wyraźne wytyczne, że liczy się dla niego nie ilość, ale jakość.

Kłamca chciał jeszcze o coś spytać, ale Metatrona już nie było. Zamiast niego tuż obok pojawił się znieruchomiwały Jefferson, a ogromna widmowa ręka znikąd kończyła pisanie zdania: *Być może dla świata jesteś tylko człowiekiem, ale dla niektórych ludzi jesteś całym światem.*

A potem cały świat pogrążył się w ciemności.

Obudził się przemarznięty jak nigdy, zeszywniały tak, że każdy ruch sprawiał mu niebywały wręcz ból. Mimo to zmusił się, by usiąść i rozejrzeć się dookoła. Dostrzegł

napis na ścianie, poszewki poduszek, stolik, a na nim paterę z jabłkami. Zauważył też, że ku kratce ściekowej na środku pomieszczenia sływa ciemna strużka.

– Krew – mruknął. – Jeff...

Przerwał i odkaslnął.

– Jefferson? – powtórzył.

– Tu jestem, *amigo* – odezwał się anioł z ciemnego kąta. – Sorry, ale nie będę nosił tych pamiątek od ciebie. Bycie tak potężnym trochę uwiera zwykłego dzielnicowego anioła.

– Spoko.

Loki spróbował wstać, ale pierwsza próba uzmysłowiła mu, że nie powinien się specjalnie spieszyć. Dał więc sobie spokój jeszcze na chwilę.

– Musimy wrócić na dworzec, wiesz?

– O, dowiedziałeś się czegoś.

Anioł cisnął na środek pomieszczenia skrwawioną parę skrzydeł. I kolejną. I jeszcze jedną...

– Z kim rozmawiałeś? – spytał.

– Taki jeden. – Kłamca machnął ręką. – Przypominał pewnego aktora... Nieważne.

Dasz radę mnie tam podrzucić czy muszę brać motor?

– Motor będzie chyba bezpieczniejszy. Nie czuję się najlepiej.

Jefferson wyszedł z cienia. Jego włosy nie były już zielone, tylko białe, podobnie jak brwi. Z oczu nie zeszło jeszcze bielmo, a skrzydeł wciąż miał więcej, niż mieściło się w jednym wymiarze.

– Powiedz mi, proszę, że masz plan, jak to wszystko ogarnąć.

– Mam – skłamał Loki.

Na razie miał tylko bardzo luźny pomysł. No i jabłka.

Grand Central Station

– Mamo, mamo, a kiedy wróci anioł? – zapytała mała Susie Floyd.

Najwyraźniej miała dość leżenia w kącie, w kłębówisku markowych płaszczy. Trudno się było jej dziwić – mała nie dorosła jeszcze do snobizmu i wciąż nad metkę przedkładała jednak wygodę.

– Niedługo, maleńka – odparła jej matka, drobna blondynka o krótkich włosach i zmęczonych oczach. –

Na pewno wyszedł tylko na chwilę i zaraz wróci, żeby rozdzielić jedzenie. Bo to już czas śniadania, prawda?

Właściwie to zbliżała się już pora lunchu, a Jefferson jak zniknął wczoraj, tak nie wrócił ani na kolację,

ani na noc. Nie odebrał raportów od patroli, nie życzył dobrej nocy tym, którzy spać szli do własnych domów. Nie zjawiał się też, by w małym namiotowym miasteczku na peronie poczytać dzieciom bajki na dobranoc. To właśnie za to Susie lubiła go najbardziej i dlatego tak za nim tęskniła. Za te bajki.

Susie i jej matki nie było na dworcu wczoraj, gdy pojawił się ten cały Loki – były wtedy wraz z wieloma innymi rodzinami w kąciku dziecięcym pobliskiego centrum handlowego – ale od swych nowych znajomych dość dokładnie poznała przebieg wydarzeń.

Widziała też na ekranach to cudowne dziecko biznesu twierdzące teraz, że jest diabłem wcielonym i przynosi nowy porządek, a jedyne, czego chce od ludzi, to jakiś znajomy Jeffersona.

Anioł uciekł, by chronić kumpla, a poprostu Teddy raz po raz pojawiał się na ekranach i ponawiał żądanie. Szybkie dwa dodane do dwóch utwierdziło Kathy Floyd w przekonaniu, że właśnie okłamała córkę.

– Ale co się z nim stało, że nie przychodzi, mamó? – dopytywała Susie. – Zabrał go ten zły chłopak z telewizora?

Całkiem możliwe – pomyślała Kathy i przejechała ręką po zmęczonej twarzy. *Tylko się uśmiechnij, tylko się uśmiechnij. Nie pozwól, żeby...*

– Nikt go nie zabrał, mała – rozległ się męski głos z wyraźnym, szorstkim akcentem.

Rosjanin? Może Polak?

Spojrzała w dół i dostrzegła, że przy jej córce kuca teraz elegancko ubrany, szeroko uśmiechnięty mężczyzna. Ręce trzymał oparte na kolanach, pięty nie dotykały ziemi; balansował tylko na palcach, znakomicie utrzymując równowagę.

– Czasami w powietrzu pojawiają się wiry – mówił dalej – i jak latasz, musisz uważać, bo zakręci tobą o tak.

Zakręcił palcem wskazującym koło skroni, co niezwykle rozbawiło dziewczynkę.

– Mamó, pan pokazuje fizia – zawołała Susie.

– Widzę, kochanie. I bardzo mu za to dziękujemy, prawda?

Mężczyzna wyprostował się i odwrócił do Kathy.

– Proszę wybaczyć, że tak się wtrąciłem – powiedział, wyciągając rękę. – Ale akurat trochę siedzę w biznesie lotniczym, to mogę co nieco wyjaśnić. Robert Polkowski.

– Kathrine Floyd. – Ucisnęła wyciągniętą dłoń. – Nie widziałam pana wcześniej, ale bardzo dziękuję za pomoc. Wie pan, mała...

– Nie jestem mała! – oburzyła się Susie.

– Chciałam powiedzieć: Susie – uśmiechnęła się Kathy. Miała naprawdę piękny uśmiech. – Susie zaskakująco łatwo przystosowała się do tego wszystkiego, ale od wczoraj nigdzie nie wychodzimy, bo najpierw zniknął anioł Jefferson, a potem te komunikaty, kamery pokazujące nagich ludzi...

– Tak – zgodził się Polkowski. – Nowy Jork nie jest już taki sam, odkąd zapanowała moda na nagość i głodówkę.

Oboje wybuchnęli śmiechem, zwracając na siebie uwagę ludzi wokół. Wciąż obcych dla Kathy, choć niektóre twarze nauczyła się już rozpoznawać. Byli wśród nich ludzie życzliwi, ale i prawdziwe świnię, które gdyby mogły, natychmiast wykorzystałyby jej złą sytuację. Wcześniej czuwał nad nimi anioł, ale teraz... Teraz samotna matka potrzebowała szybko znaleźć nowego opiekuna. Robert Polkowski sprawiał wrażenie, jakby nadawał się w sam raz. Było w nim coś szlachetnego.

Zaraz zresztą potwierdził owo coś swoimi słowami.

– Podobno w przejściu jest jeszcze jeden działający automat z kawą – powiedział. – Jeżeli pani sobie życzy, mogę przynieść.

– Mów mi Kathy – odparła z uśmiechem. – I chyba pójdziemy po prostu z tobą, co ty na to, Susie?

– Tak – zgodziła się dziewczynka. – Lubię go, pokazuje fizia. Znaczy jest spoko.

Podniosła się i ujęła mamę za rękę.

Razem ruszyli przez halę, uważając, by nie nastąpić na niczyją nogę czy płaszcz od Burberry. Albo nie przewrócić iPada opartego o przytuszczony skądś śmietnik. Cały dworzec wyglądał teraz jak hipsterskie wyobrażenie bezdomności albo reaktywowany Monty Python z gościnnym flash mobem.

– Zastanawiam się, czy to wszystko jeszcze długo... – zaczęła Kathy, ale nie było jej dane dokończyć. Nagle bowiem rozległ się huk wystrzału, a zaraz potem na barierkę schodów wskoczył Lucyfer w towarzystwie nagich osiłków.

– Zawsze chciałem to zrobić! – powiedział, wznosząc ku niebu dymiący z lufy winchester. – Jak w westernach!

Nikt mu nie odpowiedział, nikt nawet się nie poruszył prócz kilku matek przytulających do piersi wystraszone dzieci.

– Ech – westchnął Lucyfer. – To nie jest już takie fajne, gdy wszyscy się mnie boją. A ja naprawdę nie jestem taki straszny, jak się mnie maluje. Wpadłem tu tylko zapytać, czemu jeszcze nie jesteście na przedstawieniu? Przecież mój braciszek Gabriel tak się stara, zapowiada, nakręca... Zróbmy mu wszyscy niespodziankę! Czy nie wystarczy, że opuścił go Bóg? Że oszalał i na Apokalipsę odpowiada mi przedstawieniem? To, cholera, tak romantyczne, że Szekspir mógłby się uczyć. Poza tym są uświęcone tradycje tego miasta i przedstawienia na cholernym Broadwayu są równie ważne jak pobicia w Bronksie!

Powiódł wzrokiem po zebranych, a gdy dostrzegł, że nadal wszyscy siedzą na swoich miejscach, zarepetował i uniósł strzelbę. Huknął kolejny strzał, a pocisk odbił się rykoszetem od widniejących na sklepieniu znaków zodiaku. Dopiero to pobudziło ludzi do ruchu.

– No, od razu lepiej! – zawołał Lucyfer. – Zobaczycie, będzie fajnie jak na paradzie! Już wam przygotowałem szpaler. Pod sam Gershwin Theatre!

To powiedziawszy, zeskoczył z barierki i podszedł do pierwszego z brzegu dziecka. Tak się złożyło, że była to mała Susie Floyd.

– Cześć, Susie – powiedział, wyciągając do niej rękę.

Dziewczynka jednak natychmiast schowała się za mamę. Lucyfer pokręcił głową.

– Pewnie ma żal, że nigdy nie było mnie pod jej łóżkiem, gdy sprawdzała – stwierdził. – Cóż jednak mogę poradzić na to, że wolałem siedzieć pod twoim, Kathy? W nim zawsze więcej się działo, a ja, wiesz, jestem nastolatkiem, ta burza hormon...

Mocny cios pięścią trafił go w twarz i powalił na ziemię. Lucyfer potarł obolałe miejsce i się roześmiał.

– No dobra, masz rację, Robercie. Przegiąłem i należało mi się – powiedział.

Wstał, podniósł winchester, po czym zarepetował go zgrabnym ruchem.

– To co? Widzimy się na przedstawieniu?

I nie czekając na odpowiedź, ruszył pod prąd rzeki wychodzących w stronę tronu Jeffersona.

W baku motocykla zabrakło paliwa, gdy byli jeszcze kilka przecznic od dworca, więc resztę drogi zmuszeni byli pokonać na piechotę. Kłamca nawet się z tego cieszył, gdyż dzięki temu zyskał dodatkową chwilę, by wymyślić przekłętą plan, znaleźć sposób na przekonanie ludzi...

No właśnie, do czego? Że nigdy nie było żadnego Boga, żadnych mitycznych, diabłów czy aniołów? Że golasy biegające w Nowym Jorku to happening, a wszystkie zniszczenia to projekt rządowy? Im głębiej w to wchodził, tym głośniejsze mu się wydawało.

Przecież właśnie z tego drwił, gdy widział „Mgłę” według Kinga. Zakończenie – łzawe i co gorsza, głupie – zapiekło go wtedy w mózg. Myśl, że miał teraz to samo zafundować mieszkańcom Nowego Jorku, godziła w jego dumę oszusta.

No ale czego się nie robi, by finalnie być górą? Jak to kiedyś sam powiedział, nie musi wygrać, żeby być zwycięzcą. Ważne, żeby inni przegrali.

– Kto ma przegrać, Loki? – odezwał się idący obok Jefferson.

Loki zaklął pod nosem. Zupełnie zapomniał, że skrzydlaci, gdy chcą, mogą czytać w myślach.

– Lucyfer oczywiście – odparł. – I inni mityczni. To właśnie powiedział mi Metatron.

Musimy sprawić, by ludzie przestali w nich wierzyć, a wtedy wygramy.

– Przestali wierzyć w diabła? – Anioł kopnął leżącą na ziemi puszkę coli. – Ale czy nie o to przez cały czas chodziło Lucyferowi? Czy nie byłby to wtedy jego największy sukces?

Loki wzruszył ramionami.

– Wiesz, ja się tam nie znam, ale jak dla mnie Apokalipsa i tak trochę to przebiła – odparł. – A poza tym, skoro tak mówi Metatron, to... Ty, co tam robi ta limo?

Wyłonili się właśnie zza budynku i ich oczom ukazał się terminal Grand Central, a przed nim zaparkowana długa czarna limuzyna. Nietrudno było się domyślić, skąd nadjechała – wszystkie samochody na lewo od wejścia były rozsunięte na boki, a między nimi było akurat dość miejsca, by przejechać czarnym lincolnem.

– Oho, mam wrażenie, że na stacji nie będzie już twoich owieczek – mruknął Kłamca.

Jefferson przymknął oczy na chwilę, po czym otworzył je i potrząsnął głową.

– Rzeczywiście, nie ma ich tam – potwierdził. – A to znaczy, że i my nie musimy tam wcho... Co tam jest na drzwiach? To czerwone? Czy to...

– To znak, że ktoś tam na mnie czeka – odparł Loki.

Podał Jeffersonowi swój plecak wypełniony teraz jabłkami ze srebrnej patery.

– Poczekaj tu, bo do środka i tak nie wejdziesz. Jak nie wrócę za pół godziny, to... to lepiej uciekaj, bo będzie to znak, że się z nim dogadałem.

Lucyfer siedział na tronie z kątowników i sklejki i grał w coś na podniesionym z ziemi tablecie. Gdy Loki wszedł, akurat cofał gwałtownie palec od ekranu.

– Cholera, zbyt wolno – mruknął.

– Serio? – zadrwił Kłamca. – Mnie wyglądasz na takiego, który ma dokładnie odwrotny problem.

Gwiazda Zaranna pokiwał głową, wciąż jednak wpatrywał się w ekran. Ponownie przyłożył do niego palec.

– Jestem aniołem, Loki – powiedział. – To znaczy byłem, ale zapewniam cię, że akurat tam nic ci nie wyrasta, gdy przechodzisz na ciemną stronę mocy. Musisz uważniej celować ze swoimi żartami, jeżeli mają być zabawne.

Ponownie cofnął palec i syknąwszy z dezaprobatą, odrzucił tablet gdzieś na bok.

– Gilotynka – wyjaśnił, wreszcie unosząc wzrok. – Nigdy nie byłem w nią dobry.

Loki powoli zszedł po schodach, gotów w razie czego szybko sięgnąć po broń. Starał się jednak, by jego twarz wyrażała spokój i opanowanie. Miał do tego talent, nawet bez iluzji, która, jak sądził, raczej by się tutaj nie sprawdziła.

– Gdzie się podziiali wszyscy? – zapytał, przestępując nad przewróconym dziecięcym wózkiem z gondolą, obtłuczonym tak, jakby właśnie zjechał tam z samej góry schodów.

– Wiesz, jeżeli wysłałeś ich wszystkich do Pieła, rozumiem. To w końcu Nowy Jork, ale...

– Gorzej, wysłałem ich na Broadway. Na przedstawienie Gabriela.

– Gabriel jest w mieście? – zdziwił się Kłamca.

– Nie wiedziałeś? Byłem pewien, że robicie to razem, zwłaszcza że nad projektem czuwa twój znajomy reżyser.

Lucyfer wstał z tronu i ruszył w stronę Lokiego. W ogóle nie patrzył pod nogi, a mimo to ani razu się nie zachwiał, ani razu nie nadepnął na nic, co pękłoby pod jego stopą.

Szedł prosto i stabilnie, jakby sunął po posadzce.

– Masz na myśli tego całego Knoksa? – zapytał Kłamca.

Nie znał zbyt wielu reżyserów teatralnych, ten jeden natomiast szczególnie zapadł mu w pamięć. Lucyfer potwierdził jego podejrzenie.

– Tak – powiedział. – Nieźle go wtedy załatwiliście. I mnie przy okazji, bo płaciłem za ten spektakl. Ale dobrze było przegrać z kimś w takim stylu. Mam nadzieję, że choć troszkę się odgryzłem, gdy wysłałem cię za moim bękartem na drugą stronę tęczy.

– Trochę – przyznał Kłamca. – Parę razy mało nie zginąłem.

– Nie ukrywam, na to liczyłem. – Lucyfer rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: *Bywa*.

Odległość między nimi zmniejszała się z każdą chwilą.

– Tak czy owak, mój biedny braciszek ubzdurał sobie, że rozmawiał z Bogiem i że tenże Bóg każe mu wystawić „Anioły w Ameryce”. Ale przecież obaj wiemy, że Boga z nami nie ma, prawda?

Przechylił głowę jak zaciekawiony ptak, z uwagą przyglądając się Lokiemu. Ten jednak uśmiechnął się tylko półgębkiem.

– Och, obaj to wiemy, że nawet gdybym coś na ten temat wiedział, nie wyczytałbyś tego z mojej

twarzy, a wątpię, byś na taką odległość mógł mi czytać w myślach. Gdzie właściwie teraz jesteś? Tak w sensie fizycznie?

– Jak to gdzie? – zdziwił się Lucyfer. – W Gershwin Theatre. Przecież nie mógłbym opuścić przedstawienia mojego brata! Swoją drogą, zajrzałem za kulisy. Ty też masz sporo znajomych w obsadzie. Jest tam nawet... Albo nie, nie będę psuł niespodzianki.

To co? Wpadniesz? Trzymam ci miejsce w łoży.

Loki podrapał się po głowie. *Knox? Przedstawienie? Znajomi?* To wszystko brzmiało jak dawno zagrany szlagier, ale mogło się udać. Gdyby jeszcze tylko...

– A, jeszcze jedno – powiedział Lucyfer. – Nie daj się zwieść plakatom. W gablotach wiszą zapowiedzi musicalu dla dzieciaków „Scooby Doo i Anioł Zagłądy”.

Tak! To był właśnie brakujący trybik, którego Loki potrzebował, by maszyna w jego głowie ruszyła. Od razu na pełnych obrotach.

– Będę – zapewnił, odwracając się na pięcie.

Zrobił dwa kroki, po czym obrócił się ponownie, tym razem już z pistoletem w ręce.

Strzelił dwa razy, a kule przeniknęły przez Lucyfera i odbiły się rykoszetem od ściany.

– Sorry. – Kłamca uśmiechnął się głupio. – Gdybym nie spróbował, czułbym się jak idiota.

– Rozumiem. – Lucyfer odpowiedział uśmiechem. – Ja też bym mimo wszystko próbował. To jak, widzimy się za chwilę?

– Tak jest. Za chwilę.

Kłamca wbiegł po schodach, wyszedł z dworca i truchtem przebiegł na drugą stronę ulicy.

– Są na Broadwayu – powiedział do Jeffersona. – Wszyscy, twoje owieczki, Lucyfer, a pewnie i stado golasów. Gabriel wystawia tam dziś swoje przedstawienie.

– Przedstawienie? – zdziwił się anioł, zaraz jednak machnął ręką. – Nieważne.

Powinniśmy tam pójść?

– Owszem – zgodził się Loki. – Ale chyba nie będziemy się przebierać.

Gershwin Theatre

Wszystko było już gotowe, cała obsada siedziała w jednej garderobie jak na szpilkach i w napięciu wyczekiwała ostatniej wizyty reżysera.

Każde z nich na swój sposób próbowało uporać się z tremą. Elvis raz jeszcze czytał

swoją rolę, Mando rysował na zaparowanym lustrze na przemian jedyńki i dziewiątki, Bachus z Erosem rozmawiali szeptem o ostatnich wydarzeniach i wszystkim, co ich ostatnimi czasy spotkało. Jenny robiła makijaż, a Sygin przechadzała się nerwowo po pokoju, próbując nie dostrzegać Eryka gapiącego się na nią z rozdziawioną gębą.

W końcu jednak nie wytrzymała.

– Będę na zewnątrz – powiedziała. – Zawołajcie mnie w razie czego.

Wyszła na korytarz, usiadła na schodkach i oparłszy twarz na rękach, westchnęła ciężko.

Zastanawiała się, po co jej to wszystko było. Jaka siła i w jakim tak naprawdę celu ściągnęła ją tu z powrotem, dlaczego umieściła ją w ciele kobiety, która nienawidziła jej męża, i jakie było jej tu, na ziemi, zadanie. Najważniejsza była jednak dla niej odpowiedź na pytanie, czy w ogóle uda jej się jeszcze zobaczyć Lokiego. Bo jeśli nie, to wszystko nie miało przecież najmniejszego sensu.

Ktoś usiadł koło niej, ale nawet nie spojrzała. Miała tylko nadzieję, że nie jest to Eryk.

Coraz mocniej czuła, że powinna się go pozbyć, i zamierzała to zrobić zaraz po tym przedstawieniu. Albo lepiej. Gdy już Gabriel dotrzyma słowa, Sygin odda Szweda Lokiemu. Już on będzie wiedział, jak się nim zająć. Uśmiechnęła się do tej myśli.

– Też masz ich wszystkich dość? – rozległ się niski, głęboki głos tuż obok jej ucha.

Samedi. – Słowo daję, czasami zastanawiam się, czy to całe przetrwanie jest tego warte.

Nie odpowiedziała, ale baron najwyraźniej nie potrzebował odpowiedzi, bo niezrażony mówił dalej:

– Jeszcze parę dni temu miałem plan. Wizję, w której tacy jak my zdobywają ten świat i dzielą się nim po równo, jak dawniej bywało. Oczywiście walczylibyśmy o ziemię i wiernych, zmuszalibyśmy ludzi do zabijania w naszym imieniu, ale wszystko z umiarem.

Nie można przecież tak jak aniołowie czy teraz Lucyfer... Ech, miałem wrażenie, że jestem większy i silniejszy. Że wszyscy jesteście. Ale teraz się zastanawiam... Jak sądzisz? Czy jest możliwe, że gdzieś istnieje bóg prawdziwszy niż my? I czy wciąż ma szansę to wygrać?

Sygin nie odpowiedziała.

Błądziła myślami po ścieżkach wspomnień, swoich i skradzionych. Tych dobrych i tych złych. Wreszcie przypomniała sobie ostatnie słowa, jakie powiedziała Lokiemu. Że umrze. Skąd się to wtedy wzięło w jej głowie? Nie potrafiła na to odpowiedzieć, zwłaszcza teraz, gdy dużą część jej umysłu zaprzętała wiedza Mary Ann o tym, jak kręcić biodrami na wybiegu, gadać o bzdurach i robić makijaż. A także czym jest Kościół Wielkiego Impresariatu.

A jeśli rzeczywiście istniało coś takiego? Jeśli przedstawienie, w którym zaraz wystąpi, show na zlecenie samego Boga chrześcijan, gdziekolwiek teraz był, miało być jej ostatnią bitwą? Tą, która opiewana będzie w sagach?

Poczuła na ramieniu dłoń Samediego.

– Chodź – powiedział baron. – Knox przyszedł i powinniśmy go posłuchać. Myślę, że mimo wszystko powinniśmy jednak zrobić, co możemy, żeby przetrwać.

Skinęła głową i wstała z ociąganiem. Gdy jednak usłyszała głos dochodzący z garderoby, jej serce zabiło szybciej i natychmiast rzuciła się biegiem.

Bo to nie był Knox.

Pod Gershwin Theatre zebrał się spory tłum mieszkańców Nowego Jorku. Czekali cierpliwie otoczeni kordonem Lucyferowych golasów, aż otworzą się drzwi do teatru.

Loki nie pchał się między nich, tylko skręcił w boczną uliczkę i odszukał wejście od zaplecza. Chwilę pomajstrował w zamku znalezionej na ziemi igłą od strzykawki, po czym pchnął drzwi i przestąpił próg.

– Możesz tu zaczekać, a możesz iść do swoich – powiedział do Jeffersona. – Spotkamy się pewnie na sali, ale muszę tu jeszcze wcześniej coś załatwić. A, daj mi jabłka.

Jefferson podał Kłamcy reklamówkę, ale nie puścił jej od razu.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? – zapytał.

Kłamca zaśmiał się cicho.

– Finał Apokalipsy to sztuka na Broadwayu. Czy naprawdę myślisz, że jest metoda w tym popierdolonym szaleństwie?

Jefferson rozłożył ręce.

– Mogłeś skłamać – powiedział.

– Może skłamałem.

Loki zasalutował i zniknął w zaciemnionym korytarzu.

Dłuższą chwilę szedł w ciemności, aż natknął się na kolejne drzwi. Były otwarte, więc tylko pchnął je lekko i wyszedł na jasno oświetlony korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się drzwi prowadzące do garderób. Gdzieś z oddali, zza rogu, dobiegł Kłamcy niski głos, jakby skądś znajomy, ale Loki ani myślał teraz to sprawdzać. Zatrzymał się przy uchylonych drzwiach i zerknął do środka. Następnie z impetem wparował do pomieszczenia.

– Niespodzianka! – zawołał, a potem rozłożył ręce i skłonił się nisko niczym aktor epoki elżbietańskiej. – Tęskniliście?

Nie wszystkich rozpoznawał, były tam trzy nowe, obce dla niego twarze, ale widok Erosa, Bachusa i Jenny napawał go prawdziwą radością. A to uczucie było takie...takie... ludzkie. Wzdrygnął się na samą myśl.

– Co tam, chłopaki? Jenny, kochanie, mam nadzieję, że nie masz mi za złe... Erosie, czemu, do cholery, robisz takie głupie miny?

– Może po to, żebyś się jeszcze bardziej nie skompromitował, mówiąc do obcych kobiet *kochanie* w mojej obecności – dobiegł go głos gdzieś z tyłu.

Kłamca obrócił się gwałtownie i aż jęknął:

– Noż kurwa, niemożliwe. Ty?

Najwyraźniej nie była to właściwa odpowiedź, bo nagle dostał pięścią w twarz i runął na podłogę.

Ocucili go resztką perriera.

Kłamca usiadł i rozejrzał się po garderobie, w której wraz z nim byli w tej chwili tylko Eros i Bachus. Obaj siedzieli na odwróconych krzesłach, z głowami na łokciach, a łokciami na oparciach. Obaj też szczerzyli się teraz jak idioci. Po raz pierwszy tak naprawdę to oni mogli nabijać się z Kłamcy, nie odwrotnie. I w pełni z tego korzystali.

– Co tu się właściwie stało? – zapytał Loki.

– Och, sporo – powiedział Eros. – Przede wszystkim jednak z zaświatów wróciła twoja była, weszła w ciało laski, która cię nienawidzi, i...

– To była Sygin?! – zawołał zdziwiony Kłamca, po czym potarł obolały podbródek. – No tak, to w zasadzie było w jej stylu. I z jej krzepą. Nie wiem tylko, jak...

– Jak? – wtrącił się Bachus. – To pytanie, którego zdecydowanie lepiej sobie teraz nie zadawać. Im bardziej się temu wszystkiemu przyglądam, tym mocniejsze mam wrażenie, że jesteśmy tylko pionkami, które ktoś rozstawia na szachownicy, by w końcu rozegrać szybką partyjkę.

Loki pomyślał przez chwilę o Metatronie i tylko skinął głową.

– Dobra, macie dla mnie jeszcze jakieś niespodzianki? – zapytał. – I jak sprawę z Sygin widzi Jenny?

– Zrobiłem coś, czego kiedyś mi zabroniłeś – powiedział Eros. – Tak że bądź spokojny, teraz jest szaleńczo zakochana we mnie.

Nie, nie jest – pomyślał Kłamca, ale nie powiedział tego na głos. Miał teraz większe i pilniejsze zmartwienia. Na przykład zbliżający się spektakl.

– A ci nowi? Kto to? – zapytał.

– Nikt ważny, trochę się z nami włóczę – powiedział Bachus. – Ale z ciekawostek, do paczki dołączył też Samedi. Pewnie cię ucieszy, że już od dawna nie chce cię zabić. Był nawet taki moment, gdy...

– Potem mi opowiesz – przerwał mu Kłamca. – Teraz potrzebuję was tutaj. Was, Jenny, Sygin i Samediego, a także, jeśli jest szansa, Gabriela. Musicie mi w czymś pomóc.

Podniósł z ziemi plecak, który po upadku najwyraźniej zdjęli mu z pleców, i zajrzał do środka. Jabłka były na miejscu.

– A nowym dajcie noże, niech to pokroją w kosteczkę i dadzą wszystkim widzom po kawałku.

Eros zmarszczył czoło.

– Czy to są...?

– Tak – potwierdził Kłamca. – Najwyższy czas, by ich użyć.

– Serio, Loki? – parsknął Eros. – Naprawdę? Scooby Doo?!

Kłamca rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: *No cóż ci poradzę?*

– Knox się wścieknie – powiedział Bachus. – Nie żeby mi to szczególnie przeszkadzało, ale wścieknie się jak nie wiem. Gabriel obiecał mu, że tym razem nic nie zmienimy.

– Nie powinien obiecywać za mnie, prawda?

Loki puścił oko do Sygin, ale ta odwróciła głowę. Robiła to jednak na pokaz i dobrze wiedziała, że za jakiś czas jej przejdzie...

I wtedy do niego dotarło. Nie będzie żadnego później. Nie dla Sygin. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jego żona zniknie, podobnie jak Bachus, Eros, Samedi, Jefferson i Gabriel. Wszyscy oni wyparują z pamięci widzów nakarmionych cholernymi jabłkami, zostaną wypchnięci przez wzmocnioną, powszechną świadomość, że przecież wszystko jest racjonalne, że wszystko można wyjaśnić, a pod każdą maską, za każdym stworem, czy to światła, czy ciemności, stoi niedoceniony woźny albo chłopak od wózka z hot dogami.

To przedstawienie reżyserowane przez Knoksa, władcę ludzkich serc i umysłów, te owoce i już niedługo tłumy na sali – to wszystko było niczym elektromagnetyczna bomba, tyle że zamiast elektroniki niszcząca owoce wiary. I samą wiarę. Po wszystkim zostaną tylko ludzie.

Chyba że wycofam się w tym momencie – pomyślał Loki. Powiódł wzrokiem po wszystkich zgromadzonych w garderobie. Nie było z nimi teraz Eryka, Mando ani Elvise – wszyscy trzej częstowali ludzi kawałkami jabłek, dziwiąc się pewnie, jak to możliwe, że owoców nie ubywa. Nie było również Gabriela. Tylko stara gwardia dawnych bogów i Jenny, wychowanka archanioła.

A nie, wróć! Przecież Kłamca nie był już bogiem.

– Dobra, bo zaraz pewnie wpadnie tu Knox i nie ucieszy się, gdy mnie tu zobaczy – powiedział Loki. – Wiecie wszyscy, co macie zrobić? I co przekazać pozostałym?

– Chyba tak – powiedział Bachus. – Ale poważnie, Loki, Scooby Doo? To dziwne, nawet jak na ciebie.

Jeżeli bóg wina liczył w tym miejscu na jakąś ripostę, to się nie doczekał. Kłamca westchnął i ruszył ku wyjściu. Przechodząc koło Sygin, szepnął cicho: *Przepraszam*. Ale wątpił, by usłyszała. Dostrzegł za to, że choć wciąż udawała obrażoną, mimowolnie się uśmiechała. Wcale mu to nie pomogło.

Usłyszał jeszcze, jak Samedi mówi, że po tym wszystkim będą musieli przedyskutować z nowym szefem zasady ekumenizmu. A potem zamknął za sobą drzwi.

– Ty, albo mi się zdaje, albo te jabłka się, kurna, nie kończą – powiedział Elvis, po raz kolejny sięgając do plecaka.

Za każdym razem wyciągał z niego naręcze jabłkowych ćwiartek, choć już dawno nie powinno ich tam być.

– Stary, mówię ci, za jakiś czas jakiś napruty prorok to wszystko spisze i wylądujemy w jakiejś Biblii Dwa. Zobaczysz, będą się do nas modlić.

Wręczył kawałki jabłek kolejnym wchodzącym ludziom i życzył im miłego spektaklu. To już była końcówka, większość widzów była na sali, zostały tylko pojedyncze miejsca.

Eryk, który poważnie wziął sobie do serca obowiązki odźwiernego, pognał gdzieś na zewnątrz, wyglądając zagubionych dusz. A może namawiać na spektakl golasów od Lucyfera?

– Swoją drogą, brachu – mówił dalej Elvis – nie masz wrażenia, że zupełnym przypadkiem staliśmy się wielcy? Kurde, nie mamy żadnych specjalnych talentów.

Ciebie to nawet byle zombie mógł upierdolić, a mimo to jesteśmy w tym wszystkim, dokładnie w samym środku, i cały czas mamy coś do zrobienia. Może nasze role nie są duże, bo, kurwa, co to jest Anioł Europy, ale ciągle są, ciągle jesteśmy i jeśli mnie pytasz o zdanie, lepiej być statystą w hicie niż głównym aktorem w...

Mando odruchowo podał jabłko nastolatkowi, który wyjrzał z sali, ale ten podziękował grzecznie.

– Wolę popcorn – powiedział.

Rozejrzał się po holu i wrócił na salę. Elvis pokiwał głową.

– Widzisz? O tym właśnie mówię. Ilu ludzi na tym jebanym świecie może się pochwalić, że poczęstowało jabłkiem samego Lucyfera?

Loki wszedł do łoży i bez słowa zajął miejsce obok Lucyfera. Sięgnął do srebrnej tacy, na której leżały przekąski, wziął jeden koreczek z serem, szynką i oliwką, ale nie zjadł, tylko strącił palcami wszystko i wsunął w usta samą wykałaczkę. Dopiero wtedy usiadł i z tajemniczym uśmiechem wlepił wzrok w kurtynę.

Gwiazda Zaranna uśmiechnął się tylko.

– Teraz już mogę czytać w twoich myślach – oświadczył.

Loki nie odpowiedział.

– I nawet jeśli coś kombinujesz...

Loki przyłożył palec do ust, na co Lucyfer zaśmiał się i wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie – powiedział. – Pogadamy, gdy się skończy.

Loki skinął głową, a wtedy jak na zawołanie zgasły światła. Zaczął się spektakl.

Z początku toczył się niemrawo, a widzowie, zwłaszcza dzieci, szeptali coś między sobą, wiercili się i wychodzili do holu. Z czasem jednak zaczęła działać magia przedstawień Knoksa, człowieka, który nawet szczury potrafił zagonić do ciężkiej aktorskiej pracy, a co dopiero aniołów i bogów.

Zresztą w spektaklu nie było słabych ról – nawet te, które grała nieznana Kłamcy trójka, wypadały fantastycznie, wiarygodnie i wzruszająco. Do tego stopnia, że gdy przyszedł czas na ostatnią przerwę, nikt z widowni nie opuścił sali i wszyscy w skupieniu wyczekiwali wielkiego finału.

A potem się zaczęło...

– Ej, zaraz – zawołał nagle Lucyfer, podrywając się z miejsca. – Coś tu jest nie tak! Ja znam tę sztukę i te anioły to rzeczywiście anioły, a nie żadni tam... Ej! No co jest?!

Ale nikt nie zwracał uwagi na jego protesty. Wszyscy w skupieniu słuchali monologu dobiegającego ze sceny. Mówił go Bachus, wprost do widzów, burząc czwartą ścianę.

Słowo w słowo, jak kazał mu Loki. Zdanie po zdaniu uświadamiające widzom bezsens wiary. Bo przecież za wszystkim od zawsze stał człowiek, za każdą ideą, za każdym pomysłem i religią. Anioły to przebierańcy, Bóg to ucieczka słabych... Teatr to prawda.

Lucyfer już nie siedział. Miotał się po łoży, wściekał i tłukł po głowie, zachowując jak dziecko, którego ciało przybrał. A z każdym kolejnym słowem Bachusa stawał się coraz bardziej przezroczysty, widmowy. Jego krzyki były coraz cichsze.

Wreszcie zniknął zupełnie. Bez ostatniego słowa, bez bon motu, bez spektakularnej śmierci połączonej z serią wybuchów. Po prostu: był, a potem go nie było.

Tymczasem Bachus skończył mówić, a na scenę wyszła reszta ekipy. Wszyscy, w komplecie. Gdy się skłonili, wybuchła burza oklasków, gwizdów i pokrzykiwań.

Niektórzy krzyczeli: *Jeszcze*, inni powoli podnosili się z miejsc. Loki przyglądał się temu w zdumieniu.

– Dziwi cię, że wciąż ich widzisz? – rozległ się tuż obok dobrze znany, podszyty aksamitem głos Metatrona. – To prawo przedstawienia, a oni w tej chwili są aktorami.

Gdy odegrają swoją rolę do końca, zejść ze sceny i przepadną w nicość. Jak ty.

Kłamca się obejrzał. Spojrzał w zmęczone oczy Alana Rickmana, dostrzegł też pluszowego Kłamczucha w jego rękach.

– Zostawiłeś go na górze – powiedział Głos Boga. – I czemu tak na mnie patrzysz?

Naprawdę uwierzyłeś w tę bajeczkę o swoim człowieczeństwie i duszy zaklętej w misiu?

No proszę, okłamany kłamca, to się nazywa ironia, nie uważasz? Ale świetnie się spisałeś, Loki. Wykonałeś plan co do joty. Wybacz sformułowanie, zwłaszcza w tych okolicznościach, ale od początku w ciebie wierzyłem. Byłbyś legendą, gdyby nowy ład dopuszczał ich istnienie. Ale nie dopuszcza, przykro mi. Od teraz są już tylko ludzie i jedyny Bóg, którego nikt nie będzie pamiętał.

Kłamca przez chwilę przyglądał się porytej zmarszczkami twarzy Głosu Boga.

Wykałaczką wędrowała tam i z powrotem z jednego kącika ust do drugiego. W końcu zapytał:

– To co teraz ze mną będzie?

– Złe pytanie, Loki – odparł Metatron. – Bo ciebie nie ma. I tak naprawdę nigdy nie było.

Tak jak i mnie.

To powiedziawszy, wstał i dołączył do wciąż trwających owacji.

A gdy oklaski ustały, w łoży na fotelach zostały już tylko wykałaczką i stary pluszowy miś.

Koniec





Jakub Ćwiek

Urodzony w roku premiery „Blade Runnera” i ekranizacji „Conana Barbarzyńcy”. Pierwszą próbę literacką popełnił w wieku lat siedmiu. Wtedy jednak nie myślał jeszcze o publikowaniu.

Zainteresowania rozwijał w rodzinnych Głucholazach aż do rozpoczęcia studiów, kiedy to, znalazłszy się w Katowicach, przystąpił do Śląskiego Klubu Fantastyki. Do dziś uważa to za jedną z najlepszych życiowych decyzji.

Z Fabryką Słów wydał: „Liżąc ostrze” (2007), „Ciemność psowie” (2008), „Gotuj z papieżem” (2009), publikował w dwóch fabrycznych antologiach.

I wreszcie „Kłamca”. Cztery bestsellerowe tomy opowieści o Lokim – nordyckim bogu i anielskim specu od mokrej roboty – stały się dla Jakuba przepustką do pierwszej ligi pisarzy polskiej fantastyki.

Dwukrotnie nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdła.

COPYRIGHT © by Jakub Ćwiek
COPYRIGHT © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2012

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-804-8

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Piotr Cieśliński

REDAKCJA Tomasz Hoga

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI Dariusz Haponiuk

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl



LØKI PØWRACA! TYM RAZEM
Z MISJĄ ØSTATECZNĄ

Lucyferowi udało się doprowadzić do Apokalipsy. Legiony Pana i Szatańska Armia już nie istnieją, podobnie jak ziemska cywilizacja. Szaleje Głód, Wojna i Zaraza, a jedynymi szczęśliwymi mieszkańcami globu są zombie.

To już pewne – Boga nie ma. Ale czy to oznacza, że rząd dusz przejmie władca Piekła? Na jego drodze ku zwycięstwu stanie banda zakłamanych desperatów, dziwaków, nieudaczników, grubasów, gogusiów, maniakałnych wielbicieli Stephen Kinga i może jeszcze kilka wojujących feministek. No i oczywiście sam Kłamca.

Zapraszamy na Broadway.
Dziś w programie – ostatnia bitwa o ludzkość. Tylko jedno przedstawienie!

fabrykaslow.com.pl



Wyłączny
dystrybutor



JAKUB ĆWIEK
КЛАПСА
KILL 'EM ALL

